

KIEDY BOGOWIE UMIERAJĄ



C. S. HARRIS

AUTORKA „CZEGO BOJĄ SIĘ ANIOŁY”

Harris C.S. – Kiedy bogowie umierają

Przełożyła Marta Kleinrok

Podziękowania

Lista osób, którym należą się podziękowania, jest zawsze długa, a w przypadku tej książki szczególnie - ze względu na okoliczności, w jakich powstawała. Pisałam ją po uderzeniu huraganu Katrina, który zniszczył

mój dom w Nowym Orleanie. Szczególne podziękowania należą się: Mojej redaktorce Ellen Edwards za wyrozumiałość i nieocenioną pomoc w pracy mimo huraganu, ewakuacji, odbudowy domu, a także za podzielenie się ze mną swoją rozległą wiedzą i przemyśleniami. Twojego wkładu w tę książkę nie da się przecenić.

Mojej córce Samancie, która dzielnie zniosła najazd trzech pokoleń naszej rodziny i pięciu kotów na swoje niewielkie mieszkanie studenckie w Baton Rouge oraz córce Daniele, która bez narzekania całe tygodnie spała na drewnianej ławie. Twarde z was sztuki.

Mojej matce Bernadine Wegmann Proctor, która na tak długo pozwoliła nam przejąć swój ocalały w powodzi dom w Métairie oraz mojej siostrze Pénélope Williamson, która służyła nam pomocą, kiedy tak desperacko jej potrzebowaliśmy.

Emily i Bruce'owi Toth (oraz ich dwóm pociesznym zwierzacom -

Beauregardowi i Panu Fussy), którzy wspomniałomyślnie otworzyli swój dom w Baton Rouge dla wielu członków mojej rodziny i dwóch z naszych kotów; mojej agentce Helen Breitwieser, przyjacielom Edowi i Lynn

Lindhahl oraz Paulowi i Adriel Woodman, którzy udzielili nam gościny w swoich domach w Beverly Hills, Arizonie i Alabamie. Wasza wspomniałomyślność poruszyła mnie go głębi.

Wszystkim przyjacielom i krewnym, którzy wspierali mnie przez te ponure, gorączkowe dni po potopie, oferując swoją przyjaźń i pomoc.

Dziękuję zwłaszcza starym przyjacielom Tomowi Hudsonowi, Nickowi Fiedlerowi i Tomy emu Lufti; moim australijskim przyjacielom Wirginii Taylor, Trish Mullin i Gillowi Cooperowi oraz kuzynowi Gregowi Whitlockowi.

Benowi Woodmanowi, który zrezygnował z części urlopu, by zdzierać spleśniałą izolację i deski, oraz Jonowi Stebbinsowi, który nie tylko poświęcił swój wolny czas, by przez wiele tygodni pomagać w odbudowie naszego domu, ale podnosił nas też na duchu, gdy najbardziej tego potrzebowaliśmy. Niewielu jest takich przyjaciół.

Kathleen Davis, Elorze Fink, Charlesowi Gramlichowi, Laurze Joh Rowland i Emily Toto z koła literackiego *Monday Night Wordsmiths*, którzy pozostali w kontakcie choćby przez e-mail. Jestem wam wdzięczna za przyjaźń, rozmowy i wsparcie.

Oraz mojemu mężowi Steve'owi Harrisowi, który jest świetnym kompanem do snucia intryg, ale sprawdził się też jako spec od elektryczności. Bez Ciebie u boku nie przetrwałabym Katriny ani ciężkich dni, które po niej nastąpiły.

PAWILON KRÓLEWSKI, BRIGHTON, ANGLIA ŚRODA, 12 CZERWCA 1811 ROKU

Wiedział, że do niego przyjdzie. Zawsze przychodziły.

Jego Królewska Wysokość Jerzy, książę Walii i od ponad czterech miesięcy regent Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii, zamknął za sobą drzwi gabinetu i potoczył wzrokiem po ponętnych krągłościach swojej towarzyszki.

- Widzę, żeś pani zmieniła zdanie i rozważyła swą pochopną odmowę mojej propozycji przyjaźni.

Nie odpowiedziała. Migoczący płomień świecy spowijał cieniem jej oblicze, tak że książę nie mógł z niego nic wyczytać, podczas gdy blada dłoń spoczywała prowokująco na pozłacanym rzeźbieniu stojącej obok kominka sofy. Większość ludzi narzekała na wysokie temperatury, w jakich Jerzy nawet w tak ciepłe letnie noce zwykł utrzymywać swoje salony. Ta kobieta jednak zdawała się upajać tym ciepłem - spod zsuniętej z ramion sukni kusząco wystawały jej białe stopy. Książę obliznął wargi.

Za zamkniętymi drzwiami dobiegały dźwięki koncertu Bacha zmieszane ze szmerem kurtuazyjnych głosów zgromadzonych licznie gości, gdzieś w oddali zadźwięczał słabo piskliwy kobiecy śmiech. Na ten dźwięk Jerzy poczuł, jak w przyływie niepewności żołądek podchodzi mu do gardła.

Dzisiejsze przyjęcie było wyjątkowe, gdyż jako gość honorowy przybył nikt inny, jak sam zdetronizowany król Francji Ludwik XVIII.

Reszta, cała zarozumiała śmietanka kostycznych, wyniosłych dam i dżentelmenów, przychodziła tu co wieczór. Pili wino księcia, raczyli się jego jedzeniem i słuchali muzyki, ale wiedział, co tak naprawdę o nim myślą. Zawsze z niego szydzili i mieli go za błazna. Poszeptowali, że jest równie obłąkany, co jego ojciec. Sądziło się, że o tym nie wie, ale on wiedział.

Tak jak też zdawał sobie sprawę, jakim pośmiewiskiem stałby się, gdyby ta kobieta kolejny raz wystrychnęła go na dudka.

Dlaczego milczała?

Jerzy wyprostował się niepewnie i wyprężył tors.

- O co chodzi, pani? Czyżbyś zwabiła mnie tu jedynie, by drażnić się ze mną, zabawić się moim kosztem?

Zrobił krok w jej stronę, lecz zachwiał się i pulchną ręką złapał za rzeźbione oparcie stojącego obok krzesła. Poczuł ból w kostce. Nie wytrzymała jego ciężaru. Wiedział jednak, co robić - potrafił

balansować na jednej nodze lepiej niż większość młodzieniaszków.

Wszyscy tak twierdzili.

Świece w pozłaczanych kinkietach zapłonęły złotym światłem, a potem przygasły. Nie pamiętał, żeby siadał, ale kiedy otworzył oczy, spoczywał rozparty w fotelu, z podbródkiem zatopionym głęboko w fałdach fularu. Czuł spływającą z kącika ust struzkę śliny. Wierzchem dłoni wytarł usta i podniósł głowę.

A ona leżała jak przedtem, jedna noga zwisała z obitej żółtym aksamitem sofy, a połyskująca szmaragdowozielona suknia była rozsznurowana i odsłaniała kusząco nagie ramiona. Zastanowiły go jej szeroko otwarte, dziwnie niewidzące oczy.

Ginewra Anglessey. Cóż to była za piękność! Delikatnie uformowane krągłości jej na wpół odkrytych piersi były białe niczym alabaster, kruczoczarne włosy lśniły w blasku świec. Jerzy zsunął się z fotela, przyklęknął i ujął jej zimną dłoń.

- Pani? - spytał drżącym głosem.

Zaniepokoił się nieco. Nienawidził scen, a jeśli ona dostała jakiegoś ataku, toby dopiero był skandal. Wsunął ręce pod jej obnażone ramiona, uniósł ją i delikatnie potrząsnął.

- Czyżbyś pani, och, mój Boże, czyżbyś zaniemogła? Sama myśl przyprawiła go o ciarki. Był przecież taki podatny na infekcje...

- Mam wezwać doktora Heberdena?

Chciał jak najprędzej się od niej odsunąć, ale leżała przechylona na bok w tak niewygodnej pozycji, że trudno mu było ją ułożyć.

- Pozwól proszę, że ułożę cię wygodnie, a sam zawołam...

Urwał i gwałtownym ruchem obrócił głowę w stronę dwuskrzydłowych drzwi, które ktoś właśnie otworzył na oścież.

- A może tu się księżę ukrywa... - usłyszał rozbawiony kobiecy głos.

Przyłapany z piękną, młodą żoną markiza Anglessey, nieprzytomną w jego niezdarnych ramionach, Jerzy zeszywniał. Świadomy swej odrażająco groteskowej pozy, nerwowo oblizwał suche wargi.

- Zemdląca, zdaje się.

Lady Jersey stała z ręką zaciśniętą na klamce. Jej przykryte różem policzki stopniowo traciły kolor, a oczy robiły się coraz większe.

- Na Boga! - wydyszała.

W drzwiach zaroilo się od piszczących kobiet i spoglądających spode łba mężczyzn. Dostrzegł swojego kuzyna Jarvisa i pochmurnego syna lorda St. Cyra - wicehrabiego Dewlinu. Wszystkie oczy zwrócone były w jego stronę. Chwilę trwało, zanim Jerzy zorientował się, że nie patrzy wcale na niego, lecz na wysadzaną klejnotami rękojeść sztyletu sterczącego z nagich pleców markizy

Anglessey.

Książę wrzasnął ciekim, wręcz kobiecym głosem, a płomień świecy zamigotał i zgasł.



Nad Steyne powiała orzeźwiająca bryza, przynosząc ze sobą słoną woń morza. Sebastian Alistair St. Cyr, wicehrabia Dewlinu, przystanął na kamiennym bruku przed Pawilonem Królewskim i wciągnął głęboko w płuca świeże powietrze.

Wkoło w ciemnych uliczkach rozbrzmiewały pełne przerażenia okrzyki i dudniły końskie kopyta. Obwieszona biżuterią damy i dżentelmeni w wieczorowych strojach wylewali się w noc. Kilkoro gości rzuciło Sebastianowi pełne przestachu, podejrzliwe spojrzenia. Wszyscy omijali go szerokim łukiem.

- Głupcy! - usłyszał za sobą ostry, gniewny głos. - Co też im chodzi po głowach? Myślą, że to ty zabiłeś tę kobietę?

Wicehrabia odwrócił się gwałtownie, by spojrzeć na ciężką, zatroskaną twarz swojego ojca, Alistaira St. Cyr, piątego hrabiego Hendonu. Uśmiechnął się cierpko.

- Takie wytłumaczenie zapewne odpowiada im bardziej niż to, że ich regent właśnie do swej wątpliwej sławy raczył dodać morderstwo, i to pięknej kobiety.

- Księżę nie byłby do tego zdolny i dobrze o tym wiesz - warknął

ojciec.

- No cóż, ktoś jednak ją zabił. Ja wiem jedno: nie ja.

- Przejdźmy się - powiedział hrabia Alistair, odprawiając swój powóz. - Potrzebuję oddechu.

Ruszyli razem w stronę hotelu na Marinę Paradę. Obaj milczeli, a ich kroki pobrzmiwały w ciemności nieznacznym echem. Znajome zapachy obmywanych przez morze skał i mokrego piasku wisiały ciężko w ciepłym nocnym powietrzu, a skąpane w księżycowym blasku ulice przywodziły wspólne wspomnienia, których ani ojciec, ani syn nie chcieli przywoływać.

Obydwaj od lat unikali Brighton, jak tylko mogli. Jednakże Alistair St.

Cyr, jako minister skarbu, a także ze względu na wizytę zdetronizowanego króla Francji, zmuszony był się tu pojawić. Sam Sebastian przyjechał tylko z okazji jego sześćdziesiątych szóstych urodzin. Drugie żyjące dziecko hrabiego - Amanda - nie przyjechała z powodów, o których nie rozprawiali.

- Ta kobieta... - zaczął Alistair, lecz urwał i poruszył gwałtownie szczęką jak zawsze, gdy się zamyślał lub był czymś zmartwiony. W

słabym świetle pobliskiej latarni jego twarz wyglądała blado, a blask księżycy rzucał na jego gęste włosy srebrną poświatę. Odchrząknął i zaczął

ponownie: - Zdumiewająco przypominała Ginewrę Anglessey.

- Bo to była markiza Anglessey - odparł Sebastian.

- Wielkie nieba! - Hrabia przetarł zatroskaną twarz otwartą dłonią. -

To może oznaczać koniec rodu Anglesseyów.

Przez chwilę jego syn milczał. W ich świecie dość często zdarzały się małżeństwa pięknych młodych kobiet z utytułowanymi starszymi bogaczami. Jednakże nawet w tych sferach różnica czterdziestu pięciu lat, jakie dzieliły markiza i jego młodą żonę, była rażąca.

- Muszę przyznać - odezwał się Sebastian, wążąc słowa przez wzgląd na długoletnią przyjaźń między rodami St. Cyrów i Anglesseyów -

że nie zaliczyłbym jej w poczet flam Księciunia.

Oczy hrabiego Hendonu zapłonęły.

- Nawet tak nie myśl! Nie była swawolnicą. Nie Ginewra.

- Co więc, u diabła, robiła w jego gabinecie? Alistair odetchnął

ciężko.

- Nie wiem, ale to nie wróży nic dobrego ani dla Anglesseya, ani dla księcia... no i dla ciebie - dodał. - Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebujesz, to żeby twoje nazwisko połączono ze śmiercią kolejnej zamordowanej kobiety.

Sebastian zmarszczył brwi, a jego wzrok padł na królewski herb zdobiący karety stojąc u wejścia do ich hotelu.

- Wierz mi, że nie mam zamiaru za to odpowiadać. Starszy St. Cyr spojrział na niego zdumiony.

- Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

Wicehrabia bez słowa wskazał podbródkiem służącego w liberii, który stał koło zaniepokojonych koni zaprzężonych do karety.

- O co chodzi? - spytał Alistair.

Służący postąpił w ich stronę i skłonił się. Jego liberia nie pozostawiała żadnych wątpliwości - zarówno on, jak i powóz należały do księcia.

- Jego lordowska mość wicehrabia Dewlinu? Lord Jar vis chciałby zamienić z milordem kilka słów. W swoich komnatach, w pawilonie.

Oficjalnie lord Jarvis był jedynie dalekim kuzynem króla, możliwym arystokratą. Słynął jednak ze sprytu i absolutnej wręcz wiedzy sukcesywnie nabywanej dzięki okazałemu zastępowi szpiegów.

Wszyscy wiedzieli, że to on był mózgiem rodziny królewskiej, makiawelicznym intrygantem oddanym zarówno Anglii, jak i monarchii.

- O tej porze? - zaprotestował Sebastian.

- Lord Jarvis twierdzi, panie, że to nie może czekać. Biorąc pod uwagę swe wcześniejsze relacje z tą szarą eminencją dworu, Sebastian chciał w pierwszym odruchu odesłać służącego z powrotem do swojego pana z szorstką odmową. Potem przypomniał sobie Ginewrę Anglessey -

bladą, leżącą bez życia w oświetlonej blaskiem świec komnacie księcia, i zawahał się.

- Przekaż swojemu panu, że lord wicehrabia przyjmie go rano -

odparował Alistair St. Cyr. Szczęka chodziła mu ze zdenerwowania.

Sebastian pokręcił głową.

- Nie. O świcie wracam do Londynu. - Czujny, lecz zaintrygowany wskoczył do powozu, zanim jeszcze opuszczono schodki. - Nie czekaj na mnie - zwrócił się do ojca.

Służący zamknął drzwiczki, a wicehrabia usadowił się wygodnie na obitym pluszem siedzisku.

Charles lord Jarvis zajmował w Pawilonie Królewskim apartament zarezerwowany specjalnie na jego użytek przez samego księcia regenta, którego upodobanie do niewielkiego nadmorskiego miasteczka Brighton sięgało ponad trzydziestu lat wstecz. Wówczas książę był młody, przystojny, a nawet - co Jarvisowi wydawało się teraz nieprawdopodobne -

lubiany przez lud. Wciąż przyjeżdżał tu tak często, jak mógł, by moczyć swoje rozdęte ciało w morskiej wodzie, organizować niekończące się muzyczne przyjęcia i wieczory karciane oraz planować kolejne wymyślne rozbudowy i zmiany wystroju swojego pawilonu.

Obecnie komnaty Jarvisa udekorowane były żyrandolami z podobiznami smoka, bambusowymi meblami i pawiego koloru tapetą ozdobioną złotymi listkami układającymi się w egzotyczne bestie. Do końca lata jednakże wystrój mógł ulec całkowitej metamorfozie i komnaty mogły nabrać wyglądu sułtańskiego haremu czy też świątyni maharadży.

Osobiście Jarvis nie przepadał za orientalnym stylem, jaki upodobał sobie regent. Rozumiał jednak lepiej niż większość, że pawilon, tak jak i Carlton House - londyńska rezydencja księcia - były niczym klocki w rękach tłustego, rozpieszczonego dziecka. Niekończące się przebudowy może i były kosztowne, ale za to na tyle pochłaniały jego uwagę, by mądrzejsi, zdrowsi na umyśle mogli spokojnie rządzić krajem.

Mierzący prawie sześć stóp, teraz pięćdziesięcioośmioletni, dość pulchny Jarvis prezentował się imponująco. Już same jego gabaryty robiły nie lada wrażenie, ale to siła jego intelektu onieśmiała większość rozmówców - intelekt i całkowite, pozbawione skrupułów oddanie monarchii. Gdyby tylko chciał, w jednej chwili mógłby objąć stanowisko premiera. Nie chciał. Dobrze wiedział, że skuteczniej się rządzi, pozostając w cieniu. Zarówno obecny premier Spencer Perceval, jak i większość jego gabinetu, świetnie rozumieli sytuację. Jedyne dwóch ministrów członków rządu ośmieliło się kiedykolwiek sprzeciwić Jarvisowi. Jednym z nich był

minister skarbu hrabia Hendonu. Drugim był ten właśnie człowiek - hrabia Portland.

Sięgając do kieszeni po delikatnie rzeźbioną tabakierę, lord Jarvis wodził jednocześnie wzrokiem za dżentelmenem przemierzającym nerwowo złotozielony turecki dywan. Portland, wysoki, prężny mężczyzna, o niespożytej energii, od ponad dwóch lat piastował urząd ministra spraw wewnętrznych. Miał opinię bystrego, nie tak jak Jarvis, rzecz jasna, ale wystarczająco rozgarniętego polityka, żeby móc sprawiać kłopoty.

- Dlaczego to robisz? - gorączkował się Portland. Jego kasztanowe włosy odbijały światło osadzonych w kinkietach świec, gdy kolejny raz przemierzał komnatę. - Sędzia pokoju oczyścił księcia z wszelkich podejrzeń. I niechże na tym się skończy! Im dłużej będzie ciągnąć się ta sprawa, tym gorzej dla zdrowia księcia. Lekarze już musieli podać mu środki uspokajające.

Jarvis uniósł niewielką szczyptę tabaki do nosa i zaciągnął się.

Premier Perceval wznosił właśnie modły w kaplicy, z zadowoleniem zostawiając tę jakże paskudną

sprawę w rękach książecego kuzyna. Ale nie Portland - ten był więcej niż uciążliwy, zaczynał stanowić problem.

- Sędzia pokoju to imbecyl - powiedział Jarvis, zatraskując wieczko tabakiery. - Jak każdy, kto uważa, że ludzie uwierzą, iż lady Anglessey popełniła samobójstwo, dźgając się sama w plecy.

Portland miał wyjątkowo jasną karnację, prawie kobiecą, i wystające kości policzkowe upstrzone cynamonowymi piegami. Jak zwykle w silnych emocjach, nabiegłe purpurą policzki zdradzały jego poruszenie.

- Teoretycznie jest to możliwe. Jeśli umocowała sztylet o tak właśnie i upadła na niego...

- Ależ proszę! - zachnął się Jarvis. - Połowa ludzi, którzy byli tu dzisiejszego wieczoru, już jest przekonana, że to książe zabił tę kobietę.

Jeśli pozwolimy sędziemu pokoju wydać orzeczenie o samobójstwie, jedynie przekonamy drugą połowę.

- Nie bądź śmieszny. Któż uwierzyłby, że książe zdołał jest do... -

Portland otworzył szeroko oczy, jakby nagle coś pojął i jego głos się załamał.

- W rzeczy samej - powiedział Jarvis. - Wszyscy przypomną sobie służącego Cumberlanda. Jak pamiętasz, w tym przypadku również orzeczono samobójstwo. Tylko jak sądzisz, ile osób naprawdę uwierzyło, że biedak sam poderznął sobie gardło, i to od lewej do prawej, kiedy był

leworęczny?

- Cumberland to niebezpieczny człowiek, szalenie agresywny. Temu nikt nie zaprzeczy. Cokolwiek by jednak nie mówić o księciu, w niczym nie przypomina brata.

Brew Jarvis'a drgnęła w milczącym niedowierzaniu. Na bladej twarzy Portlanda ponownie zagościł rumieniec.

- Dobrze więc, to celna uwaga. Po co jednak posyłać po młodego St.

Cyra? Oczyszczono go przecież z wszelkich podejrzeń dotyczących tych ohydnych morderstw zeszłej zimy.

- Oficjalnie - uciął Jarvis, odwracając się do drzwi, w których stanął służący.

- Wicehrabia Dewlinu, milordzie - oznajmił i skłonił się.

Do komnaty wszedł wysoki, szczupły młodzieniec o czarnych włosach i dziwnych, zwierzęcych wręcz oczach, którymi rzekomo widział

w ciemnościach równie dobrze jak kot. Jarvis doznał uczucia cichej satysfakcji, choć dopuszczał do siebie i taką myśl, że Sebastian St. Cyr jednak się nie zjawi. Wicehrabia był człowiekiem kompletnie nieprzewidywalnym, dzikim, niebezpiecznym i intrygująco błyskotliwym.

- Wybacz pan, lordzie Portland. - Jarvis rzucił ministrowi znaczące spojrzenie.

Ten zawahał się, jakby kusiło go, by zostać, lecz odparł krótko:

- Ależ oczywiście.

Ruszył w kierunku drzwi z ustami zasznurowanymi w wąską linię.

Jarvisowi nie umknął jednak niespodziewany, podejrzany błysk w jego oczach, zanim skinął głową i odezwał się szorstko:

- Lordzie St. Cyr.

Proszę wejść, milordzie - odezwał się Jarvis, tnąc powietrze szerokim gestem. Natura obdarzyła go czarującym uśmiechem, który nie dość, że rozbijający, był też często zdumiewająco skuteczny. Użył go teraz, kiedy wicehrabia zatrzymał się w drzwiach komnaty. - Mniemam, że zdziwiło pana to zaproszenie. Jeśli dobrze pamiętam, podczas naszego ostatniego spotkania przystawił mi pan pistolet do skroni. I uprowadził

córkę.

Wicehrabia Dewlinu stał nieruchomo z nieprzeniknioną twarzą.

- Ufam, że to zajście nie pozostawiło na niej trwałego śladu -

powiedział.

- Na Hero? Najmniejszego. Za to pokojówka zmieniła się nie do poznania. - Jarvis wziął z tacy kryształową karafkę i uniół w górę. -

Brandy?

Sebastian zmrużył oczy. Miał wręcz nieludzkie źrenice: żółte jak u wilka.

- Darujmy sobie uprzejmości. Książęcy kuzyn odstawił karafkę.

- Dobrze więc, przejdźmy od razu do sedna. Zaprosiłem tu pana, gdyż regent potrzebuje pańskiej pomocy.

- Mojej pomocy?

- Otóż to. Chciałby wiedzieć, co dokładnie wydarzyło się w pawilonie dzisiejszego wieczoru.

Wicehrabia zaniósł się urywanym śmiechem, w którym pobrzmiwała gorycz.

Jarvis kontynuował łagodnym głosem:

- Nikt nie zamierza wplątać lorda w to morderstwo, jeśli tego właśnie się pan obawia.

- Wielce to pocieszające. Nie wspominając, że byłoby to dość trudne, zważywszy, iż cały wieczór spędziłem w sali koncertowej.

- A jednak krążą już plotki, że pańska obecność na dzisiejszym przyjęciu była... jakby to ująć... Znacząca?

- Ach, rozumiem! W moim najlepszym interesie leży więc odszukanie zabójcy, czyż nie tak?

- Można to tak ująć.

Sebastian przechadzał się po pokoju. Przystanął na chwilę, żeby obejrzeć dokładniej jedno z mitycznych stworzeń zdobiących tapetę.

- Owszem, mogłoby mnie to przekonać, gdyby zależało mi na ludzkiej opinii - powiedział, wpatrując się we wzór. - Na szczęście tak nie jest.

Jarvis umiejętnie zmienił taktykę. Jego śmiech przygasł, a głos stał się bardziej doniosły i poważny.

- Sądzę jednakowoż, że to morderstwo zdarzyło się w krytycznym dla naszego kraju momencie. Nasze wojska nie radzą sobie na Półwyspie tak dobrze, jak tego oczekiwaliśmy. Pojawiają się też niepokojące sygnały, że w tym roku czekają nas ubogie zbiory. Ludzie są niespokojni. Ma lord pojęcie, jaki wpływ na kraj może mieć taki skandal?

Sebastian obrócił się gwałtownie. Jego nienaturalnie żółte oczy błysnęły niepokojąco.

- Oczywiście, zdaję sobie sprawę, jak wpłynęłoby to na i tak już nadszarpniętą reputację Księciunia.

Lord Jarvis znów sięgnął po karafkę, nalał sobie brandy i powoli, w zamyśleniu wypił łyk.

- Obawiam się, że nie chodzi jedynie o księcia. Słyszał pan, co opowiada tłuszcza? Że nie tylko król zwariował. Mówią, że cała hanowerska dynastia* jest przeklęta.

* *Dynastia hanowerska* - panująca w Wielkiej Brytanii 1714-1901, początkowo niepopularna, później w osobie królowej Wiktorii (1819-1901) stała się symbolem stabilności, postępu oraz rygorystycznych obyczajów. Akcja powieści ma miejsce po wycofaniu się z życia politycznego trzeciego władcy dynastii, chorego umysłowo Jerzego III (1811), i przekazaniu władzy regentowi, księciu Walii (późniejszemu Jerzemu IV). [Przyp. red.]

Tu urwał. Choć nie wierzył w gminne przesady, ale pewnych rzeczy lepiej nie mówić głośno - by nie powiedzieć ich w złą godzinę. Niektórzy ludzie już byli święcie przekonani, że dynastii nie dotknęło szaleństwo, lecz klątwa, i że Anglia też będzie przeklęta, dopóki na tronie zasiadać będzie członek tego rodu.

- Sugeruję więc polecić lokalnemu sędziemu pokoju, aby jak najszybciej wytropił zabójcę - odparł wicehrabia lekko znudzonym tonem.

- Według naszego wielce szanowanego miejscowego sędziego, młoda markiza Anglessey popełniła samobójstwo.

Młody wicehrabia przez chwilę milczał.

- Nie lada wyczyn - zauważył - po tym, co widziałem.

- W rzeczy samej. - Jarvis upił kolejny łyk brandy. - Niestety ludzie, którzy zazwyczaj zajmują się takimi sprawami, zwyczajnie boją się narazić wyżej postawionym, przez co nie ma z nich większego

pożytku.

Potrzebujemy kogoś inteligentnego i zaradnego zarazem, kto nie bałby się podążać za prawdą, niezależnie dokąd go ona poprowadzi.

Usta Sebastiana wykrzywił słaby, wzdardliwy uśmiezek.

- Poślij więc, panie, po konstabla z Bow Street*. Co tam, zaangażuj ich wszystkich!

* *Bow Street* - ulica, przy której mieścił się londyński magistrat oraz w latach 1749-1829 roku pierwsza brytyjska formacja policyjna zwana *Bow Street Runners*. W odróżnieniu od późniejszej *Metropolitan Police* formacji tej nie tworzyli w ścisłym znaczeniu funkcjonariusze publiczni, wynajmowano ich także jako ochroniarzy lub prywatnych detektywów.

[Przyp. red.]

- Gdybyśmy mieli do czynienia ze zwykłym oprychem z ulicy, to mogłoby wystarczyć. Wie pan jednak równie dobrze jak ja, że w grę wchodzi coś znacznie poważniejszego. Potrzebujemy kogoś, kto należy do naszego świata. Kogoś, kto go rozumie, a jednocześnie wie, jak wytropić zabójcę. - Jarvis znacząco zawiesił głos. - Robił pan to już kiedyś.

Dlaczego nie miałby pan tego powtórzyć?

Lord St. Cyr odwrócił się w stronę drzwi.

- Przykro mi. Przyjechałem do Brighton tylko po to, żeby spędzić kilka dni z ojcem. Jutro oczekują mnie w Londynie.

Jarvis odczekał, aż dłoń wicehrabiego zacisnęła się na klamce, po czym powiedział:

- Zanim się rozstaniemy, chciałbym, żeby lord coś zobaczył. Coś, co bezpośrednio dotyczy pańskiej rodziny.

Wiedział, że to go zatrzyma i rzeczywiście - wicehrabia odwrócił się jak na komendę.

- Co takiego?

- Pozwoli lord, że pokażę. - Jarvis odstawił kieliszek.

Sebastian dobrze wiedział, co to śmierć. Sześć lat kawaleryjskich szarż, cięć szablą i tajnych zadań na tyłach wroga zostawiło w jego pamięci żywe wspomnienia zdarzeń i obrazów, które nadal prześladowały go we śnie. Zmusił się, by podążyć za Jarvisem do książęcego gabinetu.

Wzorzysty, kolorowy dywan tłumił kroki. Palenisko dogasało, ale w komnacie nadal było ciepło, a w stęchłym powietrzu unosił się mdły odór śmierci. Ginewra Anglessey leżała na boku, tak jak we

wzburzeniu upuścił

ją książkę. Sebastian stanął przed ciałem, omiótł wzrokiem gładką linię czoła, policzków i delikatny kontur ust.

Była bardzo młoda. Nie miała więcej niż dwadzieścia jeden czy dwa lata. Spotkał ją kiedyś w towarzystwie markiza na jednej z kolacji wyprawianych przez swego ojca. Zapamiętał ją jako kobietę nader urodziwą, o bystrym umyśle i czarnych, smutnych oczach. Cóż, jej mąż markiz Anglessey zbliżał się do siedemdziesiątki.

Wicehrabia zerknął na Jarvisa, który zatrzymał się w drzwiach i bacznie go obserwował.

- Śmierć tak młodej osoby to tragedia - powiedział Sebastian opanowanym tonem - ale to w dalszym ciągu nie jest moja sprawa.

- Proszę się przyjrzeć dokładniej, milordzie.

Połyskujący szmaragdowy aksamit wieczorowej sukni opadał

swobodnie z ramion zabitej, wstążki były rozwiązane, a gorset prawie zsunięty z jej pełnych, gładkich piersi. Z tego miejsca wicehrabia widział

jedynie ozdobną głownię wysadzanego klejnotami sztyletu tkwiącego w jej plecach. Dokładnie mógł za to obejrzeć naszyjnik, który spoczywał w zagłębieniu szyi Ginewry.

Przykucnąwszy obok, nabrał powietrza i poczuł w gardle ostre drapanie. Wyciągnął dłoń, jakby chciał dotknąć naszyjnika, ale cofnął ją, złożył w pięść i przycisnął do ust.

Naszyjnik był stary, z kutego srebra, w kształcie triskelionu z zamkniętymi ramionami, wysadzany tajemniczymi szafirowymi kamieniami, które często znaleźć można w magicznych kamiennych kręgach w Walii. Istniała legenda, że naszyjnik należał kiedyś do druidzkiej kapłanki z Cronwyn. Opowiadano, że kobiety od wieków przekazywały go sobie i że to sam naszyjnik wybierał kolejne właścicielki.

W rękach właściwej niewiasty stary kamień robił się ciepły i zaczynał

drgać.

W dzieciństwie Sebastian był tym naszyjnikiem zafascynowany.

Usadawiał się obok matki i wsłuchiwał w jej cichy, melodyjny głos snujący tę starą opowieść. Pamiętał, że brał tajemniczy klejnot do ręki, czekając, aż się ociepli i zacznie wibrować w jego dłoniach. Ostatni raz widział naszyjnik na szyi matki - wypolerowane srebro połyskiwało w słońcu, gdy machała mu na pożegnanie z pokładu małego, zgrabnego dwumasztowca, który znajomy wynajął na przejażdżkę w pewien letni dzień, gdy Sebastian miał jedenaście lat.

Popołudnie było wtedy wyjątkowo parne i prawie bezwietrzne.

Nagle pogoda gwałtownie się zmieniła, czarne chmury zakryły słońce, powiał silny wiatr. Dwumasztowy stateczek nie zdołał oprzeć się sztormowi i poszedł na dno. Ani ciała hrabiny Hendon, ani też naszyjnika, który miała na szyi tego dnia, nigdy nie odnaleziono.



To nie może być ten sam naszyjnik - odezwał się Sebastian. Nie zdawał sobie sprawy, że mówi na głos, dopóki nie usłyszał odpowiedzi Jarvisa.

- Ależ tak. - Ten podszedł i stanął tuż za nim. - Spójrz na spodnią część.

Wicehrabia delikatnie odwrócił triskelion, ledwie muskając koniuszkami palców zimne ciało kobiety. W migoczącym świetle ze ściennych kinkietów dostrzegł wygrawerowane inicjały A.C. pomysłowo splecione z drugą parą inicjałów - J. S.

Grawerunek był stary - nie tak bardzo jak sam klejnot, ale mocno naznaczony upływem czasu. Minęło już ponad półtora wieku od dnia, gdy Addiena Cadel opatrzyła naszyjnik inicjałami swoimi i ukochanego, Jakuba Stuarta - tego samego Jakuba Stuarta, który zasiadł później na tronie jako Jakub II.

Sebastian znów przykucnął i oparł rozpostarte dłonie na udach.

- Skąd lord wiedział - spytał po chwili - że ten naszyjnik należał

kiedyś do mojej matki?

- Zwrócił niegdyś moją uwagę i pozwoliła mi się mu przyjrzeć. Ma niezwykle intrygującą historię. Takich rzeczy się nie zapomina.

- Wiedział pan, że miała go na sobie w dniu śmierci?

Jarvis otworzył nieco szerzej oczy.

- Nie, nie wiedziałem. Jakie to... dziwne. Wspomnienie zimnego dotyku martwego ciała nie dawało Sebastianowi spokoju. Zaciekawiony nachylił się nad zamordowaną. Koniuszki jej palców robiły się już sine, a mięśnie szyi zeszywniały. Skóra na twarzy była jednak nienaturalnie różowa.

- Ile minęło czasu? - spytał.

- Ile czasu od czego?

- Odkąd markizę znaleziono w ramionach księcia. Dwie godziny?

Może mniej?

- Myślę, że mniej. Dlaczego?

Wicehrabia nachylił się i musnął dłonią gładki policzek lady Anglessey. Był chłodny w dotyku.

- Jest zimna - powiedział Sebastian. - Nie powinna być aż tak zimna.

Przebiegł wzrokiem po żarzących się w palenisku węglach. Dzięki latom służby wojskowej dobrze wiedział, jaki wpływ na zwłoki ma upływ czasu. Wiedział, że ciepło mogło przyspieszyć proces rozkładu, ale tym bardziej powinno sprawić, że ciało się tak szybko nie wyiębi.

Jarvis zrobił krok do przodu.

- Co pan sugeruje?

- Nie jestem pewien. - Sebastian zmarszczył brwi. - Czy widział ją któryś z książęcych lekarzy?

Wiedział, że regent miał dwóch osobistych lekarzy - doktorów Heberdena i Carlyego. Zazwyczaj nie odstępowali go na krok.

- Oczywiście.

- I?

Pełne usta Jarvisa wykrzywił drwiący uśmiezek.

- Obaj potwierdzili opinię sędziego o samobójstwie. Młody wicehrabia prychnął pogardliwie.

- Oczywiście.

Podniósł się z kolan. Nadal leżała niezgrabnie przekrzywiona na bok

- tak jak ją znalazł. Wyciągnął dłoń i delikatnie przewrócił ciało w swoją stronę.

Rozsupłana aksamitna suknia odkrywała jej nagie plecy. Było coś silnie zmysłowego, wręcz intymnego, w sposobie, w jakim ostrze sztyletu zatopiło się w jej posiniaczonym ciele. Sebastian wziął krótki oddech.

- Dobry Boże. Wygląda, jakby ją ciężko pobito - powiedział

milczący dotąd Jarvis.

- To nie siniaki - pokręcił głową wicehrabia. - Widywałem to już u żołnierzy pozostawionych na polu bitwy. Po śmierci cała krew zbiera się w najniższej spoczywających częściach ciała.

- Ale ona leżała na boku, nie na plecach.

- Trudno byłoby ułożyć ją inaczej z tym sztyletem - zauważył

Sebastian. Delikatnie uniósł opadającą na szyję zabitej burzę kruczoczarnych włosów, rozpiął naszyjnik i uwolnił gardło od grubego, misternego łańcucha. - Mam znajomego chirurga, który specjalizuje się w takich przypadkach, to Irlandczyk, Paul Gibson. Ma praktykę u podnóży Tower Hill. Chcę, żeby po niego niezwłocznie posłano.

- Chce pan sprowadzić lekarza aż z Londynu? - Jarvis zaśmiał się. -

Przecież to potrwa przynajmniej dziesięć godzin. Możemy chyba znaleźć kogoś na miejscu.

Sebastian posłał mu szybkie spojrzenie.

- Żeby wystawił tę samą diagnozę, co osobiście lekarze Jego Wysokości?

Na to książęcy kuzyn nie znalazł odpowiedzi.

- Ważne, by przed przyjazdem Gibsona nikt tu nie zaglądał -

dokończył wicehrabia. - Może się pan tym zająć?

- Naturalnie.

Kiwnąwszy głową, wicehrabia obrócił się wolno i omiół wzrokiem całą komnatę.

- Zauważył lord coś dziwnego? - zapytał.

Jarvis spojrział na niego z lekką niechęcią. Po wcześniejszym zwycięskim uśmiechu nie było już śladu.

- A powinienem?

- Sztylet został wbity z precyzją. Przeszedłby przez serce. Tego typu rany zazwyczaj obficie krwawią.

- Dobry Boże! - Arystokrata podniósł wzrok z sinych pleców młodej markizy z powrotem na Sebastiana. - Ma pan rację. Ani śladu krwi.

Pół godziny później Sebastian wszedł do prywatnego saloniku ojca w wynajmowanych przezeń pokojach w Anchor, na Marinę Paradę. Hrabia Hendonu siedział przed pustym kominkiem w obitym dekoracyjną tkaniną fotelu, na jego kolanach spoczywała otwarta książka, głowę miał

przekrzywioną - przysnął.

- Niepotrzebnie czekałeś - powiedział Sebastian. Ojciec wyprostował

się, zamknął książkę i odłożył ją na bok.

- Nie mogłem zasnąć.

Wicehrabia oparł się o framugę drzwi, palce jego schowanej w kieszeni dłoni dotykały bezwiednie szafirowych kamieni naszyjnika.

- Opowiedz mi o markizie Anglessey. Rozczapierzywszy dłoń, ojciec palcem wskazującym i kciukiem przetarł oczy.

- To dobry człowiek. Opanowany, honorowy. Wypełnia swoje obowiązki w Izbie Lordów, choć nie ma pociągu do polityki. - Zrobił

przerwę. - Nie myślisz chyba, że Anglessey mógł mieć cokolwiek wspólnego z tym, co stało się dzisiaj wieczoru?

- Nie wiem, co mam myśleć. Jak dobrze znałeś lady Anglessey?

Hrabia westchnął przeciągle.

- Ginewra. Jaka to była urodziwa kobieta! Wzięli ślub jakieś trzy, cztery lata temu. Rzecz jasna, ze względu na różnicę wieku, wywołało to nie lada poruszenie. Niektórzy uważali, że to skandal - stary schorowany mężczyzna i taka młoda żona. Niemniej ich małżeństwo było uzasadnione.

- Uzasadnione?

- Anglessey desperacko potrzebuje dziedzica.

- Więc tak. I miał na to szansę?

- Nie dalej jak w zeszłym tygodniu słyszałem, że lady Anglessey była przy nadziei.

- Chryste! - Sebastian przeszedł od drzwi w głąb salonu. -

Dzisiejszego wieczoru znaleziono ją w zdecydowanie kompromitującej sytuacji...

- Jej imienia nigdy nie łączono z najmniejszym nawet skandalem -

przypomniał stary St. Cyr.

- Co wiesz o jej rodzinie?

- Nic naganego. Jej ojcem był hrabia Athelstone. Z Walii. O ile wiem, jej brat, nowy hrabia, jest jeszcze dzieckiem. - Hrabia Hendonu pozwolił swej głowie opaść na zdobione oparcie fotela i popatrzył na syna.

- Co to wszystko ma wspólnego z tobą?

- Jarvis pomyślał, że okoliczności śmierci lady Anglessey mogą wydać mi się interesujące.

- Interesujące? - Stary St. Cyr pokręcił głową. - Dla ciebie? Ale...

dlaczego?

Sebastian wyjął z kieszeni srebrny naszyjnik z szafirami i zakołysał

nim tuż przed oczami ojca.

- Ponieważ w chwili śmierci miała to.

Nagle twarz hrabiego zrobiła się blada jak płótno. Nie sięgnął jednak po klejnot. Nie chciał go nawet dotknąć.

- To niemożliwe.

- Otóż to, dokładnie to samo sobie pomyślałem. - Sebastian uniósł

drugą rękę i upuścił na nią naszyjnik.

Ojciec siedział nieruchomo, ściskając rękami poręcz fotela.

- Nie przypuszczają chyba, że mogłeś mieć cokolwiek wspólnego z tą śmiercią?

Na twarzy wicehrabiego zagościł lekki uśmiech.

- Nie tym razem. - Podszedł do kominka, wsparł się na gzymsie i utopił wzrok w pustym palenisku. - Myślę, że wspomnienia jedenastolatka o śmierci własnej matki mogą z łatwością ulec zniekształceniu - wycedził.

Nigdy nie wracali do tego letniego popołudnia sprzed lat. Ani do tego, ani do przepelnionych bólem dni, które po nim nastąpiły. - Jej ciała nigdy nie odnaleziono, nieprawdaż? - Sebastian odwrócił się.

- Nie. Nigdy. - Stary St. Cyr poruszył szczęką, jak to miał w zwyczaju. - Często zakładała ten naszyjnik, ale nie dam głowy, czy miała go w dniu śmierci.

- Miała, tego jestem pewien - stwierdził wicehrabia.

Jego ojciec wstał z fotela, zbliżył się do stolika, na którym stał

rosyjski samowar i szklanki, ale nie nalał sobie herbaty.

- Nie ma logicznego wyjaśnienia. Jej ciało musiało zostać wyrzucone gdzieś na brzeg.

- I odnalezione przez jakąś potrzebującą duszyczkę, która zdjęła z ciała wszystkie kosztowności i przehandlowała naszyjnik za następny posiłek? - Sebastian wpił wzrok w szerokie, masywne plecy ojca. - To jedyne wytłumaczenie.

- Wielkie nieba! - Hrabia raptownie się obrócił. Jego twarz ścięło przerażenie. - Jakże inaczej można to tłumaczyć?

Ich spojrzenia skrzyżowały się. Ojciec i syn. Starcie błękitnych i żółtych oczu. Stary St. Cyr odwrócił swoje pierwsze.

- Co zamierzasz zrobić? - spytał dziwnie napiętym głosem.

Dłoń Sebastiana zacisnęła się na naszyjniku.

- Po pierwsze, porozmawiać z Anglesseyem. Sprawdzić, czy wie, jak jego żona weszła w posiadanie naszyjnika. Chociaż zdaje się, że nie to jest teraz najważniejsze, prawda?

- Nie myślisz chyba poważnie, by podjąć się rozwiązania tej zagadki? - Ojciec wyduł usta.

- Owszem.

- Co na to wszystko Księciunio? - rzucił po chwili Alistair St. Cyr.

- Został... spacyfikowany. Zamierzam porozmawiać z nim z samego rana.

Hrabia prychnął kpiąco.

- Jarvis nie pozwoli ci zbliżyć się do księcia, tym bardziej jeśli zamierzasz pytać go o coś niewygodnego.

- A ja myślę, że pozwoli.

- Niby dlaczego?

Sebastian odsunął się od kominka i zwrócił w stronę ojca.

- Ponieważ przyszłość tej dynastii wisi na włosku i Jarvis dobrze o tym wie.

Jarvis był poirytowany. Nie wiedział, jakim sposobem wicehrabiemu Dewlinu udało się wymusić na nim zgodę na to poranne widzenie z księciem. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach regent przed południem był tylko cieniem samego siebie, a szok, jakiego doznał

ostatniej nocy, niemal całkowicie go rozstroił.

Księżę odziany w jedwabny szlafrok leżał na sofie w swej komnacie sypialnej, wyciągnięty na aksamitnych poduszkach blisko płonącego żywym ogniem kominka. Przez laudanum źrenice miał zwężone do wielkości główki szpilki, dolna warga drgała mu z rozdrażnienia.

Dokładnie zaciągnięte ciężkie satynowe zasłony broniły dostępu porannemu światłu.

- Myślisz, że nie wiem, co mówią ludzie, ale ja wiem. Wiem! Śmiać sugerować, że to ja zabiłem lady Anglessey. Ja! - Tłuste księżęce palce zacisnęły się na fiolce z solami trzeźwiącymi. - Musisz coś zrobić, Jarvis.

Spraw, żeby zrozumieli, że się mylą. Mylą się!

- Staramy się, wasza księżęca mość - odparł lord spokojnie, lecz stanowczo. - Dlatego jest nader ważne, by wasza księżęca mość opowiedział wicehrabiemu, co dokładnie zaszło ubiegłej nocy.

Regent przełknął ślinę i zerknął w kierunku Sebastiana St. Cyra, który w nienagannie skrojonym stroju stał nonszalancko oparty o ścianę pokrytą tapetą w chińskie wzory. Ręce miał skrzyżowane na piersi, wzrok skupiony na błyszczących butach do konnej jazdy. Jerzy nie mógł

zrozumieć, dlaczego ten młodzik dał się wciągnąć w tę paskudną sprawę, być może podejrzewał nawet, że to młody wicehrabia popełnił tę zbrodnię.

Jarvis wiedział jednak, że księżę był na tyle bystry, aby zrozumieć, iż wysiłki jego lekarzy i sędziego pokoju w przedstawieniu śmierci markizy jako samobójstwa wyrządziły mu więcej złego niż dobrego. Jerzy potrzebował pomocy i był tego świadom.

Teraz regent zakrył oczy ręką i wydał z siebie zduszone westchnienie.

- Bóg mi świadkiem, że nie mam pojęcia. Wicehrabia Dewlinu podniósł wzrok. Jego spojrzenie wyrażało umiarkowane zainteresowanie, a nie, jak się tego spodziewał Jarvis, poirytowanie.

- Proszę sobie przypomnieć, księżę, co działo się wcześniej tego wieczoru - powiedział, odsuwając się od ściany. - Jak znalazłeś się, panie, w gabinecie z markizą?

Jerzy pozwolił dłoni opaść bezwładnie na sofę.

- Wysłała mi liścik, proponując spotkanie.

Jarvis zaniepokoił się, ale Sebastian - nieświadom implikacji tego stwierdzenia - zapytał zwyczajnie:

- Masz, panie, jeszcze ten liścik?

Książęca twarz pobladła. Pokręcił przecząco głową.

- Nie, nie sędzę. Po cóż miałbym go zachowywać?

- Pamięta książę, co dokładnie było w nim napisane? Regenta znano z opowiadania niestworzonych historii, chełpienia się zmyślonymi wyczynami na polowaniach oraz zabawiania gości nieprawdziwymi opowieściami z pola bitwy, podczas gdy w rzeczywistości nigdy w życiu nie miał na sobie innego munduru niż galowy. I mimo lat praktyki książę pozostał potwornie kiepskim kłamcą. W tej chwili, obawiając się, iż usta zdradzą go uśmiechem, odwzajemnił spojrzenie wicehrabiego i oświadczył

nonszalancko:

- Dokładnie nie. Tylko tyle, że pragnęła się ze mną spotkać w Żółtej Komnacie.

Jarvis nie potrafił ocenić, czy wicehrabia wychwycił to kłamstwo.

Mimo młodego wieku posiadał rzadką zdolność ukrywania swoich myśli i odczuć.

- I właśnie tam ją znalazłeś, panie? - zapytał. - W Żółtej Komnacie?

- Tak. Leżała na sofie przed kominkiem. - Książę wyprostował się przejęty. - Tego jestem pewien. Pamiętam, że podziwiałem jej nagie ramiona lśniące w blasku płomieni.

- Czy rozmawiał z nią książę?

- Ależ tak, oczywiście. - W jego głosie zabrzmiała nutka monarszego zniecierpliwienia. - Nie oczekuje chyba hrabia, że będę pamiętał każde słowo?

- Pamięta książę, czy mu odpowiadała?

Jerzy otworzył usta i prawie natychmiast je zamknął.

- Nie jestem pewien - powiedział po chwili. - To znaczy nie pamiętam, żeby mi odpowiadała, ale na pewno tak było.

- Zapewne - odparł Sebastian. - Chyba że już nie żyła, kiedy wszedł

książę do komnaty.

Zwykle rumiane policzki regenta nagle pobladły.

- Wielkie nieba! Tak uważasz? Ale... jak to możliwe? To znaczy, myślę, że bym zauważył. Nieprawdaż?

Wicehrabia świdrował księcia swym przenikliwym wzrokiem. W tej samej chwili zaledwie przez ułamek sekundy Jarvisowi zaświtało, że być może popełnił błąd, wciągając w to śledztwo wicehrabiego.

- Ile czasu upłynęło od chwili, kiedy wszedłeś, panie, do komnaty, do chwili pojawienia się lady Jersey? - zapytał wicehrabia pozornie obojętnym tonem.

Księżę z irytacją szarpnął brzeg szlafroka.

- Myślę, że... Możliwe, że się zdrzemnąłem. Implikacje były aż nazbyt oczywiste. W oczach młodego arystokraty coś błysnęło.

- A więc możemy założyć, że dama żyła, gdy wszedłeś, panie, do komnaty?

Gdy księżę zrozumiał, do jakich wniosków doszedł Sebastian, jego blade policzki oblały się szkarłatem.

- Nie, nie! - zaprotestował spieszenie. - To nie tak, jak pan myśli. Nie tknąłem jej. Jestem pewien, że nie. Kiedy szedłem do niej przez komnatę, kostka mi nie wytrzymała i usiadłem w jednym z foteli.

- I wtedy księżę przysnął?

- Tak. Czasem mi się to zdarza. Po obfitym posiłku.

Sebastian zdecydował nie drażnić tego tematu - mądrze, pomyślał

Jarvis. Przystając przed imitującą bambus etażerką wpasowaną w łukowatą wnękę, wicehrabia omiótł spojrzeniem zaaranżowaną z pomysłem kolekcję finezyjnych figurek z kości słoniowej.

- Jak dobrze znał księżę markizę? - spytał od niechcienia, bo widać było, że całą uwagę poświęca rzeźbom.

Jerzy jak uparty dzieciak wysunął gwałtownie szczękę.

- Bardzo słabo. Właściwie wcale. Wicehrabia rzucił na niego okiem.

- Mimo to nie był księżę zdziwiony, otrzymawszy od niej liścik, w którym prosiła o spotkanie na osobności?

Oddech regenta nagle przyspieszył, wprawiając w drgania jego masywny tors.

- Co też hrabia sugeruje?! To Anglesseyów należy podejrzewać, nie mnie! Przecież zazwyczaj w takich przypadkach to mąż okazuje się winowajcą, czyż nie?! - Jego wilgotne usta rozchyliły się, a nozdrza rozszerzyły. Ozdobiona pierścieniami dłoń przylgnęła do piersi. - Wielkie nieba, dostałem palpacji! Dajcie tu doktora Heberdena!

Kiedy medyk wyłonił się zza zasłoniętego kotarą glifu, Jarvis zrobił

spieszny krok w przód.

- Wystarczy tych pytań, wicehrabio. Możemy pana przeprosić?

Przez pełną napięcia chwilę Sebastian wahał się. Potem wykonał płytki ukłon i zamaszystym krokiem ruszył do wyjścia.

- Naturalnie zbada pan ewentualny udział markiza w tej sprawie? -

spytał szeptem Jarvis, odprowadzając go do drzwi.

Twarz młodego St. Cyra była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.

- Przemknęło mi to przez myśl - odparł. - Tymczasem mógłby lord nakazać kamerdynerowi przeszukać kieszenie ubrania, które książę miał na sobie zeszłej nocy. Bardzo przydałby nam się ten liścik.

- Oczywiście - padła odpowiedź.

Przy wejściu do biblioteki, która służyła za westybul książęcej sypialni, wicehrabia rozejrzał się wokoło. Wydał wargi w kwaśnym uśmiechu. Dobrze wiedział, podobnie jak Jarvis, że liścik nigdy się nie odnajdzie. Obaj jednak nadal grali swoje role.

- Czy mógłby pan też, gdy książę dojdzie już wystarczająco do siebie, zapytać, czy pamięta, kto wręczył mu liścik od markizy?

- Oczywiście, kiedy tylko doktor Heberden uzna, że można bezpiecznie poruszyć tę kwestię. Zdaje sobie pan, naturalnie, sprawę, że ochrona książęcych słabych nerwów to sprawa najwyższej wagi.

- Ważniejsza od odkrycia prawdy o zabójstwie lady Anglessey?

Jarvis wytrzymał świdrujące spojrzenie młodzieńca.

- Proszę nawet przez chwilę w to nie wątpić, mój panie!

Opuszczając książęce komnaty, Sebastian przystanął w przegrzonym korytarzu. Jego dłoń bezwiednie przesuwała się po ukrytym w kieszeni naszyjniku. Wiedział, że część tego, co powiedział książę, była przypuszczalnie prawdą. Cała sztuka polegała na oddzieleniu jej od wymysłów i czężej paplaniny.

Kierował się już do stajni, kiedy ktoś nerwowo odchrząknął i zawołał:

- Milordzie?

Sebastian obejrzał się i zobaczył bladego młodzieńca o czarnych krzaczastych brwiach i zapadniętych policzkach. Rozpoznał w nim jednego z sekretarzy Jarvisa.

- Słucham.

Mężczyzna skłonił się.

- Przybył lekarz z Londynu, milordzie. Poprowadzono go wprost do Żółtej Komnaty, jak wasza lordowska mość sobie życzył.

Sebastian zastał Paula Gibsona na posadzce Żółtej Komnaty. Lekarz klęczał tuż przy sofie z drewnianą nogą wyrzuconą koślawo w bok.

- Ach, jesteś, drogi Sebastianie - powiedział, witając go roześmianymi oczami.

Byli starymi przyjaciółmi - Sebastian i ten czarnowłosy Irlandczyk o śmiejących się oczach. Łączyła ich więź scalona krwią i błotem, niejednokrotnie wystawiona na próbę bólu, ubóstwa i groźby śmierci.

Gibson był niegdyś lekarzem armii brytyjskiej, człowiekiem, którego zacięty upór i chęć pomocy potrzebującym nierzadko wpędzały w kłopoty.

Nawet kiedy francuska kula armatnia oderwała mu lewą nogę do kolana, Gibson nie zrezygnował ze służby. Jednak pogarszający się stan zdrowia i związana z tym skłonność do szukania błogiego ukojenia w opium zmusiły go dwa lata temu do przerywania służby wojskowej i założenia skromnej praktyki w londyńskim City, gdzie większość swojej energii poświęcał na prowadzenie badań i nauczanie studentów medycyny. Oraz na przeprowadzanie ekspertyz w takich sprawach jak ta.

- Szybko dotarłeś - powiedział Sebastian.

- Martwe ciała bardzo krótko dzielą się swoimi sekretami - odparł

Gibson, kierując swoją uwagę z powrotem na to, co pozostało z pięknej młodej żony lorda Anglesseya. - A to kryje kilka ciekawych historii.

Przekręcił trupa twarzą do posadzki. W ostrym świetle dnia skóra na karku markizy nabrała zielonkawosinego odcienia. Ciężkie zasłony rozsunięto, a potężne okna otwarto na oścież, aby do pomieszczenia wpadało wystarczająco dużo światła i świeżego powietrza - w przeciwnym razie księżę regent mógłby dostać apopleksji. Mimo to w komnacie nadal unosił się przykry zapach zwłok.

Wicehrabia stanął przy oknie i przypatrywał się mewom, zataczającym koła i nawołującym się na tle jaskrawoniebieskiego nieba ponad linią morza.

- Jak myślisz, kiedy umarła?

- Trudno stwierdzić precyzyjnie, ale stawiałbym raczej na wczorajsze wczesne popołudnie niż poranek.

Sebastian gwałtownie się odwrócił.

- Nie wieczór?

- Nie. Co do tego mam absolutną pewność.

- Wiesz, co to oznacza, prawda? Służba na pewno weszła tu wczoraj napalić w kominku na długo

przed wieczorem. Nie ma mowy, żeby ciało mogło tu przeleżeć tak długo niezauważone. Musiała zostać zabita gdzie indziej i przeniesiono tu tuż przed tym, jak odkrył ją książę.

Gibson przysiadł na zdrowej nodze i zmarszczył brwi.

- Myślisz, że wszystko ukartowano, żeby rzucić podejrzenie na księcia?

- Na to wygląda, nie sądzisz? - Sebastian krążył po pokoju, szukając czegoś, co mógł przeoczyć. Ściany komnaty zdobiła tapeta z jasnozielonymi wzorami roślinnymi na tle delikatnej żółci. Pokój otaczały olbrzymie łukowato zakończone wnęki, w każdej stały naturalnej wielkości chińskie rzeźby kobiet. Orientalne motywy pojawiały się też na stołach i fotelach z jasnego drewna przypominającego bambus, jak również na ogromnej lakierowanej i przyozdobionej wizerunkami smoków skrzyni stojącej między dwiema wnękami.

- Książę twierdzi, że lady Ginewra przesłała mu liścik - powiedział

Sebastian, studiując jedną z rzeźb. - Liścik z propozycją *rendez-vous*.

Tylko jak mogła go wysłać, skoro już nie żyła?

- Mogła go napisać wcześniej.

- Być może. Niestety jego książęca wysokość dokładnie nie pamięta, kiedy i w jaki sposób liścik został mu dostarczony.

- Czyżby znów był pod dobrą datą?

- Tak, na to wygląda.

Sebastian zbliżył się do okiennych zasuw. Żadna nie była naruszona.

Chociaż z drugiej strony, jeśli ktoś miał dostęp do pawilonu, mógł z łatwością otworzyć jedną z okiennic od wewnątrz. Zastanawiał się, ile osób mogło uczestniczyć we wczorajszym wieczorze muzycznym. Salony pękały w szwach; obecność wywłaszczzonego członka francuskiej rodziny królewskiej przyciągnęła nawet tych, którzy zwykli unikać regenta.

Sebastian powiódł wzrokiem po parku, mrużąc oczy w oślepiającym blasku słońca. Trzeba nie lada zimnej krwi, by przenieść zwłoki przez otwarty teren, i to w trakcie jednego z książęcych wieczorów muzycznych.

Chyba że...

Chyba że ciało przeniesiono do Żółtej Komnaty z innego pomieszczenia wewnątrz pawilonu...

- Oceniając zasinienie - odezwał się Gibson w zamyśleniu - nie mam wątpliwości, iż ciało przez kilka godzin leżało na plecach, a dopiero potem ktoś zanurzył w nim sztylet.

- Co takiego? - Sebastian odwrócił się zdumiony. Już wcześniej zauważył brak krwi w komnacie, ale założył, że to dlatego, iż morderstwa dokonano gdzie indziej. Nie przyszło mu jednak do głowy, że Ginewra Anglessey mogła już nie żyć, kiedy ją dźgnięto. - Ale skoro nie sztylet spowodował śmierć, to w takim razie co?

- Nie sposób tego stwierdzić. Nie bez przeprowadzenia pełnej sekcji.

- Gibson podniósł wzrok - Mamy na to szansę?

Wicehrabia prychnął sarkastycznie.

- Na pozwolenie lokalnego sędziego nie licz. Ten orzekł już samobójstwo.

- Samobójstwo?! Skąd mu to przyszło do głowy?

- Lekarze regenta to potwierdzili. Gibson przez chwilę milczał.

- Rozumiem - rzekł wreszcie. - Wszystko, byleby cień podejrzenia nie padł na księcia. Myślisz, że jej mąż da się przekonać do sekcji?

- Sądzę, że to zależy od tego, czy markiz Anglessey miał coś wspólnego z jej morderstwem.

Gibson naciągnął białe prześcieradło na leżące u jego stóp ciało.

- To rzeczywiście idealny podejrzany. Co o nim wiesz?

- O Anglesseyu? Dba o swoje posiadłości. Udziela się w Izbie Lordów. Jest ogólnie poważany. Tak przynajmniej go oceniano do czasu jego ostatniego małżeństwa - dodał Sebastian.

Paul Gibson spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Czy była aż tak niestosowną partią?

- Z pochodzenia nie. Raczej ze względu na wiek. Anglessey jest o rok czy dwa lata starszy od mojego ojca.

- Wielkie nieba!

- Gdyby Anglessey odkrył, że księżę przyprawia mu rogi, miałby motyw, by zabić żonę i wplątać w to morderstwo regenta.

- Czy ona naprawdę była flamą księcia?

- Tego nie wiem. Księżę twierdzi, że ledwo się znali.

- Ale ty mu nie wierzysz?

- Nie powiedział mi całej prawdy. Nie wiem tylko, co ukrywa.

Gibson zaczął zbierać porozrzucane instrumenty i pakować je do czarnej skórzanej torby.

- Widziałeś ten liścik, który rzekomo otrzymał książę?

- Nie, zaginął.

- Ciekawe, czy przez przypadek, czy też celowo. - Lekarz dźwignął

się z posadzki i zatoczył nieznacznie, przenosząc ciężar ciała na drewnianą nogę. - Wielka szkoda. Przypuszczam, że jeśli odkryjesz pochodzenie tego bileciku, znajdziesz i mordercę.

- Być może. Podejrzewam jednak, że nasz zabójca jest zbyt sprytny, by dać się tak łatwo złapać.

Sebastian poczuł na sobie wzrok przyjaciela.

- Co to wszystko ma wspólnego z tobą?

Gdyby zapytał go o to ktoś inny, wicehrabia pewnie wymigałby się od odpowiedzi, ale z tym Irlandczykiem łączyła go zbyt głęboka przyjaźń.

Wyjął z kieszeni naszyjnik swojej matki.

- Lady Ginewra miała to w chwili śmierci.

- Ciekawy klejnot - Gibson zmarszczył brwi - ale nadal nie rozumiem, co to ma wspólnego z twoją osobą.

Sebastian zamknął triskelion w dłoni. Zawsze wydawało mu się, że pod wpływem jego dotyku kamienie nabierają ciepła, jednak w dłoni jego matki pulsowały tak intensywnie, że prawie zaczynały parzyć. Takie przynajmniej wrażenie robiło to na nim w dzieciństwie.

- Ten naszyjnik należał do mojej matki - powiedział po prostu.

Paul Gibson podniósł wzrok na przyjaciela.

- Tutaj dzieje się coś bardzo dziwnego, Sebastianie. To może być niebezpieczne. Dla każdego, kto ma z tą sprawą cokolwiek wspólnego.

- Zrozumiem, jeśli nie będziesz chciał w tym uczestniczyć.

Gibson machnął ręką w geście zniecierpliwienia.

- Nie bądź śmieszny. To o ciebie się niepokoję. Kto cię w to wciągnął?

- Rzekomo książę, a w rzeczywistości Jarvis.

- Ufasz mu?

Wicehrabia pochylił się nad przykrytym prześcieradłem nieruchomym kobiecym ciałem.

- Ani na jotę. Ale Ginewra Anglessey nie żyje. Ktoś wbił sztylet w jej posiniaczone nagie plecy i przyniósł ciało tutaj, by rozłożyć je na sofie w celowo dwuznacznej pozie. Lordowi Jarvisowi zależy jedynie na ochronie księcia, ale mnie nie. Zamierzam dowiedzieć się, kto ją zabił, i dopilnować, by za to zapłacił.

- Z powodu naszyjnika? Sebastian pokręcił przecząco głową.

- Ponieważ jeśli ja się tym nie zajmę, nikt tego nie zrobi.

- Tak ci na tym zależy?

Spod prześcieradła wystawała szczupła, alabastrowa dłoń zaciśnięta w śmiertelnym skurczu. Spostrzegłszy to, Sebastian przypomniał sobie inną kobietę, pozostawioną na pastwę śmierci na stopniach ołtarza, z brutalnie poderżniętym gardłem, ze zbezczeszczonym ciałem; i drugą, wytropioną jak nieroztropna zwierzyna - tę spotkał równie przerażający koniec.

Nie miał złudzeń co do otaczającego go świata. Znał dramatyczną przepaść dzielącą bogatych i biednych, widział potworną niesprawiedliwość systemu prawnego, który mógł powiesić ośmiolatka za kradzież bochenka chleba, ale pozwalał królewskiemu synowi uniknąć kary za morderstwo. Kiedyś to barbarzyństwo i bezsensowne okrucieństwo wojen, w których jego ludzie walczyli w imię wolności i sprawiedliwości, napawało go taką odrazą, że był gotów po prostu odejść i odpłynąć w

samotność. Teraz taka reakcja wydawała mu się nie tylko samolubna, ale i w jakimś sensie tchórzliwa.

Kucając przy tym, co kiedyś było piękną Ginewrą, Sebastian otulił

jej bladą, kruchą dłoń prześcieradłem i szepnął:

- Zależy mi.

Sebastian kroczył dziedzińcem w stronę nakrytej szklaną kopułą stajni, która wyglądała, jakby ją przeniesiono z Chin.

- Lordzie St. Cyr! - usłyszał nagle czyjeś wołanie. Odwrócił się i zobaczył lorda Portlanda, ministra spraw wewnętrznych, jak biegnie do niego po bruku. Południowe słońce połyskiwało na ognistorudej czuprynie arystokraty, ale twarz miał papierową i ściągniętą, jakby się czymś martwił.

- Zechciej, panie, towarzyszyć mi w krótkim spacerze - powiedział

Portland, wskazując ścieżkę przecinającą zieloną murawę otaczającego pawilon parku. - Mniemam, iż zgodził się lord pomóc w dojściu do prawdy o tym osobliwym nocnym incydencie?

Znajomość Sebastiana z hrabią Portland nie była zażyła, chociaż od zeszłorocznego powrotu z kontynentu uczestniczył w kilku przyjęciach i wieczorkach z jego udziałem. Tak jak Jarvis i hrabia Hendonu, Portland miał bardzo konserwatywne poglądy polityczne - zarówno w kwestii kontynuowania wojny przeciwko Francji, jak zachowania angielskich w niezmiennym stanie pomimo narastającej fali żądań zwolenników reform.

Jednakże Sebastian darzył go szacunkiem. Hrabia Portland jako jeden z nielicznych członków rządu nie zgadzał się na rolę pionka w rękach Jarvisa. Mimo to było coś niesmacznego, wręcz ohydneho w określaniu śmierci młodej, pełnej życia kobiety „osobliwym incydentem”.

- Jeśli ma hrabia na myśli morderstwo lady Anglessey - odparł

Sebastian - to tak.

- Sędzia pokoju, jak i księżęcy medycy, zgodnie utrzymują, że to było samobójstwo.

Wicehrabia uniósł brew.

- Pan też w to wierzy?

Minister westchnął ciężko i pokręcił głową.

- Nie.

Przez jakiś czas szli razem w milczeniu. Portland przygryzał dolną wargę, w końcu się odezwał:

- Mam wrażenie, że to wszystko moja wina.

- Dlaczego?

- Gdybym nie przekazał księciu tego liściku... Sebastian obrócił się gwałtownie i spojrzał mu w oczy.

- To pan przekazał księciu bilecik od lady Anglessey?

- Tak, ale oczywiście nie miałem pojęcia, kim była. Twarz miała zakrytą woalką.

- Kiedy to było?

- Wczorajszego wieczoru. Wkrótce po tym, jak zaczęła grać książęca orkiestra kameralna. Podeszła do mnie zawołowana młoda kobieta, wręczyła mi zapieczętowany list i poprosiła, bym przekazał go księciu. -

Portland zawahał się, jego jasna twarz poczerwieniała. - Nie pierwszy raz ktoś zwrócił się do mnie z taką prośbą.

Tego wicehrabia nie skomentował. Od lat w poczet książęcych kochanie zaliczały się przeróżne kobiety, poczynając od zwykłych tancerek i aktorek, takich jak pani Fitzherbert, na wytwornych damach, jak lady Jersey czy lady Hertford, skończywszy. Ludzie z najbliższego otoczenia księcia często pełnili rolę kuplerów.

- Dobrze znałem Ginewrę Anglessey - ciągnął Portland. - Jest... była przyjaciółką z dzieciństwa mojej małżonki, Claire. Nie zdawałem sobie sprawy, że to z nią miałem do czynienia.

- Boś pan nie miał.

Sebastian widział, jak jasnoszare oczy ministra stają w słup, a pierwsze zdumienie zastępuje inne uczucie, dziwnie przypominające strach.

- Słucham?

- Kiedy wczorajszego wieczoru orkiestra kameralna regenta zaczęła koncert, lady Anglessey nie żyła już od co najmniej sześciu godzin.

Portland stanął jak wryty.

- Co też lord mówi? Ależ... to niemożliwe.

- Po śmierci w ciele ludzkim zachodzą pewne przewidywalne zmiany. Temperatura i okoliczności śmierci mogą przyspieszyć lub spowolnić ten proces, ale w niewielkim stopniu. Obawiam się, że nie może być mowy o pomyłce.

- Ależ mówię panu, ja ją widziałem. Dała mi liścik.

- Widział pan hrabia kobietę, zawołowaną kobietę. Pamięta pan, w co była odziana?

Portland znieruchomiał, z całych sił próbując to sobie przypomnieć.

W końcu jednak potrząsnął głową.

- Nie. Niczego już nie jestem pewien. Powiedziałbym, że miała na sobie zieloną, satynową suknię jak lady Anglessey, ale jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, to tak być nie mogło, czyż nie?

- Może tak, może nie.

Skonfundowany minister ponownie pokręcił głową.

- Nie rozumiem. Kim mogła być?

- Tego jeszcze nie wiem - odparł Sebastian, podnosząc wzrok na krążące nad plażą mewy. - Kimkolwiek była, na pewno jest zamieszana w morderstwo lady Anglessey.

Sebastian kazał przyprowadzić swoją dwukólkę, po czym stanął na żwirowym dziedzińcu przed pawilonem i patrzył, jak jego foryś Tom podprowadza parę identycznych czerwonokrwistych kasztanów.

Młodemu wicehrabiemu nie podobała się panująca wśród dżentelmenów moda na powierzanie pierwszorzędnym koni małym chłopcom wystrojonym w kamizelki w czarno-żółte pasy, od których zwykło się ich nazywać tygrysami. Tom jednak, ku zaskoczeniu Sebastiana, wykazywał się w swojej nowej profesji wrodzonym talentem.

Ponadto posiadał też inne niespotykane zazwyczaj u dżentelmeńskich forysiów umiejętności, które często okazywały się niezwykle użyteczne.

Ten ciemnowłosy dwunastolatek z buźką o ostrych rysach przez swą niepozorną posturę wyglądał nawet młodziej. Zaledwie cztery miesiące temu był jednym z tysięcy bezimiennych chłopców klepiących biedę na ulicach Londynu, kieszonkowcem z mroczną przeszłością i skrytą miłością do koni. Jego lojalność wobec Sebastiana była absolutna.

Czując na sobie lordowskie spojrzenie, chłopiec podjechał, wykonując przedtem efektowną wolte.

- Mają dziś dużo energii, szefie - powiedział i odsłonił zęby w szczerbatym uśmiechu.

- Na pewno dam im pogalopować w drodze do lorda Anglessey. -

Sebastian zwinnie wskoczył do powozu i przejął lejce. - Chcę, żebyś się tu pokręcił. Nadstawiaj uszu, co mówią w kuchni i stajniach. Któryś ze służących musiał coś widzieć lub słyszeć wczorajszej nocy. Szczególnie interesują mnie osoby, które taszczyły wczoraj coś dziwnego. Coś dużego.

Tom zeskoczył na ziemię, oczy mu płonęły.

- Coś wystarczająco dużego, żeby ukryć ciało, nie? Był bystry - i Sebastian uśmiechnął się zadowolony.

- W rzeczy samej.

Chłopiec zrobił krok w tył i nasunął czapkę głęboko na głowę, chroniąc się przed słonymi podmuchami morskiej bryzy.

- Jeśli kto co widział, się go znajdzie, spokojna głowa, szefie.

- A, i Tom... - rzucił Sebastian za oddalającym się forysiem -

żadnego zwijania portfeli, zrozumiano? Nawet dla wprawy.

Wyraźnie zraniony chłopak wyprostował się i prychnął:

- Jak szef może...

Oliver Godwin Ellsworth, czwarty markiz Anglessey, w przeciwieństwie do przeważającej większości socjety, która na letnie miesiące wynajmowała w Brighton wąskie szeregowce, posiadał na obrzeżach miasta własną posiadłość.

Był to jeden z jego mniej okazałych domów, znacznie mniejszy od rezydencji w Northumberland, ale zadbany, wygodny i malowniczo położony. Stał na zboczu wzgórza z widokiem na otwarte morze, oddalony od ulicznego zgiełku Brighton.

Pozostawiwszy wierzchowce pod opieką służącego, Sebastian odnalazł markiza w ogrodzie. Anglessey stał na kamiennej omszałej ścieżce i doglądał zadbanych róż, które kwitły pod wysokim murem chroniącym je przed słonymi podmuchami morskiej bryzy. Na dźwięk kroków Sebastiana markiz odwrócił się - był już stary, jego niegdyś czarne włosy gęsto przetykały siwe pasma. Choć liczył sobie zaledwie kilka lat więcej niż hrabia Hendonu, wyglądał na znacznie starszego. Był wychudły, a poorana zmarszczkami twarz zdradzała słabe zdrowie i ból po niedawnej stracie.

- Dziękuję, że zgodził się markiz na spotkanie - powiedział

Sebastian, przystając w jasnej plamie czerwcowego słońca. - Trudno mi wyrazić, jak bardzo mi przykro z powodu pańskiej straty.

Stary arystokrata powrócił do przycinania przekwitłych kwiatów krzewu herbacianych róż oplatającego potężny filar na końcu ścieżki.

- Nie po to jednak lord tu przyszedł, prawda? Bezpośredniość pytania zaskoczyła Sebastiana.

- Nie - odparł równie szczerze - lord Jarvis poprosił mnie o zbadanie okoliczności śmierci pańskiej żony.

Dłoń markiza zacisnęła się na sekatorze.

- Aby chronić księcia, rzecz jasna. - Zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

- Owszem, to ich motyw.

Markiz obejrzał się, unosząc ze zdziwienia jedną brew.

- Ale nie p a ń s k i?

- Nie. - Wicehrabia spojrział w spokojne, mądre oczy starca. - Myśli pan, że to on?

- Książę? - Anglessey pokręcił przecząco głową i powrócił do przycinania róży. - Księciunio może i jest zapijaczonym, rozpieszczonym, skoncentrowanym wyłącznie na sobie durniem, ale nie jest agresywny, w przeciwieństwie do swego brata Cumberlanda. - Przerwał, żeby poddać swoje dzieło krytycznej ocenie, po czym zacisnął mocno szczęki, co kłóciło się zarówno z jego wiekiem, jak i

słabym zdrowiem. - Proszę jednak nie mieć złudzeń. Jeśli się mylę... jeśli odkryję, że Księżcunio miał

cokolwiek wspólnego ze śmiercią Gini, nie pozwolę, by uszło mu to na sucho. Ani jemu, ani komukolwiek innemu.

Sebastian przyglądał się tej gniewnej, zdjętej żalem twarzy. Markiz może i był stary, ale w najmniejszym stopniu nie wpływało to na jego determinację i bystrość umysłu.

- Kto więc zabił pańską żonę, milordzie?

Na wargach staruszka zagościł dziwny uśmiezek.

- Zdaje pan sobie sprawę, że jest pierwszą osobą, która zadała mi to pytanie? Mniemam, że to dlatego, iż wszyscy, którzy wykluczają winę księcia, obarczają nią mnie.

Markiz przeszedł do kolejnej róży. Sebastian czekał, czując na plecach ciepłe promienie słońca. Po chwili Anglessey kontynuował:

- Odmówili wydania mi ciała Ginewry. Wiedział pan o tym?

Powiedzieli, że ma przyjechać jakiś medyk z Londynu i obejrzyć zwłoki.

- Paul Gibson. To prawdziwy ekspert. Chciałbym pana prosić o pozwolenie na wykonanie pełnej sekcji.

Arystokrata podniósł wzrok.

- Dlaczego?

Młody wicehrabia zatopił spojrzenie w przepęlnionych cierpieniem, zgaszonych oczach markiza.

- Ponieważ lady Anglessey nie zginęła wczorajszej nocy. Zabito ją wczoraj po południu, a ciało przeniesiono do Żółtej Komnaty tuż przed przybyciem księcia.

Oczy starca zapłonęły złością.

- Cóż to? Jakaś sztuczka, żeby odciągnąć podejrzenie od księcia?

- Nie. Prawdę mówiąc, książęcy medycy jako przyczynę zgonu lady Ginewry podali samobójstwo.

- Samobójstwo?! Ze sztyletem wystającym z pleców?

- No właśnie. - Sebastian zawahał się, lecz dodał: - Poza tym to nie sztylet spowodował śmierć. Gibson twierdzi, że dźgnięto ją dopiero kilka godzin po śmierci.

- Na Boga! Co pan sugeruje? Wicehrabia pokręcił głową.

- Nie wiemy jak zmarła, milordzie. Dlatego Gibson prosi o pańskie pozwolenie na przeprowadzenie sekcji. Bez tego trudno będzie zrozumieć, co spotkało pańską małżonkę.

Nastąpiła chwila ciszy przerywana jedynie szcękami sekatora i odległym krzykiem mew. W końcu markiz odezwał się:

- Dobrze więc. Pański doktor Gibson ma moją zgodę - spojrzał na Sebastiana z ukosa. - ale chcę, żeby mnie o wszystkim informowano.

Słyszysz pan? Żadnego zatajania prawdy ze względu na mój wiek, stan zdrowia czy temu podobne niedorzeczności.

- Oczywiście, żadnych sekretów. Anglessey zacisnął zęby, a jego nozdrza rozszerzyły się, gdy szybko wciągnął powietrze.

- Wiem, co ludzie sądzą o moim małżeństwie z Ginewrą. Taki starzec jak ja bierze sobie za żonę kobietę, która mogłaby być jego wnuczką. Zachowują się, jakby to było coś haniebnego, ohydneho wręcz.

Tak, jakby dzielące nas czterdzieści pięć lat mogło być przeszkodą dla miłości.

Urwał. Spoglądał na kraniec ogrodu, jego ręce zastygły w bezruchu.

Głos przeszedł w szept:

- A jednak ją kochałem, wie pan? Nie dlatego, że była piękna, chociaż, Bóg mi świadkiem, była. To było coś o wiele głębszego. Ona...

wniosła w moje życie podmuch świeżości. Była tak pełna energii i pasji...

Tak radosna, tak zdecydowana czerpać z życia pełnymi garściami... -

Urwał, by znów zaczerpnąć powietrza. - Nie mogę uwierzyć, że nie żyje - skończył.

Sebastian odczekał chwilę, po czym zapytał:

- Kto mógł ją zabić, panie?

Markiz podszedł do stojącej w cieniu wyblakłej drewnianej ławy, osunął się na nią ciężko i złożył ręce na kolanach. Odpoczywał.

- Ginewra była moją trzecią żoną - powiedział głosem już silnym, opanowanym. - Pierwsza zmarła zaledwie kilka godzin po wydaniu na świat martwego syna. Druga była bezpłodna.

Wicehrabia przytaknął. Starzec nie musiał nic więcej mówić. Obaj należeli do tego samego świata;

świata, w którym wszyscy doskonale rozumieli potrzebę posiadania prawowitego męskiego potomka. Nawet w wieku dwudziestu ośmiu lat Sebastian zdołał już odczuć presję, jaką wywierał na nim ojciec. Był świadom ciężaru nazwiska.

- Kiedy dwadzieścia osiem lat temu zmarł mój brat - ciągnął

Anglessey - moim spadkobiercą został mój bratanek Bevan.

Wnioski same się nasuwały. Wicehrabia omiół wzrokiem marsowe oblicze markiza.

- Myślisz, panie, że bratanek byłby zdolny do morderstwa?

- Tak, myślę, że Bevan Ellsworth mógłby zabić kogoś, kto stanąłby między nim a tym, co uważa za swoje. On zachowuje się, jakby mój majątek już był jego. Moje małżeństwo z Ginewrą odebrał jako osobistą zniewagę. Groził nawet, że postara się je unieważnić, tak jakby mógł.

- Ale przecież od waszego ślubu minęło kilka lat. Dlaczego miałby zabić lady Anglessey właśnie teraz?

Starzec westchnął ciężko.

- Wydatki Bevana zawsze przekraczały jego dochody. Rzecz jasna, on uważa, że to wina nieadekwatności jego dochodów, a nie rozrzutnego trybu życia. Niezły dandys z tego mojego bratanka, w dodatku hazardzista.

Dopóki występował jako mój spadkobierca, wierzyciele nie naciskali.

Podejrzewam, że sytuacja skomplikowała się, kiedy wyszło na jaw, że moja małżonka spodziewa się dziecka.

- To mogła być przecież dziewczynka - zauważył Sebastian - a w takim przypadku pozycja Bevana Ellswortha jako pańskiego spadkobiercy pozostałaby niezagrożona.

- To mogła być dziewczynka - zgodził się Anglessey - ale, szczerze mówiąc, nie sądzę, by Bevan mógł ryzykować.

Wicehrabia stanął plecami do słońca, celowo chowając twarz w cieniu, i studiował oblicze pogrążonego w cichej zadumie starca. Bez trudu dostrzegł nowe, wyżłobione świeżym żalem zmarszczki, zaszklone bólem spojrzenie bladoszarych oczu, jak i ciężkie brzemię rozpaczy przygniatające chude ramiona.

Dojrzał i złość - w ostrym wysunięciu szczęki i cienkiej linii mocno zasznurowanych warg. Wściekłość wywołaną nagłą, niespodziewaną stratą tak drogiej osoby, zachłannością egoistycznego bratanka, który - jak sądził

markiz - odebrał mu to, co Anglessey kochał najbardziej. A jednak... a jednak Sebastian nie mógł pozbyć się wrażenia, że ta twarz wyrażała coś jeszcze.

- Kiedy ostatni raz widział pan małżonkę żywą? - spytał

niespodziewanie.

Arystokrata podniósł wzrok i mrużąc oczy, spojrział w słońce.

- Prawie dziesięć dni temu. Młody wicehrabia wziął szybki oddech.

- Nie rozumiem.

- Ostatnio moja żona nie czuła się najlepiej. Nic poważnego, rozumie pan. - Na ustach starca zagościł smutny, tęskny uśmiech. - To się czasem zdarza kobietom przy nadziei. Planowała przyjechać do Brighton ze mną.

Zawsze lubiła letnie tygodnie, które tu spędzaliśmy. W końcu zdecydowała jednak, że nie wytrzyma tylu godzin w zamkniętym, kołyszącym się powozie. Została w domu.

- W domu?

- Owszem. - Ręka markiza ścisnęła sekator, gdy dźwigał się z ławy. -

Lekarze uważali, że morskie powietrze dobrze mi zrobi, więc nalegała, żebym jechał bez niej. Mieliśmy nadzieję, że za tydzień lub dwa, gdy poczuje się lepiej, dołączy do mnie. Do wczorajszego wieczoru myślałem, że Ginewra jest w Londynie.

Z początku, fakt, że Anglessey myślał, iż jego żona w dniu śmierci przebywała w Londynie, wydawał się jedynie kolejną niepasującą częścią pogmatwanej układanki. Im dłużej jednak Sebastian o tym myślał, tym większego nabierało to sensu.

Według Paula Gibsona lady Ginewrę zabito jakieś sześć do ośmiu godzin przed tym, jak znaleziono ją w objęciach regenta w Żółtej Komnacie. Tego popołudnia musiała przez kilka godzin leżeć na plecach, tak że krew zakrzepła i skóra pociemniała, przybierając jaskrawy odcień purpury. Dopiero wtedy został wbity sztylet, a ciało ułożono w kuszącej pozie, jakby w oczekiwaniu na miłosne umizgi księcia.

Wszystko to mogło wskazywać, że zabito ją w Londynie, a do Brighton przewieziono już zwłoki.

- W życiu nie słyszałem równie niedorzecznej historii - skomentował

hrabia Hendonu, kiedy Sebastian wyłożył ojcu swoją teorię w prywatnym salonie w Anchor, gdzie spędzali wieczór, rozmawiając i popijając brandy.

- A jak według ciebie zabójcy udało się wnieść jej zwłoki do Żółtej Komnaty? Trudno, żeby przemaszerował przez Pawilon, niosąc ją martwą na rękach, nieprawdaż? A może uważasz, że przemycił ją do środka zawiniętą w dywan, jak jakiś czarny charakter z marnego romansidła?

Wicehrabia podążył wzrokiem za ojcem, który podszedł do stoliczka przy pustym palenisku i nalał sobie kolejną lampkę brandy.

- Co w takim razie sugerujesz? Myślisz, że przyjechała do Brighton bez wiedzy męża po to tylko, by popełnić samobójstwo? I że tak to sobie świetnie zaplanowała, by jej martwe ciało upadło na sztylet w Żółtej Komnacie regenta? Ach tak, i leżało potem niezauważone przez jakieś sześć godzin, podczas gdy służba paliła w kominku i sprzątała komnatę! -

Alistair St. Cyr z hukiem odstawił karafkę z brandy. - Nie bądź śmieszny.

Twój irlandzki znajomy nie ma bladego pojęcia, o czym mówi!

Na dźwięk dyskretnego pukania przerwał i przeniósł wzrok na drzwi.

- Proszę wybaczyć, milordzie - powiedział służący hrabiego i skłonił

się płytko wyraźnie zde gustowany. - Przyszedł foryś wicehrabiego Dewlinu. Twierdzi, że jest oczekiwany.

Sebastian uniósł rękę do twarzy i zakaszłał, by ukryć rozbawienie.

Tom nie należał do ulubieńców służby ojca.

- Zgadza się. Wprowadź go, proszę.

Tom, niezadowolony, że kazano mu czekać w korytarzu, stał już w otwartych drzwiach. Minę miał nieszczęśliwą.

- A więc? - odezwał się wicehrabia, kiedy służący ojca zamknął za sobą drzwi. - Co udało ci się odkryć?

- Nic, szefie - odpowiedział chłopiec przygnębionym głosem. -

Sakramencko nic. Wszystko było cacy, dopóki ta cała możnota nie zaczęła się wydzierać i uciekać jak wszy ze zdechłego psa.

Hrabia wypuścił powietrze, mrużąc przy tym zadowolony, i uniósł

kieliszek do ust.

- Jakież plotki? - spytał Sebastian.

- A jakże! Całe mnóstwo. Kucharki trajkoczą, że to regent załatwił tę damę, a stajenni sądzą, że za wszystkim stoi Cumberland. Wszyscy gadają o tej hanowerskiej k... - Tom urwał i rzucił spojrzeniem na starego hrabiego.

- Nie przerywaj - zachęcił go młody St. Cyr. Chłopak pociągnął

nosem i ściszył głos.

- To niby tylko plotki, ale niektórzy gadają, że cała rodzina nie tylko sfiksowała, ale jest przeklęta. No i że Anglia też będzie przeklęta, dopóki dynastia hanowerska...

- Co za bzdury! - ryknął ojciec Sebastiana, zrywając się z fotela.

Tom ani drgnął. Zmrużył jedynie oczy i bacznie obserwował starego pana.

- To właśnie mówią.

Wicehrabia położył dłoń na chłopięcym ramieniu i nieznacznie je ścisnął.

- Dziękuję, Tom. Teraz to wszystko.

- Nigdy nie pojmę, dlaczego wzięłeś tego ulicznika na służbę -

powiedział Alistair St. Cyr, gdy foryś już wyszedł.

- Twierdzisz, że wystarczyłoby, abym wyraził swoją wdzięczność prostym „dziękuję” i może jakimś podarunkiem, na przykład złotym zegarkiem? Jeśli sobie przypominasz, Tom ocalił mi życie. Mnie i Kat.

Mięśnie twarzy hrabiego naprężyły się jak zawsze, gdy Sebastian zrobił coś, czego ojciec nie

pochwalał lub gdy sprawiał mu zawód. Kiedyś hrabia Hendonu był dumnym ojcem trzech silnych synów, ale los oszczędził tylko Sebastiana - najmłodszego i przynoszącemu rodzicowi najmniej radości.

- Ufam, iż większość uznałaby, że mała pensja to aż nadto -

skomentował stary arystokrata.

- Chłopak się przydaje.

- Dobry Boże, a w jakich to sytuacjach dżentelmen potrzebuje pomocy kieszonkowca?

- Żeby przeżyć na ulicy, trzeba być sprawnym, bystrym i spostrzegawczym. To bardzo przydatne umiejętności.

Poza tym chłopiec zawsze marzył o pracy przy koniach - pomyślał

Sebastian, ale tego nie wypowiedział na głos. Ojciec by go wykpił.

- Jakoś przez ostatnie cztery miesiące panował nad złymi przyzwyczajeniami - dodał tylko.

- Albo tak ci się wydaje.

Młody wicehrabia wychylił brandy i odstawił kieliszek.

- Lepiej się już pożegnaj. O świcie planuję ruszyć do Londynu.

- Do Londynu? - Alistair St. Cyr niezadowolony zasznurował wargi.

- Miałem nadzieję, że sprawa tego morderstwa chociaż na trochę odciągnie cię od stolicy.

To nie do Londynu, rzecz jasna, hrabia miał zastrzeżenia. Trapiła go młoda, piękna aktorka, z którą, jak wiedział, syn nadal się widywał.

Chcąc uniknąć sprzeczek, Sebastian ruszył do drzwi.

- Nie wiem, co jeszcze mógłbym tu zdziałać. Anglessey pozwolił

Paulowi Gibsonowi przewieźć ciało markizy do swojego gabinetu na sekcję. Nawet jeśli lady Ginewra nie zginęła w Londynie, być może znajdę tam kogoś, kto mi powie, dokąd się udała i dlaczego.

Poranek był chłodny. Gęsta mgła sunęła od morza ciężkimi, przesiąkniętymi solą płatami białej, skłębionej wilgoci i zbierała się między rzędami wysokich, okazałych domów oraz w wąskich, krętych uliczkach Brighton.

Wicehrabia Dewlinu trzymał konie krótko, aż minęli ostatnie porozrzucane wzdłuż drogi

zabudowania. Potem dał pełnokrwistym wałachom więcej swobody i pozwolił kasztanom gnać z wiatrem, a w końcu zwolnił do równego kłusa. Kiedy dotarli do Edburton, coraz mocniejsze słońce zaczynało wypalać pozostałości mgły. Z wioski rozciągał się widok na rozległe, faliste niziny South Downs. Tu właśnie



wzbierające w Sebastianie podejrzenie, że jest śledzony, przerodziło się w pewność.

Mimo gęstej mgły, Sebastian wyczuwał, że gdzieś za nim w bezpiecznej odległości stukały miarowo kopyta. Jeden koń - stwierdził -

kierowany równymi uderzeniami bicza, nie przyspieszał, ale i nie zwalniał.

Wtedy mgła zaczęła rzednąć. Delikatne smugi ulotnej bieli obejmowały przydrożne kamienne murki i wijące się żywopłoty, odsłaniając zielone pola jęczmienia i lnu. W tym momencie tajemniczy jeździec zwolnił, młody wicehrabia posiadał jednak wzrok lepszy niż większość ludzi. W miarę jak wstające słońce odsłaniało bezkresny pejzaż nizin South Downs, zaczął niewyraźnie dostrzegać odzianego w czerń jeźdźca na potężnym gniadoszu. Najpierw mignął mu za gęstwiną leszczyny, potem na wpół skryty za okazałą buczyną.

Sebastian popędził kasztany, podnosząc tempo klusa. Tajemniczy jeździec także przyspieszył. Jechali tym tempem przez kilka mil. Potem wicehrabia zwolnił do stępa, a jego cień uczynił to samo.

- W żadnym wypadku się nie odwracaj - nakazał Sebastian młodemu forysiowi - ale myślę, że... nie, jestem przekonany, że ktoś nas śledzi.

Tom zeszywniał, starając się oprzeć pokusie, by jednak nie sprawdzić tego samemu. - Od kiedy?

- Wygląda na to, że odkąd wyruszyliśmy z Brighton.

- Co robimy, szefie?

Wicehrabia narzucił kasztanom równe tempo. Wspinali się po łagodnym zboczu, krętą drogę okrywały gęstym cieniem kępy topoli. Na szczycie wzniesienia droga się wyrównała i biegła teraz przez rozległe błonie pokryte jaskrawozielonymi pastwiskami z porozrzucanymi gdzieniegdzie stadami czarno-białych krów.

Nie oglądając się, popędził zaprzęg batem i konie przeszły w łagodny galop, tak że mężczyzna za nimi zmuszony był zrobić to samo.

Płynęli przez łąki, słońce połyskiwało na mokrych bokach kasztanów.

Sebastian cały czas poganiał konie, aż dotarli do miejsca, gdzie droga raptownie się unosiła, by za chwilę łagodnie opaść w rozległą dolinę.

Tam wicehrabia natychmiast ściągnął lejce i konie zwolniły do energicznego stępa. Podmuchy wiatru i dudnienie kopyt zastąpił delikatny chrzęst kół i cisza, w której Sebastian słyszał przyspieszony oddech Toma.

Byli zaledwie w połowie zbocza, gdy jeździec na gniadym koniu sprężystym galopem przesadził wierzchołek wzniesienia.

Na widok Sebastiana na chwilę przyhamował, po czym popędził

swego konia w dół spokojnym stępem. Wicehrabia zjechał na pobocze i zatrzymał się. Na jego znak Tom zeskoczył z powozu i pobiegł do koni.

- Co on robi? - spytał Sebastian, pochylając się, jakby całą jego uwagę zajęły własne buty. W dłoni ścisnął mały, poręczny pistolet skałkowy.

Jeździec w czerni znów zwolnił. Tym razem nie miał wyjścia -

musiał odkryć swoje zamiary lub ich minąć.

Naciągnąwszy kapelusz głęboko na czoło, wbił ostrogi w końskie boki.

- Zbliża się - powiedział Tom, nerwowo wypuszczając powietrze.

Mężczyzna minął ich na mokrym z wysiłku, pierwszorzędnym rumaku, wzbijając przy tym tumany kurzu. Sebastianowi mignął przed oczami krwistoczerwony gniadosz z wysoko uniesionym łbem i olbrzymimi oczami, niosący na grzbiecie średniej budowy jeźdźca w stylowej bobrowej czapce i świetnie skrojonym szynelu. Po chwili koń zniknął za zakrętem. Dudnienie kopyt oddalało się, aż zapanowała cisza mącona jedynie cichym muczeniem krów i podmuchami wiatru smagającego przesyconą słodkim zapachem trawę.

Tom stał, ścisnąjąc w dłoni lejce, i wpatrywał się w drogę przed nimi.

- Kto to był, szefie?

- Nie mam pojęcia - odparł Sebastian, ujmując bat. - Odsuń się, Tom.

Chłopak posłusznie odskoczył, po czym wdrapał się ponownie na kozioł i powóz ruszył w stronę Londynu.

Do miasta dotarli tuż po południu. Mężczyźni w szynelu na potężnym gniadoszu już nie spotkali.

Dom Sebastiana znajdował się na Brook Street, przecznicy New Bond Street. Nie tam jednak w pierwszej kolejności skierował swoje kroki.

Zatrzymali się przed niewielkim eleganckim domem na Harwich Street.

Tam wicehrabia przekazał lejce Tomowi i nakazał odprowadzić konie do stajni. Dopiero potem sam podszedł do drzwi.

Otworzyła je niepozorna jak mysz pokojówka o kościstych ramionach i bladej, pozbawionej uśmiechu twarzyczce. Na widok Sebastiana prychnęła i spojrzała, jakby chciała zatrzaskać mu drzwi przed nosem.

- Panna Boleyn jeszcze nie wstała.

- Świetnie - odparł wesoło wicehrabia, długimi susami przemierzając schody. - Nie przeszkadzaj sobie El-speth - dodał, chociaż ona nadal stała jak zaczarowana przy wejściu, cały czas rzucając mu gniewne spojrzenie -

sam się zaanonsuję.

Drzwi do sypialni na piętrze były zamknięte, ale nie na zasuwę.

Sebastian pchnął je i otworzył się przed nim pogrążony w mroku pokój z błękitnymi satynowymi zasłonami. Na łóżku leżała, piękna kobieta o gęstych kasztanowych włosach, które lśniąco opadały na poduszki. Nazywała się Kat Boleyn i w wieku zaledwie dwudziestu trzech lat była już gwiazdą londyńskiej sceny. A także miłością życia Sebastiana.

Zbliżył się i zobaczył, że nie śpi. Subtelny uśmiech mrużył w kącikach jej błękitne oczy, spod delikatnej lnianej pościeli wyzierały nagie ramiona.

- Biedna Elspeth - powiedziała.

Wicehrabia zdjął podróżny płaszcz z peleryną, zawiesił go na oparciu stojącego obok krzesła, po czym rzucił na nie kapelusz i rękawiczki.

- Dlaczego, u licha, trzymasz na służbie takie zasepione stworzenie?

Kat wyciągnęła swoje długie, nagie ramiona nad głowę i przeciągnęła się.

- Przy mnie się nie zasepia.

- Co więc, u diabła, ma przeciwko mnie?

- Jesteś mężczyzną - roześmiała się aktorka.

Sebastian ukląkł na skraju łoża, jego okryte spodniami z irchy kolana zatopiły się głęboko w materacu z pierza.

- Jak tam nowa sztuka?

- Sukces. Choć może to mój kostium Kleopatry robi takie wrażenie. -

Opuściła ręce, zaplotła je na jego szyi i przyciągnęła go do siebie. -

Spodziewałam się ciebie wczoraj.

Te słowa wypowiedziane przez każdą inną kobietę zabrzmiałyby jak wyrzut. Jednak nie w ustach Kat. Dla niej było to jedynie stwierdzenie, spostrzeżenie.

Nie wymagała od Sebastiana żadnych miłosnych deklaracji.

Odrzucała jego oświadczenia, odmawiając nawet przybrania roli półoficjalnej kochanki. Wielu mężczyznom, jak przypuszczał, taki układ byłby w smak - wolność od krępujących więzi. Sebastian jednak żył

dręczony strachem, że pewnego dnia z jakiegoś powodu, którego nigdy nie zdoła pojąć, ona odejdzie. Ponownie.

Przesunął rękami w dół jej nagich pleców i usłyszał, że Kat wzdycha, jak zawsze kiedy ją dotykał. Musnął twarzą kark ukochanej, wciągając wspaniały, uderzający do głowy zapach jej ciała i włosów.

- Wybaczysz mi?

Ujęła w dłonie policzki Sebastiana i odsunęła się, by na niego spojrzeć. Jej usta śmiały się, oczy świeciły, powiedziałyby... miłością. Jej słowa jednak były błahe, niepoważne.

- To zależy od tego, jak dobrą masz wymówkę.

Złożył na jej ustach czuły pocałunek, delikatne zapewnienie, że pożąda, że potrzebuje. Po czym, podnosząc głowę, musnął kciukiem jej wargi.

- Co powiesz na morderstwo? - zapytał, obserwując, jak uśmiech Kat gaśnie.

Na świat przyszła pod innym nazwiskiem, otoczona ciepłymi słowami miłości, jako córka kobiety o śmiejących się oczach, która pewnego mglistego poranka w Irlandii zmarła poniżona i przerażona.

Czasem, szczególnie we wczesnych godzinach, kiedy ciemność zaczynała dopiero ustępować brzaskowi, Kat śniła koszmar, że czuje na swoim ciele chropowate ręce żołnierzy, włóknistą linę zaciskającą się na jej własnej szyi, wyciskane z niej powoli życie. Budziła się wtedy przerażona, z trudem łapiąc oddech. Nie była jednak swoją matką. Nie zamierzała umrzeć jej śmiercią. Nie zamierzała iść przez życie ze strachem.

Od dziesięciu lat była Kat Boleyn. Czasy nędzy i desperacji pozostały już tylko wspomnieniem. Od siedmiu kochała tego człowieka -

Sebastiana St. Cyr.

Odwróciła głowę i na widok jego znajomych, kojących rysów i ciemnych potarganych włosów otoczonych konturem białej poduszki poczuła w sercu słodkie ciepło. Zakochali się, kiedy ona miała szesnaście, a on dwadzieścia jeden lat; kiedy oboje byli jeszcze na tyle młodzi i naiwni, by wierzyć, że miłość jest najważniejsza - najważniejsza na świecie. Potem zrozumiała, że w życiu trzeba dokonywać wyborów i że niektóre z nich są okupione ceną tak wielką, że wprost nie do zniesienia.

Teraz już wiedziała. Wiedziała, że miłość może być równie bezinteresowna, co chciwa. I że czasem największym darem, który można ofiarować ukochanej osobie, jest pozwolić jej odejść.

Zdała sobie sprawę, że Sebastian ma otwarte oczy i przygląda się jej.

Za kilka minut opuści jej łóżko, a ona wyśle go w popołudniowe słońce

beztroską pieśczęcią i lekkimi słowami, które o nic nie proszą i niczego nie obiecują.

Opuszkami palców dotknęła nagich ramion ukochanego, a on oplótł

ją silnymi rękami i przyciągnął do siebie. Poddawała mu się z westchnieniem i zamknęła oczy, pozwalając sobie przez krótką chwilę udawać, że wszystkie te ważne rzeczy - jak honor, lojalność, obowiązek i zdrada - nie mają znaczenia.

W dłoni Kat spoczywał chłodny naszyjnik. Niespotykany klejnot miał trzy połączone ze sobą srebrne obwódki w kształcie migdałów z zatopionymi w nich szafirowymi kamieniami.

Kiedyś należał do matki Sebastiana. Kat знаła opowieści o pięknej hrabinie, złotowłosej, o roztańczonym turkusowym spojrzeniu, która zginęła na morzu u wybrzeży Brighton pewnego letniego

popołudnia, kiedy Sebastian był jeszcze dzieckiem. Teraz naszyjnik znów się pojawił -
na szyi zamordowanej kobiety.

Odwróciła wisior i odczytała stare splecione inicjały: A.C. i J.S.

Tymczasem wicehrabia chodził po jej sypialni, zbierając swoje ubrania.

Zakładał bryczesy i koszulę i opowiadał legendę, którą słyszał, dorastając.

Legendę o tajemniczej Walijce, do której niegdyś ów naszyjnik należał, a która w imię miłości oddała go przystojnemu, niestety pechowemu księciu...

- Nie rozumiem - odezwała się Kat. - Skoro naszyjnik sam wybiera swojego następnego opiekuna, to dlaczego Addiena dała go Jakubowi Stuartowi?

Sebastian podniósł wzrok. Siedział na brzegu łoża, w jego rękach błyszczał but do konnej jazdy.

- Pamiętaj, że kiedy się z nim spotykała, Jakub Stuart był

prześladowany. Karol I, jego ojciec i król, został właśnie ścięty przez Cromwella i Okrągłe Głowy, a jego brat, przyszły Karol II, ukrywał się na wygnaniu. - Wicehrabia wciągnął but na nogę i wstał. - Legenda głosi, że naszyjnik zapewnia długowieczność. To dlatego Addiena dała go Jakubowi Stuartowi, żeby go chronić. Mówią, że kiedy po raz pierwszy po odzyskaniu tronu przez Karola II przekroczył bramy Londynu, miał ten naszyjnik w woreczku noszonym zawsze na szyi.

- Musiała bardzo go kochać - powiedziała miękko Kat - skoro oddała mu coś tak dla niej cennego.

Sebastian podszedł do toaletki zawiązać krawat.

- Tak, myślę, że tak. Chociaż on raczej nie był jej wierny. Miał

potem dwie żony i sporą gromadkę dzieci.

Kat zacisnęła pięść na triskelionie.

- Pisane mu było zostać królem. Potrzebował żony, którą lud by zaakceptował, nie jakiejś dzikiej Walijki ze wzgórz Cronwyn. Jeśli go kochała, rozumiała to.

Ich spojrzenia skrzyżowały się w lustrze. Odwróciła wzrok i wzięła do rąk jego miękką płaszcz kąpielowy.

- Tylko że to mu nie pomogło, prawda? - rzuciła przez ramię. -

Długo nie pożył. Stracił koronę i umarł na wygnaniu.

- Ach, ale wtedy już nie miał naszyjnika! Historia głosi, że Jakub II miał dziecko z Addieną Cadel,

dziewczynkę o imieniu Ginewra. Ginewrę Stuart.

- Ginewrę? - Kat obróciła się gwałtownie zaskoczona. - Cóż za dziwny zbieg okoliczności!

- W rzeczy samej. Z tego, co wiem, ojciec ją uznał. Nie tylko dał jej swoje nazwisko, ale i zaaranżował korzystne małżeństwo. A w prezencie ślubnym podarował ten naszyjnik.

- Jak więc trafił do twojej matki?

Wicehrabia wsunął ręce w płaszcz, który mu podała.

- Dostała go od pewnej starowiny, którą spotkała pewnego lata w Walii. Kobieta twierdziła, że jest wnuczką Jakuba II, że ma sto jeden lat i że dostała ten naszyjnik od swojej matki krótko przed jej śmiercią w wieku stu dwóch lat.

Kat wpatrywała się w Sebastiana badawczo. Rzadko wspominał

hrabinę, ale Kat wiedziała, że strata matki w tak młodym wieku odcisnęła na nim głębokie piętno, szczególnie że nastąpiła tuż po śmierci jego ostatniego żyjącego brata.

- Dlaczego dała naszyjnik właśnie twojej matce?

W płowych oczach pojawił się cień i Sebastian gwałtownie się odwrócił.

- Powiedziała matce, że naszyjnik będzie ją chronił.

- Ginewrze Anglessey też raczej szczęścia nie przyniósł. - Kat podeszła, objęła ukochanego w pasie i przycisnęła policzek do jego szerokich pleców. - Miała go, kiedy umarła.

Ręce wicehrabiego chwyciły jej dłonie splecione na jego satynowej kamizelce. Po chwili obrócił się, nadal w jej uścisku, i cokolwiek widziała wcześniej w jego oczach, znikło.

- Taki naszyjnik nie pasuje do sukni wieczorowej, prawda?

- Też tak uważam. - Oddała mu go. - Jakiego koloru była suknia?

- Zielona. - Wziął klejnot i wsunął go sobie do kieszeni.

- To jeszcze bardziej zastanawiające. Pytałeś Anglesseya, skąd jego żona go miała?

- Uznałem, że to nieodpowiedni moment. Kat skinęła głową.

- Pamiętam, kiedy za niego wyszła. Wywołało to niemałe poruszenie. Była taka młoda i taka piękna.

Usta Sebastiana wykrzywił ironiczny uśmiezek.

- A on taki bogaty, no i w dodatku markiz.

- Myślisz, że to on ją zabił lub komuś to zlecił?

- Jeśli zdradzała go z regentem, miałby motyw, nie tylko by zamordować żonę, ale i zaaranżować scenę, która demaskowałaby rogakza.

- Jeśli zdradzała go z regentem.

- Lub jeśli on tak myślał.

- Anglessey nie musiał się zgodzić, by doktor Gibson przeprowadził

sekcję zwłok - zauważyła Kat. - Skoro to zrobił, to raczej nie ma nic do ukrycia.

- Być może. Dowiemy się więcej, gdy wykona pełną autopsję. -

Dewlin sięgnął po płaszcz. - Sam Anglessey podejrzewa swojego bratanka Bevana Ellswortha.

- No, ten się nadaje na mordercę. Sebastian spojrział na nią zdziwiony.

- Znasz go?

- W zeszłym sezonie interesował się jedną z chórzystek w teatrze.

Uważała, że jest czarujący... i nieprzewidywalnie gwałtowny.

- Zgadza się, to do niego pasuje.

Wicehrabia szybkim ruchem zarzucił na siebie okrycie, ale potem zawahał się, zupełnie jak nie on.

Kat przekrzywiła głowę i z uśmiechem obserwowała jego twarz.

- Wyrzucić to z siebie.

- Co mam z siebie wyrzucić? - Wybałuszył oczy, udając niewiniątko.

Wzięła kapelusz i nasadziła mu go zawiadacko na głowę.

- Chyba chciałbyś mnie o coś poprosić. Uśmiechnął się, chwycił ją i połaskotał w szyję.

- No cóż, więc jest taka sprawa...

Nazywano ich wybrańcami, tę niewielką grupę wysoko urodzonych i majątnych, którzy stanowili elitę angielskiego społeczeństwa. Połączeni więzami krwi i małżeństw, razem polowali, należeli do tych samych klubów i stowarzyszeń oraz posyłali synów do tych samych szkół - do Winchester i Eton, Cambridge i Oxfordu.

Tak jak Sebastian, Bevan Ellsworth - bratanek i dziedzic markiza Anglessey - skończył właśnie Eton. Wicehrabia jak przez mgłę przypominał sobie wysportowanego chłopaka skorego do żartów, o dobrze skrywanej, lecz brutalnej skłonności odpłacania się każdemu, kto wszedł

mu w drogę. Jednak dwa lata, jakie ich dzieliły, wystarczyły, by ograniczyć wtedy ich wzajemne relacje. Potem Sebastian poszedł do Oksfordu, a Ellsworth do Cambridge. W końcu został adwokatem, chociaż mówiło się, że więcej czasu spędzał w jaskiniach hazardu na Pickering Place niż w sądzie.

Zawód adwokata był uważany za odpowiedni dla dżentelmena.

Adwokata angażował wyłącznie prawnik, a nie bezpośrednio klient, nie był więc „w biznesie”, unikając wiążących się z tym złych konotacji. Tak więc żona adwokata mogła zostać przedstawiona na dworze, podczas gdy żona prawnika nie - subtelna, lecz ważna różnica dla mężczyzny, który zamierzał zostać następnym hrabią Anglessey.

Sebastian wpadł na bratanka markiza późnym popołudniem w Brookes, gdzie ten popijał wino z przyjacielem. Tuż przed wejściem do sali klubu Sebastian przystanął na chwilę w drzwiach czerwonego salonu i próbował ocenić, czy Bevan Ellsworth bardzo się zmienił.

Nadal sprawiał wrażenie otwartego i miłego. Orzechowe włosy o ciepłym odcieniu sterczały w nieładzie - podążał widać za modą dyktowaną przez Beau Brummella*. Do tego modnie skrojony frak, misternie zawiązany krawat, mimo opinii dandysa Ellsworth nie wpadał w skrajności. Jego rozłożyste ramiona sugerowały też, że miał się niemal za Koryntczyka - boksował u Jacksona, fechtował u Angelo, a strzelał u Mentona.

* *Beau Brummell* - arbiter męskiej mody w czasach angielskiej regencji, bliski przyjaciel późniejszego króla Jerzego IV [przyp. tłum.]

Towarzyszący mu dżentelmen, blady mężczyzna o lnianych włosach i z przesadnie strojnym krawatem, wyglądał jakby znajomo, choć Sebastian nie mógł go sobie przypomnieć. Ująwszy z tacy mijającego go kelnera kieliszek madery, wicehrabia z udawaną niefrasobliwością zajął

miejsce naprzeciwko nich.

- Mniemam, że należą się gratulacje - powiedział bez wstępu czy przeprosin, przerywając mężczyznom rozmowę.

Ellsworth zeszywniał i posłał Sebastianowi spojrzenie zimne jak stal.

- Słucham?

Wicehrabia tylko się uśmiechnął.

- Nie zamierzasz chyba udawać, że nie słyszałeś o niespodziewanej śmierci swojej drogiej ciotki? Wszystko, co stało ci na drodze do tytułu i fortuny Anglesseya, zostało wyeliminowane. A zatem - Sebastian uniósł

kieliszek jak do toastu - gratulacje.

Nieznajomy dżentelmen o lnianych włosach i w potwornym krawacie przez chwilę patrzył w argusowe oczy wicehrabiego, po czym wycofał się po cichu i stanął zdenerwowany w drugim końcu salonu.

- Zakładając oczywiście - dodał Sebastian jakby po namyśle - że ostatniej środy nie bawiłeś w Brighton.

Policzki Ellswortha oblały się słabym, lecz dostrzegalnym rumieńcem.

- Nie bądź śmieszny. Prawie całą środę spędziłem w Grays Inn.

- W sądzie?

Mężczyzna spurpurowiał.

- Do diaska, to chyba nie twój interes!

W odpowiedzi wicehrabia uśmiechnął się blado.

- Jako adwokat wiesz najlepiej, że zawsze dobrze mieć alibi, nieprawdaż? A udowodnić, że wynająłeś kogoś, by wykonał za ciebie brudną robotę, nie tak łatwo.

Ellsworth uniósł do ust kieliszek, upił głęboki łyk i z godną uznania zimną krwią wycedził:

- W rzeczy samej. Nasuwa się jednak pewne pytanie. Po co zabijać damę publicznie, robiąc przy tym tyle szumu? Czyż nie prościej byłoby wynająć dwóch zbirów, żeby pod osłoną nocy zaatakowali jej powóz?

- Otóż to, po co? - zgodził się Sebastian. - Czy też oprycha, by napadł na jej powóz na Hampstead Heath, hm? Widać, że długo się nad tym zastanawiałaś.

Adwokat parsknął drwiącym śmiechem, po czym pochylił się i rzekł:

- Moje długi nie są aż tak pilne. - Jego usta nadal wykrzywił

uśmieszek, ale w szarych oczach zamigotało srogie ostrzeżenie.

- Słyszałem inne pogłoski.

- Nie ma w nich krzty prawdy.

Sebastian oparł głowę o obite tapicerką oparcie fotela.

- Co więc o niej myślałeś? O zmarłej ciotce, rzecz jasna. -

Obserwując ich z drugiego końca salonu, można było odnieść wrażenie, że prowadzą li tylko towarzyską konwersację. - Trochę dziwnie nazywać ją ciotką, gdy miała... ile? Dziesięć mniej niż ty?

- W naszym świecie to nic dziwnego. W Londynie roi się od świetnie wychowanych młodych panien polujących jak suki w rui na tytuł lub fortunę. Czy też na jedno i drugie.

Gorzkie, obrzydliwe słowa. Ale też rzeczywistość była brutalna.

Pierworodni synowie, utytułowani i majątni, byli obiektami bezwstydných polowań, podczas gdy młodszych synów i synów młodszych synów -

takich jak Ellsworth - postrzegano jako niebezpiecznych pariasów, których należało się wystrzegać, unikać i traktować ze wzgardą.

- A młodzianka lady Ginewra pragnęła obydwu tych rzeczy? -

zapytał wicehrabia.

- Taka pierwszorzędną sztuką? Dlaczegoż miałyby zadowolić się czymś gorszym? - Wargi Ellswortha wygięły się w szydery uśmiezek. -

Nie sądzisz chyba, że wyszła za mojego wuja z miłości?

Sebastian zatopił wzrok w ponurej, pełnej gniewu twarzy młodszego kolegi. Przypomniawszy sobie jak kiedyś, całe lata temu w Eton, syn pewnego baroneta pozbawił Ellswortha pozycji kapitana drużyny piłkarskiej. Dwa tygodnie później w ostrym starciu na boisku chłopak doznał tak

poważnego złamania ręki, że resztę roku spędził w domu. Szeptano wówczas, że Ellsworth umyślnie faulował, chociaż oczywiście nigdy mu tego nie udowodniono. Sebastian słyszał później, że ręka chłopaka nigdy już nie wróciła do dawnej sprawności.

- A twój wuj? - spytał. - Czy mógł być niezadowolony z tego małżeństwa? Jak sądzisz?

Ellsworth roześmiał się oschle.

- Niby z czego niezadowolony? Oczywiście poza tym, że przyprawiała mu rogi?

Chociaż Sebastian spodziewał się takiej odpowiedzi, zaniepokoiła go bardziej, niż zakładał.

- Masz na myśli regenta?

- O regencji nie wiem. Nie myślisz chyba jednak, że Anglessey był w stanie spłodzić potomka, którego nosiła jego żonka?

- Starsi od niego płodzili synów.

- Być może - Ellsworth wlał w siebie resztki wina i wstał - ale nie on.

Spodnie miał z najdelikatniejszego aksamitu, do nich dopasowany i obszyty satyną błękitny płaszcz, również aksamitny. Razem z jedwabnymi pończochami i śnieżnobiłą koszulą całość tworzyła liberię odpowiednią dla księżęcego lokaja - przynajmniej na deskach Covent Garden Theatre, gdzie zazwyczaj widywano ten kostium.

Wierząc się z niewygody w wykrochmalonej koszuli, Tom powtarzał

sobie, że niektórzy uznaliby ten strój za atrakcyjny. Jednak on czuł się w nim jak nastroszony kanarek.

- Siedź spokojnie - nakazała Kat. Choć obdarzona idealną wręcz dykcją, teraz bełkotała, gdyż usta miała pełne szpilek.

Posłusznie znieruchomiał. Plecy swędziały go niemiłosiernie, lecz ani drgnął. Coś mu mówiło, że gdyby jej nie usłuchał, była gotowa wbić jedną ze szpilek o wiele za głęboko.

Znajdowali się w teatralnej garderobie panny Kat pochłoniętej przystosowywaniem liberii pazia wypożyczonej z teatralnej garderoby do drobnej sylwetki Toma.

- Nie rozumiem, po co to wszystko - wymamrotał. - Mam już przecie w dechę liberię, nie? Dostałem od wicehrabiego, jak mnie przyjmował na forysia.

- Uhm. - Panna Kat przykucnęła, by poprawić coś przy szwie w spodniach. - Jedno spojrzenie na tę twoją pasiastą złoto-czarną kamizelkę, a służba lorda Anglesseya zaraz skojarzyłaby cię z domem jakiegoś młodego rozhukanego fircyka. Służący mają zdecydowane poglądy na temat takich osobników i w większości nie są to opinie życzliwe. Miałbyś szczęście, gdyby cię nie zbesztano.

Tom ugryzł się w język i nie dyskutował więcej. Niepowodzenie, jakim zakończył się wczorajszy zwiad wśród służby w pawilonie, nadal nie dawało mu spokoju. Postanowił, że tym razem wyłudzi od służby Anglesseya potrzebne informacje, nawet jeśli musiał w tym celu robić z siebie staroświeckiego picusia.

Wyciągnął szyję, by móc lepiej przyjrzeć się spodniom, na których panna Kat robiła zakładki.

- Tu jest krzywo - powiedział.

- Jestem aktorką, nie szwaczką. - Odgryzła zębami nić i przysiadła na piętach, by przyjrzeć się swojemu dziełu. - Pamiętaj, że ta liberia jest własnością teatru. Podrzesz ją albo coś wylejesz, dostaniesz w skórę.

Tom zszedł z niewielkiej skrzynki, na którym kazała mu stać.

- Jakżebyś śmiał!

Roześmiała się tak otwarcie i spontanicznie, że i on wyszczerzył

zęby. To była dopiero kobita - taka aktorka i w ogóle. Była też najlepszym kieszonkowcem, jakiego znał, chociaż podejrzewał, że o tym akurat większość ludzi nie wiedziała.

- Opowiedz mi o tym człowieku, tym który śledził wczoraj twojego pana - rzuciła niby od niechcienia, schylając się, by pozbierać porozrzucone szpilki i nici.

- Sie nawet nie zorientowałem, dopiero jak już był blisko. W końcu nikt nie widzi i nie słyszy tak jak szef.

Przytaknęła ze wzrokiem nadal utkwionym w podłogę.

- Myślisz, że on może mieć coś wspólnego z morderstwem, którym zajmuje się twój pan?

- No chyba! Znaczący się, to logiczne, nie? Jak ktoś się zaczyna babrać w morderstwie, łatwo się narazić piorunsko złym ludziom.

Cała ta sytuacja mocno ekscytowała Toma, ale kiedy spojrzał na wyraz twarzy panny Kat, nagle pożałował, że tyle powiedział. Chwycił

kretyński kawałek aksamitu z satynową obwódką, który miał mu służyć za kapelusz.

- No to leczę.

Jej twarz pojaśniała tak niespodziewanie, że przez chwilę zastanawiał się, czy zatroskanie, jakie wcześniej dostrzegł na jej twarzy, nie było przypadkiem tylko wytworem jego wyobraźni.

- Pamiętaj - przykazała mu, gdy już wcisnął trikom na głowę i ruszył

do wyjścia - żadnych przepychanek z ulicznikami. - Podniosła głos i krzyknęła za nim: I żadnego picia ani jedzenia!

Markiz Anglessey rezydował w ogromnej posiadłości na Mount Street.

Tom stał na kamiennym trotuarze i zadzierał głowę na szary łupkowy dach wieńczący dostojny, przynajmniej czteropiętrowy dom. Sam markiz przebywał zapewne jeszcze w Brighton, gdyż na drzwiach chłopak nie dostrzegł kołatki. Służba zdążyła już jednak udekorować dom na żałobę - wysokie okna zakrywała krepą, a przy wejściu wisiał czarny wieniec.

Poprawiwszy swój sztywny strój, Tom wspiął się po kilku schodkach i zastukał energicznie pięścią w błyszczącą, pokrytą czarną farbą płycinę drzwi wejściowych.

Nikt nie otworzył, więc walnął mocniej.

Metalowa barierka obok niego odgradzała drzwi frontowe od schodków wiodących do wejścia dla służby. Kiedy zapukał po raz trzeci, drzwi dla służby uchyliły się i stanęła w nich kobieta w średnim

wieku, z kartoflowatym czerwonym nosem, pulchnymi policzkami i szorstkimi siwymi włosami nakrytymi staromodnym czepkiem.

- Co tam robisz, chłopcze? Nie widzisz, że nie ma kołatki?

Tom uniósł w górę złożoną i zapieczętowaną kopertę, którą przygotowała mu panna Kat. Koperta była, rzecz jasna, pusta, ale przecież nie zamierzał jej nikomu wręczać.

- Mam tu wiadomość dla lorda Anglesseya od sir Jamesa Astona.

Kazał mi ją przekazać lordowi Anglesseyowi, nikomu innemu. Tylko jak tu się dobić, skoro na drzwiach nie ma kołatki?

Kobieta parsknęła śmiechem.

- Dopiero zacząłeś służbę, prawda? Nie wiesz, co znaczy, gdy na drzwiach nie ma kołatki? To znaczy, że państwa nie ma w domu. Musisz zostawić wiadomość albo zanieść ją z powrotem do swojego sir Jamesa i powiedzieć mu, że markiza spodziewamy się dopiero przed zmierzchem.

Tom westchnął głęboko i podniósł kapelusz pazia, żeby przejechać ręką po czole. Nie musiał udawać, że się spocił - aksamit był piekielnie gruby, a słońce na dobre już wyszło, lejąc z nieba żar niespotykany w czerwcowe dni.

- O matko! - odezwał się zmęczonym głosem. - Miałem nadzieję, że będę mógł usiąść na chwilunię i może napić się czegoś, kiedy jego lordowska mość będzie pisał odpowiedź.

Przyjazną twarz kobiety ściągnęła matczyna troska.

- Och, biedactwo! Śmiertelny dziś upał, prawda? - Zawahała się, by dodać po chwili: - A może wejdiesz na szklanekę zimnej lemoniady, zanim pójdziesz z powrotem?

Tom udał wahanie.

- No, sam nie wiem, czy można...

- Wejdz, proszę. - Otworzyła szeroko drzwi i gestem zaprosiła go do środka. - Mam syna mniej więcej w twoim wieku na służbie u lorda McGowana. Mam nadzieję, że gdyby stał równie zgrzany i spragniony na czyimś progu, tamtejsza kucharka również zaprosiłaby go do środka na coś do picia i pozwoliła kapkę odpocząć.

Chłopak uznał, że nie ma co czekać, aż zmieni zdanie, i zbiegł po schodach.

Znalazł się w pomieszczeniu wyłożonym białymi płytkami, z kamienną podłogą i olbrzymimi starymi drewnianymi kredensami uginającymi się pod ciężarem potężnych miedzianych garnków. Pani Long

- tak się przedstawiła - poprowadziła go do ławy przy kuchennym stole i posłała jedną z pomywaczek po dużą szklanekę mrożonej lemoniady.

Pamiętając złowieszczą przestrogę panny Kat, Tom odchylił głowę mocno do tyłu i pił bardzo, bardzo ostrożnie.

- Czyli markiz wraca dopiero o zmierzchu? - zagadnął, spoglądając znad krawędzi szklanki.

- Tak się spodziewamy - westchnęła głęboko kucharka i końcem fartucha przetarła oko. - Biedak, przyjeżdża pochować swoją piękną młodziutką żonę.

Na kamiennym parapecie chłodziły się ustawione w rzędzie trzy świeżo upieczone ciasta. Z wiśniami - domyślił się Tom, wciągając z tęsknotą popołudniowe powietrze - i może jabłecznik. Szybkim ruchem przeniósł wzrok na pulchną twarz pani Long.

- Ona umarła, tak?

- Czyżbyś nic nie słyszał? - Podeszła i przysiadła na ławie naprzeciwko. Pochyliła się i konspiracyjnie ściszyła głos: - Zamordowana.

Chłopak otworzył usta, udając zaskoczenie i zgrozę. - Nie!

- To prawda. Znaleźli ją aż w Brighton, i to w Pawilonie, ze sztyletem w plecach. W głowę zachodzę, co też ona mogła tam rozbić.

- Ale przecież sama pani mówiła, że jego lordowska mość jest w Brighton...

- Ano tak, ale ona nie pojechała. Była tu i w tamtym tygodniu, i wcześniej. Nawet w dniu, w którym ją zamordowano, siedziała tu w salonie i jadła łososia z sosem koperkowym, którego przygotowałam jej na późne śniadanie. Nie żeby miała ostatnio apetyt, biedaczka.

- Kiedy widziała ją pani ostatni raz?

Pani Long wsparła się łokciami na stole, podbródek zatopiła w dłoniach i zamyśliła się głęboko.

- No, to musiało być jakąś godzinę, dwie później. Jeden ze służących zawołał jej fiakra i odjechała.

- Fiakra? - Tom musiał się nie lada starać, żeby nie dać po sobie poznać ekscytacji. Dokładnie takich informacji potrzebował szef. - Tak to już jest, nie? - odezwał się jakby od niechcienia. - Znaczy się, kto by pomyślał, że dama, co mieszka w takim eleganckim domu, nie może sobie pozwolić na własną dorożkę.

- Co za brednie opowiadasz! Przecie lord Anglessey to fortunat! On mógłby i sto dorożek mieć, gdyby tylko zechciał. W ogóle nic nie rozumiesz, chłoptasiu. - Nachyliła się gwałtownie i zniżyła głos do szeptu, jakby przekazywała sekret. - Dama woła fiakra, kiedy nie chce, by pan wiedział, dokąd się udaje.

- Ahaaa! - Tom zrobił zabie oczy i pokiwał głową, tak jakby to wszystko było dla niego nowością. - A damy często tak robią?

- Ona przez ostatnie kilka miesięcy dość często. - Rozpostarłszy palce na blacie stołu, kucharka wstała z ławy, tak jakby nagle pożałowała, że nie ugryzła się w język. - Dobrze, złotko, a zjadłbyś kawałek ciasta do swojej lemoniady?

Tom miał taką chrapkę na to ciasto, że aż ślinka mu ciekła.

Pamiętając jednak o zakazie, przełknął tylko i pokręcił przecząco głową.

- Och nie, dziękuje psze pani. Nie mogę.

Kobieta schyliła się i pulchną dłonią poklepała go po policzku.

- Mamusia dobrze cię wychowała, złociutki. Ale nie ma co udawać, że nie chcesz, bo widziałam, jak żeś zerkał na te ciasta. No więc z jabłkami czy wiśniowe?

Resztę popołudnia Sebastian spędził w sądzie i podejrzanych jaskiniach hazardu. Alibi Bevana Ellswortha rzeczywiście było solidne, może nawet aż nazbyt solidne. Tego dnia wydawał się robić wszystko, aby widziało go jak najwięcej ludzi, a wieczór zakończył w jakiejś norze niedaleko Pickering Place.

Wicehrabia zdecydował w końcu, że mężczyzna mógł wymknąć się z sądu na wystarczająco długi czas, by zabić Ginewrę Anglessey gdzieś w Londynie. Nie było jednak mowy, by zdążył przewieźć jej ciało do Brighton i wrócić do Pickering Place przed dziesiątą, o której to godzinie całkowicie pochłonęła go gra w faraona, od której nie wstał do czwartej rano.

Gdy Sebastian dotarł do swojego domu na Brook Street numer 41, ostatnie pomarańczowe i różowe smugi światła rozplywały się na niebie, a uliczni latarnicy zaczęli swój obchód. Przebrany już w strój wieczorowy udał się powozem do imponującej rezydencji na Park Street, należącej do jego jedynej żyjącej jeszcze ciotki, księżny wdowy Henrietty Claiborne.

Formalnie rzecz biorąc, dom należał do najstarszego z jej trzech synów, obecnego księcia Claiborne. Tak jednak biedaka wystraszyła, że potulnie oddał jej to miejsce, a sam wraz z coraz większą rodziną przeniósł się do małego domu na Half Moon Street.

Ciotka schodziła właśnie z gracją z piętra do holu. Jej szyję zdobiły rodowe rubiny, a siwą głowę przetykany czerwonymi piórami lawendowy turban. Kiedy była w połowie schodów, zatrzymała się i odzianą w białą rękawiczkę dłonią poczęła szukać monokla, który nosiła zawsze na szyi na złotym łańcuszku.

- Wielkie nieba, Sebastianie, co ty tutaj robisz?

- Witaj, ciociu Henrietto - powiedział, wbiegając z lekkością na schody, by z nieudawaną sympatią ucałować ją w policzek. - Cóż za szokująco niekonwencjonalny kapelusz!

- Prawda? - odparła rozbawiona. - Claiborne uznałby go za ohydny.

Pięć lat starsza od hrabiego Hendonu, w wieku zaledwie osiemnastu lat wyszła za spadkobiercę księcia Claibornea. Wówczas uznano to za nie lada osiągnięcie, jako że dawna lady Henrietta nawet za młodu do atrakcyjnych nie należała. Miała szeroką, pełną twarz brata, jego beczułkowate kształty i taki sam wprawiający ludzi w zakłopotanie świdrujący wzrok.

- Wybierałam się właśnie na przyjęcie do Setonów - oznajmiła, opierając się całym ciężarem na srebrnej rzeźbionej lasce, którą nosiła głównie dla efektu. - Z moich ostatnich wyliczeń wynika, że Claiborne nie żyje od dwóch lat i sześciu godzin. Dałam temu człowiekowi czwórkę dzieci, pięćdziesiąt jeden lat małżeństwa i dwa okrągłe lata żałoby. A teraz zamierzam używać życia.

- Myślałem, że nic innego nie robiłaś - zauważył Sebastian, podążając za nią do salonu.

Aż zachichotała z rozbawienia.

- Nalej mi trochę wina. Nie, nie tego cienkusza - poleciała, gdy sięgnął po ratafię. - Porto.

Wzięła porządny łyk wina i spojrzała na niego badawczo znad kieliszka.

- A teraz mów, co też twój ojciec opowiada, że jakoby jesteś zamieszany w śmierć tej nieszczęsnej kobiety w Brighton?

Sebastian prawie zadławił się winem.

- Kiedy rozmawiałaś z moim ojcem?

- Dzisiaj. W Pall Mail. Wszyscy wrócili do Londynu: Perceval i St.

Cyr, Księżniuko i Jarvis, nawet ten pajacowaty Comte de Lille, jak każe się tytułować, chociaż nie mogę pojąć, jak on może oczekiwać, że ktokolwiek będzie go uznawał za prawowitego króla Francji, jeśli nie ma nawet odwagi nazwać się Ludwikiem XVIII. W każdym razie Księżniuko podobno tak się przejął wydarzeniami w pawilonie, że jego medycy uznali, iż najlepiej będzie zabrać go z Brighton na jakiś czas. Nie żeby w Carlton House miał szansę odpocząć, nie przy tych wszystkich przygotowaniach do hucznej fety, jaką wyprawia za tydzień. Pomyśl tylko! Wydawać wystawne przyjęcie, żeby uczcić mianowanie na regenta. Równie dobrze mógłby świętować królewskie pomieszenie zmysłów. Mam szczerą ochotę to sobie podarować.

Wicehrabia dobrze wiedział, że to tylko czcze pogrożki. Wielka feta księcia regenta będzie z pewnością najważniejszym wydarzeniem towarzyskim dekady. Ciotka Henrietta nigdy nie przegapiłaby takiego widowiska.

Przerwała, by zaczerpnąć powietrza i wziąć łyk wina. Sebastian skorzystał z okazji i zapytał:

- Powiedz mi, ciociu, co wiesz o lady Ginewrze? Podniosła wzrok, jej błękitne oczy zaiskrzyły.

- A więc to cię sprowadza, tak? Ciekaw jesteś, czy to biedne dziecko miało jakieś brudne tajemnice?

- Ona lub ktoś z jej otoczenia.

- Dobrze, pomyślmy... - Ciotka usadowiła się w wygodnym fotelu przy pustym kominku. - Pochodziła z arystokratycznej rodziny. Jej ojcem był hrabia Athelstone. Korzenie tego rodu sięgają czasów Wilhelma Zdobywcy.

Sebastian uśmiechnął się. Bystra, kąśliwa i pełna niepohamowanej ciekawości ciotka Henrietta należała do najwytworniejszych dam w towarzystwie. Może i ostatnie dwa lata spędziła w żałobie, mało bywając w towarzystwie, lecz i tak doskonale wiedziała, co w trawie piszczy.

- A jej matka?

Ciotka zmarszczyła brwi.

- O niej wiem niewiele. Była drugą żoną hrabiego, jak sądzę. A może trzecią? W każdym razie nie

utrzymała się na tyle długo, by przywiózł ją do Londynu.

- Na Boga, to ile on miał żon?

- Pięć. Niezły był z niego uwodziciel. Pierwsze cztery umarły w połogu. No i zostawiły mu same córki. Dlatego, jak sądzę, próbował dalej.

I w końcu dopiął swego. O ile się nie mylę, młody hrabia ma około dziesięciu lat.

Słyszac to, Sebastian przypomniał sobie tryskającą energią, radosną młodą kobietę, którą spotkał kiedyś na przyjęciu u ojca. Jak musiała się czuć, wzrastając przy kolejnych macochach i ojcu pragnącym syna?

- Wiesz, lady Ginewra debiutowała w tym samym sezonie, co najstarsza mojej Emily - ciągnęła ciotka. Gdy wspomniała swoją córkę, wykrzywiła usta w podkówkę. Była zdania, że Emily nie wyszła dobrze za mąż. Czysta głupota, której matka nigdy jej nie wybaczyła. - Była wydarzeniem sezonu... lady Ginewra naturalnie, nie najstarsza córka Emily. Obawiam się, że to biedne dziecko jest zbyt podobne do matki, by dobrze jej poszło, nawet z porządnym wianem, którego oczywiście nie miała. Za to Ginewra! Całe miasto o niej mówiło! Trzeba przyznać, że fortuny to ona też nie miała, ale dziewczyna była jak diament pierwszej wody, pełna życia. Być może odrobinę zbyt charakterna, ale ja nie przepadam za wykrętnymi pannicami, których coraz więcej się teraz spotyka.

- Jakiś skandal związany z jej osobą?

- Nic, o czym bym wiedziała.

- Nic? Piękna, pełna życia dwudziestojednoletnia kobieta wychodzi za podupadającego na zdrowiu sześćdziesięciosiedmioletniego starca i nic?

Żadnych plotek o młodym kochanku?

Odniosł wrażenie, że już sama sugestia oburzyła ciotkę.

- Nie sądzę. Lady Ginewra była z pewnością uparta i śmiała, ale nie była bezwstydną latawicą, niezależnie od okoliczności, w jakich znaleziono ją we środe w pawilonie. Wiedziała, czego oczekuje się od kobiety z jej statusem i tylko prawdziwie podła osóbka mogłaby zacząć się tak zabawiać, zanim da lordowi potomka.

Sebastian upił trochę wina.

- Mówisz, że ma siostry?

- Przeżyły dwie, każda z innej matki. Najmłodsza musi być jeszcze w szkole w Walii, ale najstarszą, Morganę, możesz znać. Obawiam się, że nigdy nie dorównywała urodą Ginewrze, no i ma usposobienie rottweilera.

Cud, że w ogóle udało jej się znaleźć męża, i to jeszcze takiego.

Wicehrabia uśmiechnął się.

- Kogo upolowała?

- Lorda Quinlana. Oczywiście to nie markiz, tylko zwykły baron, a jego majątek nie umywa się do fortuny Anglesseya, ale i tak się jej udało.

Zresztą przed zamążpójściem Ginewry uważano, że Morgana poradziła sobie nadzwyczaj dobrze. Majątek Athelstonea nigdy nie należał do szczególnie zasobnych, a on sam nie potrafił dobrze nim zarządzać. Żadna z dziewcząt właściwie nie otrzymała posagu. Myślę, że Athelstone trzymał wszystko dla syna.

Jej słowa przywiodły obrazy dzieciństwa, które z pewnością do sielankowych nie należało. Sebastian zastanawiał się, jakież to animozje musiały rodzić się w sali lekcyjnej tej napiętnowanej śmiercią posiadłości na walijskim wybrzeżu. Trzy dziewczynki z trzech różnych matek, najstarsza pospolita i złośliwa, a średnia piękna i czarująca. Nagle zapragnął dowiedzieć się, co na temat siostry ma do powiedzenia Morgana.

- Gdzie mógłbym ją jutro spotkać? - spytał. - Mam na myśli lady Quinlan.

Ciotka Henrietta przyciągnęła podbródek do szerokiej szyi - nigdy nie była bardziej podobna do brata.

- Pomyślmy... Morgana uważa się za sawantkę i nie przegapi żadnego wykładu w Akademii Królewskiej. Wciąż nudzi o prądach elektrycznych, silnikach parowych i tym podobnych bzdurach. Mogę się

założyć, że znajdziesz ją jutro na pokazie balonów, o którym ostatnio tak głośno.

- Pokazie balonów? Gdzie?

- Wielkie nieba, a skąd ja miałabym to wiedzieć?! - Dopiła wino, odstawiła kieliszek i wstała. - Teraz musisz już iść. Wybieram się na przyjęcie.

Sebastian stał w cieniu swojej pustej łoży w Covent Garden Theatre i patrzył z góry, jak Kat w pięknym królewskim diademie i zwiewnej sukni szekspirowskiej Kleopatry wychodzi na scenę. Wiedział, że go nie widzi, musiała jednak czuć obecność ukochanego, gdyż na chwilę zatrzymała się, odwróciła głowę w jego kierunku, a twarz aktorki rozblęła olśniewającym uśmiechem. Nie uśmiechem Kleopatry. Uśmiechem przeznaczonym wyłącznie dla niego.

Stał tak przez kilka minut dla czystej przyjemności patrzenia na Kat.

Zanim jednak kurtyna opadła na antrakt, wyszedł i skierował się za kulisy.

Zaczynał być niespokojny o Toma. Kiedy jednak przedzierał się przez tłumy dam kameliowych i pożerających je wzrokiem dandysów, dojrzał

kręcącego się po korytarzu małego chłopca w liberii forysia.

- Gdzieżeś się, u diabła, podziewał?! - huknął Sebastian, łapiąc go za kołnierz. - Miałem już posyłać kogoś do więzień, żeby sprawdzić, czy cię nie złapali.

Tom zacieśnił uścisk na owiniętym brązowym papierem pakunku.

- Czekałem, aż skończą czyścić kostium panny Kat.

- Czyścić? - powtórzył gniewnie wicehrabia.

- Jest jak nowy, przysięgam - rzucił pośpiesznie, po czym dodał -
prawie.

- Prawie?

Chłopak spuścił nos na kwintę.

- Powinienem być wybrać jabłkowe...

Urzędowi porządku publicznego na Queen Square daleko było do tego z Bow Street z dobrze wyszkolonymi śledczymi i autorytetem, jaki ta instytucja zdobyła jeszcze za czasów Fieldingów. Niemniej sir Henry Lovejoy był kontent z pozycji głównego sędziego pokoju na Queen Square.

Lovejoy, człowiek poważny, nic sobie nie robił ze sławy czy pochwał. Bezdzienny wdowiec w średnim wieku zdecydował się resztę życia poświęcić służbie publicznej. Gdyby był katolikiem, zapewne zostałby księdzem. Zamiast tego został sędzią i oddawał się temu zajęciu z

- można by rzec - religijną żarliwością, która każdego ranka przed ósmą pchała go do biura.

Tej soboty za sprawą silnego wiatru ze wschodu powietrze było chłodne i cudownie rześkie. Przystając w plamie słońca naprzeciwko urzędu, Lovejoy zakupił od ulicznego sprzedawcy słodką bułeczkę, po czym znieruchomiał, widząc, jak przez tłum domokrażców i sprzedawców mleka przedziera się wysoki, młody mężczyzna w eleganckim bikornie.

- Wcześniej lord wstał - zauważył Lovejoy, kiedy wicehrabia Dewlinu podszedł do niego. Mieszkańcy Mayfair rzadko wychodzili z domów przed południem. Z drugiej strony, sądząc po wieczorowym stroju młodego panicza, prawdopodobnie nie tyle wstał, co jeszcze nie kładł się do łóżka, a jeśli, to nie do swojego.

W bursztynowych oczach młodego mężczyzny pojawił się ledwie widoczny dziwny błysk, jakby podążył za łańcuchem niepoehlebnych myśli sędziego i ubawiło go to setnie. Rozbawienie jednak zgasło bardzo szybko.

- Słyszałeś, panie, że w pawilonie odkryto zwłoki markizy Anglessey?

- A któżby nie słyszał? - odparł Lovejoy i ruszył u boku wicehrabiego przez plac. - Muszę przyznać, że niektóre plotki bardzo mi się nie podobają. Mogą być kłopotliwe. Bardzo kłopotliwe. W obecnej sytuacji rodzina królewska nie może sobie pozwolić na taki skandal.

Spojrzał z ukosa na swego towarzysza, ale twarz młodego St. Cyra nie zdradzała żadnych emocji. Albo nie słyszał żadnych plotek o kławie, albo tylko uważał, że mądrzej ich nie komentować.

- Odkryłem, że ostatniej środy wczesnym popołudniem Ginewra Anglessey nakazała jednemu ze swoich służących zawołać jej fiakra, po czym opuściła swój dom na Mount Street - ciągnął wicehrabia.

Lovejoy stanął jak wryty.

- Twierdzi lord, że była tutaj? W Londynie?

- W rzeczy samej. Bardzo prawdopodobne, że właśnie tu ją zabito.

- Wielkie nieba! Gdzie?

- Nie wiem. Gdybym tak mógł porozmawiać z tym fiakrem...

Służący nie pamięta numeru powozu, ale wydaje mu się, że dorożkarz był z Yorkshire.

- Zdaje sobie hrabia sprawę z tego, ilu dorożkarzy w tym mieście jest z Yorkshire? - westchnął ciężko Lovejoy.

- Nie, ale myślę, że sędzia wie.

Ten utkwiał spojrzenie w smukłej, przystojnej twarzy młodzieńca.

- Skąd to zainteresowanie?

Z udawanym zdziwieniem Sebastian zrobił wielkie oczy.

- O ile mnie pamięć nie myli, sędzia sam sugerował współpracę w tak delikatnych sprawach.

- A pan mówił mi, że ostatniej zimy zajął się sprawą morderstw z pobudek czysto osobistych. Więc cóż interesuje pana w śmierci lady Anglessey?

- Mam swoje powody.

- I to właśnie mnie martwi.

Wicehrabia opuścił głowę, żeby ukryć uśmiech. Już miał się odwrócić, ale spojrzał na sędziego i spytał:

- Czy nie interesują pana przypadkiem eksperymenty naukowe?

To było pasją Lovejoya - śledził pilnie wszelkie nowinki techniczne.

Nie miał jedynie pojęcia, skąd wiedział o tym Sebastian.

- Tak. Dlaczego?

- Bo może sędzia wie, gdzie odbywa się dziś pokaz balonów?

Balon miał wystartować punkt jedenasta z St. George's Fields na południowym brzegu Tamizy.

- To jakiś bałwański pomysł - rzucił Tom, gdy zbliżali się do błoni i tuż nad wierzchołkami drzew widać było pomarszczone płachty żółto-czerwonego materiału. - Człowiek nie powinien bujać w obłokach.

Sebastian roześmiał się i przekazał chłopcu lejce.

- Trzymaj powóz z daleka od tłumu. Słyszałem, że te rzeczy często zajmują się ogniem i mogą wywołać panikę.

Tom, poważny jak nigdy, kiwnął głową.

- Spokojna głowa, szefie. Nie mam zamiaru zbliżyć się do tego ustrojstwa.

Dalej Sebastian poszedł pieszo. Lot balonu przyciągnął niemałą grupę dżentelmenów w cylindrach i dam z parasolkami, kupców w odświętnych strojach, a także i niespotykaną zbieraninę złodziei, kieszonkowców i rzezimieszków. Rzeński poranny wiaterek osłabł.

Powietrze znieruchomiło, zrobiło się parno. Handlarze piwem nie mogli narzekać na brak ruchu w interesie. Unosząca się z ich beczek mocna słodowa woń mieszała się z zapachem traw, dymu i stłoczonych ciał.

Morgana, przyrodnia siostra Ginewry Anglessey, stała niedaleko huczącego ognia, który szybko napełniał jedwabną powłokę gorącym powietrzem. Kobieta była wysoka i koścista, miała pociągłą, usianą piegami twarz o ostrych rysach; nie miała nic z delikatnych krągłości i uroku siostry. Choć zabrała ze sobą służącą, Sebastian odnosił wrażenie, że to typ kobiety, która potrafi świetnie sama o siebie zadbać.

- Bardzo przepraszam, czy lady Quinlan? - spytał Sebastian, uchylając kapelusza. - Czy mogłaby mi pani powiedzieć, jak nazywa się dżentelmen przeprowadzający dzisiejszy pokaz?

- Ten „dżentelmen” jest kobietą - odparła, wskazując drobną jak ptaszyna osobkę w kapeluszu z piórami i wąskiej spódnicy która biegała jak szalona wokół wiklinowego kosza balonu, sprawdzając liny przytwierdzające urządzenie do ziemi. - Słynna francuska aeronautka Madeleine-Sophie Blanchard. Możesz jednak przestać udawać, mój panie.

Wiem, że bada lord okoliczności śmierci mojej przyrodniej siostry. -

Widząc jego konsternację, uśmiechnęła się z cierpką satysfakcją i dodała: -

Wiem to od lady Portland.

Sebastian zadarł głowę i mrużąc oczy przed słońcem, patrzył, jak balon nadyma się od gorącego powietrza. Czerwono-żółty materiał lśnił na tle głębokiego błękitu nieba. „Ginewra i moja żona Claire były przyjaciółkami z dziecięcych lat” - powiedział Portland. Nic więc dziwnego, że lady Portland utrzymywała również stosunki towarzyskie z siostrą Ginewry.

- Nie wyobrażam sobie, jak mogłabym pomóc - ciągnęła lady Quinlan. Jej wzrok, tak jak wicehrabiego, wtopiony był w falującą nad ich głowami kopułę. - Nigdy nie byliśmy sobie z Ginewrą bliskie, nawet jako dzieci.

Zerknął na nią kątem oka.

- Zbyt duża różnica wieku? Wzruszyła ramionami.

- Trzy lata. To może mieć znaczenie w przypadku dzieci, lecz nawet jeśli różnica byłaby mniejsza, wątpię, abyśmy były ze sobą blisko.

Niewiele nas łączyło. Mnie zawsze interesowała nauka, a Ginewrę... -

zawahała się, po czym zakończyła sucho - a Ginewrę nie.

- Co więc interesowało lady Ginewrę?

- Nadmorskie klify. Konie mojego ojca. Wyrobiska opuszczonych kopalni we wzgórzach za Athelstone Hall... słowem, romantyczne poetyzmy. Włóczyła się po okolicy tak swobodnie, jakby była córką chłopca.

- Albo chłopcem.

Morgana przeniosła spojrzenie na Sebastiana.

- Albo chłopcem. Zawsze była krnąbrna. Przypuszczam, że nasze guwernantki wolały ją po prostu wypuszczać, niż z nią wojować.

Tak zdecydowanie było łatwiej - pomyślał wicehrabia. Co jednak z jej ojcem, hrabią Athelstonem? Czyżby nie obchodziło go, że jego dziecko, dziewczynki w dodatku puszczano samopas? A może z chęcią przekazał

wychowanie córek guwernantkom i tej smutnej procesji macoch, kończących jedna po drugiej żywot w połogu?

- Obawiam się, że przywykła do tego - kontynuowała Morgana. -

Przywykła, że może robić, co jej się żywnie podoba. Uwierzyła, że może sama decydować o własnym życiu, wybrać sobie męża.

- Kogo chciała poślubić?

Lady Quinlan zaniósła się pełnym pogardy śmiechem.

- Kogoś w najwyższym stopniu nieodpowiedniego. A w jaki szła

wpadła, gdy dowiedziała się, że papa zamierza wysłać ją na sezon do ciotki do Londynu! Ginewra poprzysięgła, że nigdy więcej się do niego nie odezwie, i tak też zrobiła. Nie przysłała, nawet gdy wezwał ją, leżąc na łożu śmierci.

- Dlatego, że zmusił ją do małżeństwa z Anglesseyem?

- Nikt jej nie zmuszał. Sama go wybrała. - Lady Quinlan poruszyła nieznacznie czarną spódnicą swej sukni spacerowej. - Zawsze utrzymywała, że nie jest w stanie wybaczyć papie, że nie pozwolił jej wyjść za mąż, za kogo chciała. Myślę jednak, że nie mogła mu wybaczyć faworyzowania Gerarda.

- Gerarda?

- Naszego młodszego brata.

Sebastian zawisł spojrzeniem na jej nieprzeniknionej, oschłej twarzy.

- A pani to nie przeszkadzało? Zmarszczyła brwi zaskoczona.

- Oczywiście, że nie. Nie ma w tym nic dziwnego. Wszyscy mężczyźni faworyzują swoich synów. Tak już urządzone jest ten świat.

Tylko Ginewra nie potrafiła się z tym pogodzić. Była taka naiwna, taka idealistka. - Wargi zadrżały jej pogardliwie. - Głupia.

Sebastian powiódł wzrokiem po zatłoczonej, spieczonej słońcem łące aż po odległe, połyskujące chłodem wody kanału. Zastanawiał się, co też mogło wywołać taką niechęć, sprawić, że Morgana tak bardzo nienawidziła siostry - przecież nawet teraz, po tak brutalnej śmierci Ginewry, nie potrafiła wykrzesać z siebie choćby odrobiny czułości.

Balon był już prawie pełen, materiał mocno naprężony. Wiklinowy kosz uniósł się i szarpał trzymające go liny. Mała Francuzka, madame Blanchard, stała w koszu, dokonując ostatnich poprawek specjalnej klapki, która pozwoli wypuścić część gorącego powietrza i kontrolować lot.

Wicehrabia utkwiał wzrok w balonie.

- A ten mężczyzna, któremu wasz ojciec odmówił ręki pani siostry...

kim był?

Sebastian spodziewał się, że lady Quinlan spróbuje uniknąć odpowiedzi, ale odparła bez ociągania:

- Alain, chevalier de Varden. Jest synem lady Audley z pierwszego małżeństwa. Z Francuzem.

Sebastian słyszał o tym kawalerze. Żwawy młodzieniec, krewki i zawsze uśmiechnięty, powszechnie lubiany. Zdziwiony przeniósł wzrok na Morganę.

- Varden nieodpowiedni?

- Ależ oczywiście. Rodzina ma pozycję, a jakże. Lepszą nawet niż matka Ginewry, ale ani grosza. Wszystko, co miał odziedziczyć, pochłonęła rewolucja.

W kpiącym tonie, jakim wspomniała matkę Ginewry, było coś, co zaciekało Sebastiana.

- Proszę mi opowiedzieć o matce lady Anglessey. Znow ten protekcyjnalny uśmieszek.

- Ginewra była bardzo dumna ze swoich korzeni.

- A nie powinna?

Morgana wciągnęła policzki, przez co wyglądała teraz starzej i brzydziej.

- Katherine, jej matka, nie pochodziła ze zbyt dobrego rodu.

Podobno jej prababkę spalono na stosie jako czarownicę.

To był jeden z brudnych sekretów zachodniego chrześcijaństwa, polowanie na czarownice - wybuch nienawiści i podejrzliwości, które oplatały ludzi, aż znalazły łatwy cel w najsłabszych członkach społeczności - kobietach. Mówiło się, że zanim ustała gorączka polowania na czarownice, w całej Europie spalono około pięć milionów kobiet.

Niektóre wioski opanowała tak nieprzemoczna histeria, że ani jedna kobieta nie uszła z życiem.

- Jeśli to prawda - powiedział, spoglądając ponad spocony, oblany słońcem tłum, w niemym oczekiwaniu wpatrujący się w Madame Blanchard, która, zamknawszy drzwiczki do wiklinowego kosza, opatulą się ciepłym płaszczem - to na potępienie bardziej zasługują odpowiedzialni za jej śmierć niż ta nieszczęsna kobieta.

Ktoś krzyknął:

- Odetnijcie ją!

Liny trzymające balon przecięto i wśród gromkich wiwatów tłumu jedwabny balon poszybował gwałtownie w górę, wysoko ponad czubki drzew.

- Być może - odparła Morgana, również wpatrzona we wznoszącą się kuli - chociaż, jej babkę również uważano za czarownicę. Podobno rzuciła urok na nikogo innego, jak samego syna króla, i miała z nim dziecko.

Wysoko ponad ich głowami prąd powietrza porwał balon i poniósł

go gwałtownie na zachód. Słońce odbijało się od napiętej jedwabnej powłoki, a kosz z małą Francuzką w środku robił się coraz mniejszy i mniejszy, aż prawie zniknął im z oczu. Obserwując to, Sebastian doznał

nagle dziwnego uczucia przemieszczenia. W uszach mu zadzwoniło, a policzki nagle oblały się rumieńcem.

- Który książę? - spytał, choć wiedział, po prostu wiedział, że zna odpowiedź.

- Jakub Stuart. Ten, który został później Jakubem II.18

To musi być przypadek - skomentował jakieś pół godziny później Paul Gibson. - Co wspólnego może mieć Jakub II Stuart z morderstwem tej biednej kobiety?

Rozmawiali w zarośniętym chwastami ogrodzie ograniczonym z jednej strony domem Gibsona i jego praktyką, a z drugiej małym kamiennym budynkiem, w którym przeprowadzał autopsje. Sebastian z kuflem piwa w ręku siedział na kamiennej ławie, a doktor zajęty był

gotowaniem czegoś w ogromnym garze na otwartym palenisku.

- Kiedy chodzi o morderstwo, jakoś nie wierzę w zbiegi okoliczności

- powiedział wicehrabia, zerkając podejrzliwie do kotła.

Gibson energicznie zamieszał chochłą i coś wypłynęło na powierzchnię - coś, co podejrzenie przypominało ludzką kość ramienną.

- Proszę, powiedz mi, że to nie...

Doktor spojrział na niego i parsknął śmiechem.

- Dobry Boże, nie! To szkielet owcy, który przygotowuję na wykład z anatomii porównawczej. A co myślałeś? Że gotuję twoją ofiarę morderstwa? Anglessey odebrał ciało żony dzisiejszego ranka. Myślę, że chciał pochować ją w dzień, zamiast czekać do wieczora. - Dorzucił węgla do ognia i rękawem otarł czoło. - I miał rację. Diabelsko gorąco jak na czerwiec. Szkoda, że nie przyszedłeś wcześniej. Chciałem ci pokazać kilka rzeczy.

Sebastian dość napatrzył się na zwłoki podczas wojny. Mając wybór, postanowił zapamiętać Ginewrę Anglessey jako piękną, pełną życia kobietę, którą niegdyś była. Obraz poddanego sekcji ciała, martwemu od ponad siedemdziesięciu dwóch godzin, zupełnie do tego nie pasował.

Palenisko zaczęło dymić, Gibson ukląkł więc niezdarnie, by patykiem przegarnąć żar.

- Jeżeli, jak twierdzisz, markiza opuściła swój dom na Mount Street fiakrem tuż po lunchu w środę, to musiała zostać zabita tu, w Londynie, lub gdzieś bardzo blisko. Miała zwyczajnie za mało czasu, żeby dojechać do Brighton.

- Jesteś pewien, że zmarła wczesnym popołudniem? Medyk przytaknął.

- Lub nad ranem. Na pewno nie później. Przypuszczam, że po tym, jak została zabita, ktoś obłożył jej ciało lodem, zapakował na wóz lub do powozu i przewiózł do Brighton. Po śmierci krew w ciele reaguje na przyciąganie ziemskie. Jeśli zostawi się ciało leżące na wznak na kilka godzin, wtedy cała krew zgromadzi się na plecach i spodniej stronie rąk i nóg, nadając skórze fioletowy kolor.

- Tak jak w przypadku Ginewry.

- Właśnie.

Wicehrabia powiódł wzrokiem przez ogród do starej zaniedbanej róży obsypanej delikatnym, skarłałym kwieciem. W ogrodzie dało się słyszeć pszczoły. Niskie brzęczenie i szept wiatru w koronie górującego nad nimi kasztana.

- Czy była przy nadziei? - spytał.

- Niestety, tak. Dziecko urodziłoby się w listopadzie. - Gibson przysiadł na piętach. - To był chłopiec, nawiasem mówiąc.

Sebastian skinął głową.

- A co ze sztyłem w plecach?

- Umieszczono go tam kilka godzin po tym, jak została otruta.

Młody arystokrata nerwowo wciągnął powietrze.

- Otruta?

- Tak przypuszczam. Nie ma testu, który wykryłby to po śmierci, ale podejrzewam cyjanek. Jak pamiętasz, miała bardzo różową skórę. Czasami da się wyczuć zapach gorzkich migdałów, ale nie po tylu godzinach. Ta trucizna działa bardzo szybko, przy odpowiedniej dawce wystarczy pięć, dziesięć minut. Śmierć jest dość bolesna i bardzo nieprzyjemna, robi się niezły bałagan.

- Wywołuje mdłości?

- Tak. Między innymi.

- Ale nie było przecież takich śladów.

- To dlatego, że po śmierci jej ciało zostało umyte i przebrane... w suknię innej kobiety.

Sebastian potrząsnął głową, nie nadążając.

- Skąd pewność, że to nie była jej suknia?

- To proste. Była za mała.

Gibson odłożył patyk, chwiejnie wstał i zniknął w małym kamiennym budynku. Chwilę później pojawił się znowu, trzymając w rękach suknię.

- Ginewra Anglessey była wyjątkowo wysoką kobietą, prawie sześć stóp wzrostu.

Wytrzepał fałdy zielonego atłasu i uniósł ubranie do góry.

- Tę uszyto dla nieznacznie niższej kobiety, też wysokiej, ale prawdopodobnie nie wyższej niż pięć i pół stopy i z mniejszym biustem.

To dlatego tasiemki były rozwiązane, a ramiona odkryte. Po prostu nie pasowała.

Wicehrabia wyciągnął rękę po wieczorową suknię.

- A jej bielizna?

- Nie miała.

Arystokrata podniósł wzrok na przyjaciela. Zdarzało się, że kurtyzany - a nawet damy takie jak bezwstydną Caroline Lamb -

rezygnowały z lekkich gorsetów i cienkich halek, które zazwyczaj zakładały pod swoje niemal przezroczyste suknie. Lady Anglessey jednak do takich nie należała.

- Kiedy w środę wieczorem zobaczyłeś jej ciało, była bosa? -

upewnił się Gibson.

- Tak. Dlaczego?

- Czy na podłodze w pobliżu zauważyłeś wieczorowe pantofle?

Może wsunięte pod sofę?

Sebastian zastanawiał się przez chwilę, po czym pokręcił przecząco głową.

- Nie, ale ich nie szukałem.

Doktor skinął głową, w zamyśleniu jego usta zbiegły się w cienką linię.

- Ale ja szukałem. Nie było ani obuwia, ani pończoch.

- Co sugerujesz? Ktoś otruł Ginewrę cyjankiem, poczekał, aż wyzionie ducha, po czym umył jej ciało i ubrał w czyjąś zieloną suknię wieczorową?

- Tak, wszystko na to wskazuje. I albo nie przywieźli ze sobą potrzebnej bielizny, pończoch i pantofli, albo okazały się za małe.

- Co by oznaczało, że morderca nie znał swojej ofiary lub też nie przemyślał, co mu będzie potrzebne.

Paul Gibson skrzywił się.

- Nie wiem, co bardziej mnie przeraża. Czy możliwe, że ta nieszczęsna kobieta zginęła tylko dlatego, że jej morderca potrzebował

zwłok, by skompromitować regenta?

- Muszę przyznać, że trudno mi w to uwierzyć - odparł z wahaniem Sebastian. - Choć to prawdopodobne.

- Ale... dlaczego? Dlaczego zabijać żonę markiza? Dlaczego zwyczajnie nie wybrać jakiejś prostej

kobiety z ulicy?

- A jak sądzisz, co wywołałoby większy skandal?

- No tak, celna uwaga.

Wicehrabia przejechał dłonią w rękawiczce po delikatnym atłasie.

- Nie pojmuję za to, jak, u diabła, naszemu mordercy udało się tego wieczoru wnieść ciało do pawilonu.

- Właśnie. To dopiero zagadka.

Z wąskiej uliczki za ogrodem doszło ich melodyjne nawoływanie straganiarza: „Dojrzałe czereeeeśnie! Kupujcie dojrzałe czereeeeśnie”.

Sebastian złożył zieloną atłasową suknię w kostkę, by zabrać ją ze sobą.

- A co zrobiłeś ze sztyletem, który wystawał z jej pleców? - zapytał.

Gibson kucnął przy żelaznym garze.

- Nie mam go.

Wicehrabia odwrócił się gwałtownie.

- Co takiego?

Lekarz podniósł wzrok, oczy od dymu miał jak szparki.

- Poszedłem zorganizować przewóz zwłok, a kiedy wróciłem, sztyletu już nie było.

Po namyśle Sebastian doszedł do wniosku, że zniknięcie sztyletu da się wyjaśnić tylko na dwa sposoby: albo zabójca Ginewry zdołał w jakiś nieodgadniony sposób i w jakimś niezrozumiałym celu wrócić do Żółtej Komnaty i zabrać to pozorowane narzędzie zbrodni, które zostawił tam celowo, lub też - co wydawało się bardziej prawdopodobne - sztylet zabrał

sam lord Jarvis. Sebastian widział przynajmniej kilka powodów, dla których nieoficjalny opiekun regenta mógł tak uczynić; żaden z nich nie stawiał w dobrym świetle człowieka, w którego ramionach znaleziono ciało Ginewry.

Zdecydowany na konfrontację z lordem, wicehrabia pojechał do Carlton House, gdzie przestraszony, blady sekretarz Jarvisa zapewnił go, że jego lordowska mość jest w domu. Kiedy jednak Sebastian zjawił się na Grosvenor Square, afektowana, nie do końca zrównoważona lady Jarvis poinformowała go, iż jej mąż przebywa prawdopodobnie u Watiersa.

Watiers natomiast podejrzewał, że jego lordowska mość nie wrócił jeszcze do miasta.

Zgubiwszy chwilowo trop, Sebastian zdecydował się złożyć wizytę kawalerowi de Varden.

Alain, chevalier de Varden, miał dwadzieścia dwa lata i niedawno powrócił z Oksfordu. Był powszechnie lubiany, chociaż będąc młodzieńcem nader przystojnym, jak i naznaczonym przez swoją tragiczną historię, siał nie lada niepokój wśród matek młodych panien na wydaniu.

Zagraniczny tytuł był równie dobry jak brytyjski, pod warunkiem jednak, że stały za nim znaczne włości. A te przepadły w cieniu gilotyny, podobnie jak kwiat francuskiej arystokracji.

Ze względu na brak okazałych dochodów, kawaler wraz z matką, Isolde, mieszkał na Curzon Street w domu lady Audley. Ta owdowiała już po raz drugi, wołała więc spędzać większą część roku w Londynie niż w odosobnionym zamku w Walii, który po śmierci jej drugiego męża przeszedł w ręce ich syna, nowego lorda Audley.

Zapytawszy o de Vardena, Sebastian został wprowadzony do małego, lecz gustownie umeblowanego salonu wypełnionego popołudniowym słońcem. Tam, w rogu pokoju klęczała na dywanie szczupła, delikatnie zbudowana kobieta o nieznacznie przyprószonej siwizną, lecz nadal ognistych kasztanowych włosach. Tuż obok leżała, dysząc, suka collie, która, jak się zdawało, właśnie zaczynała rodzić.

- Najmocniej przepraszam - zaczął Sebastian - musiała nastąpić jakaś pomyłka...

- Żadna pomyłka - odparła lady Audley, podnosząc wzrok.

Wicehrabia ocenił, że musiała mieć około czterdziestu pięciu lat, choć jasna, alabastrowa skóra i ładnie starzejące się rysy twarzy ujmowały jej lat.

- To ja poprosiłam, by pana tu przyprowadzono. Musi mi pan wybaczyć, że przyjmuję go w takich

okolicznościach, ale biedna Cloe zaraz się oszczeni i nie chciałam jej zostawiać samej. Proszę, niech pan usiądzie.

Sebastian nie skorzystał z propozycji i stanął przy otwartym oknie plecami do słońca.

- Wiem, dlaczego pan przyszedł - powiedziała lady Audley, nie spuszczać oka z collie. - Podejrzuje pan, że mój syn miał coś wspólnego ze śmiercią Ginewry, ale myli się pan.

Obserwował, jak jej smukłe ręce ze współczuciem, delikatnie dotykają zlanego potem grzbietu i drżącego boku psa.

- Niech zgadnę - zaczął, przypominając sobie, że siostra Ginewry, Morgana, również wiedziała o jego zainteresowaniu śmiercią markizy -

pani też przyjaźni się z lady Portland?

- Lady Portland to moja córka.

- Ach, teraz pojmuję.

W nieraz nader zagmatwanych koligacjach jego sfery wiele rzeczy było możliwych, jednak przyszedł tu absolutnie przekonany, że Isolde de Varden i wdowa po Audleyu to zupełnie inne osoby.

- Tak się zastanawiam, czy zna pan Walię - zaczęła dość nieoczekiwanie.

- Niezbyt dobrze, nie.

Pies zaskamlał cicho. Lady Audley położyła dłoń na jego łbie.

- Już dobrze, dobrze kochana. Świetnie sobie radzisz. Athelstone Hall - zaczęła wyjaśniać - leży na północnym wybrzeżu, nieopodal zamku Audley. Dystans wynosi około trzech mil, ale podążając wzdłuż nadmorskich klifów można tam dojść w kwadrans. Biegącemu zajmie to jeszcze mniej czasu, nawet dziecku.

- Chciała pani powiedzieć: dziewczynce, która często uciekała spod opieki guwernantki i biegała samopas po okolicy?

Przytaknęła.

- Kiedy się tam przeniosłam, Katherine, matka Ginewry, od początku była dla mnie bardzo uprzejma. Kiedy Katherine zmarła... biedne dziecko pograżyło się w nieukojonym smutku. Naturalnie nikt nie jest w stanie zająć miejsca matki, ale zrobiłam, co mogłam.

- Czy Athelstone nie ożenił się ponownie?

- Tak, lecz nowa hrabina nie poświęcała córkom swoich poprzedniczek zbyt wiele uwagi.

Sebastian omiół wzrokiem elegancką kobietę z takim oddaniem zajmującą się collie. Miała wąskie ramiona, delikatne ręce, otaczała ją aura łagodności - wrażenie, jak podejrzewał, zwodnicze.

- Muszę wyznać - wyznał - że spodziewałem się Francuzki.

- Ależ nie - odparła, nie podnosząc wzroku. - Urodziłam się i wychowałam w Devonshire. Kiedy miałam osiemnaście lat, wiosną 1786

roku pojechałam do Paryża odwiedzić ciotkę. Nie wyobraża pan sobie, jaki Paryż był w tamtych czasach! Niezliczone bale, wesołość, muzyka i śmiech. Powinniśmy byli zdawać sobie sprawę, że to nie będzie trwać wiecznie - westchnęła lekko - ale o tym się nigdy nie myśli.

- To tam poznała pani chevaliera de Varden? Przysiadła na piętach, a na jej usta wypłynął słaby, smutny uśmiech.

- Tak, na bankiecie w Wersalu. Sześć tygodni później byliśmy małżeństwem. Uważałam, że mam niesamowite szczęście i właśnie wtedy, zaledwie kilka tygodni po narodzinach naszego syna Alaina, runęła Bastylia.

Sebastian patrzył, jak błędzący po jej twarzy uśmiech znika. Rok 1789 nie mógł być łatwym dla wysoko urodzonej Angielki zamężnej z francuskim arystokratą.

- To było jesienią. Motłoch zaatakował *chateau*. Udało mi się uciec z Alainem przez piwnice, ale Varden objeżdżał wtedy winnice i... - urwała i westchnęła tak głęboko, jakby serce ścisnęła jej obręcz. - Ściągnęli go z konia i rozerwali na strzępy.

Skurcz przeszył obrzmiały brzuch collie, jej ciało wygięło się w łuk i pierwszy szczeniak wysunął się na światło dzienne - mokry i lśniący od krwi. Lady Audley utkwiała w nim spojrzenie, ale wicehrabiemu wydało się, że myślami była gdzie indziej, że przed oczami ma obraz z przeszłości, obraz, którego nigdy zdoła wymazać.

Kiedyś na Półwyspie dowódca Sebastiana nakazał przywiązać portugalskiego wieśniaka do dwóch koni i popędzić je batami w przeciwnych kierunkach. Tak dla zabawy...

- Miała pani szczęście, że udało się wam wrócić do Anglii -

powiedział szybko, by przepędzić wspomnienie.

- Szczęście? No tak, można to i tak nazwać. Nie mieliśmy wyboru.

U ich stóp Cloe odgryzła już pępownię i lizała szczeniaka. Przez chwilę lady Audley milczała, głaszcząc psa po łbie. Potem słabym głosem dodała:

- Rok później wyszłam za Audleya. Wicehrabia patrzył, jak ta elegancka kobieta pomaga collie przy porodzie. Nawet teraz, po czterdziestce, była nadzwyczaj urodziwa. Dwadzieścia lat temu, jako młoda wdowa w żałobie, musiała wyglądać olśniewająco. Czy małżeństwo ze zmarłym lordem Audley to była jedna z tych rzeczy, które robi się, bo nie ma innego wyboru?

- Proszę opowiedzieć mi o matce lady Anglessey.

- O Katherine? - Prośba zdała się ją zaskoczyć. - Była podobna do Ginewry, chociaż drobna, a Ginewra wysoka, jak jej ojciec. Miały takie same kruczoczarne włosy i te oczy, które przywodziły na myśl usłane paprocią górskie wąwozy. - Uśmiechnęła się nieznacznie. - I tę samą pasję, często biorącą górę nad rozsądkiem.

- Podobno lord Athelstone stracił w połogu cztery żony. Czy to prawda?

- Nie do końca. O ile mi wiadomo, pierwsza zmarła na suchoty, gdy jej córka, Morgana, miała rok czy dwa. Jednak pozostałe trzy owszem, zmarły podczas porodu. Lord Athelstone był wielki jak dąb. Wszystkie trzy córki też były niezwykle wysokie, można więc założyć, że synowie byłiby jeszcze więksi. Według mnie, to jak krzyżowanie suki yorka z dogiem niemieckim. Synowie byli tacy duzi, że dosłownie zabijali jego żony. Nie mam wątpliwości, że syna doczekał się tylko dlatego, że wreszcie poszedł po rozum do głowy i wziął sobie kobietę swoich rozmiarów.

Cloe dalej myła swojego szczeniaczka - lizała go szorstkim językiem, trącała nosem. Minie kolejna godzina, może więcej, zanim na świat przyjdzie kolejny.

- Dlaczego chciała mnie pani widzieć? - spytał Sebastian.

Lady Audley wytarła ręce w przykrywający muślinową suknię fartuch. W jednej chwili jej twarz ścięła złość, a do głosu doszła pasja, z jaką matka gotowa jest walczyć o swoje dziecko.

- Całe środowe popołudnie Varden spędził tutaj, ze mną - Jeśli stara się pan odwrócić podejrzenie od księcia regenta i obciążyć mojego syna, nie pozwolę na to. - przewierciła go gniewnym spojrzeniem.

- Szukam prawdy.

- Prawdy? - zaśmiała się gorzko. - A jak często według lorda do niej docieramy?

- Lady Quinlan twierdzi, że jej siostra Ginewra dorastała, oczekując, że wyjdzie za pani syna.

Usłyszawszy to, lady Audley zacisnęła usta, po czym niechętnie pokiwała głową.

- Myślę, że w pewnym sensie to moja wina. Dzielił ich jedynie rok.

Zawsze patrzyłam na nich jak na brata i siostrę. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że Ginewra mogła widzieć coś zupełnie odmiennego. To było jednak dziecięce marzenie, nic poza tym. Byli dziećmi. Przecież kiedy Ginewra brała ślub, Alain był jeszcze przed Oksfordem.

- Tak, ale w ciągu czterech lat wiele się mogło zdarzyć.

Uniosła głowę i posłała wicehrabiemu skrzące spojrzenie.

- Wiem, co pan sugeruje, ale myli się pan. Owszem, Ginewra miała gorący temperament, lecz była

też bezwzględnie lojalna. Nigdy nie zdradziłaby Anglesseya. Nigdy.

Zastanawiał się, czy miało znaczenie, że lady Audley zapłonęła takim gniewem w obronie honoru Ginewry, a nie swojego syna. A może w ich kręgach inaczej patrzono na miłosne przygody kobiet i mężczyzn.

- Chętnie wysłucham, co ma w tej sprawie do powiedzenia pani syn.

Isolde wzięła głęboki wdech i na moment z jej twarzy spadła maska opanowania. Zdał sobie sprawę, że oprócz troski o rodzącą u jej stóp collię, trawił ją jeszcze inny lęk, głębszy i o wiele poważniejszy.

- Syna nie ma w domu - powiedziała. Nagle wydała się zmęczona i o wiele, wiele starsza. - Śmierć Guinever bardzo go dotknęła. Nie widziałam go od czwartkowego poranka, kiedy dowiedzieliśmy się, co zaszło tej tragicznej nocy.

Ledwie zegar wybił drugą nad ranem, niespodziewanie zerwał się chłody wiatr, przynosząc zapowiedź deszczu.

Sebastian leżał obok Kat Boleyn na łożu z jedwabnym baldachimem i słuchał, jak gałęzie pobliskiego kasztanowca stukają rytmicznie o fasadę domu. Przewrócił się na bok i przepłynął wzrokiem po śpiącej obok kobiecie, po jej wydatnych kościach policzkowych, burzy włosów i ukrytych pod nimi krągłościach piersi.

Nagły zimny podmuch zatrzęsł okiennicami i zakołysał

baldachimem. Sebastian naciągnął kołdrę na obnażone ramię Kat i uśmiechnął się. Czuł, jak wzbiera w nim miłość, jak napełnia go błogim spokojem i odurza zachwytem, który towarzyszył mu niezmiennie już od siedmiu lat, kiedy pierwszy raz wziął ją w ramiona i poczuł niebiański smak jej pocałunku.

Zastanawiał się, skąd brało to wygodne przekonanie, które lady Audley dzieliła z jakże wieloma osobami z jej sfery, że uczucia młodych to nic nieznaczące zawirowania, być może bardzo intensywne, lecz nietrwałe.

Kiedy pierwszy raz spotkał Kat, on też miał dwadzieścia jeden lat, a ona zaledwie szesnaście.

Poruszyła się, jakby wyczuwając, że nie śpi. Ostrożnie, żeby jej nie rozbudzić, wysunął się z łóżka i stanął nagi w oknie wychodzącym na front domu. Rozsunął zasłony i patrzył w dół na opustoszałą ulicę oświetloną jedynie półksiężycem znikającym co chwilę za pędzącymi po niebie chmurami.

Usłyszał szelest i poczuł, że Kat stoi za nim.

- Dlaczego nie śpisz? - spytała, obejmując go w pól. Odwrócił się w jej uścisku i mocno przytulił ukochaną.

- Rozmyślałem o Ginewrze Anglessey. O tym, jak wyglądało jej życie w Walii.

- Na pewno nie było jej łatwo - wyszeptała. - Tak wcześnie straciła matkę...

Przytulił ją mocniej, wtulając się policzkiem w jej włosy. Wszystkie były naznaczone - pomyślał - wszystkie osierocone przez matki dzieci były naznaczone, niewidzialnie, lecz boleśnie. Ginewra miała zaledwie kilka lat, kiedy straciła mamę, Sophie St. Cyr spoczęła na morskim dnie latem, gdy Sebastian skończył jedenaście lat, a Kat była ledwie dwunastoletnią dziewczynką, kiedy zabito jej matkę i ojczyma. Wiedział sporo o tym, co się wydarzyło tego mrocznego dnia, ale nie wszystko.

- Przynajmniej nadal miała dom - powiedział Sebastian, myśląc o wszystkim, co jego ukochana utraciła w ten mglisty dubliński poranek. - I ojca.

- On chyba nie przejmował się nazbyt jej losem. Wicehrabia milczał

przez chwilę. Przypomniało mu się, jak jego własny ojciec zamknął się w sobie po tym tragicznym lecie.

- Być może jednak nie na tyle, by pozwolić jej wyjść za młodzieńca bez majątku.

Kat zadarła głowę, by spojrzeć mu w oczy.

- Owszem, zastanawiam się jednak, czy sprzeciwił się ze względu na nią, czy też dla samego siebie.

- Morgana twierdzi, że Athelstone nie zmuszał jej siostry do poślubienia Anglesseya. Podobno sama wybrała markiza.

- Może zdecydowała, że skoro nie może być z człowiekiem, którego kocha, wyjdzie przynajmniej za kogoś bogatego i utytułowanego.

Sebastian poczuł, że gdy mówiła, po jej ciele przeszedł dreszcz.

Oparł się biodrem o parapet, żeby otoczyć ją ciepłem swego ciała, ciepłem swojej miłości.

- Ciekawe, co na to Varden - powiedział cicho. Wtuliła się w niego.

- Na załamane nie wygląda. Widuję go często w teatrze, jak rozrabia ze zgrają młodzieniaszków i jak zaczepiają tancerki. Nie wygląda, by cokolwiek go trapiło.

- A jednak śmierć Ginewry przeżył bardzo mocno.

- Nic w tym dziwnego. Była jego przyjaciółką z dzieciństwa.

Przesunął ręce w górę po jej nagim ciele.

- Równie dobrze mogło łączyć ich coś więcej. Oparła dłonie na jego ramionach, by znów zajrzeć mu w oczy.

- Myślisz, że to Varden jest tym kochankiem, który, jak twierdzi Bevan Ellsworth, był ojcem jej dziecka?

Wsunął palce w jej włosy i odgarnął z czoła Kat niesforny kosmyk.

- Nie mamy pewności, czy w ogóle miała kochanka. W tej kwestii nie zawierzałbym zdaniu Bevana Ellswortha.

Przez chwilę milczała zamyślona, a on przyglądał się jej. Uwielbiał

ją za tę lotność umysłu. W świecie, w którym kobiety od najmłodszych lat uczono uległości, ona była silną, inteligentną osobą i nie bała się tego okazywać.

Przynajmniej przy nim.

W końcu się odezwała:

- Nie mogę zrozumieć, co z tym wszystkim ma wspólnego książę regent.

Sebastian powoli wypuścił powietrze.

- Nie możemy chyba wykluczyć, że to było morderstwo z zimną krwią - że jej zabójca chciał jedynie rzucić cień podejrzania na księcia i do reszty zniszczyć jego opinię. Przyjmując jednak, że to prawda, dlaczego miałyby wybrać na ofiarę właśnie Ginewrę Anglessey? Dlaczego nie lady Hereford lub inną kobietę, z którą łączyły go bliższe stosunki?

- Być może tak było po prostu... wygodniej.

Wpatrzony w czarne od nocy okno przesunął dłońmi po jej ramionach. Gdzieś tam w jakimś zaułku tego rozległego, niebezpiecznego miasta kryła się odpowiedź na pytanie, co i dlaczego spotkało Ginewrę Anglessey. Gdyby tylko wiedział, gdzie tej odpowiedzi szukać.

- Pomogłoby, gdyby Lovejoy ustalił, dokąd pojechała tym fiakrem.

- Być może jej garderobiana coś wie.

Chmury zdążyły już całkiem zasłonić księżyc i ulica pogrążyła się w ponurej ciemności, którą przenikało jedynie słabe światło latarni. Sebastian odniósł wrażenie, że od domu na rogu oderwał się cień, ułudny zarys sylwetki. Pojawił się i zaraz zniknął.

- O co chodzi? - spytała Kat, kiedy wicehrabia pochylił się do przodu, zaciskając ręce na zasłonach.

- Wydawało mi się, że kogoś widziałem. Mężczyznę obserwującego dom.

- To tylko cienie. - Zziębniętym ciałem przylgnęła do niego. -

Wracajmy do łóżka.

Otoczył ją ramieniem. Lekko ugryzł Kat w szyję i delikatnie dmuchnął jej w ucho.

- Muszę iść do domu. Jest późno.

- Zostań - wyszeptwała, jej nagie ciało wymownie ocierało się o niego, dłonie błędziły zapraszająco. -
Lubię budzić się przy tobie.

- Mogłabyś się tak budzić każdego ranka, gdybyś za mnie wyszła.

Wyczuł, że sztywnieje w jego ramionach. Odsunęła się, by spojrzeć na niego. Pożądliwe iskry w jej oczach przygasły, pojawił się smutek i ból.

- Wiesz, dlaczego nie mogę tego zrobić.

Wiedział, dlaczego ona myślała, że nie może. Rozmawiali o tym tysiące razy, jednak on nadal nie mógł się powstrzymać, by nie zapytać.

- Dlaczego? Czy dlatego, że jestem wicehrabią, a ty aktorką?

- Tak - odparła krótko. Sapnął ciężko poirytowany.

- Zdajesz sobie sprawę, że gdyby Ginewrze pozwolono poślubić mężczyznę, którego kochała, prawdopodobnie żyłaby dzisiaj.

- Tego nie możesz wiedzieć.

- Wiem, że ja...

Zamknęła mu usta pocałunkiem. Ujęła rękami jego twarz i łapczywie przywarła ustami do warg Sebastiana.

- Nie - powiedziała zachrypniętym głosem. Poczul na twarzy jej ciepły oddech.

Wiedział, że go kocha. Widział to w blasku jej oczu, czuł w każdym drżącym oddechu. Okrutna to była ironia, myślał, że gdyby kochała go mniej, wyszłaby za niego.

Bez słowa splotła swoje palce z jego palcami i odciągnęła go od okna w stronę ciepłych objęć łoża. A on podążył za nią, gdyż cienie na mrocznej ulicy były jedynie poruszonymi wiatrem drzewami, a do świtu było jeszcze daleko.

Miał czas. Czas, by przekonać ją, że nie ma racji, że wychodząc za niego, nie tylko nie zrujnowałaby mu życia, lecz je ocaliła. Miał jeszcze czas.

Powtarzał sobie, że mają całą wieczność.

Sen często mąciły mu koszmary, powracające wyobrażenia idących na śmierć odzianych w czerwone mundury szeregów żołnierzy o twarzach pokrytych kurzem i mocno zaciśniętych ustach. Kamiennych ścian poczerniałych i walących się od przeraźliwego huku artylerii, płaczu dziecka, kobiecego krzyku, palącego odoru śmierci, szczątków koni i ludzkiego mięsa.

Tej nocy jednak śniła mu się Kat. Leżała w jego łożu ubrana w suknię ślubną. Złote światło świecy rzucało tańczące cienie na jej śnieżnobiałą twarz i delikatną skórę zamkniętych powiek. Kiedy ukląkł przy niej, jedwabne fale baldachimu lekko się zakołysały. Nie odczuwał jednak przyjemności, a jedynie ból ściskających go w gardle łoż.

Skołowany wyciągnął rękę, by zamknąć ją na jej dłoni i wtedy zrozumiał. Jej ręce były zimne, a kiedy ją pocałował, usta nie zareagowały, powieki nie drgnęły, jej oczy miały się już nigdy nie otworzyć. Pojął, że suknia ślubna stała się jej całunem.

Gwałtownie usiadł na łóżku, łapczywie chwytając powietrze, a serce o mało nie wyskoczyło z piersi. Odwrócił głowę i zobaczył, że Kat śpi obok niego. Piękne, ciemne włosy okalały jej policzki, jej słodki oddech muskał mu twarz. Mimo to musiał ją dotknąć, poczuć pod palcami ciepło jej ciała.

Przebudziła się w niemym świetle poranka, szukając go dłońmi, zanim jeszcze otworzyła oczy. Przebiegła palcami po jego ramionach aż do

nagich bioder. Wtulił twarz we włosy Kat, wdychając znajomy zapach wody różanej i jej własny słodki aromat. Poczł pulsującą w nim miłość.

Jeszcze na wpół uspiona zamruczała delikatnie, gdy jego ręka odnalazła jej piersi. Objęła go nogą, jej stopa zapraszającym gestem otarła się o łydkę Sebastiana. Uniósł się nad nią, a ona poprowadziła go w siebie.

Zamknął oczy i całując jej szyję, zaczął delikatnie się w niej poruszać. Choć tulił ją w ramionach ciepłą i pełną życia, nadal nie potrafił

odegnąć niepokoju, którym napełnił go nocny koszmar.

Garderobiany Sebastiana, człowiek poważny i dość tęgi, nazywał się Sedlow, a dla wicehrabiego pracował zaledwie od roku. W ratowaniu zniszczonych podczas nocnych eskapad płaszczy nie miał sobie równych, potrafił też przywrócić butom połysk nawet po forsownym polowaniu.

Jednak kiedy Sebastian późnym rankiem pojawił się w domu z owiniętym w brązowy papier pakunkiem skrywającym parę źle skrojonych spodni i staromodny szynel, Sedlow zbladł i cofnął się z przerażeniem.

- Milordzie! Nie zamierza lord chyba pojawić się w tych łachmanach publicznie?

Przerywając wiązanie niemodnego, pospolitego krawata, wicehrabia zerknął na garderobianego.

- Daleko im do łachmanów. Poza tym nie wybieram się w do klubu.

- Ale... i tak ktoś może pana zobaczyć. Sebastian uniósł jedną brew.

- Czy obawiasz się, że mogłoby to wyrządzić mojej reputacji nieodwracalne szkody?

Sedlow prychnął.

- Pańskiej reputacji? Nie, milordzie. Arystokraci mogą sobie pozwolić na ekscentryzm.

- Ach, rozumiem. To o swoją reputację się obawiasz?

Garderobiany już otwierał usta, ale zmienił zdanie. - Mądrze -

pochwalił go arystokrata i narzucił na ramiona swój źle skrojony płaszcz.

Wczesnym rankiem zaczęło padać. Miarowy deszcz przyniósł ze sobą przenikliwe powietrze znad Morza Północnego, zmieniając kilka ostatnich dni wyjątkowo ciepłej jak na tę porę roku pogody w mgliste, niewyraźne wspomnienie. Na New Bond Street Sebastian zawołał dorożkę i kazał woźnicy zawieźć się na Mount Street. Potem usiadł wygodnie oparty o drzwi i obserwował, jak krople deszczu gonią się po szybie. A także powoli wnikał w postać, którą zdecydował się przybrać.

To była sztuczka aktorska, którą Kat pokazała mu jeszcze za tych wczesnych, ekscytujących dni, gdy on był świeżo po Oksfordzie, a ona stawiała dopiero pierwsze kroki na scenie. Dopracował tę technikę w wojsku, gdzie jego być albo nie być często zależało od umiejętności wchodzenia w różne role. Teraz zakładanie masek przychodziło mu równie łatwo, co narzucanie starego płaszcza.

Kiedy podjechał pod wejście dla służby w domu na Mount Street, z dorożki zamiast wicehrabiego

wysiadł Simon Taylor, jeden z najlepszych konstabli z Bow Street.

Sebastian był zdania, że o damie można się wiele dowiedzieć, oceniając jej służkę. Niektóre pokojówki były istotami nader wyniosłymi, zwracającymi nie mniejszą uwagę na modę i równie protekcjonalnymi, co ich panie. Inne były pogodnymi, rumianymi kobietami ze wsi, które służyły swoim paniom od czasów szkoły, podczas gdy jeszcze inne sprawiały wrażenie nieśmiałych i potulnych, ciągle obawiających się, że zostaną odprawione.

Tess Bishop, pokojówka lady Anglessey, była szczupłą, drobną kobietą koło trzydziestki. Włosy miała koloru słomkowego, cerę ziemistą i na pierwszy rzut oka wyglądała na strachliwą. Jej szare oczy zdradzały jednak bystrość i inteligencję, a do służbówki, którą Sebastian wybrał na miejsce przesłuchania, weszła pewnym krokiem.

Jak przystało na służącą w domu pogrążonym w żałobie, ubrana była na czarno. Mimo niedzieli krepową suknię przykrywał fartuch - nie odpoczywała. Wicehrabia pomyślał, że bardzo prawdopodobne, iż właśnie się pakuje. W końcu jaki pożytek mógł mieć wdowiec z pokojówki?

Zatrzymała się w drzwiach i z nieukrywaną podejrzliwością zmierzyła Sebastiana wzrokiem.

- A gdzie ma pałkę? - zauważyła, mając na myśli nieodzowne narzędzie pracy konstabli.

Prawdziwy konstabl zapewne warknąłby: „Ja ci dam takie bezczelne odzywki”, i kazał jej usiąść. Wicehrabia jednak wiedział z doświadczenia, że większość ludzi jest bardziej skora do współpracy, jeśli okazywać im szacunek. Powiedział więc po prostu:

- Proszę usiąść - i wskazał krzesło z drewnianym oparciem stojące przy oknie z widokiem na skąpany w deszczu ogród.

Przez chwilę wahała się, lecz w końcu usiadła sztywno, składając dłonie na podołku.

- Chciałbym zadać ci kilka pytań dotyczących lady Anglessey -

zaczął, opierając się plecami o ścianę. - Wiemy że w środowe popołudnie twoja pani wyjechała z domu dorożką i mieliśmy nadzieję, że powiesz nam dokąd.

- Nie - rzuciła sucho. - Nie wiem. Sebastian uśmiechnął się do niej zachęcająco.

- Nic ci nie przychodzi do głowy?

Nie odwzajemniła uśmiechu, twarz nadal miała ściągniętą, pozbawioną wyrazu.

- Nie, sir. Nie powiedziała, a ja to się w sprawy państwa nie wtrącam.

Skrzyżował ręce na piersi i zakołysał się razem z krzesłem.

- To godne uznania, z całą pewnością. Jednak służąca często wie wiele o swojej pani, choć nikt jej nic nie mówi i chociaż się nie wtrąca.

Jesteś na przykład całkowicie pewna, że lady Anglessey nie zostawiła jakiejś wskazówki? Może wspomniała o czymś, gdy kazała ci przygotować suknię na popołudnie?

- Sama wybrała suknię, zwykłą spacerową z pasującą pelisą. Strój odpowiedni dla modnej damy wychodzącej na popołudnie.

Zdecydowawszy się zmienić taktykę, Sebastian podszedł i usiadł

naprzeciwko pokojówki.

- Proszę mi powiedzieć, panno Bishop, jak pani zdaniem układało się między milordem a lady Anglessey?

Posłała mu spojrzenie zimne jak stal.

- Nie mam zielonego pojęcia, o co panu chodzi.

- Myślę, że masz. - Wsparł się łokciami na udach i pochylił do przodu. - Czy, dla przykładu, kłócili się?

- Nie.

- Nigdy? - Sebastian uniósł jedną brew z niedowierzaniem. - Byli małżeństwem od ponad czterech lat i żadnych sprzeczek? Może chociaż jakieś drobne nieporozumienia?

- Nawet jeśli się kłócili, sir, to nie w mojej obecności.

- Nie wiesz, czy spotykała się z człowiekiem o imieniu Alain, Alain de Varden?

Coś rozbłysło w jej oczach, coś, co starała się ukryć, wbijając wzrok w swoje ręce zaciśnięte teraz tak mocno, że aż zbieleły.

- W życiu nie słyszałam tego nazwiska. Wicehrabia badawczym wzrokiem śledził jej sztywne, niechętne rysy. Pomyślał, że to wiele mówiło o Ginewrze Anglessey, skoro nawet po śmierci mogła liczyć na taką lojalność ze strony służącej.

- Od jak dawna byłaś na służbie u milady? - spytał.

- Od czterech lat - odparła Tess Bishop, nieznacznie się rozluźniając.

- Przyjęła mnie na krótko przed zaślubinami.

Sebastian odchylił się na krześle.

- No tak, to chyba naturalne, że młoda dama mająca niebawem tak świetnie się wydać, bierze sobie na służbę kogoś doświadczonego, a nie pokojówkę, którą przywiozła z prowincji.

- To wcale nie było tak. To była moja pierwsza posada.

- Pierwsza?

- Właśnie. Wcześniej byłam szwaczką, a mój David stolarzem, ale dostał wezwanie do marynarki, tuż przed zbombardowaniem Kopenhagi. -

Zrobiła przerwę. - Zginął.

- Przykro mi - powiedział wicehrabia. Wyszło mu to nawet bardziej zdawkowo, niż zamierzał.

- Potem starałam się jak mogłam, żeby nas utrzymać, ale... -

zamilkła, jakby żałowała, że aż tyle powiedziała.

- Nas? - drążył Sebastian.

- Mieliśmy dziecko. Córeczkę. - Tess Bishop odwróciła twarz do okna.

- Zachorowałam. Nie nadążałam z pracą, więc mnie zwolnili. I wtedy rozchorowało się moje dziecko.

Wicehrabia patrzył, jak jej wąska szyja porusza się, gdy przełknęła ślinę. Znał wiele takich historii. Podobne tragedie były na porządku dziennym w Londynie, Paryżu czy w każdym innym mieście. Wystarczyła choroba czy zastój w przemyśle dziewiarskim i ledwie wiążąca koniec z końcem wdowa lądowała na bruku. Większość zaczynała się sprzedawać albo kraść, albo jedno i drugie. Nie miały wyboru. To jednak nie powstrzymywało moralizatorów od nazywania ich grzesznicami oraz źródłem wszelkiego zepsucia. Tak jakby jakakolwiek kobieta przy zdrowych zmysłach sama wstępowała na ścieżkę wiodącą do chorób, śmierci i anonimowego nagrobka na jakimś cuchnącym cmentarzu.

- Byłam zdesperowana - odezwała się służąca ledwie słyszalnym szeptem. Na samo wspomnienie policzki spłonęły jej wstydem. - W końcu zaczęłam żebrać na ulicach. Lady Anglessey... ulitowała się nade mną.

Zaprosiła do domu i nakarmiła. Zawołała nawet lekarza do mojej małej.

Sebastian spojrzał na jej szczupłe ramiona i pochyloną głowę przykrytą białym wykrochmalonym czepkiem.

- Ale było już za późno. Tej właśnie nocy moja Sarah umarła.

W ogrodzie za oknem deszcz zelżał, lecz szare chmury nadal wisiały ciężko nad miastem. Było stąd widać zarys szklanego szkieletu oranżerii z zaparowanymi wilgocią szybami.

Takiej Ginewry nikt mu wcześniej nie pokazał. Pomyślał, że to nietypowe. Zastanawiało go, co też sprawiło, że wyciągnęła do tej kobiety pomocną dłoń. Przypadkowe spotkanie ich spojrzeń? Może

młoda, przybita córka hrabiego dostrzegła w oczach nieznajomej rozpacz czarniejszą niż jej własna?

- Ja też chciałam umrzeć - powiedziała Tess Bishop ledwie słyszalnym głosem - ale lady Ginewra powiedziała, że tak nie można, że jeśli nasza droga okaże się wyboista, tym bardziej musimy walczyć i szukać radości w tym, co dostaliśmy od życia.

- I zatrudniła cię jako pokojówkę? Mimo że nie miałaś doświadczenia?

Służąca uniosła głowę, z zacięciem zaciskając usta.

- Ciężko pracowałam i szybko się uczę. Nie zawiodłam mojej pani.

Wszystko bym dla niej zrobiła.

- Teraz ją zawodzisz - powiedział Sebastian, żeby ją przycisnąć. -

Jeśli naprawdę zrobiłabyś dla niej wszystko, pomogłabyś mi znaleźć jej mordercę.

Pochyliła się, a jej małe szare oczy zapłonęły niespodziewanym gniewem.

- Powiem panu, kto ją zabił. Nazywa się Bevan Ellsworth. To bratanek lorda Anglessey. Pragnął jej śmierci od czterech lat, od kiedy poślubiła jego wuja.

- Pragnąć czyjejś śmierci a zabić to dwie różne rzeczy.

Tess Bishop pokręciła głową. Jej nozdrza zadrgały.

- Trzeba go było słyszeć, kiedy tu przyszedł...

- Kiedy to było?

- Zaledwie w zeszłym tygodniu. W poniedziałek chyba. Wpadł tu, kiedy milady jadła śniadanie. Tak się wydzierał, że wszyscyśmy słyszeli: że jego wierzyciele dowiedzieli się, iż pani jest w ciąży i przez to on może jednak nie zostanie następnym markizem Anglessey. Wrzeszczał, że mu grożą, nawet śmiercią. A potem zaczął grozić jej.

- Groził jej? Jak?

- Powiedział, że raczej ją zabije, niż pozwoli bękartowi zająć swoje miejsce.

Na ścianie tuż za głową pokojówki wisiała ręcznie haftowana makata

- jedwabny haft na lnianym płótnie. Sebastian zapatrzył się na starannie wyszyte kwiaty oplatające misternie utkane litery alfabetu. Lecz tak naprawdę widział błysk nienawiści w oczach Bevana Ellswortha i słyszał

trzask pękającej kości chłopca na boisku do gry w Eton.

- Jak zareagowała twoja pani? - zapytał.

- Kazała mu się wynosić. A kiedy powiedział, że pójdzie, a jakże, pójdzie powiedzieć wszystkim, wszystkim, co z niej za nierządnicą, ona... -

głos pokojówki załamał się.

- Co takiego?

Tess Bishop dostała wypieków. Wahala się przez moment, po czym wyrzuciła z siebie:

- Roześmiała się. Powiedziała, że wyjdzie tylko na głupca, jakim zresztą jest, bo jej syn będzie kolejnym markizem, nawet jeśli zostałby poczęty z jakimś łachmytą z rynsztoka.

No tak, jedna z nieśmiertelnych zasad jeszcze z prawa rzymskiego: *Pater est quem nuptiae demonstrant*. Ojcem dziecka jest mąż kobiety, niezależnie czyje spłodził. Słowa Ginewry nie musiały oczywiście nic znaczyć. W gniewie mówi się różne rzeczy. Mimo to...

- Proszę mi teraz wybaczyć, sir - powiedziała pokojówka, wstając. -

Jego lordowska mość prosił, żebym zajęła się żałobnym ubraniem dla służby.

Sebastian również odsunął swoje krzesło.

- Ależ oczywiście - starał się, by jego głos brzmiał zwyczajnie, chociaż serce zaczęło mu kołatać. - Mam jeszcze tylko jedno pytanie. Czy wiesz, skąd twoja pani miała naszyjnik, w którym zginęła?

- Naszyjnik? - Tess Bishop zdziwiona zmarszczyła czoło. - Jaki naszyjnik?

Wicehrabia położył na dłoni triskelion z szafirami.

- Ten.

Chwilę przyglądała się klejnotowi, po czym zdecydowanie pokręciła głową.

- To nie mojej pani.

Przez moment Sebastianowi miał wrażenie, że naszyjnik pali mu skórę, choć w ponurym świetle słotnego dnia kamienie wyglądały jak kryształy lodu.

- Miała go w chwili śmierci.

- Ale to niemożliwe.

- Dlaczego?

- Bo tego popołudnia miała na sobie pompejankę.

- Słucham? - odezwał się Sebastian skonfundowany.



- Taką suknię spacerową w kolorze pompejańskiej czerwieni.

Pompejanki mają wysokie kołnierze i gofrowane batystowe krezy.

- Co?

- Krezy. To taki jakby trzywarstwowy kołnierz - odparła Tess Bishop zniecierpliwiona banalnym pytaniem. - Żadna dama nie założyłaby naszyjnika do takiej sukni. A już na pewno nie milady.

Bevan Ellsworth miał mały apartament dwa piętra nad ekskluzywnym sklepem na St. Jamess Street.

Używając zdolności nabytych przez pięć lat służby w armii, gdzie robił rzeczy, jakich żaden dżentelmen nie powinien, Sebastian sam otworzył sobie główne drzwi do holu. Znalazł się w niewielkim salonie, w którym przepych kontrastował z bałaganem - na aubussońskim dywanie leżały rzucone buty do jazdy konnej, a bogato inkrustowane biurko tonęło w stosie zaproszeń i niezapłaconych rachunków.

Drzwi prowadzące do sypialni były do połowy uchylone. Sebastian podszedł i otworzył je szerzej.

Tu panował jeszcze większy nieporządek. Na stoliku przy drzwiach stała pusta butelka po brandy i brudne szklanki; podłoga tonęła pod płataniną brudnych krawatów, skarpet, kamizelek i koszul.

Wicehrabia nie zdziwiłby się, gdyby na okrytym jedwabnym baldachimem łożu ujrzał bezwstydnie rozciągniętą nagą dziwkę. Ellsworth spał jednak sam - na wznak, na zmiętym prześcieradle, pod skopaną kołdrą ledwie przykrywającą mu biodra. Stęchłe powietrze było ciężkie od alkoholu i potu.

Sebastian przyciągnął do łóżka finezyjne wykonane krzesło z oparciem w kształcie liry. Ustawił je tyłem do łoża, usiadł na nim okrakiem i wyjął z kieszeni mały francuski pistolet skałkowy. Na nocnym stoliku pod oknem stał do połowy opróżniony kieliszek z brandy. Sięgając wolną ręką, zanurzył w cieczy końce palców i spokojnie strzepnął zimne kropelki na pochrapującego Bevana.

Ellsworth zmarszczył nos i przekręcił się na bok, lecz oczy nadal miał zamknięte. Opryskany

ponownie zamrugał, po czym otworzył

szeroko oczy, podnosząc się gwałtownie na łokciu.

- Co, u diabła?!

Zanim Sebastian wyrzekł choć słowo, oparł rękę z pistoletem o zaokrąglone oparcie krzesła.

- Powinieneś się trzymać Howarda i Gibbsa - powiedział głosem tak przyjaznym, jakby udzielał przyjacielowi porady finansowej. - Ich odsetki może i są astronomiczne, ale w przeciwieństwie do swoich bardziej bezwzględnych kolegów z King Street, nie zanieczyszczają Tamizy ciałami niesolidnych klientów.

Bevan odchrząknął i przetarłszy wierzchem dłoni usta, usiadł prosto, cały czas wpatrując się w lufę pistoletu.

- Skąd o tym wiesz?

- Naturalnie - kontynuował wicehrabia swobodnym tonem - problem z Howardem i Gibbem jest taki, że zazwyczaj wymagają jakiegoś zabezpieczenia. Szczególnie jeśli zachodzi podejrzenie, że potencjalny klient może wcale nie odziedziczyć fortuny.

Ellsworth przeskoczył wzrokiem na otwarte drzwi, a potem znów na Sebastiana.

- Co ty tu robisz? I dlaczego, do diaska, wyglądasz jak jakiś cholerny konstabl z Bow Street?

Młody arystokrata tylko się uśmiechnął.

- Mówiłeś, że twoje długi nie są pilne. Okłamałeś mnie. To było niemądre.

Zacisnąwszy zęby, Bevan wskazał brudne zasłony łóżka.

- Spójrz na to miejsce. Zobacz, jak jestem zmuszony żyć. Całe dni spędzam w sądzie. Jasna cholera, jestem o włos od zostania kolejnym markizem Anglessey, a pieniądze, które dostaję od wuja, są tak śmiesznie, że nie starcza mi nawet na opłacenie krawca.

- Szczególnie po dniu spędzonym na zakładach w Tattersalls.

Ellsworth zwilżył językiem dolną wargę. W ostrym świetle poranka skórę miał ziemistą i zwiotczałą z przemęczenia, a oczy przekrwione.

- Ja jej nie zabiłem - oznajmił zadziwiająco spokojnym tonem.

- Ale odgrażałeś się, że to zrobisz.

Bevan odrzucił kołdrę. Kalesony ze ściągaczem wisiały mu nisko na biodrach.

- A kto na moim miejscu nie chciałby jej zabić?! - wrzasnął. -

Chciała mi odebrać coś, co mi się należy! - Huknął się pięścią w nagi tors.

- Moje! I przekazać wszystko jakiemuś bękartowi.

- Tego nie możesz być pewien.

Jego usta wykrzywił cierpki uśmieszek.

- Nie mogę? Niektóre rzeczy trudno utrzymać w tajemnicy. A służący lubią plotkować.

Wstał i podszedł do toaletki. Wziął do ręki dzbanek, z pluskiem nalał

wodę do stojącej na stoliku miski.

- Kto więc jest ojcem?

- A skąd ja mam wiedzieć? - Ellsworth wzruszył ramionami. -

Wczoraj na pogrzebie widziałem co najmniej z pół tuzina młodych

byczków. Z tego, co wiem, sama Ginewra miałaby problemy ze wskazaniem ojca.

Sebastianowi coś zaświtało w głowie i poderwał się z miejsca.

- Gdzie ją pochowano?

- U Świętej Anny. Dlaczego pytasz?

Wicehrabia Dewlinu pokręcił głową i uśmiechnął się szeroko.

- Nie rozumiem jedynie, po co zadałeś sobie taki trud i przewiozłeś zwłoki markizy z Londynu do pawilonu.

- Chryste! - Ellsworth odwrócił się gwałtownie. Jego purpurowa twarz wyrażała złość i coś jeszcze... strach? - Ty nadal uważasz, że to ja...

że ja ją zabiłem?

- Popytałem dyskretnie w sądzie. Tego dnia zjawiłeś się późno, a wyszedłeś wcześniej.

Sebastian był pewien, że Bevan zaprzeczy, ale ten zwięził tylko oczy, pochylił się do przodu i wycodził zaczepnie:

- Myślisz, że ja zabiłem? W porządku. No to spróbuj mi to udowodnić.

Kiedy Sebastian wyskakiwał z dorożki przed kościołem świętej Anny, dzwony były już na przedpołudniową mszę. Deszcz nie ustawał.

Duże krople spadały z przemokniętych liści starych sękatych dębów, kładąc wybujałą trawę i barwiąc granitowe nagrobki niemal na czarno.

Niewielki cmentarz był szczelnie otoczony przez budynki, które wyrosły przez lata wokół starego kamiennego kościoła. Stojąc w bramie, Sebastian widział jedynie dwa najnowsze groby - świeżo usypane kopce ciemnobrązowej ziemi obsypane były zmarniałymi liliami i chryzantemami.

Mijając zardzewiałe stalowe barierki i omszałe posąg, podszedł do jedynej osoby na cmentarzu - mężczyzny stojącego z pochyloną głową i postawionym kołnierzem przy jednym z nowych grobów. Na odgłos kroków mężczyzna odwrócił się i wicehrabia rozpoznał w nim Alaina de Varden.

Stał w strugach deszczu z odkrytą głową i w wytwornej, lecz poplamionej koszuli. Bładą jak ściana twarz pokrywał trzy-, czterodniowy zarost.

- Proszę, proszę, sam lord St. Cyr - odezwał się, ocierając z twarzy wodę, która spływała mu po policzkach i przyklejała ciemne włosy do czoła. - Czyżbyś przyszedł, panie, pożegnać zmarłą? Czy tylko dodać mnie do swojej listy podejrzanych?

Sebastian zatrzymał się kilka kroków od niego. Nad ich głowami rześisty deszcz dudnił o liście dębów i kasztanowców i lał się głośnymi strugami z pochyłych daszków grobowców rodzinnych.

- Rozmawiał pan ze swoją siostrą Claire.

- Owszem - odparł kawaler de Varden. Mówił bardzo wyraźnie, a jego ruchy były płynne i pełne gracji. Jedyne rozmyte lazurowe oczy zdradzały, że kompletnie się upił. - Ona sądzi, że to sprawka Bevana Ellswortha.

- A pan?

Varden odrzucił głowę w tył i ryknął szyderczym śmiechem.

- Tylko Księciunio może zostać znaleziony z martwą kobietą w ramionach, a mimo to wszyscy wokół będą się dwoić i troić, by zrzucić winę na kogoś innego.

Sebastian pokręcił głową.

- Myli się pan. Regent jej nie zabił. Nie mógłby. Była martwa sześć do ośmiu godzin przed tym, jak znalazł ją w Żółtej Komnacie w pawilonie.

Podmuchy porywistego wiatru przynosiły zapach wilgotnej ziemi, mokrych kamieni i śmierci. Varden stał nieruchomo, jedynie jego pierś drgała przy każdym wdechu.

- Jak to?

- Ginewra Anglessey zginęła w środę po południu, prawdopodobnie gdzieś w Londynie, zważywszy, że dom opuściła dopiero po lunchu.

Wynajętą dorożką.

- Wynajętą dorożką? Dokąd się udała? - zapytał zadziwiająco przytomnie Alain.

- Nie wiem. - Wicehrabia nie spuszczał wzroku z jego twarzy.

Malowały się na niej żal, gniew i ten rodzaj poczucia winy czasami dręczącego tych, co pozostali przy życiu. Nie dostrzegł jednak podstępny, zakłopotania czy strachu, jakich można by oczekiwać po twarzy mordercy, któremu grunt pali się pod nogami. - Myślałem, że może pan mi to wyjaśni.

Varden przejechał ręką po mokrych włosach. Nagle bolesny skurcz wykrzywił mu twarz, zacisnął powieki.

- Ostatni raz widziałem ją w zeszłym tygodniu. W sobotę.

Ulicą za ich plecami przemknął powóz. Koła z żelaznymi obręczami przetoczyły się w podskokach, ledwie dotykając drogi, w mokrym powietrzu rozniósł się echem stukot końskich kopyt. Niebo zakrywały ciężkie chmury i było ciemno jak pod wieczór.

- Wiem od lady Quinlan, że przyjaźnił się pan z jej siostrą -
powiedział Sebastian.

Alain opuścił ręce, lecz szeroko otwarte oczy zdradzały czujność.

- Zaryzykowałbym stwierdzenie, że ujęła to nieco inaczej.

Wicehrabia przytaknął.

- Raczej nie pały do siebie miłością, prawda?

- Można tak powiedzieć. A jeśli to pana dziwi, widocznie jest pan jedynakiem - powiedział Varden z goryczą, która wiele mówiła o relacjach z jego własnym przyrodnim rodzeństwem.

- Mam dwóch braci - odparł Sebastian. Obaj już nie żyli, ale nie widział potrzeby, by o tym wspominać. Ani też przyznawać się do siostry, która niespełna pięć miesięcy temu zacierała ręce na myśl o tym, że go powieszą.

Więc między rodzeństwem mogła być bardzo silna - dobrze to wiedział, ale zdawał sobie też sprawę z zaciętej rywalizacji, zazdrości, pretensji i niechęci, które bliskie więzy potrafią przemienić w obłąd.

Szczególnie jeśli kolejność narodzin zapewniała pierworodnemu władzę i luksusy, a resztę na zawsze odsuwała w jego cień.

- Athelstone nigdy nie zajmował się żadną ze swoich córek - ciągnął

Varden. - Myślę, że ich nienawidził. Wciąż przypominały mu o synu, którego nie mógł mieć.

- Można by przypuszczać, że takie dzieciństwo powinno je zbliżyć.

- Tak mógłby pomyśleć tylko ktoś, kto nie zna Morgany. Do samej śmierci Athelstonea usiłowała za wszelką cenę przypodobać się temu staremu łajdakowi i w końcu dopięła swego: udało jej się postawić Gini w złym świetle. - Niespodziewanie na twarzy Alaina zagościł czuły uśmiech. - W dodatku Morgana wcale się przy tym nie natrudziła. Gini wykonała za nią większość czarnej roboty. Była... - urwał, szukając odpowiedniego słowa. Uśmiech przygasł. - Gini była bardzo zbuntowana, kiedy dorastała.

- Dlaczego?

Varden wzruszył ramionami.

- Przypuszczam, że z powodu śmierci matki. Zła na ojca. Kto to wie?

Podszedł do brunatnego kopca, pochylił głowę i zacisnął pięści.

Wokół szalała ulewa. Strugi rześkiego deszczu rozchłapywały kałuże powstałe w zagłębieniach starych nagrobków, dudniły w dachy.

Nagle uniósł głowę i przymykając oczy na zacinającym deszczu, powiedział:

- To on to zrobił, wie pan? Ksicciunio. Nie obchodzi mnie, co pan myśli. Jestem tego absolutnie pewien.

- A jakież to powód mógł mieć księżę regent, by zabijać markizę Anglessey?

- W szaleństwie nie ma metody. A oni wszyscy są szaleni. Niech pan nie udaje, że tego nie wie! Każdy z tego opuszczonego przez Boga rodu, co do jednego szalony. Król może jedyny kompletnie postradał zmysły, ale piętno ciąży na wszystkich, począwszy od Clarencea opowiadającego niestworzone historie o morskich podbojach, a skończywszy na starym jednookim Cumberlandzie zdradzającym nadmierne zainteresowanie swoją siostrą Sophią.

Sebastian stał nieruchomo ze wzrokiem skupionym na Vardenie.

Mężczyzna otwartą dłonią przetarł mokrą od deszczu twarz.

- Moja siostra Claire przynajmniej w jednym ma rację: to Bevan Ellsworth ponosi głównie odpowiedzialność za to, co przytrafiło się Ginewrze. To by się nie wydarzyło, gdyby nie ohydne kłamstwa, jakie na jej temat rozpowiadał od dnia jej ślubu. To dlatego Księciunio myślał, że jego

niedorzeczne awanse spotkają się z ciepłym przyjęciem.

Wicehrabia nagle się ożywił.

- Księżę regent czynił jej awanse? Kiedy to było?

- Zaczęło się w Carlton House jakoś zeszłej wiosny. Towarzyszyła Anglesseyowi podczas uroczystego bankietu i regent nalegał, że oprowadzi ją po oranżerii.

- Gdzie zrobił się aż nadto wylewny? Czy to ma pan na myśli?

Varden wydał wargi.

- Położył jej rękę na dekolcie.

Sebastian potoczył wzrokiem po skąpanym w deszczu cmentarzu.

Dobrze wiedział, że takie rzeczy zdarzały się regentowi już wcześniej.

Rozpuszczony księżę, przystojny za młodu i przyzwyczajony w pochlebstw, często przeceniał wrażenie, jakie wywierał na płci przeciwnej.

Mimo to, zapytany o ich relacje, odparł, że ledwie ją znał.

Wzrok Sebastiana powrócił na bladą, zdjętą bólem twarz Alaina.

- Co ona na to?

- Próbowała się wyrwać. Rozbawiło go to. Stwierdził, że lubi kobiety z temperamentem. Uciekła się do bardziej drastycznych kroków.

- To znaczy?

- Wymierzyła mu policzek w tę jego tłustą, pełną samozadowolenia buźkę.

- Był pod dobrą datą?

- Nie bardziej niż zazwyczaj. Wydawać by się mogło, że taka reakcja powinna ostudzić jego zapał, ale wywołała dokładnie odwrotny skutek.

Nie dawał jej spokoju. Nalegał, by tańczyła z nim na balach, na przyjęciach pilnował, by zawsze siedziała obok niego. Nie dalej jak tydzień temu wysłał jej jakąś ozdóbkę. „Mały dowód sympatii”, jak się wyraził. Od jubilera ze sklepu Rundell & Bridge na Ludgate Hill.

Powszechnie wiadomo, że Rundell i Bridge byli ulubionymi złotnikami księcia. W pewnych kręgach

narzekano, że rocznie wydawał na biżuterię tyle, że wystarczyłoby na ubranie i wyżywienie całej armii brytyjskiej. Zawsze kupował ozdóbki, jak zwykł je nazywać, i zasypywał

nimi swoje faworyty i przyjaciółki - tabakiery z kości słoniowej, wysadzone klejnotami motyle, diamentowe i ametystowe bransoletki... a także rzadkie, niespotykane naszyjniki.

Sebastian spojrział w górę i przymrużył oczy. Na tle ciemnego, ołowianego nieba liściaste gałęzie dębów i kasztanów zdawały się czarne.

- Co jej podarował?

- Nie widziałem. Odesłała mu to razem z liścikiem, w którym wyraźnie dawała mu do zrozumienia, że jego awanse nie są mile widziane.

- A Anglessey? Wiedział o tym?

Błede zapadłe policzki Vardena poczerwieniały nienaturalnie.

- Takich rzeczy kobieta raczej mężowi nie mówi, prawda?

- Panu jednak powiedziała - odparował wicehrabia i patrzył jak z twarzy chevaliera de Varden znikają resztki koloru.

Charles lord Jarvis odnosił się z głębokim szacunkiem do instytucji Kościoła anglikańskiego.

Kościół, tak jak monarchia, służył nieocenioną pomocą w zwalczaniu niebezpiecznego sojuszu filozofii ateistycznej i politycznego radykalizmu. Biblia uczyła biednych, że ich niski stan posiadania to wola boża, a Kościół pilnował, by dobrze to zrozumieli. Z tego właśnie względu Jarvis zmuszał się co tydzień do uczestnictwa we mszy.

Tej niedzieli, z głową pochyloną w należnym Stwórcy szacunku, uczestniczył w nabożeństwie w Chapel Royal.

Towarzyszyły mu leciwa matka, półobląkana żona Annabelle i nieznośna córka Hero, której - jak uważał - należało przypomnieć, co Biblia i święty Paweł mieli do powiedzenia w różnych kwestiach, a szczególnie roli kobiety w społeczeństwie.

Podczas drugiego czytania, kiedy duchowny grzmiał z kazalnicy:

„Kobiety mają na tych zgromadzeniach milczeć; nie dozwala im się bowiem mówić, lecz mają być poddane, jak to Prawo nakazuje”*, Jarvis dał córce lekkiego kuksańca w bok, aby sobie te słowa wzięła do serca.

* Biblia Tysiąclecia, 1 Kor 14,34.

Nie spuszczać wzroku z ambony, pochyliła się do niego i wyszeptała zjadliwie:

- Uważaj, papo. Dajesz zły przykład ciemnym masom.

W kółko wygadywała takie rzeczy. Tak jakby toczące kraj społeczne niezadowolenie mogło być przedmiotem żartów. Mimo to wiedział, że niezwykle poważnie podchodziła do - jak to określała - „okropnej sytuacji biedoty”. Czasami podejrzewał nawet, że sama żywiła radykalne poglądy.

Myśl ta jednak napawała go takim przerażeniem, że czym prędzej ją od siebie odganiał.

Po nabożeństwie wyszli na szary, wciąż deszczowy dzień. Po drugiej stronie ulicy stał wysoki młodzieniec. Szpetny szynel i liche kapelusz z

okrągłym rondem nie były w stanie ukryć jego wysokiego pochodzenia ani też niebezpiecznego błysku w nienaturalnie żółtych oczach.

Jarvis położył dłoń na ramieniu córki. - Pojedź z matką i babką do domu - nakazał ściszym głosem.

Spodziewał się, że dziewczyna jak zwykle będzie oponować. Jednak podążyła za jego wzrokiem i przez krótką, pełną napięcia chwilę szczerze szare oczy Hero spotkały się z dzikim spojrzeniem St. Cyra. Potem umyślnie odwróciła się plecami do ojca i poprowadziła swoją bezmyślnie paplającą matkę i nadąsaną babkę do powozu.

Dużymi krokami, starając się unikać płynących ulicą ścieków, Jarvis ruszył w stronę wicehrabiego.

Wicehrabia z rękami wciśniętymi w kieszenie stał oparty o niską metalową barierkę oddzielającą chodnik od ruchliwej ulicy.

- Popełnił pan błąd, a właściwie dwa - stwierdził. Jarvis stanął

naprzeciwko niego w znacznej odległości.

- Rzadko popełniam błędy.

Młodszy mężczyzna spuścił wzrok na czubki swoich butów. Kiedy znów podniósł głowę, na jego ustach igrał dziwny uśmiešek.

- Księżcunio posłał markizie Anglessey podarunek. Co to było?

Zausznik regenta nadal milczał, więc wicehrabia odepchnął się od barierki i zrobił duży krok w jego stronę.

- Co to było, do kata?! I niech pan nawet nie próbuje udawać, że nie wie pan, o czym mówię.

- Rubinowa broszka - odparł Jarvis niespiesznie, z opanowaniem - z diamentem pośrodku.

Reakcja wicehrabiego była trudna do rozszyfrowania, nawet dla kogoś tak wprawionego w odczytywaniu myśli i emocji innych.

- Dość kosztowny drobiazg - skomentował spokojnie - jak dla kobiety, którą jego wysokość, jak twierdzi, ledwie znał.

Deszcz przybrał na sile, więc Jarvis otworzył parasol.

- Jego wysokość czasem mija się z prawdą. Szczególnie jeśli jej następstwa mogą okazać się... nieprzyjemne.

- A pańska wymówka? - natarł Sebastian, a nie uzyskawszy odpowiedzi, pytał dalej: - To dlatego kazał lord zniszczyć liścik, prawda?

Ponieważ ktokolwiek go napisał, wspominał w nim o wcześniejszej odmowie, jaka spotkała księcia. Sugerował, że Ginewra zmieniła zdanie.

Jarvis nie dawał się sprowokować. Wicehrabia zaklął i zrobił krok w stronę rozmówcy, ale po chwili się cofnął.

- Czynił jej awanse. Nieprzyzwoite, niechciane awanse. I nie przyjmował odmowy.

- Skąd pewność, że były niechciane? - rzucił Jarvis.

- Wystarczy już! - St. Cyr gniewnie podniósł rękę. - Tę kobietę otruto. Ją i jej nienarodzone dziecko. Ani się pan waży ujmować jej honoru swoimi łągarstwami.

- Otruta? Naprawdę? Interesujące.

Wicehrabia przeniósł wzrok na pokrytą sadzą ceglastą stróżówkę St.

James Pałace pod drugiej stronie ulicy. Przyglądając mu się, Jarvis zrozumiał, że dla Sebastiana St. Cyra badanie okoliczności śmierci Ginewry Anglessey było czymś więcej niż umysłową łamigłówką, czymś więcej niż ucieczką przed nudą. Naprawdę przejął się losem tej młodej kobiety. Ów niespodziewany pierwiastek emocji sprawiał, że łatwiej było nim manipulować, ale jednocześnie czynił go nieprzewidywalnym i niebezpiecznym.

- Gdzie Księciunio był w środę wczesnym popołudniem? - spytał

zniecka wicehrabia.

- W Brighton, rzecz jasna! - Jarvis parsknął sztucznym, ironicznym śmiechem. - Na Boga, nie myśli chyba hrabia, że jego wysokość mógł

naprawdę mieć cokolwiek wspólnego z tą śmiercią?

- Teraz nie wydaje mi się to już tak nieprawdopodobne.

- Dlaczego? Bo ona odrzucała jego umizgi? Nie bądź pan śmieszny.

W Anglii roi się od kobiet bardziej niż chętnych do spółkowania z przyszłym królem. Wystarczy, że na taką spojrzy i się uśmiechnie.

- Zastanawia mnie jednak, co by się stało, gdyby taki próżny, wydelikacowany książę spotkał kobietę, która miałaby czelność odrzucić jego zaloty.

- Jeszcze się nie zdarzyło, żeby jakaś kobieta czuła się przez jego wysokość do czegoś przymuszana. - odparł Jarvis dobitnie, niemal gniewnie. - Nigdy.

- Możliwe. Ale jego ojciec - wzór wierności, jeśli takowy istnieje -

nie dalej jak w zeszłym roku spuścił spodnie i zaatakował własną synową.

Zaufany regenta ścisnął mocniej rączkę parasola, ale twarz nadal miał pogodną, a głos opanowany.

- Książę nie ma problemów psychicznych. Twarz Sebastiana nie zdradzała żadnych emocji.

- Proszę mi opowiedzieć o sztylcie. Tym, który wyjął lord z pleców Ginewry Anglessey i zabrał.

Jarvis posłał wicehrabiemu ciepły, uspokajający uśmiech.

- Po cóż miałbym to robić?

Młody arystokrata uśmiechnął się równie wyrachowanie.

- Wciąż zadaję sobie to pytanie. A odpowiedź może się lordowi nie spodobać...

Kiedy Sebastian dotarł do swojego domu na Brook Street, czekał tam na niego Lovejoy.

- Sir Henry - powitał go wicehrabia, otwierając drzwi do biblioteki, gdzie sędzia pokoju siedział na wiklinowym fotelu przy wykuszowym oknie i czytał poranną gazetę. - Ufam, że nie czekał pan długo.

Lovejoy złożył gazetę w staranny prostokąt i wstał.

- Nie, niedługo.

Był niepozornym człowiekiem - niewiele ponad pięć stóp wzrostu, piskliwy głos, grube szkła w okularach i poważny wyraz twarzy. W

żadnym razie nie wyglądał na kogoś, kto z takim oddaniem codziennie stawia czoło zbrodni i występki.

Zdjąwszy płaszcz, kapelusz i rękawiczki, Sebastian podszedł do stołu przy pustym kominku i sięgnął po karafkę z brandy.

- Napije się sędzia szklaneczkę?

- Dziękuję, nie. - Lovejoy splótł dłonie na plecach i odchrząknął. -

Usłyszałem dziś przedziwną historię o mężczyźnie podającym się za konstabla z Bow Street. Opisano mi go jako przystojnego młodzieńca o zwierzęcym wręcz spojrzeniu.

- Przedziwne. - Sebastian z bezbarwnym wyrazem twarzy strzepnął

niewidzialny pyłek ze swojego źle skrojonego płaszcza. - Czy temu zawdzięczam odwiedzin? Czyżby pan podejrzewał, że ten mężczyzna jest ze mną spowinowacony?

Ledwie dostrzegalny uśmiech uniósł kąciki wąskich ust sędziego.

- Ależ nie. Przyszedłem, ponieważ wytropiliśmy pańskiego fiakra z Yorkshire.

Dobrze pamiętał ten kurs - powiedział Lovejoy. - Damy rzadko każą się wieźć na East End. Sebastian zaskoczony opuścił kieliszek.

- East End?

- W rzeczy samej. Giltspur Street w Smithfield.

- W którym dokładnie miejscu na Giltspur?

- Dorożkarz nie wiedział. Lady Anglessey kazała się wysadzić na początku ulicy. Widział tylko, jak znika na targu. - Lovejoy odchrząknął. -

Wysłałem tam jednego z moich chłopców. Powęszył, popytał, ale nikt jej nie pamięta.

Mało prawdopodobne - pomyślał Sebastian, nalewając sobie kolejny kieliszek brandy. Młoda dama w szkarłatnej sukni, w dodatku tak urodziwa, to widok, który tak łatwo nie ulatuje z głowy. Niestety nawet kryształowo uczciwi londyńczycy często traktowali konstabli jak zadżumionych, jak zamach na ich prawa i wolności. Więcej mógł się dowiedzieć niepozornie wyglądający mężczyzna zadający dyskretne pytania.

Kiedy Sebastian płacił fiakrowi za kurs na Giltspur Street, deszcz przestał już padać, ale nad przesiąkniętym zapachem krwi Smithfield Market nadal wisiały nisko ciężkie chmury.

Teraz handlowano tu mięsem, ale kiedyś, jakieś dwieście lat wcześniej, w czasach Tudorów - palono ludzi. Katolicy palili protestantów, żeby ratować ich dusze przez ogień piekielny, a protestanci katolików.

Sebastian nie mógł pojąć, jak można było postępować tak w imię Chrystusa, który nadstawiał drugi policzek i kochał bliźniego jak siebie samego. A jednak chrześcijanie w imię Pańskie od wieków masakrowali, kogo popadło - od oliwkowej karnacji mieszkańców Jeruzalem po Irlandczyków w Dublinie.

Odziany w niemodnie skrojony szynel i praktyczne skórzane bryczesy skromnego ziemianina, Sebastian zaczął przeciskać się przez kłębowisko ludzi. Byli to głównie poganiacze bydła, którzy przybyli już na poniedziałkowy targ. Zjeżdżali się nawet z północnej Anglii i Szkocji, przypędzając wielkie stada bydła, by wyżywić ponadmilionowe miasto.

Natomiast miejscowi czeladnicy, służący i sklepikarze włączyli się tu głównie dla rozrywki, korzystając z wolnej niedzieli.

Panowała swobodna, wesoła atmosfera. Ulicami niosły się przyjazne okrzyki i śmiech, a bogaty aromat piezzonego mięsa i ferment piwa mieszały się z wszechobecnym swądem błota, niemytych ciał i moczu.

Przy pierwszym skrzyżowaniu Sebastian przystanął i rozejrzał się po szyldach targowych stoisk: garbarzy, rzemieślników, handlarzy węglem, gorzelników, sprzedawców guzików i bławatników. Nic, co mogłoby zainteresować markizę. Co więc robiła tam Ginewra Anglessey?

Szedł dalej. Minał zamknięte okiennice sklepiku z herbatą, a dalej stoisko z pasmanterią. W poniedziałek przyśle tu Toma, żeby popytał, podejrzewał jednak, że lady Anglessey nie szukała tu herbaty czy guzików.

W połowie ulicy natrafił na stary pub z pruskiego muru o nazwie

„Norfolk Arms”. Wysoki i zadbane budynek musiał przetrwać wielki pożar z 1666 roku. Prawdopodobnie pamiętał czasy Edwarda i Marii Tudorów oraz męczeńskich stosów w Smithfield.

Sebastian skierował się ku drzwiom lokalu. Kilku biegnących ulicą wyrostków wpadło na niego i krzyżąc „przepraszam!”, popędziło dalej.

Wsparty na owiniętym szmatą kiju jednonogi żołnierz o potwornie zdeformowanej, pociętej szablą twarzy dzwonił kubkiem i cichym głosem prosił o jałmużnę.

Wicehrabia wrzucił mu monetę.

- Gdzie służyłeś?

Żebrak wciągnął powietrze głęboko w płuca, wyprostował się dumnie i z ciężkim szkockim akcentem powiedział:

- W Antwerpii, sir.

St. Cyr zauważył, że pomimo rozczochranej brody, zmatowiałych włosów i ziemistej, oszpeconej bliznami twarzy, mężczyzna był dość młody; miał góra dwadzieścia pięć lat.

- Jesteś tu codziennie?

Uśmiech rozciągnął jego poorane policzki i uwydatnił przedwczesne zmarszczki rozchodzące się promieniście od szarych, cierpiących oczu.

- Ta jest, sir!

- Zeszłej środy popołudniem przechodziła tędy młoda kobieta.

Czarne włosy. Ładna. Dama. Miała na sobie szkarłatną suknię i pelisę.

Widziałeś ją?

Mężczyzna zaśmiał się chrapliwie.

- Oczy u mnie dobre. Śliczna była, że hej! Pięć szylingów mi dała.

- Pamiętasz, dokąd poszła?

Żołnierz gwałtownym ruchem głowy wskazał pub za jego plecami.

- A jakże, do „Norfolk Arms”.

Sebastian poczuł ekscytację, ale natychmiast je w sobie zdusił.

- Jak długo tam była? Pamiętasz? Żebraw chwilę się zastanawiał, po czym pokręcił głową.

- Trudno powiedzieć. Nie pamiętam, żeby wychodziła.

Sebastian jeszcze jakiś czas rozmawiał z wiarusem. Kupił piwa i trochę wołowiny z rożna, po czym zjedli ją wspólnie, rozprawiając po żołniersku o kampanii w Portugalii, ostatniej ciężkiej zimie i śmiałych wyczynach pułkownika Tranta w Coimbrze. Minęło dobre dziesięć minut, nim wicehrabia wrócił do tematu czarnowłosej piękności w czerwonej pelisie.

Żołnierz nie miał wątpliwości - była sama. Nadal jednak nie pamiętał, by wychodziła z pubu. Nie przypominał sobie też, by ktokolwiek inny zajrzał tam owego dnia.

Wicehrabia wrzucił kolejną monetę do jego puszki i ruszył do drzwi lokalu. Schylając głowę przed niskim nadprożem, wszedł do środka. W

głównej sali powietrze było gęste od zapachu piwa i stłoczonych ciał.

Ogłuszający zgiełk męskich rozmów mieszał się ze stukotem talerzy i cynowych kufli do piwa. Wtem rozległ się tubalny, górujący nad resztą głos:

- Powinni wypuścić biednego starego króla i zamknąć jego synalka.

Tak właśnie powinni zrobić.

Na chwilę zapanowała cisza, jakby wszyscy naraz postanowili wziąć oddech. Potem inny mężczyzna, niewidoczny w szarych zakamarkach wyłożonego ciemnym drewnem pomieszczenia, sarknął:

- Raczej wszystkich ich pozamykać! Szaleju się najedli. Ojciec czy synalek, jeden czort.

Po sali przetoczyła się fala śmiechu i entuzjastycznych okrzyków, a Sebastian ruszył w stronę baru. Nieśmiało, jakby był skromnym młodzieńcem, co to dopiero przyjechał z prowincji, zamówił kufel piwa.

Potem oparł się łokciem o szynkwias i powoli potoczył wzrokiem po zatłoczonym pomieszczeniu aż do szerokich, wyłożonych dywanem schodów. Ginewra nigdy nie przyszłaby tu do głównej sali, ale w pubie były też pokoje na piętrze i zapewne również prywatny salon. Miejsce do modnych może nie należało, ale wyglądało dość przyzwoicie.

Co do powodu wizyty takiej damy w Smithfield, liczba możliwych wytłumaczeń - pomyślał Sebastian - szybko się kurczyła. Jedno było pewne - bardzo chciała uniknąć przypadkowego spotkania z kimś znajomym, bo że eleganckich hotelach, jak Steven's czy Limmer's, ktoś by ją rozpoznał, to prawie pewne. A jednak wytłumaczenie, choć logiczne, dziwnie do Sebastiana nie przemawiało.

Nadal sącząc piwo, przeniósł wzrok na właściciela pubu. Był nim postawny, wysoki, muskularny Afrykanin ze świecącą się łysą głową, szerokim nosem i pełnymi wargami. Skóra w bardzo jasnym odcieniu kawy z mlekiem wskazywała na sporą domieszkę europejskiej krwi.

Mężczyzna zwrócił na niego uwagę, tak jak każdy knajpiarz na nieznanego. Kiedy Sebastian

zamówił kolejne piwo, czarny olbrzym przyniósł je osobiście.

- Nowy w mieście? - spytał, stawiając kufel na starym, pociętym rysami barze.

Charakterystycznie przeciągał samogłoski, co przywodziło na myśl magnolie, spieczone słońcem pola i trzask bicia zarządcy. Wicehrabia wziął łyk piwa i posłał Mulatowi przyjazny uśmiech.

- Przyjechałem z Leicester. Jestem tam sekretarzem sędziego Lawrencea, ale mój ojciec w młodości spędził trochę czasu w Georgii. Czy stamtąd pan pochodzi?

Mężczyzna przymrużył oczy.

- Nie, z Karoliny Południowej.

- To daleko od domu pan zawędrował. Tęskni pan? Czarny mężczyzna uśmiechnął się szeroko, odsłaniając zdrowe zęby koloru kości słoniowej.

- A jak pan myślisz? Urodziłem się jako niewolnik latem 1775, dokładnie na rok przed tym, jak Jankesi wyskoczyli z tą swoją Deklaracją Niepodległości. Słyszałeś pan o tym?

- Nie, nie wydaje mi się.

- Och, czegoż tam nie ma! Równość, prawa człowieka i wolności.

Tyle że te piękne słówka tyczą się tylko białych, a nie czarnych, niewolników jak ja.

Sebastian przyjrzał się jego szerokiej, silnej szyi i żyłom, które nagle wystąpiły mu na czoło. Nie lada drogę musiał przebyć, żeby z niewolnika na plantacji w Karolinie Południowej stać się właścicielem pubu na Giltspur Street w Smithfield.

- Amerykanie są chyba dość świętoszkowaci. Mulat ryknął

śmiechem, aż zadudniło.

- Świętoszkowaci? A to dobre! Uważają się za wspaniały, pobożny naród - tak, tak, za światło przewodnie, które wyprowadzi ludzkość z ciemności. A sami co narobili? Powybijali czerwonoskórych i ukradli im ziemię, a potem przywieźli nas z Afryki, żebyśmy za nich odwalali całą brudną robotę, bo przecież biali państwo nie będą sobie kalać swoich białutkich rączek. Co to, to nie.

- Sędzia Lawrence zawsze powtarza, że tak naprawdę Amerykanie zrobili rewolucję, bo król nie zgadzał się, by zerwali porozumienia z Indianami.

- Ten twój sędzia Lawrence to mądry facet. Wicehrabia pochylił się do przodu i zniżył głos.

- Szczerze mówiąc, sędzia wysłał mnie do Londynu, żebym się dla niego wywiedziało kilku rzeczy. Dyskretnie wywiedziało - dodał z naciskiem, odchrząkując i rozglądając się nerwowo. - Widzi pan,

chodzi o jego siostrę. W zeszłym tygodniu uciekła z domu. Podejrzewamy, że ludzie z pobliskiej wsi podwieźli ją do Smithfield i miałem nadzieję, że przyszła tutaj. By przenocować.

Szeroka twarz mężczyzny nie zdradzała żadnych emocji.

- Damy to tu raczej nie zaglądamy. Może pan spróbować w Stanford, na Snow Hill.

- Tam już pytałem. Widzi pan, rzecz w tym, że, jak mi powiedziano, zeszłej środy zawitała tu pewna dama. Młoda kobieta, ciemnowłosa, w czerwonej pelisie. Pelisa pani Eleanory była co prawda zielona, ale mogła przecież kupić sobie nową. - Sebastian przerwał, jakby nie chciał wyjawiać prawdy. - Nie wiem, czy powinienem to mówić, ale obawiamy się, że może chodzić o mężczyznę.

Mulat przejechał ścierką po brudnym od śladów kufli barowym blacie.

- Ostatniej środy, mówi pan?

- Tak - odpowiedział Sebastian z przesadnym przejęciem. - Widział

ją pan?

- Gdzie tam! Nie wiem, kto naopowiadał panu takich bzdur, ale nie było tu żadnej damy. Może to była żona jakiegoś hodowcy bydła, co tu zjechał na targ.

Właściciel pubu oddalił się, a wicehrabia nadal sączył piwo i obserwował otoczenie. „Norfolk Arms” może i mieściło się w Smithfield, ale większość klienteli nie wyglądała na poganiaczy bydła czy kupców.

Dwóch Izraelitów rozmawiających ściszymi głosami pod oknem mogłoby pewnie kupić i sprzedać króla Anglii, i to kilkakrotnie, a przy stole blisko wyjścia mała grupka mężczyzn raczyła się brandy.

Dobrą francuską brandy - jak zauważył Sebastian, wyężając wzrok.

Jeden z mężczyzn miał palce poplamione atramentem, był więc pewnie urzędnikiem; reszta wyglądała na prawników z pobliskiego sądu. Sebastian bacznie ich obserwował, aż nagle starszy dżentelmen z bujną, posiwiałą czupryną i potężną wystającą szczęką uniósł kieliszek i zaproponował toast.

- Za króla.

Powiedział to jednak bardzo cicho. Tak cicho, że ktoś z mniej wyostrzonym słuchem nie zrozumiałby ani słowa. Reszta towarzystwa przy stoliku również wzniosła kieliszki i wyszeptała:

- Racja, racja, za króla - a zanim wzięli łyk, potrząsnęli kieliszkami nad stojącym obok dzbanem z wodą.

Sebastian zatrzymał kufel w połowie drogi do ust. „Za króla za wodą” - to był stary toast, miał ze sto, może więcej lat. W taki właśnie sposób jakobici pozornie pili za panującego z dynastii hanowerskiej, ale w rzeczywistości oddawali cześć zdetronizowanemu Jakubowi II Stuartowi i jego potomkom skazanym na życie na wygnaniu.

Za wodą.

Opuszczając „Norfolk Arms”, Sebastian dziękował za swój - jak to nazywała Kat Boleyn - koci wzrok. Podczas ostatniej godziny pochmurne popołudnie zdążyło przejść w czarną noc bez gwiazd i księżyca. To nie było Mayfair. W tej okolicy nie stały równe rzędy naftowych latarni zapalanych o zachodzie słońca. Na Mayfair codziennie pojawiał się latarnik zgięty wpół pod ciężarem drabiny i w towarzystwie małego chłopca. Tu okiennice sklepowe były już pozamykane, a wąską uliczkę, choć nadal zatłoczoną, rozjaśniało ledwie kilka świateł.

Dla większości ludzi zachodzące słońce ograniczało świat do palety niewyraźnych odcieni szarości i ledwie dostrzegalnych kształtów.

Sebastian jednak nie tracił umiejętności rozróżniania kolorów. W nocy widział prawie tak dobrze jak za dnia, a czasem nawet lepiej, gdyż zdarzało się, że jaskrawe światło sprawiało mu ból.

Był więc w stanie dostrzec cień dziewczyny, która wysunęła się z bocznej uliczki i ruszyła za nim.

- Pst - wyszeptała. - Proszę pana, ta kobieta...

Sebastian odwrócił się gwałtownie, a ona spłoszona zrobiła krok w tył. Była wyjątkowo wysoka, choć młodziutka. Przyjrzawszy się jej twarzy, wicehrabia uznał, że to jeszcze dziecko - czternaście, góra piętnaście lat.

Miała gładkie policzki, mały nos, a oczy tak nienaturalnie jasne, że wyglądała jak zjawa.

Jednym ruchem jak atakujący wąż chwycił ją za ramię i mocno ścisnął.

- Co o niej wiesz?

- Proszę nie robić mi krzywdy - wydyszała dziewczyna. Jej głos zaskoczył go bezbronnością. - Słyszałam, jak pan pytał o tę kobietę, no tę, która była w zeszłym tygodniu w pubie. Tę damę w czerwonej sukience.

Spojrzał jej głęboko w oczy, szukając podstępu, ale znalazł w nich jedynie strach i wrodzoną nieufność.

- Widziałaś ją? Wiesz, z kim przyszła się zobaczyć? Zaniepokojona zerknęła przez ramię i wciągnęła szybko powietrze, tak że klatka piersiowa aż jej podskoczyła.

- Tutaj nie mogę o tym mówić. Mogą mnie zobaczyć.

Wicehrabia zaśmiał się cicho.

- A więc o to chodzi! Chcesz mnie zwabić w jakiś ciemny kąt, żeby twoi koledzy mogli mnie przeciwiczyć?

Otworzyła szeroko oczy. - Nie!

Ulica powoli pustoszała. Minął ich jakiś muzyk wygrywający na flecie znaną melodię, a potem trzech rozweselonych, cuchnących dżinem handlarzy bydła. Szli, trzymając się za ramiona, i śpiewali, a raczej zawodzili:

O-o-o Panie, o-o-o Panie, wykop mi grób, wykop głęboki, o Panie, bo słodki Wilhelm umarł dziś za mnie, a jutro ja spłacę dług. Jeden z handlarzy, rosły rudzielec z krzywym nosem, począł ochotczo podrygiwać, na co jego towarzysze nagrodzili go wiwatami. Gdy jednak chwilę potem potknął się o rynsztok, wygwizdali go bezlitośnie. Zionąc dżinem i surową cebulą, wesołek wpadł na Sebastiana, popchnął go i dziewczynie udało się wyrwać z uścisku. Popędziła w górę uliczki - widział migające w ciemności jej białe stopy i falujące na ramionach proste blond włosy.

To była pułapka. Wiedział o tym. Mimo to podążył za nią.

Znalazł się w krętym przejściu. Po ubitej ziemi, między stosami śmieci i popękanych beczek, wił się wąski strumyk rynsztoka. Otaczały go ceglaste, niszczone ściany starych budynków w stylu Tudorów. Wilgotne powietrze czuć było prochem i ciężkim zapachem krwi z pobliskiego sklepu rzeźnika.

Jakieś trzydzieści jardów w głębi uliczki dziewczyna zniknęła za niskimi drzwiami, a zza sterty skrzynek wynurzyło się trzech mężczyzn, blokując wąskie przejście.

Sebastian zauważył, że choć ubrani byli niedbale, to jednak nie w łachmany.

- Chyba popełniłeś duży błąd - odezwał się jeden z nich, najwyższy i w najporządniejszym stroju. Jego patrycjuszowski nos i pociągła twarz wydawały się wicehrabiemu dziwnie znajome. Biały, sztywny krawat był

idealnie zawiązany, a połę płaszcza odcinały się czernią od ceglastej ściany za jego plecami. - Co, bracie?

Wicehrabia natychmiast się odwrócił. Na końcu uliczki, w przyćmionym świetle pochodni majaczyły sylwetki kolejnych dwóch napastników.



Tak liczny komitet powitalny zaskoczył Sebastiana. Spodziewał się jednego, może dwóch. A więc jego pytania trafiły kogoś w bardzo czuły punkt. Kiedy się pochylał, przyszło mu też do głowy, że chodziło o coś więcej niż śmierć młodej kobiety.

W bucie miał ukryty sztylet. Ukradkiem schował go w rękę, czując na dłoni gładki, zimny dotyk rękojeści. Strach? Nie, strachu nie czuł. Ten pojawiał się, gdy był czas na zastanowienie lub gdy nie było żadnych szans obrony. Teraz odczuwał jedynie burzący krew przyływ energii i wyostrenie wszystkich zmysłów.

Sześć lat walk w górach w Portugalii, we Włoszech i na Karaibach nauczyło Sebastiana szybko i sprawnie oceniać grożące mu niebezpieczeństwo. Mógł zostać, tam gdzie był, i pozwolić mężczyznom się otoczyć, a wtedy czekała go walka z pięcioma naraz. Mógł też natrzeć na jedną grup i spróbować ucieczki, zanim połączą siły. A skoro miał

trzech przed sobą i tylko dwóch za plecami, wybór był prosty.

Chwilowo obydwie grupy napastników wydawały się zadowolone z dzielącego ich dystansu.

- Kto cię tu przysłał? - spytał jeden z mężczyzn stojących u wylotu uliczki, ciemnowłosy człowiek w średnim wieku z rosnącym brzuchem i obwisłymi policzkami. W prawej ręce ścisnął pokaźnych rozmiarów drewnianą pałkę i groźnie wystukiwał nią rytm na wolnej dłoni.

Wicehrabia poznał go, podobnie jak stojącego przy nim rudzielca z nożem. To byli ci sami, którzy wyśpiewywali wcześniej o „słodkim Wilhelmie” - tylko teraz byli już trzeźwi i skupieni. Dwaj, ale wcześniej było trzech. Czy gdzieś tam w mroku czekał co najmniej jeszcze jeden. A może i flecista...

Udając zdenerwowanie, Sebastian oblizał wargi i cienkim, drżącym głosem odpowiedział:

- Sędzia Lawrence z Leicestershire.

- Aha - burknął mężczyzna z pałką. - Pamiętaj, że człowiek może umrzeć szybko albo po trochu, błagając o litość i przeklinając dzień, w którym przyszedł na świat. Wybór należy do ciebie.

Wicehrabia uśmiechnął się trupio.

- *O Panie, o Panie, wykop mi grób* - zanucił i skoczył do przodu.

Wybrał mężczyznę po prawej, dużego, zwinnego rudzielca z nożem, który mógł zabić szybciej niż pałka. Tamten zastygł w miejscu i trzymając ostrze nisko, czekał na atak Sebastiana. On jednak w ostatniej chwili zrobił

unik, tak że nóż przeciął powietrze nad jego prawym ramieniem.

Wicehrabia podbił pełną piegów dłoń i sam zadał cios. Ostrze przeszło przez kamizelkę i koszulę,

przecięło skórę i zatopiło się głęboko w ciele.

Był na tyle blisko rudzielca, że widział pory jego skóry, lśniący na czole pot i czuł odór dżinu, którym oblał swój wełniany, szorstki płaszcz.

Ugodzony mężczyzna wydał z siebie zduszony bulgot, przewrócił oczami, a z ust pociekła mu krew i ślina. Sebastian wyszarpnął ostrze i co rychlej odwrócił się do napastnika z pałką.

Za wolno. Miał tyle szczęścia, że uderzenie, które miało roztrzaskać Sebastianowi potylicę, trafiło z impetem w bark. Ból przeszył obojczyk i przeszedł do lewego ramienia. Wicehrabia osunął się na kolana, stękając przez zaciśnięte zęby. Zawisł nad nim cień. Gdy podniósł głowę, zobaczył

obwisłe, purpurowe od gniewu policzki, rozwarte usta odsłaniające

zaciśnięte z wściekłością żółte, krzywe zęby i podnoszoną do kolejnego uderzenia pałkę.

Sebastian wbił sztylet głęboko w brzuch przeciwnika.

Mężczyzna zawył z bólu, a potem jeszcze raz, kiedy młody arystokrata próbował wyswobodzić ostrze zaplątane w gruby materiał

kamizelki. Ktoś krzyknął. Wicehrabia usłyszał szybki, urywany oddech i tupot z drugiego końca uliczki.

Zostawiając sztylet, wstał z kolan. Widział niewyraźny, kołyszący się wylot zaułka ograniczony ciemnymi ceglastymi ścianami. Rzucił się do ucieczki. Jeden krok, drugi... i wąskie przejście przeszył huk wystrzału.

Zobaczył żółtobiały błysk palącego się prochu i poczuł gryzący zapach siarki.

A chwilę potem ból promieniujący ze skroni.

Zachwiał się, ale biegł dalej. Wypadł z uliczki na Giltspur Street.

Zgubił kapelusz. Czuł, że po twarzy strużkami spływa mu krew, plamiąc płaszcz i kamizelkę. Czuł jej miedziany zapach. Ale to nie była jego krew.

Ludzie odwracali za nim głowy. Kobiety w chustkach na głowach cofały się, ich twarze były blade, przestraszone oczy szeroko otwarte.

Wiedział, że wszyscy tu musieli słyszeć wystrzał pistoletu, nikt jednak nie kwapił się z pomocą. Był tu obcy, a goniący go mężczyźni nie.

Strużka ciepłej krwi spłynęła do oka. Zatoczył się i znalazł na ulicy.

W ciemnościach majaczyły mu końskie łby i ich szerokie nozdrza.

Usłyszał trzask bata, krzyk i brzęk uprzęży. Uskoczył w ostatniej chwili, o

włos unikając galopujących kopyt i dudniących żelaznych obręczy kół

pędzącego po ulicy dużego zielono-czerwonego beczkowozu z piwem.

Wóz był wysoki, górne krawędzie jego drewnianych boków Sebastian dostrzegł jakieś trzy stopy nad swoją głową. Za sobą usłyszał

dudniące o wybrukowany chodnik kroki. Nie oglądając się, dał susa na wysoki tył wozu, starając się oburącz uchwycić tylnej kłapy. Jednak cios w ramię pokiereszował je bardziej, niż myślał. Lewa ręka bezwładnie zsunęła się z szorstkiego drewna. Tylko prawa znalazła uchwyt. Pod wpływem takiego obciążenia ramię przekręciło się w stawie.

Gdzieś za plecami usłyszał krzyk, a potem czyjś zachrypnięty głos:

- Tam jest! Łapać go!

Z zaciśniętymi zębami wicehrabia starał się podciągnąć na jednej ręce i wskoczyć na tył wozu. Ledwie udało mu się zaczepić łokciem o tylną klapę, kiedy jeden z mężczyzn chwycił go za nogi.

Sebastian zakołysał się i ciężar mężczyzny pociągnął go w dół nad szybko uciekającą spod stóp ulicę. Krzywiąc się z bólu, spojrział na pobrużdżoną twarz, gęste proste brwi i wąski nos napastnika.

- Mam cię, psi zwisie - wysyczał ten przez zęby.

Uwalniając jedną nogę, St. Cyr podciągnął kolano i kopnął z całej siły. Jego podeszwa sięgnęła twarzy mężczyzny. Wicehrabia usłyszał

trzask chrząstek i kości, a po chwili zobaczył strumień krwi, gdy siła ciosu odrzuciła napastnika.

Przewyciężając ból, mężczyzna złapał Sebastiana za but, lecz ten zsunął mu się z jego nogi i ranny z głośnym hukiem runął na bruk, nadal niczym trofeum ściskając w rękach twardy bucior sekretarza sędziego Lawrence'a.

- Zobaczysz - pokręciła głową Kat, delikatnie przecierając mu skroń szmatką zmoczoną w wywarze z oczaru wirginijskiego - kiedyś ktoś strzeli do ciebie i nie spudłuje.

Sebastian wciągnął powietrze, sycząc z bólu.

- Tym razem nie do końca spudłowali.

Siedział na niskim stołku przy kuchennym stole w domu Kat na Harwich Street. Elspeth i reszta nielicznej służby aktorki wycofała się już do swoich pokoi wysoko na poddaszu; w domu panowała ciemność i cisza.

Z oddali doszedł ich słaby, przejmujący dźwięk dzwonów pogrzebowych.

Podniósł dłoń i dotknął otwartej rany tuż nad uchem. Dała mu po rękę.

- Nie dotykaj!

Zajęta była mieszaniem balsamu z ubitych ziół od aptekarza. Gdy skończyła, powiedziała:

- Wiedziałaś, że to pułapka. Po co w nią wchodziłeś?

- Pomyślałem, że czegoś się dowiem. Nie sądziłem, że będzie ich aż pięciu.

- I czego się dowiedziałeś? Że twoje pytania są komuś nie na rękę?

To już wiedziałaś. Tajemniczy wielbiciel chodzi za tobą już od jakiegoś czasu.

- Nie sądzę, aby mój cień był wśród tych ludzi.

- Rozpoznałbyś go, gdybyś go zobaczył?

- Nie, ale te zbiry nie wiedziały, kim jestem. Gdyby było inaczej, mój przyjaciel z pałką nie pytałby, kto mnie przysłał.

Skończyła wcierać mu balsam w ranę i poszła zawinąć w chusteczkę okład z surowych ziemniaków i krowiego mleka.

- Powiesz o tym o tym sir Henry emu? Wicehrabia ściągnął koszulę i spojrzał na nią.

- Lovejoyowi? A co on, u diabła, mógłby z tym zrobić?

Podeszła i przyłożyła zimny kompres do jego stłuczonego ramienia.

- Mógłby wysłać kogoś do „Norfolk Arms”.

- Tylko tego by brakowało - odparł, sięgając do kompresu, by przytrzymać go na miejscu - żeby jakiś przygłupiasty konstabl węszył po okolicy, zadając kretyńskie pytania i drażniąc wszystkich naokoło. Już widzę, jakbyśmy się wtedy czegokolwiek dowiedzieli.

Ich spojrzenia spotkały się. Piękne, otwarte szeroko błękitne oczy Kat były pełne troski.

- Nie możesz tam wrócić.

Dotknął jej twarzy i opuszkami palców przesunął delikatnie po policzku.

- Proszę uważać, panno Boleyn. Jeszcze trochę i gotów jestem pomyśleć, że troszczy się pani o moje zdrowie niczym żona.

Oczekiwał ciętej riposty. Ona jednak oparła się o niego, zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się.

- Jeśli ci ludzie są zamieszani w spisek przeciwko regentowi i myślą, że trafiłeś na ich trop, nie zawahają się przed niczym. Sam wiesz...

Przycisnął twarz do jej aksamitnych piersi.

- Wiemy tylko, że mężczyźni przy jednym ze stolików w pubie mają słabość do zmarłego wypędzonego króla. Nie oznacza to, że cała dzielnica zamierza obalić dynastię hanowerską.

Wstała energicznie i poszła pozbierać przeróżne balsamy i mikstury, których używała. Nietypowy moment słabości minął. Odzyskała kontrolę i z przekorą w głosie powiedziała:

- Myślałam, że nie wierzysz w przypadki.

Wstał, by rozprostować kości. Wykonał kilka wolnych kolistych ruchów ramieniem.

- Nie mogę pojąć, jak ta sprawa łączy się ze śmiercią Ginewry Anglessey. Gdyby na przykład udało mi się powiązać moich znajomych z Giltspur Street z Bevanem Ellsworthem, sprawa zaczęłaby nabierać sensu.

Pokojówka Ginewry twierdzi, że ostatniego poniedziałku wpadł jak burza do londyńskiej rezydencji swojego wuja i zagroził, że ją zabije. Ma też pioruńsko dobry motyw i zniecierpliwionych wierzycieli na karku.

- A poza tym nigdy go nie lubiłeś. Sebastian spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- A poza tym nigdy go nie lubiłem.

Zrzucił z siebie zakrwawione bryczesy i poszedł wlać kolejny garnek gorącej wody do głębokiej wanny, którą ustawili obok kuchennego paleniska.

- Co wiesz o Fabianie Fitzfredericku? - zapytała niespodziewanie.

- On i Ellsworth obracają się w tych samych kręgach, chociaż Fitzfrederick przestaje też z dandysami. - Zmarszczył brwi. - A myślisz, że Fitzfrederick może być w zamieszany?

- Nie wiem, psiakrew. To by łączyło wątek Ellswortha z rodziną królewską.

- Trochę to naciągane.

- Trochę to naciągane - przyznała.

Sebastian wszedł do wysokiej emaliowanej wanny i usiadł, przyciągając kolana pod brodę.

- Problem polega na tym, że choć budynki sądu znajdują się podejrzanie blisko Giltspur Street, Ellsworth nie zdążyłby przewieźć ciała Ginewry aż do Brighton i wrócić na dziesiątą na partyjkę faraona w Pickering Place. Poza tym jego interesują jedynie wyścigi konne i domy gry, no i stan garderoby, oczywiście. Po co miałyby aż tak ryzykować i rzucać podejrzenie na regenta?

- Żeby odwrócić podejrzenie od swojej osoby? - zasugerowała Kat.

- Z pewnością są na to łatwiejsze sposoby. Zamilkła i zastanowiła się głęboko.

- Jediną osobą, którą mogłabym podejrzewać o chęć obciążenia morderstwem regenta, jest sam Anglessey. Załóżmy, że odkrył, iż księżę robi Ginewrze awanse, a ona nic mu o tym nie powiedziała. Co sobie pomyślał? Że zaloty regenta nie są jej obojętne.

Sebastian oparł głowę o tył wanny. Ciepła woda przyniosła ulgę jego obolałym mięśniom i rwącemu barkowi.

- Jeżeli Anglessey chciałby zrobić kogoś w morderstwo swojej żony

- odezwał się po dłuższej chwili - wybrałby bratanka, a nie regenta. Poza tym markiz to schorowany staruszek, nie dałby rady. No i pamiętajmy, że był wtedy w Brighton.

Podeszła i uklękła za nim na kamiennej posadzce z kostką mydła w ręce.

- Mógł kogoś wynająć.

- Do diabła, jak oni wszyscy!

- Pochyl się do przodu. - Kat zaczęła namydlać mu ramiona i plecy. -

A Varden? To mogła być kłótnia kochanków. Może stracił panowanie.

- Nie mamy pewności, czy byli kochankami.

- Byli - stwierdziła zdecydowanie.

Wicehrabia uśmiechnął się. Kat namydliła mu już plecy i przeszła do klatki piersiowej. Nie tak często wyrokowała o czymś z taką pewnością, a jednak on nie był przekonany.

- Matka Vardena twierdzi, że do wieczora nie wychodził z domu -

przypomniał.

- A co miała powiedzieć? - Kat wstała i Sebastian, ociekając wodą, również się podniósł.

Wychodząc z wanny, sięgnął po gruby bawełniany ręcznik leżący obok na krześle.

- Musiałem coś przeoczyć. Coś, co powinienem był zauważyć.

Podeszła, by pomóc mu nałożyć jedwabny szlafrok.

- Jeśli to coś tam jest, na pewno to odkryjesz - odparła krótko.

Odwrócił się do niej. W łagodnym świetle kuchennego paleniska wyglądała na tak spokojną, tak pewną jego umiejętności, że przez chwilę poczuł pokorę. Ruchem ręki odgarnął z jej twarzy niesforne kosmyki czarnych włosów.

- Czasami zastanawiam się, czy to ma sens. Nawet jeśli znajdę zabójcę i dowiem się, dlaczego to zrobił, ona nadal będzie martwa.

- Myślę, że życzyłaby sobie, by zabójcy jej i jej dziecka nie uszło to na sucho.

- Czy o to więc chodzi? O zemstę?

Przywarła policzkiem do piersi Sebastiana, ciepłymi dłońmi obejmując go w pasie.

- Nie. Nie chodzi jedynie o zemstę, ale też o pamięć. Nie można pozwolić, by ktoś zakłamał prawdę, żeby chronić własne interesy. Poza tym trzeba dopilnować, żeby to się już więcej nie powtórzyło.

Ujął rękami jej twarz, czując krew pulsującą jej w żyłach na szyi.

Wydawała się tak krucha, tak bezbronna, że na chwilę serce ścisnął mu strach. Zapragnął wziąć ją w ramiona i mocno przytulić, żeby była bezpieczna, na? zawsze.

- Wyjdź za mnie Kat - poprosił niespodziewanie. - Jaki możesz mieć powód, by odmówić? Wszystkie są słabe i absurdalne, jeśli pomyśleć, jak szybko śmierć może któreś z nas zabrać.

Rozchyliła usta, spojrzała na niego swoimi dużymi jaskrawoniebieskimi oczami i pokręciła głową.

- Nie możemy żyć tak, jakbyśmy mieli jutro umrzeć.

- A może powinniśmy.

- Żeby potem całe życie tego żałować?

- Ja bym nigdy nie żałował.

Po twarzy Kat przebiegł lekki uśmiech i zgasł.

- Teraz tak myślisz.

Przysunął czoło do jej czoła i powtórzył:

- Nigdy bym nie żałował.

Następnego ranka Kat obudziła się wcześniej i przez chwilę leżała z zamkniętymi oczami, słuchając spokojnego oddechu śpiącego obok Sebastiana. Na jej ustach pojawił się uśmiech. Został na noc.

Wsparała się na łokciu i potoczyła po nim wzrokiem. Znała każdą linię jego ciała, każdy mięsień, znała tę niebywałą bystrość umysłu i jeszcze bardziej niespotykaną szlachetność duszy. Wiedziała też, co by się z nim stało, gdyby poszła za głosem serca i za niego wyszła.

Uśmiech zbladł. Kochała go od szesnastego roku życia, kiedy była jeszcze nikomu nieznaną tancerką rewiową, a on rozhukanym młodzieńcem świeżo po Oksfordzie. Wtedy też jej się oświadczył. A ponieważ była tak młoda i za wszelką cenę chciała zatrzymać go przy sobie na zawsze, zgodziła się. Dopiero później, kiedy z pomocą jego ojca uświadomiła sobie, co takie małżeństwo oznaczałoby dla Sebastiana, cofnęła słowo. To, co dostrzegła w jego oczach tego wieczoru -

przeraźliwe poczucie zdrady - złamało jej serce i rozdarło duszę.

Pamiętała, jak zalana łzami snuła się po spowitych mgłą ulicach, rozdarta młodzieńczym żalem szukała śmierci. Śmierć jednak nie nadeszła, a ci, którzy powtarzali, że czas leczy rany, okazali się mieć po części rację.

Z czasem znalazła powód, by żyć, i sprawę, o którą warto było walczyć.

To właśnie stanowiło teraz część problemu, ale tylko część.

Powtarzała sobie, że decyzje, które podejmowała przez ostatnich kilka lat, niczego nie zmieniły, że nadal miała w sobie wystarczającą siłę, by oprzeć się zdradliwej słabości swojego serca. Zadziwiała ją, że pomimo tego, co Sebastian przeżył i zobaczył przez ostatnie siedem lat, wcale się nie zmienił. Nadal wierzył, że najważniejsza w życiu jest miłość. Ona już nie.

Wiedziała, co oznaczałoby dla niego wykluczenie z socjety, co by było, gdyby stał się obiektem pogardy, litości i drwin. Małżeństwo z nią byłoby poważnym towarzyskim *faux pas*, którego ani jego ojciec, ani siostra Amanda nigdy by mu nie wybaczyli. Z siostrą wprawdzie i tak byli sobie obcy, jednak z ojcem łączyła go bardzo głęboka więź.

Wiedziała o tym. A mimo to kusiło ją, by się zgodzić.

W takich chwilach powtarzała sobie, że małżeństwa nie można budować na kłamstwie, że chociaż Sebastian znał gorzką prawdę o jej spędzonym na ulicy dzieciństwie, nie miał pojęcia o latach, które nastąpiły po tym, jak go odrzuciła. O latach uwodzenia ważnych osobistości i wydobywania od nich tajemnic dla Francuzów.

W chwilach słabości zdradziecki głos podszeptował jej, że on nigdy nie może się o tym dowiedzieć. Już od czterech miesięcy, kiedy Pierrepont zniknął z Londynu, nie współpracowała z nimi. I choć zapowiedziano, że skontaktuje się z nią nowy szef siatki szpiegowskiej, wiadomość, jakiej się obawiała - dwubarwny bukiet kwiatów z dołączonym cytatem z Biblii -

nigdy nie nadszedł. Poza tym nigdy nie była oddana Francji, lecz Irlandii, tragicznemu krajowi jej młodości, krajowi, w którym skończyła jej matka.

W głębi serca wiedziała jednak, że to mało istotne. Gdyby Sebastian znał prawdę, gdyby wiedział, że pomogła nieprzyjacielowi, z którym on walczył przez sześć długich lat, odwróciłby się od niej ze wstrętem... albo skazał ją na haniebną śmierć szpiega.

Nagle zdała sobie sprawę, że nie śpi i patrzy na nią. Jego bursztynowe oczy miały niezwykłą, nieludzką zdolność widzenia na bardzo duże odległości, a nawet po zmroku. Posiadał też wyjątkowo dobry słuch. Żartowała, że jest w połowie wilkiem, wiedziała jednak, że te nadnaturalne zdolności go niepokoiły, gdyż ani w linii rodzinnej matki, ani też ojca nie było takich przypadków.

- Kochanie - wyszeptał, wyciągając do niej rękę. Przytuliła się i z uśmiechem przechyliła głowę, żeby skosztować jego ust. Uwielbiała, gdy tak do niej mówił.

Przywarł do niej mocniej i wtulił policzek w jej włosy. A ona odgoniła od siebie wszystkie wątpliwości i obawy i oddała mu się cała.

Odkąd Sebastian sięgał pamięcią, hrabia Hendonu każdy dzień w Londynie zaczynał od przejażdżki po Hyde Parku.

Poranek był chłodny i wilgotny, a gęsta mgła snuła się nisko między drzewami. Sebastian jednak dobrze wiedział, gdzie szukać ojca: o siódmej hrabia będzie kłusować alejkami na swoim siwym wałachu. Tak więc również jego syn dosiadł swojej okazałej arabskiej klaczy, którą trzymał

Londynie, i pognął do parku.

- Cóż za rzadki obrazek! Ty przed południem? - burknął Alistair St.

Cyr, kiedy Sebastian zrównał swoją klacz Leilę z roslym wierzchowcem hrabiego. - A może jeszcze się nie kładłeś?

Wicehrabia uśmiechnął się pod nosem, bo chociaż ojciec wciąż narzekał, tak naprawdę był skrycie dumny z - jak zwykł mówić -

rozhukania swego potomka, nie mniej niż z jego szpady, pistoletu i jazdy konnej. Picie, uganianie się za pannami, a nawet zakłady - takich właśnie młodzieńczych wybryków spodziewał się po swoim synu każdy dżentelmen. Nie znosił natomiast i nie rozumiał miłości Sebastiana do książek i muzyki, jak również jego zainteresowania francuskimi i niemieckimi radykalnymi filozofami.

- Chciałem poznać twoją opinię w pewnej sprawie - odezwał się młody arystokrata. Przez chwilę kłusowali w milczeniu, w końcu Sebastian zapytał otwarcie: - Jak myślisz, jakie poparcie zyskałby pomysł

przywrócenia na tron Stuartów?

Hrabia Hendonu nie odpowiadał tak długo, że młody St. Cyr zaczął

się już zastanawiać, czy ojciec w ogóle usłyszał pytanie. On jednakże, tak jak Kat, często poprzedzał swoje wypowiedzi pełną zadumy ciszą.

- Rok temu odparłbym, że absolutnie żadnego. - Rozejrzał się po parku i zatrzymał wzrok na stadzie wzbijających się do lotu kaczek.

Czarne, rozpostarte szeroko skrzydła ginęły we mgle, a poranek wypełniało ich tęskne nawoływanie. - Stuartowie zawsze kojarzyli się nostalgicznie z takimi postaciami jak Walter Scott. Ale to tylko rzeczy z romansów. Za nimi kryje się ponura rzeczywistość, w której niemądry król stracił tron, ponieważ sprzeciwił się woli poddanych.

- A teraz?

Spojrzał na Sebastiana z ukosa.

- Teraz mamy szalonego króla, lubieżnego, tonącego w długach regenta, który więcej czasu spędza ze swoimi krawcami niż ministrami, oraz równie pomyloną piętnastoletnią księżniczkę, której matkę własny ojciec nazywa dziwką. Całkiem niedawno słyszałem, jak ktoś - może i sam Brougham - powiedział, że to, co działo się za Stuartów, to nic w porównaniu z tym, co wyprawia się dziś.

- Ale przecież linia Stuartów wygasła. Jakub II miał dwóch wnuków: Ślicznego Księcia Karolka i jego brata Henryego. Księżę Karol nie miał

prawowitych potomków, a Henry został katolickim księdzem i zmarł.

Kiedy to było? Cztery lata temu?

Alistair St. Cyr przytaknął.

- Nazywał siebie Henrykiem IX. Prawo do tronu przeszło ze Stuartów na potomków córki Karola I, Henrietty. Ściśle mówiąc, w 1714

roku po śmierci córki Jakuba II, Anny, to im, a nie Jerzemu I Hanowerskiemu, należała się korona. Ale oni byli katolikami.

- Kto jest więc obecnie pretendentem do tronu?

- Wiktor Emanuel z dynastii sabaudzkiej.

- Król bez królestwa - powiedział Sebastian zamyślony. Nie tak dawno królowie Sardynii i Piemontu z dynastii sabaudzkiej zostali zmuszeni przez armie rewolucji francuskiej do abdykacji i oddania wszystkich swoich włości we Włoszech.

Hrabia uśmiechnął się przez zaciśnięte usta.

- W rzeczy samej.

- Ale to też katolicy, a przez to wyznanie Jakub U wpadł w kłopoty ponad sto lat temu. Anglia nie pozwo” katolikowi zasiąść nawet w parlamencie, a co dopiero na tronie.

- To prawda, ale Wiktor Emanuel nie byłby pierwszym człowiekiem gotowym zmienić religię dla ziemskich korzyści, nie sądzisz?

- Jest gotów to zrobić?

- Nie wiem. Ostatnio słyszę dużo niepokojących rzeczy. Całe to gadanie o klątwie, na przykład... Ludzie opowiadają, że dynastia hanowerska jest przeklęta i że dopóki na tronie zasiada uzurpator, Anglia też będzie przeklęta. Jak myślisz, kto za tym stoi?

- Jakobici?

- Kto wie... Jedno jest pewne, jeśli zawiązano spisek, teraz jest idealny moment na działanie.

Przez chwilę hrabia Hendonu jechał w milczeniu ze wzrokiem utkwionym w jakimś punkcie nad uszami konia. Ciszę przepełniało skrzypienie skórzanego siodła i rytmiczny stukot końskich kopyt na miękkiej ziemi.

- Urodziłem się rok po powstaniu 1745 roku - powiedział ściśniętym głosem. - Wychowałem się na opowieściach o tych czasach. Nie chciałbym, żeby przez jakiegoś głupca tamto powróciło.

Sebastian wbił wzrok w kamienną twarz ojca. Na temat szkockiego powstania na poparcie roszczeń Karola Stuarta krążyły legendy. Słyszał je od swojej babki, matki ojca, pochodzącej z klanu Grantów z Glenmoriston w Szkocji. Historie o bezbronnych ludziach wyciąganych z zagród i zabijanych w bestialski sposób na oczach ich krzyczących dzieci.

Opowieści o kobietach i dzieciach palonych żywcem lub wypędzanych z wiosek, żeby umierały na śniegu. To, co spotkało szkockich górąli po bitwie pod Culloden, już na zawsze pozostanie czarną plamą na angielskim sumieniu. Zakazano wszystkiego - dud, szkockiej kraty, nawet języka gaelickiego; unicestwiono całą kulturę.

- Kto poparłby teraz restaurację? - spytał wicehrabia. - Szkoci?

Ojciec pokręcił głową.

- Wszyscy przywódcy klanów, którzy popierali Stuartów, zostali lata temu wybici albo wypędzeni, a reszta spoczęła w bezimiennych grobach lub została wsadzona na statek do Ameryki. Poza tym w tych powstaniach zawsze bardziej liczyła się sprawa szkocka niż Stuartowie. A co Szkotów obchodzi jakieś włoskie książątko, którego praprababka przypadkiem była akurat wnuczką Karola I, a nie Jakuba I?

Alistair St. Cyr miał rację - Wiktor Emanuel nie miał co liczyć na poparcie Szkotów. Romantyczny urok straconej sprawy miał prawo bytu tylko w książkach, ale w rzeczywistości jakobici nie

poderwaliby dziś torysów, zwłaszcza że i tych lata rządów dynastii hanowerskiej zmieniły nie do poznania. Niewiele łączyło ze sobą osiemnastowiecznych torysów i nowy toryzm wyrosły na lęku przed francuską rewolucją. Dalecy od sympatyzowania z katolikami teraz zmienili się w fanatycznych wiernych Kościoła anglikańskiego, występując przeciw tolerancji religijnej zarówno wobec katolików, jak i wszelkich innych odszczepieńców. A wigowie - jak na ironię - opowiedzieli się za tolerancją.*

* *Jakobici* - stronnicy zdetronizowanego w 1688-89 r. Jakuba II Stuarta i jego potomków, do pocz. XVIII w. popierani przez Francję.

Posiadali wpływy głównie w Irlandii, Szkocji i pn. Walii. Inicjatorzy powstań, z których ostatnie (1745-46) zostało krwawo stłumione, a jego uczestników spotkały represje, co doprowadziło do osłabienia stronnictwa.

Wigowie - ang. stronnictwo reformatorskie, architekci bryt. modelu monarchii parlamentarnej, zwolennicy tolerancji dla odłamów protestanckich, lecz wykluczenia katolików; ideowi poprzednicy obecnej Partii Liberalnej. W XVII w. przeciwnicy Jakuba II, na pocz. XVIII zwolennicy dynastii hanowerskiej. W 2. poł. XVIII w. odsunięci od władzy. *Torysi* - ang. stronnictwo zachowawcze oddane Koronie i Kościołowi anglikańskiemu, rywale wigów; ideowi poprzednicy obecnej Partii Konserwatywnej. W XVII w. w imię praw dynastycznych popierali sukcesję Jakuba II, mimo że był katolikiem. Na pocz. XVIII w. zwolennicy Stuartów; po objęciu tronu przez dynastię hanowską odsunięci od władzy. Powrócili do życia politycznego w 2. poł. XVIII w., głosząc poszanowanie porządku ustrojowego. [Przyp. red.]

Trudno jednak przypuszczać, by obecnie popierali restaurację Stuartów. Wciąż trwali przy ograniczeniu władzy królewskiej oraz ideałach chwalebnej rewolucji*, podczas gdy torysi trzymali się kurczowo swoich przywilejów.

* *Chwalebna rewolucja* (lub: wspaniała rewolucja; ang. *Glorious Revolution*) - przewrót w Anglii w latach 1688-89, w wyniku którego Jakub II Stuart stracił tron na rzecz swojej córki i zięcia Wilhelma III Orańskiego oraz ustanowiono monarchię konstytucyjną ograniczoną przez parlament.

[Przyp. red.]

Jechali, a poranna mgła rozpędzana podmuchami zimnego wiatru powoli zaczynała się podnosić. Przejmujący chłód zniechęcił parkowych bywalców, tak że poza nimi był tu może jeden, dwóch samotnych jeźdźców. Ojciec przyspieszył i przez jakiś czas jechał zamyślony. Potem odezwał się:

- Chodzi o naszyjnik, mam rację? To on cię zaintrygował?

Wicehrabia utkwiał spojrzenie w twardym, posągowym profilu ojca.

Nigdy nie byli ze sobą blisko, nawet podczas tych złotych lat, gdy Sebastian był jeszcze dzieckiem, gdy wszyscy, których kochał - jego matka, bracia Richard i Cecil - wciąż żyli. Potem nadeszło czarne lato śmierci Cecila i matki, kiedy to oprócz własnego żalu poczuł coś daleko bardziej niepokojącego. Wydawało mu się bowiem, że ojciec wręcz go znenawidził - za to, że on żył. Z czasem Sebastian

zaczął zauważać powracające oznaki szorstkiej sympatii hrabiego. Ale od tamtych wydarzeń nic nie było już takie jak wcześniej, a teraz poczuł, jakby na nowo wyrosła między nim ściana ciszy i nieufności. Nie wiedział, jak ją pokonać.

- Częściowo - odparł krótko.

Nie spytał markiza Anglessey, jak stary talizman, podarowany kiedyś przez walijską wiedźmę jej kochankowi z rodu Stuartów, znalazł się na szyi markizy. Jakoś nie wypadało, skoro klejnot interesował Sebastiana jedynie prywatnie. Powoli zaczynał jednak zdawać sobie sprawę, że triskelion mógł odegrać w śmierci Ginewry rolę większą, niż pierwotnie podejrzewał.

*Umieram królowo. Umieram... Pozwól mi królowo, rzec jedno słowo. Wyjednaj dla siebie pokój i honor u Cezara...** - Marek Antoniusz spojrział wyczekująco na swoją Kleopatę.

* W. Szekspir, *Antoniusz i Kleopatra*, akt IV, sc, 15, tłum. Jerzy Limon i Władysław Zawistowski [przyp. tłum.]

Kat w swoim teatralnym kostiumie dla ochrony przykrytym fartuchem rozglądała się po widowni, gdzie skryty w cieniu, z kapeluszem nasuniętym głęboko na czoło stał jakiś dżentelmen.

Widownia skąpana w popołudniowym słońcu była pusta. W teatrze panowała cisza zakłócana jedynie dochodzącymi z daleka stukaniem i szmerem miotły sprzątaczkii zamiatającej skórki po pomarańczach, których pełno było na podłodze po wczorajszym przedstawieniu. Tego dżentelmena jednak powinno tu nie być.

- *Wyjednaj dla siebie pokój i honor u Cezara...* - powtórzył Marek Antoniusz z irytacją w głosie. - Czy ktoś byłby łaskaw obudzić słodką królową Egiptu?

Kat drgnęła i natychmiast odwróciła się w stronę swojego scenicznego partnera.

- *Te słowa w parze z nim nigdy nie idą* - powiedziała i dodała szeptem: - Przepraszam.

Potem uważała już, co się dzieje na scenie, ale nadal wyczuwała czyjąś cichą obecność.

Wydawało jej się, że go rozpoznała. To był due de Royan, jeden z arystokratów towarzyszących podczas wizyty w Londynie Ludwikowi

XVIII, czy też Comte de Lille, jak kazał się do siebie zwracać. Royan utrzymywał, że jest zagorzałym przeciwnikiem reżimu Napoleona, ale przecież to samo mówił nawet Leon Pierrepont, a cały czas szpiegował dla cesarza.

- *Chodź, śmiertcionośne maleństwo* - Kat przycisnęła do piersi zmięty papiermâché - *swym zębem rozetnij życia tajemniczy węzeł...**

* Tamże, akt V, sc. 2 [przyp. tłum.]

Kiedy się odwróciła, due de Royan zniknął.

Zaraz po próbie pośpieszyła wprost do garderoby. Z bijącym sercem otworzyła drzwi. Na toalecie stała bujna kompozycja białych lilii i pąsowych róż. Dwubarwny bukiet.

Kat chwyciła bilecik, który znalazła pośród łądyg i zerwała pieczęć.

Jego wysokość Comte de Lille składa wyrazy uznania i błaga, byś zechciała, pani, przyjąć ten

drobny bukiet na znak jego uwielbienia.

Żadnego cytatu z Biblii. Żadnej sekretnej wiadomości. Żadnego zaproszenia na *rendez-vous* z niebezpieczeństwem.

Oparła głowę o ścianę, wzięła drżący oddech, ale wypuszczając powietrze, zaśmiała się z ulgą.

Przez kolejnych kilka godzin Sebastian rozpytywał o serdecznego przyjaciela Bevana Ellswortha, Fabiana Fitzfredericka - nieprawego syna Fredericka, księcia Yorku. Niestety tej fatalnej w skutkach środy ten poczynił sobie równie niewinnie, co Bevan. Po dniu spędzonym w Tattersalls bawił w jaskini hazardu na Pickering Place, tej samej, którą tak chętnie odwiedzał jego przyjaciel.

Sebastian kazał Tomowi powęszyć w sklepach na Giltspur Street w Smithfield, a sam udał się do miejskiej rezydencji markiza Anglessey na Mount Street.

Zastał go w wyłożonej terakotą oranżerii dobudowanej na tyłach domu. Przystanąwszy pod delikatnie opadającą paprocią drzewiastą, przyjrzał się mężowi Ginewry i zobaczył staruszkę - niegdyś postawnego mężczyznę, teraz wychudłego i posiwiałego - jak pochyła się nad kwitnącym na żółto jaśminem. Nagle markiz uniósł głowę i wrażenie starości i niemocy znikło. Z jego spojrzenia nadal biła siła i niesłabnąca bystrość umysłu.

- Zastanawiałem się, czy lord dziś przyjdzie - powiedział, zdejmując rękawice ogrodowe i odkładając je na bok.

Wicehrabia omiółł wzrokiem wilgotne pomieszczenie pełne paproci, orchidei i innych finezyjnych, bujnych roślin tropikalnych. Ciepłe powietrze pachniało wilgotną ziemią, zielonością i słodką wonią kwitnącej przy drzwiach gardenii. Anglessey uchodził za znawcę egzotycznych roślin. Podobno za młodu wziął nawet udział w wyprawie na południowy Pacyfik, by zbierać rzadkie gatunki.

- Wiem od Paula Gibsona, że przekazał panu wyniki sekcji zwłok żony - zaczął Sebastian.

Markiz przytaknął.

- Uważa, że Gini otruto. - Podniósł dłoń do twarzy i rozstawionym kciukiem oraz palcem wskazującym potarł zamknięte oczy. - Sztylet przyniósłby o wiele łaskawszą śmierć. Szybką. Prawie bezbolesną. Ale cyjanek? Mój Boże, jakże ona musiała cierpieć! Umierała z pełną świadomością zbliżającego się końca. Nie wyobrażam sobie, co też musiała przeżywać w tych ostatnich chwilach...
- Jego dłoń opadła i patrzył

teraz na Sebastiana szeroko otwartymi, zbolałymi oczami. - Kto to zrobił?

Kto mógł zrobić jej coś takiego?

Wicehrabia wytrzymał udręczone spojrzenie starca.

- Bevan Ellsworth twierdzi, że dziecko, które nosiła lady Anglessey, nie było pańskie.

Choć brutalne i bezpośrednie, słowa te były konieczne. Markiz aż podskoczył ze złości, a jego szczęka opadła ze zdumienia. Próbował zrobić szybki krok do przodu, ale potknął się na nierównej płycie i usiłując odzyskać równowagę, chwycił się brzegu stojącego nieopodal metalowego stolika.

- Jak pan śmiesz tak do mnie mówić?! Wyzywałem mężczyzn za mniejsze zniewagi.

Sebastian ciągnął dalej, spokojnym tonem:

- Nie tylko on tak twierdzi. W całym mieście mówi się, że była kochanką regenta.

Markiz zrobił się blady jak śmierć. Z każdym oddechem jego wąta klatka piersiowa podskakiwała tak mocno, jakby miał zaraz dostać ataku apopleksji.

- To kłamstwa!

Wicehrabia wytrzymał wściekłe spojrzenie starca.

- Więc proszę mi pomóc. Nie dowiem się, co naprawdę spotkało pańską żonę, jeśli nie poznam prawdy.

Anglessey odwrócił się jak oparzony. Był teraz starszy, jakby przykurczony. Podniósł z ziemi konewkę z długą końcówką i poszedł do pompy, aby ją napełnić. Skończył, ale nie ruszał się; zastygł tam bez ruchu z pochyloną głową.

Kiedy wreszcie się odezwał, głos miał zrezygnowany.

- Niełatwa to rzecz odchodzić ze świadomością, że wszystko, co człowiek starał się ocalić, zostanie po jego śmierci roztrwonione.

Sebastian milczał, czekał. Po chwili Anglessey wziął głęboki oddech i kontynuował:

- Oboje z Ginewrą wkroczyliśmy w ten związek z szeroko otwartymi oczami. Ona wiedziała, że chciałem młodej żony, która dałaby mi potomka, a ja byłem świadomy, że jej serce należało już do innego.

- Powiedziała lordowi o tym?

- Tak. Uznała, że zasługuję na prawdę. Szanowałem ją za to. Miałem nadzieję, że zdołamy przynajmniej się zaprzyjaźnić. I jak sądzę, mieliśmy to szczęście.

Zaprzyjaźnić się. Dość żalodne to pragnienie jak na męża i żonę. A jednak taki stan osiągała jedynie garstka socjety.

- Moja druga żona Charlotte wciąż podupadała na zdrowiu -

powiedział Anglessey, nerwowo zaciskając palce na uchwycie konewki. -

Przez ostatnie piętnaście lat naszego małżeństwa żyłem praktycznie jak mnich. Inni w mojej sytuacji wzięliby sobie kochankę, ale ja nigdy tego nie zrobiłem. Być może to był błąd.

Rzeczywiście, panowało ogólne przekonanie, że jeśli mężczyzna przestawał sypiać z kobietami, tracił zdolność do współżycia. Stara reguła, w której prawdopodobnie było ziarenko prawdy, pomyślał Sebastian.

Markiz podszedł do stojących w równym rzędzie paproci i delikatnym strumieniem wody zaczął je podlewać.

- Nigdy nie udało mi się skonsumować małżeństwa z Ginewrą. -

Cień koloru oblał jego wystające, wysoko osadzone kości policzkowe. -

Próbowała. Obydwoje bardzo się staraliśmy. Wiedziała, jak wiele znaczyło dla mnie spłodzenie syna. W końcu jednak zrozumieliśmy, że nic z tego nie będzie.

Zawahał się, ale ciągnął:

- Dwa lata temu zasugerowałem, by wzięła sobie kochanka. Kogoś, kto mógł spłodzić potomka, któremu ja dam nazwisko. - Odwrócił się gwałtownie i spojrzał Sebastianowi prosto w oczy. - Uważa pan za haniebną, że mężczyzna popycha żonę do niewierności, by wydzieńczyć własnego bratanka, zastępując go czyimś bękartem?

- Znając Bevana Ellswortha, na pewno nie.

- Ach tak... - Anglessey przeszedł do półki z orchideami. - Nie przypominam sobie, by Ginewra kiedykolwiek była na mnie taka zła jak wtedy. Nie miałem prawa o to prosić, żaden mężczyzna nie może wymagać tego od żony. Dała mi odczuć, że to tak jakbym kazał jej się prostytuować, i w pewnym sensie miała rację. Ale później, zeszłej zimy... -

urwał i potoczył wzrokiem po bujnej roślinności: egzotycznych paprociach i jaśminie, gardeniach i delikatnych różach chińskich. - Zeszłej zimy przysłała do mnie i powiedziała...

- Zgodziła się to zrobić? - podsunął Sebastian, kiedy starzec znów zamilkł, nie mogąc tego wykrztusić.

- Tak - dobiegł wicehrabiego ledwie dosłyszalny szept.

Sebastian stanął na środku oranżerii, wdychając gorące, zatęchłe powietrze. Z odległego kąta słyszał plusk wody spływającej z fontanny do niewielkiego, mieniącego się złotymi rybkami stawu. Tuż obok zamknięty w klatce kanarek wypełniał oranżerię swym śpiewem. Melodia nie była jednak radosna - usłyszał w niej żal, rozpacz.

- Jej kochanek... Kto to był?

Anglessey opróżnił konewkę i stał nieruchomo, wpatrując się w wilgotną, ciemną ziemię.

- Nigdy o to nie zapytałem. Wołałem nie wiedzieć.

- Czy to mógł być ten mężczyzna, w którym kochała się, zanim wyszła za markiza?

Milczał przez chwilę. Niewątpliwie już wcześniej przyszło mu to do głowy.

- Być może, ale naprawdę nie wiem.

Do ostatniej zimy, pomyślał Sebastian, chevalier de Varden musiał

już skończyć studia w Oksfordzie. Czyżby dawni kochankowie spotkali się ponownie w Londynie i rozpoczęli intymny związek? Związek, na jaki jej mąż wyraził zgodę?

- Czy lord wie, gdzie się spotykali? - zapytał wicehrabia.

- Nie. Oczywiście, że nie! - Anglessey zrobił przerwę. - Myśli pan, że ten mężczyzna, którego Ginewra wzięła sobie na kochanka... że to on ją zabił?

- Możliwe. Czy przychodzi panu do głowy jakikolwiek inny powód, dla którego pańska żona mogła udać się na Giltspur Street w Smithfield?

- Smithfield? Wielkie nieba, nie! Dlaczego pan pyta?

Sebastian zmierzył starca przenikliwym wzrokiem.

- Wynajęła dorożkę i udała się tam tego popołudnia, gdy zginęła.

Markiz nie udawał. Jego twarz wyraźnie mówiła, że nie miał pojęcia o wizycie swojej żony w Smithfield. Sebastian spróbował pójść innym tropem.

- Czy pańska żona interesowała się polityką?

- Gini? - Przez twarz markiza przemknął blady uśmiech. - Nie, właściwie w ogóle. Miała szereg zainteresowań, ale sprawy państwowe

nigdy jej nie zaprzętały. Dla niej jedna marionetka w koronie niczym się nie różniła od innej. Uważała, że to na cmokierów i złodziei, którymi się otaczają, należy mieć oko. - Zobaczywszy minę wicehrabiego, uśmiechnął

się szerzej. - Czy pana to dziwi?

Sebastian pokręcił głową, chociaż rzeczywiście zaskoczyła go ta opinia - ze względu na to, z czyich ust wyszła. Takie poglądy nie pasowały do dobrze wychowanej, uprzywilejowanej córki hrabiego i żony markiza.

Jeszcze bardziej zaskakujące było, iż sam markiz uznawał opinie żony za zabawne, nawet ujmujące. Hrabiego Hendonu przyprawiłyby o atak apopleksji.

- A co z pańskim bratankiem Bevanem? Jakie on ma poglądy?

- Poważnie bym się zdziwił, gdyby Bevan miał jakiegokolwiek poglądy. Jego umysł zaprzętają sprawy znacznie cięższej wagi, głównie kobiety, zakłady i jego garderoba. Dlaczego pan pyta?

Wicehrabia podszedł do markiza, który nadal stał nieruchomo z pustą konewką w ręce.

- Co może mi pan powiedzieć o tym naszyjniku? Anglessey opuścił

wzrok z twarzy Sebastiana na spoczywającą na jego dłoni srebrno-szafirową kolię.

- Nic - odparł, lecz jego czoło zmarszczyło się jeszcze bardziej, jakby nagła zmiana tematu go zaskoczyła. - Dlaczego pan pyta? Skąd pan to ma?

- Pańska żona miała na sobie ten naszyjnik w chwili śmierci. Czy wie markiz, od kogo go dostała?

- Nie. - Spojrzał na wicehrabiego pustym wzrokiem. - Nie mam pojęcia. Nigdy wcześniej go nie widziałem.

Sebastian szedł ulicami Londynu z Oxford na Edgware Road i dalej, gdzie zadbane rezydencje miejskie i wybrukowane ulice przechodziły w ogromne place budów, a potem w zielone pola i ogrody warzywne Paddington.

Niewiarygodne, lecz nikt z otoczenia Ginewry Anglessey nigdy nie widział tego naszyjnika. Mało tego, jej pokojówka Tess Bishop utrzymywała, że suknia, którą jej pani założyła w dniu śmierci, była tak zabudowana, że nie dałoby się do niej założyć tej zabytkowej biżuterii.

Oczywistym więc było, że tak jak atlasową suknię, naszyjnik założono Ginewrze po śmierci. Tylko dlaczego? I kto to zrobił?

Chociaż wicehrabia w to wątpił, dopuszczał możliwość, że zrobił to Charles lord Jarvis - tylko po to, by zainteresować Sebastiana śledztwem.

Nawet jeśli tak właśnie było, nasuwało się pytanie, jak naszyjnik, który powinien spoczywać na dnie Kanału Angielskiego, nagle wypłynął...

niczym trup.

Sugerowane przez ojca wyjaśnienie, jakoby naszyjnik został

sprzedany przez jakiegoś chłopca, który odnalazł zwłoki hrabiny wyrzucone na brzeg, wydawało się mało przekonujące. Sebastian nie mógł jednak wykluczyć bardziej prawdopodobnego wytłumaczenia, że Sophie hrabina Hendonu nie zginęła podczas wypadku na morzu wiele lat temu, ale po prostu odpłynęła, zostawiając w żałobie męża, zamężną córkę i jedenastoletniego syna.

Wzrok Sebastiana objął spowitą mgłą łąkę aż do wieńczącej ją linią wiązków rosnących w oddali wzdłuż strumienia. Nawet jako dziecko nie żywił złudzeń co do małżeństwa jego rodziców. Tak urządzony był ich świat - gdy mężowie byli pochłonięci sprawami w parlamencie i klubach, kobiety znajdowały inne uciechy. We wspomnieniach Sebastiana matka

była zjawiskowej urody i wdzięku. Jej delikatny, czuły dotyk i żywy śmiech towarzyszyły mu długo po tym, jak odeszła. Pamiętał jednak również, że w czasach szkolnych często bił się na pięści zmuszony stawać w obronie matczynego honoru. A wszystko dlatego, że w społeczeństwie, w którym niewierność była na porządku dziennym, jego matka prowadziła wyjątkowo rozwiązły tryb życia.

Z pobliskiego pola, kracząc głośno, wzbiła się w powietrze wrona.

Jej skrzydła dłuższy czas znaczyły niebo czernią. Sebastian przystanął, po czym skierował swe kroki na New Road. Nigdy nie przypuszczał, że matka mogła być nieszczęśliwa, lecz teraz, gdy wracał myślami do przeszłości, docierało do niego, że to być może smutek wywoływał u niej nerwowość i dodawał szorstkości jej uśmiechowi. Czy mogła jednak być aż tak nieszczęśliwa, by odpłynąć i zostawić ich wszystkich? Zostawić jego?

Pamiętał przejmujące uczucie straty, jakiego doświadczył tego lata.

Nie uwierzył, gdy powiedziano mu o tragicznym dla hrabiny finale morskiej wycieczki. Przypominał sobie niekończące się parne godziny, które spędził na klifach wychodzących na otwarte morze. Dzień za dniem stał tam i suchym, zbolałym wzrokiem wypatrywał na skrzącym się słońcem horyzoncie żagli, które miały już nigdy się nie pokazać. Chciał

wierzyć, że to było kłamstwo. Pamiętał gorzkie uczucie wściekłości i głęboki, nieprzemijający ból.

Z czwórki potomstwa hrabiego Hendonu i jego małżonki Sophii, żyła jedynie dwójka: najmłodszy syn Sebastian oraz najstarsze dziecko -

jedyna córka Amanda.

Kiedy urodził się Sebastian, ona miała już dwanaście lat. W jego wspomnieniach z dzieciństwa jawiła się jako osoba chłodna, ponura i wiecznie niezadowolona. Wyrosła na wysoką, wyniosłą kobietę, niezmiernie dumną ze swego rodowodu i stale rozgoryczoną, że tytuły, posiadłości, pieniądze - wszystko przypadło młodszemu, jakże przez nią znieawidzonemu bratu.

Skończywszy osiemnaście lat, wyszła za Martina, lorda Wilcox, człowieka statecznego, powszechnie poważanego, ze stosownie wiekowego i majątnego rodu. Teraz była już czterdziestoletnią wdową, dobrze zabezpieczoną i sprawującą całkowitą kontrolę na majątkami swoich dzieci. Jednak okoliczności śmierci jej męża, która nastąpiła w lutym zeszłego roku, były niejasne i pogłębiły jedynie wzajemną niechęć między bratem a siostrą.

Tego popołudnia znalazł ją spacerującą obsadzonymi bukszpanem alejkami otoczonego żelaznym ogrodzeniem ogrodu przed jej domem.

Nadal na znak głębokiej żałoby nosiła się w czerni. Stan ten narzucał jej beczynność i izolację, które - o czym był przekonany - musiały ją wiele kosztować, chociaż nigdy by się do tego nie przyznała. Słyszając kroki, odwróciła się. Po matce odziedziczyła jasną karnację i szczupłą, dystygowaną sylwetkę, a po ojcu bardziej szorstkie, mocne rysy twarzy.

Na widok Sebastiana zmrużyła swoje błękitne oczy.

- No proszę, najdroższy braciszek. Czemu zawdzięczam tę niespodziewaną... - zrobiła przerwę na tyle długą, by nie mógł wątpić, że za chwilę skłamię - przyjemność?

Sebastian uśmiechnął się.

- Moja droga Amando, zechcesz się ze mną przejść? Z wahaniem skinęła głową.

- Dobrze. O co chodzi?

Skierowali się w stronę stojącego na środku ogrodu posągu.

- Chciałem cię o coś zapytać. Czy według ciebie to możliwe, że nasza matka nie zginęła w tym wypadku na wodzie, że to była mistyfikacja, zwykły podstęp?

Amanda tak długo szła w milczeniu, że prawie przestał liczyć na odpowiedź. W końcu jednak odezwała się:

- Dlaczego pytasz?

Zmierzył wzrokiem jej sztywną, napiętą sylwetkę.

- Mam swoje powody. O ile sobie przypominam, wraku nie odnaleziono. Czy to prawda?

Niespodziewanie na jej twarzy zagościł uśmiech.

- Co sugerujesz? Myślisz, że ojciec pozbył się jej, a następnie upozorował wypadek?

- Nie. Sugeruję, że matka była głęboko nieszczęśliwa w swoim małżeństwie i zainscenizowanie własnej śmierci było jednym z niewielu sposobów na wolność.

Amanda odwróciła się jak oparzona i wpiła w niego wzrok.

- Chcesz powiedzieć, że uciekła? Przyglądał się twarzy siostry, szukając choćby iskierki emocji, ale nadaremnie.

- Myślisz, że to możliwe?

- Dlaczego mnie o to pytasz? Nawet nie było mnie tego lata w Brighton, pamiętasz? Byłam już mężatką z dwójką własnych dzieci.

- Jesteś jej córką.

Spojrzała w górę na pokryty porostami posąg dawnego króla z Tudorów.

- Mówiłeś o tym z ojcem?

- Tak. Nie wiem, czy zna prawdę.

- Nie wszystkie prawdy da się odkryć, braciszku - odparła, zbierając fałdy sukni. - A teraz wybacz mi, spodziewam się wizyty lady Jersey.

Wyminęła go z uniesioną głową i cierpkim uśmiechem.

Zostawszy sam w ogrodach St. James's Square, Sebastian obserwował, jak młoda opiekunka z roześmianą gromadką dzieci wybiega z jednej ze stojących naprzeciwko okazałych rezydencji. Powoli zatoczył

koło, przesuając wzrokiem po otaczających go imponujących domach.

Zastanawiał się, ileż kobiet żyło w tłumionej rozpaczycy za tymi murami?

Jakiż smutek i zawody, strach i rozpacz skrywały te marmurowe fasady?

Nadal zamysłony wyjął z kieszeni triskelion i odwrócił go, by po raz kolejny przyjrzeć się inicjałom innej tragicznej pary kochanków. A.C. i J.S. - Addiena Cadel i Jakub Stuart. Czy ten walijski naszyjnik był

kluczem do zagadkowej śmierci Ginewry Anglessey, czy też - zastanawiał

się Sebastian - miał tylko odwrócić jego uwagę? Z jakim zamiarem Ginewra opuściła swoją czteropiętrową rezydencję na Mount Street i wynajętym powozem udała się do Smithfield po to tylko, by około osiem godzin później znaleziono ją martwą w objęciach regenta? W

ciągu tych kilku godzin ktoś ją otruił, zmienił jej prostą czerwoną popołudniową suknię na nieco mniejszą zieloną wieczorową kreację i wykorzystał jej ciało w misternej intrydze, by jeszcze bardziej skompromitować i tak już niepopularnego księcia. Tylko dlaczego?

Dlaczego?

Gdzieś między półprawdami a subtelnymi niuansami tego, co Sebastian zdołał odkryć na temat życia Ginewry, kryło się wyjaśnienie jej zagadkowej śmierci. Sam nie pojmował dlaczego, ale wciąż stawała mu przed oczami jako mała dziewczynka. Pograżona w żalu, wystraszona, opuszczona przedwcześnie przez matkę nie zaznała wiele miłości ani od ojca, ani starszej siostry, a guwernantki dla świętego spokoju pozwalały jej wałęsać się po okolicy i korzystać z wolności zarezerwowanej w tym środowisku jedynie dla mężczyzn.

I tak dzikie walijskie klify stały się jej schronieniem, a otwarte pola i lasy ojcowskiego majątku - szkołą. W pewnym sensie miała szczęście.

Doświadczenia z dzieciństwa zaszczepiły w niej niezależność i odporność, a miłość, której nie zaznała w domu, odnalazła nieopodal, w wiekowych murach Audley Castle. Najpierw w osobie lady Audley, która sama przeżywała niedawną śmierć ukochanego męża, a potem jej syna, chevaliera de Varden, młodzieńca, którego życie doświadczyło równie ciężko jak samą Ginewrę.

Jak potoczyłyby się jej losy - myślał Sebastian - gdyby stary hrabia Athelstone nie przedłożył własnej chciwości i ambicji nad szczęście córki?

Przed oczami stanęła mu kobieta, którą tak niedawno widział martwą w Żółtej Komnacie w Brighton, lecz w jego wyobraźni była żywa; ze złotym światłem walijskiego słońca na twarzy bawiła się z dziećmi na wietrznym wzgórzu z widokiem na perlące się morze.

Lecz choć urzekająca, daremna była to ścieżka, zamknął więc przed nią umysł.

Obserwując, jak niania pędzi za swoim niesfornym podopiecznym, Sebastian niespodziewanie przypomniał sobie, co Ginewra powiedziała przymierającej głodem, zrozpaczonej kobiecie, którą wzięła na pokojówkę:

„Jeśli nasza droga okaże się wyboista, tym bardziej musimy walczyć i szukać radości w tym, co dostaliśmy od życia”.

W obliczu tak silnego sprzeciwu ze strony rodziny, inna kobieta pewnie uległaby woli swoich opiekunów i zgodziła się na szarą, pozbawioną szczęścia wegetację. Ale nie Ginewra. Nie mając wyboru, przyjechała do Londynu - zdecydowana znaleźć sposób, by ułożyć sobie życie na własnych warunkach.

I tak wybrała sobie na męża markiza Anglessey, mężczyznę nie tylko majątnego i życzliwego, ale też zbliżającego się do kresu swoich dni. Jako zamożna wdowa Ginewra mogłaby poślubić, kogo by chciała. Czy taki miała cel? Ostatecznie jednak to markiz Anglessey pochował swoją piękną, młodą żonę.

Gdyby morderstwo zainscenizowano tak, by rzucić podejrzenie na Bevana Ellswortha czy tajemniczego kochanka, Sebastian mógłby podejrzewać Anglesseya. Nie pierwszy raz stary, zniedołężniały mąż posunąłby się do morderstwa, odkrywszy, że jego małżonka znalazła miłość w objęciach młodszego mężczyzny. Jednak zabójca Ginewry Anglessey nie chciał pogrzyżać Bevana Ellswortha. Za cel wybrał księcia regenta. Dlaczego?

Opuszczając skwer, Sebastian zacisnął w dłoni szafirowy naszyjnik; talizman, który walijska czarownica podarowała ukochanemu, zbiegłemu księciu Stuartowi, który z kolei sprezentował go swej nieślubnej córce w dniu jej zamążpójścia. W tym momencie historia klejnotu urywała się aż do pewnego dnia sprzed trzydziestu lat, kiedy to koścista starucha zawiesiła go na szyi młodej hrabiny Hendonu.

Cokolwiek łączyło te dwie kobiety, zostało tam - w zielonych, spowitych mgłą górach północnej Walii.



Nazywano je porannymi wizytami - te niekończące się formalne odwiedziny w domach londyńskiej śmietanki towarzyskiej. Prawda była jednak taka, że żaden dobrze wychowany dżentelmen czy dama nie śmieliby przed trzecią po południu przestąpić niczyjogo progu. Dobry ton dopuszczał takie wizyty jedynie w przypadku serdecznych przyjaciół.

I tak Sebastian spędził kolejne kilka godzin w pubie „U Jacksona”, walcząc z nadal dającym mu się we znaki bólem mięśni. Było już dobrze po trzeciej, gdy zjawił się w domu siostry Ginewry, lady Morgany Quinlan. Po słabo skrywanej niechęci, jaką okazała mu podczas balonowego pokazu, spodziewał się usłyszeć, że pani nie ma w domu. A jednak poprowadzono go na piętro do salonu, gdzie lady Quinlan konwersowała z młodą kobietą, którą przedstawiła mu jako lady Portland, żonę ministra spraw wewnętrznych i przyrodnią siostrę młodzieńczej miłości Ginewry, chevaliera de Varden.

Jako żywo przypominała swoją matkę Isolde - ta sama delikatna budowa i niewiarygodnie niski wzrost. Odróżniała ją jedynie fryzura -

mysi blond kontrastował z matczynym żywym odcieniem kasztanu. Była również bardzo młoda, nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat - mniej nawet niż Ginewra.

- Lordzie St. Cyr - odezwała się Claire Portland, wyciągając dłoń i spoglądając na niego z żywym zainteresowaniem, wręcz zalotnie -

słyszałam o panu wiele dobrego.

Jej dłoń była drobna, delikatna i Sebastian pomyślał, że tak jak jej matka była osobką zbyt filigranową, by to do niej właśnie należała zielona atlasowa suknia, która stała się śmiertelnym całunem Ginewry.

- Wiem od męża, że zgodził się lord pomóc w rozwiązaniu zagadki śmierci biednej Ginewry - kontynuowała Claire. - To bardzo szlachetnie z pańskiej strony.

Wicehrabia poprawił poły fraka i usiadł na stojącej w pobliżu sofie.

- Nie pamiętam - zwrócił się do lady Portland - czy była pani obecna na książęcym wieczorze muzycznym zeszłej środy.

Wzdrygnęła się nieznacznie.

- Nie, dzięki Bogu. Miałam migrenę i zdecydowałam się zostać w swoim pokoju.

- Ale była pani w Brighton?

- Ależ tak. - Pochyliła się, jakby chciała wyjawic mu sekret. -

Osobiście uważam to miejsce za nużące, ale teraz, kiedy Księżcunia okrzyknięto regentem, zapewne będziemy skazani zjeżdżać tam z nim każdego lata.

Odsunęła się, wbijając w Sebastiana ostre spojrzenie.

- Czy to prawda, co mówi mój mąż, że ludzie naprawdę winią księcia za śmierć biednej Gini? - spytała.

- Z doświadczenia wiem - wicehrabia rzucił kątem oka na Morganę, która siedziała cicho przy pustym kominku - że większość ludzi wierzy w to, co im się narzuca.

Twarz lady Quinlan nadal była nieprzenikniona, a Claire Portland przekrzywiła głowę, nie wiedząc, jak rozumieć te słowa. Zaglądając w jej błyszczące, chabrowe oczy, Sebastian zaczął się zastanawiać, jak wiele lord Portland mówił swojej młodej żonie. Była uosobieniem niewinności i wesołości, nieszczerzej powierzchowności i bezmyślnej bezwolności, jaka wielu mężczyzn pociągała. Wicehrabia zdawał sobie jednak sprawę, że wiele kobiet celowo wywoływało takie wrażenie, świadomie spuszczać z wodniczą zasłonę na bystry, często wyrachowany umysł. Claire Portland była przecież córką lady Audley, a lady Audley z pewnością nie była ani bezmyślna, ani bezradna.

Młoda, ładna żona lorda Portland pogawędziła z nimi jeszcze przez kilka minut, po czym bardzo stosownie wstała, by się pożegnać. I choć zrobiła to z dużą gracją, Sebastian dojrzał ukradkowe spojrzenie, jakie posłała w kierunku pani domu. Spojrzenie, które mówiło o chęci odbycia prywatnej narady już po wyjściu wicehrabiego i wskazywało na bliską przyjaźń. To go zdziwiło. Nie spodziewał się takiej zażyłości między nader poważną Morganą i tą kokietką.

- Dlaczego pan to robi? - spytała lady Quinlan, spoglądając na Sebastiana wnikliwie, gdy tylko lokaj wyprowadził jej przyjaciółkę. - Nie przypuszczam, że z miłości do księcia regenta, choćby Claire mówiła, co chce.

Wicehrabia uniósł brwi, udając zdziwienie.

- Czy lady Portland naprawdę tak uważa?

Wyraz twarzy Morgany zdradzał emocje, których jednak Sebastian nie był w stanie rozszyfrować. Odchyliła się wygodnie na oparciu krzesła, wygładzając fałdy sukni na kolanach.

- Jak rozumiem, przyszedł mnie lord o coś zapytać. O co chodzi?

Niełatwo było pytać damę o nazwisko kochanka zamordowanej siostry. Spróbował więc okrężnej drogi:

- Jak pani myśli, czyjej siostra była szczęśliwa w małżeństwie?

- Próbuje lord być taktowny, czyż nie? - W jej oczach pojawił się wymowny błysk. - Prawdziwe pytanie brzmi, czy Ginewra miała kochanka i czy znam jego imię. Odpowiedź na pierwsze pytanie: „możliwe”, na drugie, obawiam się, muszę odpowiedzieć „nie”. Nie, nie znam jego imienia. Z takich rzeczy raczej mi się nie zwierzała. Tak jak już panu mówiłam, Ginewra i ja nigdy nie byliśmy blisko.

- Mimo to wiedziała pani o jej młodzieńczym przywiązaniu do Vardena.

- Ależ to nie był żaden sekret! Myślę jednak, że nawet Ginewra byłaby ostrożna, gdyby przyprawiała mężowi rogi.

- Komu mogła się zwierzyć? Czy miała jakąś bliską przyjaciółkę?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Ginewra zawsze była typem samotniczki.

Ku swojej irytacji usłyszał daleki stukot kołatki przy drzwiach obwieszczający przybycie kolejnych gości chcących złożyć lady Quinlan kondolencje z powodu śmierci jej siostry.

- Pani siostra miała naszyjnik, srebrny naszyjnik wysadzany szafirowymi kamieniami. Wie pani coś o nim? - spytał pospiesznie. - To stara biżuteria, jeszcze sprzed siedemnastego wieku.

Skonsternowana Morgana pokręciła głową. Albo nie wiedziała o naszyjniku, albo umiała ukrywać swoje myśli i uczucia lepiej, niż przypuszczał.

- Nie. Jeszcze jako dziecko miała perłowy naszyjnik i jedną czy dwie małe spinki, które należały niegdyś do jej matki, ale to wszystko, co pamiętam. Mówi pan, że srebrny? To byłby dziwny prezent jak na Anglesseya. Pod warunkiem oczywiście, że nie był to naszyjnik rodowy. -

Uśmiechnęła się nieznacznie. - Chociaż gdyby tak właśnie było, nie pytałby mnie lord o to, prawda?

Nowi goście byli już na schodach. Sebastian słyszał ciężki chód jakiejś matrony i lżejsze kroki młodszej kobiety, pewnie jej córki.

- Wie pani może, po co pani siostra odwiedziła w zeszłym tygodniu Smithfield? - spytał, podnosząc się z krzesła.

- Smithfield?! - wstała razem z nim. - Ze wszystkich nieeleganckich miejsc... Nie, na Boga!

Stojąc obok niej, wicehrabia kolejny raz zauważył, jak niewiarygodnie wysoka była Morgana Quinlan. Tak jak jej siostra Ginewra odziedziczyła wzrost po ojcu, ale była od niej zdecydowanie mocniej zbudowana.

Zielona aksamitna suknia wieczorowa w żadnym wypadku nie pochodziła również z jej szafy.

Ta zielona aksamitna suknia nie dawała mu spokoju.

Powróciwszy do swojego domu na Brook Street, Sebastian zdecydował się zabrać kreację do Kat. Tak jak nie znał lepszego eksperta od zwłok niż doktor Gibson, podobnie w kwestii strojów nie było nikogo, komu ufałby bardziej.

- Czy Tom podstawił już bryczkę? - spytał, podając swój kapelusz i laskę Moreyowi, swemu

majordomusowi.

- Obawiam się, milordzie - odparł ten - że młody Tom jeszcze nie powrócił.

Sebastian zmarszczył brwi. Słońce już powoli zachodziło, a uprzedzał przecież forysia, by nie kręcił się po Smithfield po zmroku.

- Niech więc Giles podstawi powóz. Morey uklonił się dostojnie i oddalił.

Jakieś pół godziny później przyodziały w strój wieczorowy Sebastian wepchnął opakowaną w brązowy papier aksamitną suknię wieczorową pod siedzenie powozu i pognał swoje ręce kasztany w stronę Covent Garden. Na tylnym siedzeniu towarzyszył mu Giles.

Zachodzące słońce malowało już na przygasającym niebie długie wstążki pomarańcza i żywego rózu. Na ulicy panował duży ruch, ciężkie wozy furmanów i sprzedawców węgla mieszały się z eleganckimi landami i faetonami śmietanki towarzyskiej wyruszającej właśnie do opery, teatru czy też na niezliczone przyjęcia, którymi państwo umilało sobie swoje leniwe wieczory. Było też wielu pojedynczych jeźdźców - modnych byczków w skórzanych bryczesach i biało wykończonych butach do konnej jazdy; ich ogniste wierzchowce stąpały dumnie, wysoko podnosząc kopyta. Byli też ziemianie w staromodnych surdutach z końmi mocnej budowy, przyzwyczajonymi do wysiłku, oraz jeden dżentelmen w brązowym płaszczu na bliżej nieokreślonej rasy szarym ogierze, który utrzymując dystans, podążał za wicehrabią przez coraz mniej eleganckie dzielnice miasta.

Sebastian skręcił gwałtownie w St. Martin i ignorując drogę, która poprowadziłaby go do King Street i dalej do Covent Garden, jechał dalej na południe w stronę rzeki. Koń był oczywiście inny - siwy zamiast bardziej rzucającego się w oczy gniadosza - ale mężczyznę zdradzała sylwetka i to, jak wzorowo trzymał się w siodle. To był cień z South Downs.

Coraz bardziej czujny wicehrabia skręcił gwałtownie w lewo, w Chandos Street. Odziany w brązowy płaszcz jeździec również.

Ulica przed Sebastianem rozgałęziała się w literę Y. W rozwidleniu stał stary ceglasty budynek z apteką na parterze. Szyld był przerdzewiały, farba odchodziła, małe okna zasłaniały już drewniane okiennice.

Większość wozów skręcała tu w lewo, w kierunku Bedford Street, lecz wicehrabia pokierował kasztany w ciasną uliczkę po prawej i później jeszcze raz w prawo w jeszcze węższą alejkę, która odbijała do rzeki.

Otoczył ich ciężki odór rozkładu i wilgoci. Wysokie, popękane mury strzelały w górę po obu stronach zaułka, zabierając całe, i tak przyćmione już światło dogasającego dnia. Tutaj okna większości sklepów również były już zamknięte okiennicami lub założone deskami. Wąskie, wyludnione trotuary starej, wybrukowanej uliczki ginęły pod grubym, cuchnącym błotem.

- Masz, zmień mnie - rozkazał Sebastian, przekazując wodze stangretowi. - Jedź dalej i czekaj na mnie pod teatrem.

Giles z gębą rozdziawioną ze zdziwienia wgramolił się na siedzenie.

- Ale milordzie...

- Słyszałeś.

Młody wicehrabia oparł się ręką o żelazną poręcz siedzenia i zeskoczył lekko na bruk. Popędził z powrotem do sklepu żelaznego na rogu, przy którym sterta złomu i starych desek, wylewając się na ulicę, całkiem zablokowała trotuar. Sebastian wspiął się na jej szczyt, nie bacząc na skrzywienie i chybotanie desek.

Czuł wibracje przejeżdżającego ulicą lekkiego faetonu, ciężkie stukanie okutych żelazem kół potężnego wozu, a nawet odgłos kopyt zbliżającego się pojedynczego konia. Rzuciwszy wzrokiem w stronę wylotu ulicy, Sebastian dojrzał jeszcze swój powóz i samotną postać



odzianego w granatowy płaszcz stangreta przesuwaną się na tle starych tudorskich budynków.

Dla większości ludzi powóz byłby jedynie ciemną plamą. Mało kto zdołałby w tak gęstym mroku ocenić chociażby liczbę pasażerów.

Stukot kopyt był coraz głośniejszy. Sebastian skupił wzrok z powrotem na rozgałęzieniu ulic za jego plecami. Obok przeszła starsza kobieta zgięta wpół pod ciężarem tobołka wyglądającego na zwinięte szmaty. Sebastian zamarł w przysiadzie. Gdy odziany w brązowy płaszcz jeździec wyłonił się zza zakrętu, spod butwiejącej deski pod butem wicehrabiego wyszedł, poruszając nosem i świecąc w ciemnościach oczami, szczur. W migoczącym blasku latarni zaczepionej wysoko na budynku po przeciwnej stronie ulicy Sebastian dojrzał mężczyznę w wysokim kapeluszu nasuniętym głęboko na czoło przyglądającego się z przymrużonymi oczami powozowi na końcu uliczki. Widział jego mocno sterczący nos, szerokie bokobrody i resztę dokładnie ogolonej i całkowicie nieznanomej twarzy.

Szczur pisnął przestraszony i czmychnął w tym samym momencie, kiedy Sebastian skoczył.

Zaskoczony szczerzym piskiem jeździec odwrócił się jak oparzony.

Jego oczy zapłonęły z trwogi, a prawa ręka instynktownie powędrowała w górę, by chronić twarz, kiedy Sebastian runął na niego.

Siła uderzenia wystarczyła, by jeździec wypadł z siodła. Wicehrabia również spadł, boleśnie objając żebra o wybrukowaną drogę.

Koń zarżał przeraźliwie i stanął dęba. Sebastian zerwał się na nogi i zrobił unik przed końskimi kopytami, kiedy zwierzę ponownie wierzgnęło.

Mężczyzna w brązowym płaszczu zdołał już wstać i ślizgając się w błocie, zaczął uciekać.

Wicehrabia popędził za nim w górę uliczki pełnej warsztatów i handlarzy kończących pracę. Wyminął czeladnika krawieckiego, który odwrócił się, trzymając w szeroko rozstawionych ramionach pomalowaną na zielono okiennicę i złożył usta w nieme O.

Dalej otwierało się wejście w przecznicę i mężczyzna w brązowym płaszczu skoczył w jej wąskie gardło, Sebastian pędził tuż za nim.

Byli w starej części miasta. Wysokie, wypaczone ściany podpierał

las gnijących belek, o które łatwo było się potknąć, dawne podwórka pozostawiano bezładnie rozrzuconymi nielegalnymi budami i ponurymi ruderami.

Kiedy wpadli między grupkę bawiącej się w kole dzieciarni, podniósł się wrzask. Jeden z małych chłopców, pięcio - czy sześciolatek z umorusaną buźką, pobiegł za nimi, nawołując i śmiejąc się, aż opadł z sił i został w tyle.

Przez chwilę wicehrabia myślał, że mężczyzna pomylił się i wbiegł

w ślepy zaułek. Potem ujrzał jednak przed nimi czarny wylot alejki i nisko sklepione przejście, nad którym łączyły się ze sobą domy z przeciwległych stron niegdysiejszej wąskiej uliczki - teraz rozrośnięte na tyle, że połykały niebo i zostawiały na dole jedynie ciemny tunel.

Sebastian dał nura w mętny mrok niezliczonych drzwi i ostrych zakrętów, za którymi mógł czaić się jego cień. Zwolnił więc tempo, nasłuchując dudniących w przejściu kroków i ciężkiego oddechu. Wtem przejście otworzyło się na podwórze, które musiało być niegdyś szykownym dziedzińcem, teraz zapuszczonym i pełnym rozpadających się bud z nadbudowanymi kwaterami. Na rozciągniętych sznurach suszyło się złachmanione pranie, a stojące wieczorne powietrze zatrzymywało woń smażonej cebuli i ekskrementów.

Wicehrabia dał susa przez kałużę i biegł dalej. Dwie niosące pranie kobiety zatrzymały się i zagapiły, starszy mężczyzna napychający glinianą fajkę krzyknął coś, lecz jego głos utonął w ogólnym

zgiełku. Sebastian ruszył wąskim przejściem między dwoma budynkami z ciemnej cegły. U

wylotu zaświeciło blade światło ulicznej latarni i wicehrabia wybiegł na szeroką, zatłoczoną ulicę. Po chwili zdał sobie sprawę, że jest na Strand.

Uciekający mężczyzna dyszał już ciężko i zataczając się, wpadł

między dorożkę a potężne stare lando z przykurzonym herbem. Na chodniku w oddali dwóch ludzi w czerwonych kamizelkach i granatowych płaszczach - uniformach patrolu z Bow Street - odwróciło się i krzyknęło za nim. Mężczyzna jak na komendę zrobił w tył zwrot i łapiąc powietrze w otwarte usta, z wybałuszonymi z wysiłku oczami wbiegł w najbliższą przecznicę prowadzącą w stronę rzeki.

W tej okolicy uliczki były nowsze i mniej kręte, przez co prawdopodobieństwo trafienia w ślepy zaułek było mniejsze. Sebastiana paliło już w płucach i dyszał ciężko, ale biegł dalej. Kiedy byli w połowie otwartego placu na Hungerford Market, wicehrabia wreszcie dopadł

nieznajomego.

Zacisnął rękę na ramieniu mężczyzny i pociągnął w tył. Obaj stracili równowagę i runęli na bruk.

Ścigany walnął plecami o ziemię z taką siłą, że aż zadudniło.

- Kim ty, u diabła, jesteś?! - krzyknął Sebastian. Mężczyzna próbował się dźwignąć, ale w końcu legł nieruchomo, dysząc ciężko, z twarzą bladą z bólu.

- Tam do kata - wicehrabia chwycił go za połę płaszcza, uniósł i ponownie z hukiem posłał na łopatki - kto cię nasłał?

Nagle czyjaś mocna dłoń ścisnęła ramię Sebastiana i szarpnęła go w górę.

- No spokój, spokój panowie - usłyszał szorstki głos. - Co tu się dzieje?

Sebastian wypuścił z ręki brązowy płaszcz i patrzył teraz w szeroką, okoloną bokobrodami twarz jednego z konstabli z Bow Street.

Potrząsnął głową, by strząsnąć napływający do oczu pot.

- Do kroćset!

- Tak to my nie będziemy rozmawiać. - Drugi konstabl chwycił go za ramię z drugiej strony.

Tymczasem nieznajomy odczołgał się, podniósł z ziemi i dał nogę.

- Idioci! - warknął wicehrabia, cofając rękę i wbijając łokieć głęboko w śliwkową kamizelkę pierwszego ze stróżów prawa.

Wypuszczając powietrze z zasznurowanych bólem ust, konstabl puścił Sebastiana i skulony złapał się rękami za brzuch.

- Toś się doigra... - zaczął drugi konstabl, kiedy pięść Sebastiana wylądowała na jego twarzy.

Mężczyzna w płaszczu był już na drugim końcu targowiska.

Wicehrabia pognał za nim, nie zważając na ścigające go piski policyjnych gwizdków.

W oddali dostrzegł szerokie koryto Tamizy. Brzeg na tym odcinku rzeki był zabudowany kamiennym tarasem zwieńczonym niskim murkiem.

Przemierzywszy otwartą przestrzeń, nieznajomy wskoczył na płaski grzbiet tej poręczy, zapewne chcąc ominąć blokujące bulwar pojazdy i jak najszybciej dotrzeć do schodów.

Mur jednak miał swoje lata i jego zwietrzałe, przesiąknięte kamienie kruszały. Mężczyźnie omsknęła się noga. Mieląc powietrze rozpostartymi rękami, zachwiał się, po czym z przeraźliwym krzykiem runął do tyłu.

Sebastian usłyszał głuchoe tąpnięcie, a potem zrobiło się cicho. Noc mąciły jedynie gwizdki konstabli i plusk uderzającej o brzeg wody.

Z trudem łapiąc oddech, oparł rozstawione ramiona o grzbiet muru i wychylił się. Daleko w dole z rozpostartymi rękami i szeroko otwartymi, niewidzącymi oczami leżał na kamieniach mężczyzna w brązowym płaszczu.

- Do kroćset! - zaklął Sebastian, odsunął się od muru i przeciągnął

ubłoconym ramieniem po zlanym potem czole.

- Jeśli pańskim celem było tylko zapytać go o nazwisko - powiedział

sir Henry Lovejoy, wpatrując się w leżące u ich stóp zwłoki - to dlaczego go pan zabił?

- Nie zabiłem go. Spadł - burknął wicehrabia.

- Tak, oczywiście.

Poruszając się ostrożnie po mokrych skałach, sędzia pokoju przykucnął przy nieruchomej postaci i wbił wzrok w jeszcze bledszą z powodu księżycowej poświaty twarz mężczyzny.

- Czy wie pan, kto to?

- Nie, a pan? Lovejoy pokręcił głową.

- Jak pan sądzi, dlaczego pana śledził?

- Miałem nadzieję, że to pan pomoże mi znaleźć odpowiedź.

Niski sędzia posłał mu zbolące spojrzenie i podniósł się.

- Czytał pan dzisiejsze gazety?

- Nie. Dlaczego?

Mimo że nawet nie dotknął ciała, Lovejoy wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł ręce.

- prostytutka znalazła dziś w St. Jamess Park zwłoki. Tuż przed świtem.

Wiatr przybrał na sile i niewielkie fale zaczęły rozbijać się o kamienie, na których stali. W powietrzu unosił się ostry zapach rzeki, błota i wszechogarniający smród ścieków. Sebastian zawiesił wzrok na ciemnym kadłubie tnącej czarne fale lekkiej łódki. W mieście, w którym aż roiło się od kurtyzan i prostytutek, te z parku należały do najniższej kategorii -

godne pożałowania istoty były tak oszpecone przez choroby, że mogły wykonywać swój zawód tylko w ciemnościach.

- Co w tym niezwykłego? - zapytał Sebastian.

- A to, że ciało zostało pocięte na kawałki. - Lovejoy wcisnął

chusteczkę z powrotem do kieszeni. W słabym blasku księżycy jego twarz dorównywała bledością leżącym u ich stóp zwłokom. - I to dosłownie.

Poćwiartowano je jak wołową tuszę.

- Wiadomo już, kim była ofiara?

Sędzia dał znać konstablom, by zabrali ciało i odwrócił się.

- To jeden z najbardziej kłopotliwych aspektów tej sprawy. To był

najstarszy syn sir Humphreya Carmichaela. Młodzieniec miał zaledwie dwadzieścia pięć lat.

Sir Humphrey Carmichael był jednym z najbogatszych ludzi w mieście. Choć urodzony jako syn tkaczki, miał obecnie udziały niemal w każdym biznesie - od przemysłu i bankowości po górnictwo i statki. Było więc oczywiste, że dopóki zabójca jego syna nie zostanie złapany, wszyscy konstable i sędziowie pokoju w mieście, rzuciwszy wszystko inne w ką, będą zajmować się tylko tą sprawą.

- Tak przy okazji, jeden z funkcjonariuszy z Bow Street chce wytoczyć panu sprawę - rzucił Lovejoy, wspinając się po schodkach. -

Złamał mu pan nos.

- A on porwał mi płaszcz.

Niski sędzia odwrócił się i zmierzył wzrokiem doskonale skrojone okrycie wicehrabiego, teraz unurzane w błocie i podarte. W jednym z kącików zazwyczaj ściągniętych warg Lovejoya zagrał uśmiezek.

- Nie omieszkam mu tego przekazać.

A co się stało tym razem? - spytała Kat, widząc Sebastiana w swoim garderobianym lustrze. Przed chwilą opadła kurtyna po ostatnim akcie.

Teatr rozbrzmiewał okrzykami, śmiechem i tupotem spiesznych kroków.

Wicehrabia rzucił owiniętą w papier zieloną aksamitną suknię na jej sofę i wierzchem dłoni wytarł ściekającą mu po policzku krew.

- Jechałem właśnie do ciebie, żeby się dowiedzieć, co też mogłabyś mi powiedzieć o tej sukni wieczorowej, ale zdecydowałem zrobić sobie mały postój i poćwiczyć zapasy w błocie.

Spojrzała na niego wzrokiem wyrażającym troskę, wyczerpanie, ale i rozbawienie. Zdjęła z czoła pozłacany diadem Kleopatry, wstała z krzesła i poszła rozpakować suknię. Aksamit połyskiwał w złotym świetle lamp.

- Jest przepiękna - powiedziała, odwracając się, by spojrzeć na nią pod światło. - Szykowna, ale niestonowana. Wygląda jak uszyta dla młodej żony arystokraty. Damy jakieś kilka lat po debiucie, ale nadal młodej.

Zerknęła w jego stronę.

- Nie sądzisz chyba, że kobieta, która dostarczyła liścik dla księcia, miała na sobie identyczną suknię?

Sebastian zdjął zabłocony płaszcz. Nawet taki genialny garderobiany jak Sedlow nie był w stanie go uratować.

- Wątpię. Prawdopodobnie miała suknię o podobnym kroju i odcieniu. Kobieta od razu zauważyłaby różnicę, ale większość mężczyzn nie. - Zerknął na swoją kamizelkę. Była równie zniszczona, co płaszcz. -

Kimkolwiek była, na pewno maczała palce w śmierci markizy.

- Niekoniecznie. Znam dziesiątki aktorek, które byłby w stanie przekonująco zagrać damę. Zabójca mógł zwyczajnie kogoś wynająć.

- Być może, lecz czy to nie dość ryzykowne posunięcie?

Kat wywróciła suknię na lewą stronę, żeby przyjrzeć się szwom.

- Popatrz na ten drobniutki ścieg. Po prostu niewiarygodny. Taka jakość mogła wyjść spod igły zaledwie kilku szwaczek w tym mieście.

Stanął tuż przy niej.

- Myślisz, że gdyby udało nam się ją odnaleźć, mogłaby nam powiedzieć, kto ją zamówił?

- Ależ naturalnie. Mogłaby, ale trzeba by ją umiejętnie podejść.

Wicehrabia objął ramieniem swoją Kleopatę i przyciągnął do siebie.

- Czyżbyś sugerowała, że zrobiłbym to nieudolnie? Rozchylonymi ustami musnęła jego wargi.

- Sugeruję jedynie, że to pytanie zabrzmiałoby bardziej wiarygodnie, jeśli usłyszy je z kobiecych ust.

Uśmiechając się szeroko, przeciągnął palcami przez włosy Kat, koniuszkami kciuków masując jej policzki.

- W takim razie... - urwał, słysząc pukanie do drzwi.

- Kwiaty dla panny Boleyn! - zawołał młody głos.

- O Boże! Jeszcze jedno?! - wykrzyknęła aktorka. Sebastian omiół

wzrokiem wazony pełne róż, lilii i orchidei, które zajmowały każdy wolny skrawek garderoby, łącznie z podłogą.

- Wygląda na to, że masz nowego wielbiciela - powiedział i podszedł

otworzyć drzwi.

Nicholas - teatralny chłopiec na posyłki, wyszczerzył zęby i wepchnął Kat w ręce niewielki pęk kwiatów.

- No i następny. Ten koleś dał mi całego szylinga. Jak tak dalej pójdzie, to niedługo se własny sklep otworzę.

- To nie był ten sam człowiek? - spytała aktorka. Wicehrabia wziął

od niej bukiet.

- Ten przynajmniej nie zajmie pół pokoju. Ale przynasz, że wygląda osobliwie: jedna żółta lilia i dziewięć białych róż. Co za dziwactwo! Kim jest twój wielbiciel?

Nagle Kat zrobiła się nienaturalnie blada.

- Pozostałe przysłał Comte de Lille.

- A tego nie?

Spojrzała na bilecik, który trzymała w dłoni. - Nie.

Sebastian zmarszczył brwi.

- O co chodzi? Co się stało? Kto je przysłał?

- Nie wiem. Nie podpisał się. Wziął bilecik z jej ręki.

*Złożył zaś król srebra i złota w Jerozolimie jak kamieni, a cedrów jak sykomor, których jest obfitość w Szefeli** - przeczytał na głos, po czym rozbawiony oddał jej bilecik. - Cóż za galant wysyła kobiecie bukiet z cytatem z Biblii?

* Biblia Tysiąclecia, 2 Krn 1,15 [przyp. tłum.]

Kiedy Sebastian wyszedł, Kat siedziała przez jakiś czas nieruchomo, wpatrując się w przysłane dopiero co kwiaty. Jedna żółta lilia, dziewięć białych róż. Dziewiętnasty. To pojutrze.

Nie, to nie było możliwe! Powtarzała sobie, że to zwykły zbieg okoliczności, że te kwiaty musiał przysłać jej wielbiciel. Drżącą dłonią podniosła bilecik i przeczytała ponownie: *Złożył zaś król srebra i złota... Z*

każdym oddechem słodki zapach lilii i róż oplatał ją coraz intensywniej, tak że zaczęło ją mdlić. Zmięta bilecik w dłoni i cisnęła na podłogę.

W kufrze pod kolekcją starych kostiumów i programów teatralnych trzymała schowaną Biblię. Trochę zajęło, zanim odnalazła właściwy fragment. Wychowano ją na katoliczkę, a ci nie przykładają takiej wagi do studiowania Pisma jak protestanci. W końcu znalazła.

Druga Księga Kronik, rozdział pierwszy, wers piętnasty.

Zamknęła Biblię i ścisnęła mocno jej czarną skórzaną okładkę.

Utkwiła wzrok w pomiętym liściku na podłodze. W przygaszonym świetle złamana pieczęć wyglądała jak krople świeżej krwi.

Minęło tyle czasu, ponad cztery miesiące. Zaczęła już wierzyć, że ten dzień nigdy nie nadejdzie, a nawet łudzić się, że zdoła o wszystkim zapomnieć. Bóg jej świadkiem, że zaczęła marzyć o zbudowaniu jakiejś wspólnej przyszłości z mężczyzną, którego kochała bardziej niż samo życie.

Irlandia jednak nadal była w potrzebie. Wojna między Anglią a Francją zbierała krwawe żniwo, zaś w środę 19 lipca o pierwszej piętnastej po południu następca Pierreonta, nowy szpieg napoleoński w Londynie, będzie jej oczekiwał w Physic Garden w Chelsea.

Tej nocy, kiedy Sebastian dotarł do swojego domu na Brook Street, już na progu natknął się na majordomusa.

- Mały Tom jest w bibliotece - oznajmił majordomus bezbarwnym głosem, jakim wszyscy starsi służący zdawali się mówić o forysiach. -

Nalegał, że na pana zaczeka.

- Ach tak. Dziękuję, Morey. Dobranoc. Wicehrabia otworzył drzwi do biblioteki. Spodziewał się znaleźć chłopaka śpiącego na jednym z foteli, on jednak siedział przy biurku. Z podbródkiem wspartym na piąstce czytał

chudą książkę. Obok paliło się kilka świec.

Był tak pochłonięty lekturą, że nie zauważył, kiedy Sebastian wszedł. Zaskoczony podniósł wzrok, dopiero gdy zawiasy w drzwiach zaskrzypiały cicho.

- Milordzie! - Ześlizgnął się z krzesła, spłoszył, by po chwili zbladnąć.

- Co czytasz? - uśmiechnął się wicehrabia.

- Ja... ja... szef wybaczy...

- W porządku. Co tam masz? Chłopiec spuścił głowę.

- *Jazona i Argonautów*.

- Świetny wybór. - Sebastian poszedł nalać sobie kieliszek brandy. -

Gdzie się nauczyłeś czytać?

- Chodziłem kiedyś do szkoły, zanim tacie się zmarło. Młody wicehrabia odwrócił się zaskoczony. To mu przypomniało, jak niewiele wiedział o przeszłości chłopca, poza tym że jego matkę zabrano do Botany Bay i mały został sam na ulicach Londynu.

- Spodziewałem się ciebie wcześniej - powiedział Sebastian, nalewając sobie drinka.

- Tam ciekawie to się robi dopiero wieczorem. Pomyślałem, że jeśli dłużej się tam pokręcę, to może czegoś się dowiem.

- I udało się?

Tom pokręcił głową.

- Sprawdziłem wszyściutkie sklepy na tej ulicy, ale nikt się nie przyznał, że widział tę damę.

Wicehrabia oparł dłoń o biurko i w zamyśleniu sączył brandy.

- A żebrak bez jednej nogi? Widziałeś go przed „Norfolk Arms”?

- Nie widziałem, ale pokręciłem się troszkę przy tym pubie. Ten właściciel z Afryki to strasznie dziwny gość. Baaardzo dziwny. Podobno był kiedyś niewolnikiem na plantacji bawełny gdzieś w Ameryce, ale zabił

swojego pana i zwiął.

- Jak się nazywa? Podśluchałeś? Chłopak przytaknął.

- Carter. Caleb Carter. Przyjechał tu jakie piętnaście lat temu, może nawet więcej. Zakręcił się obok wdowy, która prowadziła „Norfolk Arms”.

Miała córkę, śliczną rudą dziewczynkę Georgiane. Ale dziewczynka się rozchorowała i jakie dwa lata temu zmarła, a jej matka niedługo później.

- I zostawiła Carterowi pub?

- No. Wygląda na to, że są w biznesie... Wie szef, o co mi chodzi.

- Przemysłowcy? Wcale bym się nie zdziwił - powiedział Sebastian, przypomniawszy sobie butelkę wybornej francuskiej brandy na stoliku w głównej sali. Odsunął się od stołu i wyprostował. - Lepiej idź spać. Chcę, żebyś jutro znowu tam poszedł.

- Tak jest, szefie - odparł Tom, powstrzymując ziewnięcie.

- Proszę. - Wicehrabia podał mu książkę. - Pewnie chciałbyś ją dokończyć.

Wzrok chłopca osunął się nieśmiało z twarzy Sebastiana na jego wyciągniętą dłoń.

- No dalej, weź ją - zachęcił z uśmiechem wicehrabia. - Oddasz, jak przeczytasz.

Dzieciak ruszył do drzwi, przyciskając książkę do piersi tak mocno, jakby niósł jakiś skarb.

- Jeszcze jedno, Tom... Chłopiec natychmiast się odwrócił.

- Tym razem masz wrócić przed zmrokiem, zrozumiano? Nie chcę, żebyś ryzykował. Mamy do czynienia z bardzo niebezpiecznymi ludźmi.

- Tak jest, szefie.

Nadal się uśmiechając, Sebastian stanął w drzwiach i patrzył, jak mały pędzi przez korytarz. Potem uśmiech przygasł i młody arystokrata wrócił do biblioteki nalać sobie kolejnego drinka.

Następnego ranka, kiedy księżna wdowa Claiborne, popijając gorącą czekoladę, odpoczywała na szeszlunku w swojej garderobie, do pokoju wparował wicehrabia Dewlinu.

- Sebastian? - jęknęła. - Co też ten Humphrey sobie wyobraża?

Zabroniłam mu kategorycznie wpuszczać kogokolwiek przed pierwszą.

- Tak też powiedział - Sebastian nachylił się i cmoknął ciotkę w policzek. - Co możesz mi powiedzieć o hrabinie Portland?

- Claire Portland? - Ciotka podniosła się nieznacznie. - A po cóż ci to, na Boga?

Wicehrabia zignorował pytanie.

- Co o niej sądzisz?

Ciotka Henrietta prychnęła leciutko i z gracją odparła:

- Całkiem ładna istotka, nie przeczę, ale moim zdaniem raczej niezbyt lotna.

- W rzeczy samej sprawia takie wrażenie, ale pozory mylą.

- Czasami, jednak w tym przypadku obawiam się, że tak nie jest. -

Księżna spojrzała na niego groźnie. - A teraz może powiesz mi wreszcie, dlaczego interesuje cię ta dama?

- Wygląda na to, że lady Anglessey chciała kiedyś poślubić brata Claire Portland, chevaliera de Varden.

- Hmm. Tak, nietrudno mi to sobie wyobrazić. Szalenie przystojny młodzieniec, poza tym nic nie ujmuje dziewczyny za serce tak, jak tragiczna romantyczna przeszłość.

- Ależ droga ciociu, zaraz zacznę podejrzewać, że sama się w nim durzysz...

Wydała z siebie dudniący pomruk. Obfity biust zakołysał się nieco.

- Wiesz dobrze, że do romantycznych, przystojnych młodzieńców to ja cierpliwości nie mam.

- Lady Portland - przypomniał z uśmiechem Sebastian. - Opowiedz mi o niej.

Ciotka Henrietta usadowiła się wygodniej.

- Obawiam się, że niewiele jest do opowiadania. Jej ojciec, nieżyjący już lord Audley, dobrze ją wyposażył. Miała udany debiut towarzyski i pod koniec sezonu wyszła za hrabiego Portland.

- A co wiesz o samym Portlandzie? Znów lekkie prychnięcie.

- Ma powodzenie u kobiet, ale ja osobiście nie znoszę rudzielców.

Nie można jednak zaprzeczyć, że stary hrabia, jego ojciec, miał dryg do pieniędzy. Portland też nie należy do rozrzutników i Claire dobrze na tym wyszła. Nie twierdę, że ma Portlanda pod pantoflem, ale też nie znalazł

sobie kochanki, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Zdaje się większość czasu spędzać w Whitehall.

- A lady Portland? Bawi się w politykę?

- Nie sądzę, by miała do tego upodobanie, a już na pewno nie głowę.

Wicehrabia usiadł na krześle naprzeciw niej.

- Wydaje się zaskakująco zżyta z Morgana Quinlan.

- Cóż, nic w tym chyba dziwnego, biorąc pod uwagę, jak blisko położone są majątki ich ojców.

- Powiedziałbym jednak, że te dwie kobiety mają zupełnie odmienne temperamenty.

- Owszem, lecz z przyjaźnią jest czasem jak z małżeństwem: najlepsze opierają się na przeciwieństwach.

Sebastian zamyślił się, wspominając związek rodziców. To był

akurat taki przypadek, gdy partnerzy o przeciwnym usposobieniu zdecydowanie nie współgrali.

- Lady Quinlan wydaje się żywić do siostry szczególną niechęć -

powiedział po chwili. - Wiesz może dlaczego?

- Hmm. Przypuszczam, że ubodło ją, gdy młodsza siostra poradziła sobie lepiej w małżeńskim wyścigu. Jeśli mam być szczerą, zdziwiłam się, że lady Morgana w ogóle zdołała kogokolwiek złapać. Ta kobieta to nie tylko bezwstydną sawantka, ale co gorsza, koszmarna z niej nudziara.

Zdarzyło mi się raz popełnić ten fatalny błąd i wybrać się na jeden z jej naukowych wieczorków. Jakiś dżentelmen opowiadał nam niezmiernie ciekawie o butelkach lejdejskich i miedzianych drutach. Potem uśmiercił żabę i ożywił ją wstrząsami elektrycznymi. Odrażające!

Sebastian nachylił się do niej.

- Jak zabił tę żabę?

Ciotka Henrietta dopiła czekoladę i odstawiła filiżankę.

- Otruł ją, o ile mnie pamięć nie myli.

Minister spraw wewnętrznych, hrabia Portland, siedział właśnie nad parującą filiżanką w kawiarni przy ulicy The Mail, kiedy Sebastian zajął

krzesło naprzeciwko.

- Nie przypominam sobie, bym zapraszał pana do stolika - obruszył

się Portland, mierząc wicehrabiego nieprzychylnym wzrokiem.

- W rzeczy samej, nie zapraszał pan - odparł ten beztrosko.

Za oknem rozbrzmiały miarowe uderzenia bębna i łomot żołnierskich butów. Świeże mięso armatnie - pomyślał Sebastian - w drodze do Portsmouth i na wojnę na drugim brzegu Kanału. Nikt z kawiarnianych gości nie podniósł nawet wzroku.

Portland odchylił się na krześle z lekkim uśmiechem na twarzy.

- Żona mówiła mi, że spotkała pana wczoraj w salonie lady Quinlan.

- Nie wspomniał lord, że był szwagrem kochanka zmarłej damy.

- Ma pan na myśli Vardena? - Minister uniósł filiżankę do ust i w zamyśleniu wziął łyk. - Wiem, że kiedyś łączyła ich szczególna więź, ale nie wiem nic o obecnej naturze tej znajomości.

- Proszę mi o nim opowiedzieć. Hrabia Portland wzruszył

ramionami.

- Chłopak da się lubić, choć jak na mój gust jest w gorącej wodzie kąpany, zbyt impulsywny. Ale w końcu to w połowie Francuz, nie ma się więc co dziwić.

- A jakie ma poglądy polityczne? Minister parsknął kpiąco i wziął

kolejny łyk.

- Ten szczeniak ma dwadzieścia jeden lat. W głowie mu wino, kobiety i śpiew. Marny z niego kandydat do książeckiego gabinetu.

- A co ze sporami dynastycznymi? Czy to może go interesować?

Portland odsunął filiżankę od ust, pobladł i spoważniał.

- O czym pan mówi? Sebastian pomiął pytanie.

- Ta dama, która poprosiła pana, by przekazał księciu liścik... Co może mi pan o niej powiedzieć?

- Rzekłbym, że była młoda. - Portland spojrział w filiżankę, a jego rudawozłote brwi ściągnęły się w zamyśleniu. - Takie przynajmniej odniosłem wrażenie. Jeśli nawet widziałem kolor jej włosów, to go nie pamiętam.

- Zdecydowanie kobieta?

- Tak, tak bym mniemał. - Zawahał się. - Myślę, że była wysoka, ale pewności nie mam. Możliwe, że pomyślałem tak *post facturriy* kiedy założyłem, że to lady Anglessey wręczyła mi ten miłosny liścik.

Sebastian oparł się na krzesło, nie spuszczać wzroku z hrabiego.

Wydało mu się zbyt dużym zbiegiem okoliczności, że liścik mający zwabić księcia do Żółtej Komnaty został przekazany ministrowi spraw wewnętrznych, a nie jednemu z cmokierów, którymi regent zwykł się otaczać. Z drugiej strony, możliwe było, iż kobieta w zieleni specjalnie wybrała Portlanda.

- Pamięta lord sztylet tkwiący w plecach lady Anglessey? - spytał

wicehrabia.

Minister odwrócił głowę i wyjrzał przez wykuszowe okno na pustą teraz, zalaną słońcem ulicę. Grdyka chodziła mu, jakby z trudem przęłykał, a kiedy się odezwał, w jego głosie pobrzmiwało napięcie.

- Takiego obrazu raczej szybko nie zapomnę, prawda? Sterczał z niej jak...

- Czy widział go pan już wcześniej?

- Ten sztylet? - Portland rozejrzał się ponownie z oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia. - Oczywiście. Należy do kolekcji pamiątek po Stuartach. Był w posiadaniu Henry ego Stuarta, kiedy ten umarł. Jak mniemam, należał do jego dziadka, Jakuba II.

Dzwoneczek przy drzwiach kawiarni zabrzączał i w środku pojawiło się dwóch żołnierzy, a wraz z nimi woń porannego powietrza, ogrzanych słońcem ceglanych murów i przykry zapach świeżego nawozu. Sebastian nie przestawał świdrować wzrokiem piegowatej twarzy Szkota.

- Co się z nim stało?

- Po śmierci Henry ego? Nie wie pan? Całą kolekcję zapisał księciu Walii, regentowi.

Kat miała niespokojną noc. W jej snach przewijały się obrazy maszerujących w rzędach martwych żołnierzy i poplamiona krwią gilotyna poskrzypująca złowrogo na wietrze.

Obudziła się wcześniej i stanęła w oknie wychodzącym na ulicę. W

czystym porannym świetle widziała dójki przechodzące od drzwi do drzwi z wiadrami świeżego mleka dyndającymi na nosidłach.

Nie żałowała tego, co zrobiła. Tyrania, jaką francuscy żołnierze zafundowali kontynentowi, była niczym w porównaniu z mękami, jakie ze strony Anglików od setek już lat przeżywała Irlandia. Nadal będzie robić, co w jej mocy, by przyspieszyć dzień wyzwolenia swojej ojczyzny.

Dlatego nie mogła jednak przyjąć miłości Sebastiana, a równocześnie pomagać wrogowi, w walce z którym jej ukochany ryzykował życie.

Przez jakiś wahała się, lecz teraz zdecydowała już pójść do Chelsea Physic Garden na jutrzejsze rendez-vous z nowym szpiegiem Napoleona.

Zamierzała powiedzieć mu, że Francuzi nie mogą już polegać na niej jako na źródle informacji. Wkrótce miało się okazać, czy pozwolą jej tak łatwo odejść.

Zbyt rozedrgana, by jeszcze pospać, postanowiła rozpocząć poszukiwania krawcowej, która uszyła Ginewrze śmiertelny całun.

Wyruszyła tuż po śniadaniu. Odwiedziła jedynie trzy krawcowe, zanim odnalazła zakład, w którym wykonano suknię z zielonego aksamitu.

- *Mais oui*, dobrze ją pamiętam, o taaak - powiedziała Madame de Blois, właścicielka drogiego sklepiku na Bond Street. - Zaledwie zeszłego sezonu zamówiła ją u mnie lady Addison Peebles.

Kat ugryzła się w język, żeby nie zapytać: „Czy jest pani pewna?”.

Dama, o której wspomniała krawcowa, była młodą, lecz wyjątkowo tępą spadkobierczynią ogromnej fortuny, żoną lorda Addisona Peeblesa, najmłodszego syna księcia Farnham. Ponieważ lord Addison nie ustępował

małżonce bezmyślnością, utarło się w towarzystwie nazywać ich pan i pani Powolniak. Trudno było uwierzyć, że któreś z nich mogło mieć cokolwiek wspólnego ze śmiercią Ginewry Anglessey.

- Przepiękna, czyż nie? - zachwycała się Madame de Blois. - Chociaż ten odcień zieleni nie pasuje raczej do młodej kobiety o takiej karnacji jak lady Addison, hmm? Próbowałam jej to odradzić, ale nie chciała mnie słuchać. - Krawcowa pokręciła głową i cmoknęła cicho. - Dla pani zrobimy coś w

szafirze, czyż nie? No i oczywiście z odważniejszym *décolleté*.

Kat posłała kobiecie szeroki uśmiech.

- Oczywiście.

Sebastian nie pojmował fascynacji księcia regenta dynastią Stuartów.

Jerzy pragnął być popularny i szczerze przejmował się gwizdami i głośnym buczeniem, jakimi wszędzie go witano. Jednakże mimo rosnącego niezadowolenia z powodu jego wiecznych długów i skandalicznej rozrzutności, nie starał się w żaden sposób ograniczyć swoich wydatków. Podczas gdy na ulicach kobiety i dzieci przymierały głodem, książę wydawał wystawne bankiety, na których uprzywilejowani goście mogli wybierać z ponad stu gorących potraw. Angielscy żołnierze na Kontynencie drżeli z zimna w swoich lichych mundurach, ale to nie powstrzymywało regenta od zamawiania kolejnych spodni i kamizelek w rozmiarach tak małych, że nigdy nie byłby w stanie ich założyć. Biedota Anglii mogła sobie jęczeć pod jarzmem ciągle rosnących podatków, a książę i tak bez skrpułów występował do parlamentu o spłatę kolejnych długów karcianych.

Niektórzy wierzyli, że kierował nim jakiś zły duch, ale Sebastian uważał, że prawda była o wiele gorsza. Księciunio pragnął być kochany, ale taki, jaki był, bez konieczności zmiany swych wstrętnych i niskich upodobań. Mając wybór między popularnością a hedonistycznym stylem życia, Jerzy-utrójca za każdym razem brał górę nad Jerzym-księciem.

Mimo to z każdym rokiem jego romans ze Stuartami zdawał się przybierać na sile, tak jakby jednocześnie zazdrościł im i się z nimi identyfikował. Niegdyś tak znienawidzeni, że przypłacili to utratą angielskiego tronu, teraz Stuartowie obrośli w legendę. Stali się postaciami wielkimi i tragicznymi, zyskali sławę, o jakiej Księciunio mógł jedynie marzyć.

Bez wątpienia jednak wisiał nad nim ich tragiczny los. Sebastian podejrzewał, że fascynacja i zazdrość mieszała się z ogromnym strachem -

dręczącą świadomością, że to, co przytrafiło się Stuartom, może kiedyś stać się i jego udziałem.

Książę regent trzymał swoją rozrastającą się kolekcję dokumentów i pamiątek po Stuartach w specjalnej sali w Carlton House i nie przepuszczał żadnej okazji, by się nią pochwalić. I tak późnym popołudniem tego samego dnia wicehrabia Dewlinu wszedł do pokoju z czerwonymi zasłonami zdobionymi złotymi frędzlami i dywanem w szkocką kratę.

- To broń Karola I z bitwy pod Naseby - powiedział książę, z nabożeństwem wyjmując ciężki zabytkowy miecz z jednej ze szklanych gablot wiszących rzędem na ścianach. Sebastian nie zauważył przy nich zamków. A więc każdy, kto miał dostęp do pokojów regenta, mógł bez kłopotu zabrać jakiś przedmiot.

- A to - powiedział Jerzy szczególnie zadowolony i dumny, podnosząc spłowiały Order Podwiązki - należało do Jakuba II.

Jego tłuste, niezdarne palce drżały, gdy gładził wyblakły materiał i przez chwilę można było odnieść

wrażenie, że odpłynął myślami gdzieś daleko. Nagle ocknął się i zaczął drobić swymi grubymi nogami po miękkim dywanie, opowiadając o dokumentach, które gromadził do biografii tegoż króla.

Wicehrabia podążał za nim. Zatrzymali się na chwilę przy kolekcji siedemnastowiecznej biżuterii, a potem przeszli do gabloty wyłożonej szkarłatnym aksamitem. Tam, umieszczony w specjalnie uformowanym zagłębieniu, leżał wysadzany kamieniami szkocki sztylet, który Sebastian widział ostatnio zatopiony w ciele Ginewry Anglessey.

- Ach, widzę, że podziwia pan mój sztylet! - zauważył książę, stając tuż za nim. - Piękny eksponat, nieprawdaż? Wiemy, że nosił go Jakub II, ale niektórzy twierdzą, że jest znacznie starszy, że mógł należeć do jego prababki Marii królowej Szkotów.

Podnosząc wzrok ze sztyletu na obecnego właściciela, Sebastian przyjrzał się badawczo profilowi Jerzego. Twarz regenta zdradzała ożywienie, ale nie dopatrzył się w niej ani cienia podenerwowania.

Policzki książę miał rumiane, a kąciaki kobiecych wręcz ust podniesione w beztróskim uśmiechu.

Tamtej nocy w Żółtej Komnacie w pawilonie Jerzy trzymał w objęciach bezwładne ciało Ginewry Anglessey. Musiał widzieć tę broń wepchniętą w jej plecy i z pewnością rozpoznał w niej jeden ze swoich najcenniejszych eksponatów. Mimo to zdawał się tego nie pamiętać.

Sebastian słyszał już wcześniej, że książę miał dar wyrzucania z pamięci wszystkich nieprzyjemnych wspomnień. Sztylet wrócił na swoje właściwe miejsce w kolekcji i dla regenta tylko to się liczyło.

Jerzy przeszedł do półki z obciążonymi cielecą skórą książkami, które należały niegdyś do Karola II. Sebastian wciąż obserwował regenta, widział ożywienie na jego pulchnej, zadowolonej twarzy i zaczął się zastanawiać, czy książę w ogóle pamiętał cokolwiek z tamtej nocy w Żółtej Komnacie.

W pokoju, jak we wszystkich książęcych apartamentach, było duszno i gorąco. W tym jednak momencie po ciele wicehrabiego przeszedł

zimny dreszcz. A wszystko dlatego, że człowieka zdolnego do takiego wyparcia, takiej koncentracji na własnej osobie, z pewnością stać było na wszystko.

To bardzo ciekawa umiejętność - skomentował Paul Gibson, kiedy Sebastian spotkał się z nim na piwie w pubie niedaleko Tower. - Sam chciałbym umieć korygować wspomnienia nieprzyjemnych zdarzeń, zmieniając je w coś przynajmniej łatwiejszego do przyjęcia. W pewnym sensie można rzec, że tacy ludzie, mijając się z prawdą, nie kłamią, skoro szczerze wierzą w ich własną wypaczoną wersję wypadków.

Sebastian oparł się o naznaczone czasem drewniane przepierzenie, jedną ręką obejmując spoczywający na zniszczonym blacie stolika kufel.

- Dobrze, że książkę był tego dnia w Brighton. W przeciwnym wypadku byłbym skłonny rozważać, czy nie chciał zwyczajnie wymazać z pamięci nieprzyjemnego wspomnienia morderstwa lady Anglessey.

- Dzięki sztyletowi wiemy przynajmniej, że mordercą jest ktoś z jego bliskiego otoczenia.

- Niekoniecznie. Te gabloty nie są zamykane. Setki ludzi mogły mieć do nich dostęp.

- Możliwe, ale jakoś nie wyobrażam sobie kogoś takiego jak Bevan Ellsworth myszkującego po Carlton House.

- Nie, ale jego dobry znajomy Fabian Fitzfrederick z pewnością byłby w stanie go zabrać.

Gibson zmarszczył brew.

- Czy oni naprawdę są dobrymi przyjaciółmi?

- Na to wygląda.

- Ale... dlaczego syn księcia Yorku chciałby upadku Hanowerów?

Sebastian nachylił się w stronę ucha doktora.

- Księżcunio jest ostro krytykowany. Być może działają tu dwie siły: jedna nastawiona na obalenie Hanowerów, a druga dążąca jedynie do zastąpienia regenta jego bratem, księciem Yorku właśnie.

Lekarz znieruchomiał z kuflem w połowie drogi do ust.

- Ale następna w kolejce do tronu jest księżniczka Charlotte.

- Zgadza się, lecz jej ojciec zwykł wyzywać matkę Charlotte od dziwki. Może równie dobrze zostać pominięta. Zdarzało się to już wcześniej.

Zadumany Gibson pociągnął zdrowy łyk piwa.

- Czy nie przyszło ci do głowy, że osoba, czy też osoby odpowiedzialne za śmierć Ginewry Anglessey, nie muszą być tymi samymi, które zaaranżowały tę ohydłą szaradę w pawilonie?

- Owszem. - Wicehrabia zmienił pozycję, by rozprostować nogi. - I gdybym tylko się dowiedział, co robiła w „Norfolk Arms” w Smithfield, znalazłbym klucz do rozwiązania tej sprawy.

- To rzeczywiście mało prawdopodobne miejsce na spotkanie kochanków.

- Nie sądzę, by to była schadzka - pokręcił głową Sebastian.

Powietrze zadudniło ciężkimi krokami i po ulicy przemaszerowała część garnizonu z Tower. Lufy żołnierskich karabinów połyskiwały w słońcu. Gibson z poważną miną odwrócił głowę i odprowadził ich wzrokiem.

- Doszło mnie wiele krytycznych opinii o fecie, którą książę wydaje we wtorek. I nie chodzi jedynie o koszty, znaczne, jak przypuszczam. Nie sądzisz, że to niestosowne, aby książę świętował objęcie regencji w sytuacji, gdy przyczyną awansu jest choroba umysłowa jego ojca?

Podobno jego matka i siostry odmówiły uczestnictwa.

Sebastian także obserwował żołnierzy. Wyglądali tak młodo, niektórzy byli jeszcze chłopcami.

- Wątpię, by ktoś się tym przejął. Ogłoszono, że żadna kobieta z pozycją społeczną niższą od córki hrabiego nie będzie mogła w niej uczestniczyć. To naturalnie sprawiło, iż każda pominięta, a ambitna dama w Londynie walczy, by zrobiono dla niej wyjątek. Lista gości z pewnością przekroczy dwa tysiące.

- Kiedy książę wraca do Brighton?

- Dzień po uroczystościach. - Wicehrabia wciąż patrzył zadumany na sunące kolumny odzianych w czerwone płaszcze żołnierzy. - Pomyśl, gdybyś chciał zorganizować zamach stanu, kiedy byś go przeprowadził?

Gibson spojrzał Sebastianowi w oczy.

- Kiedy księcia nie byłoby w Londynie.

- Otóż to - odpowiedział wicehrabia i osuszył kufi **40**

Lady Addison Peebles? - spytał Sebastian, patrząc na Kat z niedowierzaniem. Byli w salonie w jej domu na Harwich Street. Z oddali dobiegały krzyki dzieci bawiących się na chodniku w wyliczankę - ich śmiech i wieczorny koncert ptaków. Cienie stawały się coraz dłuższe. - Co, u czorta, może mieć z tym wspólnego pani Powolniakowa? Kat zachichotała.

- Nic. Okazuje się, że krawcowa chciała odradzić jej ten odcień zieleni, ale nie było siły. Podejrzewam, że cieszyła się z tej sukni jak dziecko, dopóki księżna, jej teściowa, nie powiedziała nieboracze, że w tym kolorze wygląda jak chora żaba.

- Co więc zrobiła? - wicehrabia wstał i nalał im obojgu wina do kieliszków.

- Oddała suknię swojej garderobianej, a ta sprzedała ją handlarzowi używaną odzież. Kobieta twierdzi, że nie pamięta któremu, bo często coś upłynnia i ma kilku stałych paserów.

Sebastian z niedowierzaniem uniósł jedną brew.

- Suknia pochodzi od jakiegoś pasera?

- Najwidoczniej tak. - Kat sięgnęła po kieliszek. Pograżony w myślach, wziął głęboki łyk wina.

- Czy ja na pewno dobrze rozumiem? Ktoś zabija Ginewrę Anglessey, trując ją cyjankiem. Śmierć jest gwałtowna. Tak gwałtowna, że morderca musi umyć ciało i przebrać je w nową suknię - suknię, którą kupuje od jakiegoś handlarza używaną odzież w miejscu takim jak Rosemary Lane. Nasz zabójca nie zna jednak dobrze swojej ofiary i wybiera zły rozmiar, tak że suknia się nie dopina. Nie zwraca sobie też głowy bielizną, butami czy pończochami, które powinna mieć na sobie dama. Pakuje jej ciało... Gdzie? Na wóz czy do powozu, nie dowiemy się którego, i gna z nią do Brighton, gdzie jakimś cudem udaje mu się wnieść ciało do pawilonu. Wysłała swoją współpracowniczkę - w podobnej zielonej sukni i woalce na twarzy - do muzycznej komnaty księcia, gdzie ta podaje liścik ministrowi spraw wewnętrznych lordowi Portland i znika. Liścik, którego z jakichś niewyjaśnionych przyczyn nikt nie chce mi pokazać. Ach tak, czy wspomniałem, że po starannym rozłożeniu ciała Ginewry w Żółtej Komnacie, nasz zabójca dźga ją szkockim sztyletem, który należał kiedyś do Jakuba II, ale obecnie jest częścią książęcej kolekcji, i to trzymanej normalnie w Londynie?

- Cóż, cieszę się, że znasz już odpowiedzi na wszystkie pytania.

Podszedł do okien wychodzących na ulicę. Dzieci już nie było.

- Na wszystkie poza: „kto?” i „dlaczego?” Stanęła za nim i wychylając się, spojrzała mu w twarz.

- O co chodzi? Wciąż wyglądasz przez okno.

- Martwię się o Toma. Kazałem Moreybwi przysłać chłopca tutaj, jak tylko wróci.

- Do zmroku jeszcze daleko.

- Tom miał wrócić ze Smithfield przed zmierzchem. Kat oplótła go rękami w talii i przyciągnęła, przywierając piesiami do jego pleców.

- Tom wychował się na ulicy. Potrafi się o siebie troszczyć.

Sebastian pokręcił głową.

- To bardzo niebezpieczni ludzie.

- To służący - odezwała się po chwili ciszy.

- To jeszcze mały chłopiec.

- Który uwielbia doglądać twoich koni i myszkować, zdobywając dla ciebie informacje. To sprawia, że czuje się ważny i potrzebny. Gdybyś zabronił mu sobie pomagać, poczułby się nie tylko zawiedziony, ale i urażony.

Wicehrabia obrócił się w jej uścisku i mocno przytulił Kat do piersi.

- Wiem - powiedział, opierając podbródek na czubku jej głowy - ale mam złe przeczucia.

Tomowi nie podobało się w Smithfield. Nie chodziło jedynie o wszechobecny zapach krwi, surowego mięsa i wyprawianej skóry. Czuł, jakby niewidoczne, lecz przytłaczające opary śmierci ścisnęły go za gardło, odbierając oddech.

Spędził tu frustrujący dzień, nie bardzo wiedząc, czego szukać. I pewnie dlatego nic nie znalazł. Z ulgą obserwował, jak z zapadającym zmierzchem cienie stają się coraz dłuższe. Postanowił wracać.

Przechodził właśnie obok wąskiej uliczki prowadzącej na tyły

„Norfolk Arms”, kiedy kątem oka zauważył, że przy pochyłych dwuskrzydłowych drzwiach prowadzących do piwnicy pubu stoi wóz.

Trzech mężczyzn w ciszy wypakowywało ładunek. Co dziwne, nikt się nie uśmiechał, nie żartował. Mężczyzna na furgonie podawał po jednej małej beczułce pozostałym, a oni kursowali w tę i z powrotem po piwnicznych schodach. Niedaleko Toma, plecami do wylotu uliczki, stał jeszcze jeden mężczyzna - szczupły dżentelmen w dobrze skrojonym szynelu.

Chłopak dał susa za pobliską stertę skrzynek i obserwował ich przez chwilę. Z początku myślał, że to tylko dostawa francuskiego wina przemyconego z Kontynentu. Tylko że beczułki nie wyglądały jak te na wino. Przypominały bardziej beczki z prochem.

W tym czasie w Londynie nie był to widok zaskakujący. Po bez mała dwudziestu latach prawie nieprzerwanej wojny nie było chyba w Anglii dziecka, które nie widziało by maszerujących drogami żołnierzy, tasiemcowych sznurów wozów wypełnionych stosami beczulek z prochem i skrzyń z karabinami ciągnących na nabrzeże, gdzie ładowano je na statki płynące na Półwysep, do Indii i na Morza Południowe.

Tego prochu jednak nie wywożono na wybrzeże. Znikał w piwnicy pubu, który - jak podejrzewał szef - odwiedziła w dniu swojej śmierci lady Anglessey. Czegoś takiego - zdecydował Tom, stoczywszy ze sobą krótką batalię - nie mógł zignorować.

Nie potrzebował rozbrzmiewających echem ostrzeżeń lorda, żeby wiedzieć, jacy to niebezpieczni ludzie. Spędził na ulicach wystarczająco wiele czasu - najpierw z Hueyem, potem samotnie - by umieć rozpoznać zagrożenie. Czasem wyobrażał sobie, że Huey nadal z nim był, jak anioł

stróż pilnował go, ostrzegał przed niebezpieczeństwem. Teraz też stał tuż obok i mówi mu, by nie wchodził w tę uliczkę, by zniknął jak najprędzej.

- Ale ja muszę, Huey - wyszeptał Tom. - Wiesz, że muszę.

Szorując plecami po nierównej ceglastej ścianie, zakradł się bliżej.

Wilgotne, stęchłe powietrze gryzło go w nozdrza. Z pubu wyszedł

mężczyzna - wysoki i łysy, o afrykańskich rysach twarzy, po których chłopak rozpoznał właściciela lokalu Caleba Cartera. Carter podszedł do mężczyzny w szynelu. Tom pochylił się i prawie zgięty w pół, stąpając miękko po mokrej ziemi w przejściu, odważył się podejść jeszcze bliżej.

- Miały być dwa wozy - powiedział właściciel pubu. Jego łysa głowa odbijała światło rzucane przez wiszącą za jego plecami lampę. - Co się stało?

Starając się nie oddychać, chłopak przykucnął za stosem starych, wypaczonych desek i połamanych ram okiennych.

- To wszystko. Powiedzieli, że wystarczy. Caleb Carter rozejrzał się dookoła i splunął.

- Jeśli trafimy na opór...

- Nie trafimy - uciał mężczyzna w szykownym płaszczu, wchodząc w prostokątny snop światła rzucany przez otwarte drzwi lokalu.

Teraz Tom widział go dobrze. Był niski, drobnej budowy, miał

przydługie, matowe włosy słomkowego koloru. Ubrany był zdecydowanie jak dżentelmen i chłopaka zastanowiło, dlaczego nadzorował

rozładowywanie wozu jak jakiś pospolity robotnik.

- To tylko tak na wszelki wypadek - odezwał się blondyn. - To będzie powtórka z 1688 roku.

Carter chrząknął.

- Mogli ją sobie nazwać bezkrwawą rewolucją, ale z tego, co słyszałem i dobrze o tym wiesz, dalekie to od prawdy. Oj, dalekie!

Wtem gdzieś z ulicy dobiegły odgłosy wybuchów i dziecięcy śmiech, jakby ktoś odpalił fajerwerki. Stało się to tak niespodziewanie, a nerwy Toma były tak napięte, że podskoczył i nadepnął nogą na kawałek szkła.

Blondyn odwrócił się jak gwałtownie, sięgając jedno cześnie do kieszeni płaszcza.

- Co to było?

Właściciel pubu zrobił krok do przodu. Chłopak był pewien, że słyszy krzyk Hueya: „Uciekaj, Tom! Uciekaj!”.

Potykając się i ślizgając w mazistym błocie uliczki, ruszył biegiem w stronę pełnej zgiełku, zatłoczonej Giltspur Street. Wypadłszy na główną ulicę, omal nie zderzył się z dwukólką. Za sobą usłyszał gniewny głos blondyna.

- Zatrzymać go! Łapać złodzieja!

„O Boże! - pomyślał Tom. Serce waliło mu tak mocno, że aż poczuł

ból w klatce piersiowej. - O Boże, nie!” Dał susa w boczną uliczkę. Za plecami usłyszał przenikliwy i natarczywy dźwięk gwizdka. Oddech ugrzązł mu już w gardle. Przeskoczył przez jakąś kopnącą się beczkę i pobiegł dalej.

Było już prawie ciemno. W oddali majaczyły mu niewyraźne kontury targowych straganów. Gdyby tylko zdołał dotrzeć do otwartej przestrzeni, zgubić się między pustymi straganami, może pod którymś się schować...

Znów usłyszał gwizdek. Obejrzał się - tylko po to, by przez chwilę nieuwagi wpaść prosto w rozpostarte ramiona stróża, który wyłonił się zza najbliższego straganu. Jego wielkie, silne łapy chwyciły Toma za ramiona i nie puszczały.

- Mam cię, ptaszku.

Chłopca szarpnęło do tyłu. Skronie mu pulsowały, ciężki oddech galopował. Stróż miał szeroką pulchną twarz i kartoflowaty nos. W

ostatnich promieniach gasnącego dnia miedziane guziki jego płaszczka migotały niczym złoto.

- Coś zmajstrował, ptaszku? Hmm?

- Nic, proszę pana - odpowiedział Tom, z trudem łapiąc oddech. - Ja nic nie zrobiłem. Blondyn w rozwiewanym podmuchami wiatru szynelu przemierzył otwarty plac.

- Ten szczeniak ukradł mojemu znajomemu zegarek. Tom próbował

uwolnić się z uścisku stróża.

- To nieprawda! - Był tak przerażony, że trzęsły mu się nogi. Z

trudem panował nad pęcherzem.

- Tak? - spytał blondyn, wyciągając do niego rękę. - A tu co masz?

To była stara sztuczka. Tom widział złoty zegarek schowany w dłoni mężczyzny i próbował zrobić unik, ale stróż z targu przytrzymał go i dżentelmen wsunął chłopcu rękę do kieszeni, udając, że wyjmuję z niej zegarek.

- Widzi pan. Jest.

- On kłamie! - Tom szarpnął się w silnym uścisku stróża. - Miał go w ręce! Widział to pan, prawda? Prawda?

- Tylko spokojnie, ptaszku - odpowiedział stróż. - Przyłapano cię na gorącym uczynku. Lepiej przyjmij konsekwencje jak na Anglika przystało.

- Mówię panu, nie zwinąłem żadnego cholernego zegarka! Jestem forysiem wicehrabiego Dewlinu, a ci ludzie...

Stróż zaniósł się chrapliwym śmiechem.

- Tak, tak, oczywiście, a ze mnie jest Henryk VIII. - Spojrzał na blondyna. - Wnieście pan oskarżenie?

Blondyn zrobił dziwną minę, jakby kalkulował. Nagle chłopak pożałował, że wspomniał w jego obecności o szefie.

- Zrobi to mój znajomy - powiedział mężczyzna w płaszczu, posyłając Tomowi zimny, cierpki uśmiech. - Dopilnujemy, żeby szczeniak zawisł.

Gdy Sebastian obudził się rano, czekała go niepokojąca wiadomość - jego forys jeszcze nie powrócił.

- Każ Milesowi natychmiast postawić powóz - polecił wicehrabia garderobianemu.

- Powóz, milordzie? Do Smithfield?

- Owszem.

Sebastian zdecydował, że tym razem nie będzie uciekał się do żadnych podstępów. Zamierzał w pełni wykorzystać swoją pozycję i pieniądze i za wszelką cenę dowiedzieć się, gdzie przepadł Tom.

Sedlow z drewnianym wyrazem twarzy popatrzył wicehrabiemu prosto w oczy.

- A czy założy pan dziś ten ohydny płaszcz rodem z Bow Street, milordzie?

Sebastian przerwał wiązanie krawata i spojrzał na służącego.

- Nie sędzę.

- Tak jest, milordzie. - Sedlow prychnął. Jego łagodna zazwyczaj twarz wyrażała niepokój. - Chodzi mi jedynie o to... że jeśli spodziewa się lord wydarzeń podobnej natury, co te napotkane już dwukrotnie w tym tygodniu, nie chciałbym, by narażał pan swoją garderobę na rujnację jedynie ze względu na moje słabe nerwy.

- Możesz być pewien, że nie ma w tym twojej winy. Nie rób sobie wyrzutów z powodu zniszczonego płaszcza i kamizelki.

- I pańskich irchowych bryczesów - dodał służący. - Obawiam się, że są nie do uratowania.

- Zrób, co w twojej mocy - odparł wicehrabia, odwracając się na odgłos pukania swojego majordomusa. - Tak? Czyżby wrócił?

- Obawiam się, że nie, milordzie, ale przyszła do pana pewna osoba -

nacisk, jaki Morey położył na to słowo, zdradzał jego stosunek do gościa. -

Twierdzi, że była pokojówką lady Anglessey.

Sebastian przeklął pod nosem. Kusiło go, by kazać Moreyowi powiedzieć kobiecie, że jego lordowska mość już wyszedł. Wiedział

jednak, że cokolwiek skłoniło Tess Bishop do wizyty, musiało być ważne.

Poza tym zaprzęzenie koni chwilę zajmie. Zarzucił frak na ramiona.

- Wprowadź ją, proszę, do mniejszego salonu i powiedz, że zaraz zejść. Ach, Morey - dodał, gdy mężczyzna odwrócił się już do wyjścia - i każ poczęstować ją herbatą i ciastkami.

- Tak, milordzie - odparł majordomus z kamienną twarzą.

Wicehrabia zastał Tess Bishop siedzącą na jednym z pokrytych jedwabiem foteli z rękami złożonymi na kolanach. Na stoliku obok stały nietknięte serwis do herbaty i talerz z ciastkami. Na widok Sebastiana zerwała się na równe nogi.

- Nie, proszę siedzieć - powiedział, podchodząc do serwisu. - Skąd pani wiedziała, kim jestem?

Osunąwszy się z powrotem na fotel, patrzyła, jak nalewa niewielką ilość mleka do filiżanki, a potem uzupełnia ją herbatą.

- Widziałam pana w poniedziałek, kiedy odwiedzał pan lorda Anglessey - prychnęła lekko. - Od początku wiedziałam, że nie jest pan konstabłem z Bow Street.

Sebastian znieruchomiał z dzbankiem w ręce i w jednej chwili podniósł wzrok. Jego reakcja sprawiła, że Tess dodała spieszenie:

- Proszę mnie źle nie zrozumieć. Świetnie naśladował pan akcent i zachowanie, ale był pan za miły.

Roześmiał się i odstawił dzbanek.

- Cukru? - zapytał, podając jej filiżankę.

- Ależ nie, dziękuję, milordzie - odpowiedziała dziwnie spłoszona.

- Proszę.

- Dziękuję, milordzie.

Biorąc herbatę, tak mocno chwyciła filiżankę i spodek, że Sebastian zastanawiał się, czy delikatna porcelana to wytrzyma. Podniesienia naczynka do ust nie zaryzykowała.

Nalewając sobie herbaty, zapytał jakby od niechcienia:

- Dlaczego przychodzi pani do mnie akurat teraz? Wzięła głęboki oddech i zaczęła się tłumaczyć:

- Nie powiedziałam panu wszystkiego. Jest coś jeszcze i uznałam, że powinien pan o tym wiedzieć.

- Co takiego?

- Zeszłej środy, kiedy moja pani nie wróciła do domu, nie wiedziałam, co robić. Wciąż zaglądałam do jej pokoju, sprawdzając, czy może nie wślizgnęła się jakoś niezauważona. W końcu zasnęłam tam.

- W jej pokoju?

- Tak, na kanapie. Obudziłam się dobrych parę godzin później o drugiej, może trzeciej nad ranem. Świeca się wypaliła, więc z początku byłam trochę zdezorientowana. Nie wiedziałam, gdzie jestem. Potem sobie przypomniałam i zdałam sobie sprawę, że zbudziło mnie, gdy ktoś próbował wejść przez okno. Widzi lord, pokój mojej pani wychodzi na ogród na tyłach domu. Rośnie tam stary dąb, a jego konary prawie przylegają do okna.

Sebastian oparł się o pusty kominek.

- Co pani zrobiła?

- Zaczęłam krzyczeć. William, to jeden ze służących, usłyszał mnie i przybiegł, a ktokolwiek był za oknem, uciekł. Wtedy pomyślałam, że to tylko zwykli włamywacze. Następnego dnia otrzymaliśmy wiadomość, co spotkało naszą panią i zupełnie zapomniałam o tej podejrzanej nocnej wizycie.

Przerwała, ale wicehrabia wyczuł, że to nie koniec historii.

- I? - zachęcił ją.

Tess Bishop uniosła w końcu filiżankę do ust i wzięła niewielki łyk herbaty.

- Tej nocy, rzecz jasna, spałam we własnym łóżku, ale kiedy następnego dnia weszłam do pokoju mojej pani, by otworzyć okna i wywietrzyć, zauważyłam, że zasuwka na jednym z okien jest złamana.

- To było w piątek rano, tak? - zadumany wicehrabia zmarszczył

brew.

- Tak.

- Co zginęło?

- No więc, widzi pan, to właśnie było w tym najdziwniejsze, że nic.

A przynajmniej tak mi się wydaje. Na pierwszy rzut oka nic nie wskazywało, żeby ktoś w ogóle wchodził do pokoju. Szybko jednak zdałam sobie sprawę, że coś było nie tak. Tak, jakby ktoś przeszukał cały pokój, a potem starał się poukładać wszystko na miejsce.

- Jakby czegoś szukał? - Tak.

Wicehrabia spuścił wzrok na filiżankę. Nigdy nie poprosił

Anglesseya o pozwolenie przeszukania pokoju jego żony - przeoczenie, którego teraz żałował i zamierzał naprawić.

Podniósł wzrok i zobaczył, że Tess Bishop mu się przygląda.

- Powiedziała pani markizowi? - spytał. Pokręciła głową.

- Nie czuje się najlepiej. Po tym, co spotkało milady, obawiałam się, że coś takiego mogłoby go kompletnie rozstroić. Poprosiłam Williama, żeby naprawił zasuwkę. Pomyślałam, że pewnie złamała się w środę wieczorem, kiedy wystraszyłam intruza.

- Czy jest pani przekonana, że tak nie było?

- O tak. Dokładnie sprawdziłam okno. Sebastian wyrzwał na ulicę.

Spokojny, bezchmurny poranek zapowiadał kolejny parny dzień.

Nie miał powodu wątpić w historię pokojówki. Jeśli jednak mówiła prawdę, znaczyło to, że ktokolwiek zabił młodą markizę, miał powody obawiać się czegoś, co do niej należało. Czegoś, co mogło go obciążyć.

- To nie wszystko - powiedziała pokojówka ściszym, pełnym obawy głosem.

Wicehrabia rozejrzał się po salonie.

- O co chodzi?

Tess Bishop oblizwała gwałtownie dolną wargę.

- Pytał pan, czy wiem, dokąd udała się tego popołudnia moja pani.

Tego popołudnia, kiedy ją zamordowano.

- Chce pani powiedzieć, że jednak wie?

- Niezupełnie, milordzie, ale wiem, z kim miała się spotkać. -

Przełknęła ślinę. - Z pewnym dżentelmenem.

- Wie pani, jak się nazywa?

Oddech przyspieszył i jej wątła pierś zafalowała.

- Wiem, co pan myśli, ale jest pan w błędzie. Moja pani nigdy nie zdradziłaby markiza. Tylko że... on tak desperacko pragnął potomka. A kiedy stało się jasne, że nie może go mieć... - jej głos załamał się z zażenowania.

- Wiem, co ustalili - uspokoił ją Sebastian. - Czy chce pani powiedzieć, że markiza rozmawiała o tym z panią?

Pokojówka pokręciła przecząco głową.

- Ale była tak wstrząśnięta, kiedy markiz pierwszy raz to zasugerował, że przypadkiem usłyszałam to

i owo.

- Czy wie pani, co sprawiło, że zmieniła zdanie? Białe policzki służącej pokrył delikatny rumieniec.

- Do miasta przyjechał pewien młody dżentelmen. Znała go jeszcze z czasów dzieciństwa w Walii.

- Jak miał na imię? - spytał wicehrabia, wiedząc już, jaka będzie odpowiedź.

Jej dłonie zadrżały. Filiżanka zabrzęczała o spodek i Tess odstawiła ją na stolik.

- On nie mógł jej zabić - powiedziała, przechylając się w stronę wicehrabiego. - To nie on.

Sebastian spojrzał z góry na jej pochyloną głowę, na wyraźnie zarysowane kręgi jej bladego karku.

- Czy kiedy twoja pani nie wróciła tamtej nocy, pomyślałaś, że z nim uciekła?

- Nie! Oczywiście, że nie! - Pokojówka podniosła głowę, a oczy zapłonęły jej złością. - Moja pani nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego markizowi.

Jednak w chwilę potem wicehrabia zobaczył, jak ucieka wzrokiem i wiedział, że w którymś momencie podczas długich, pełnych niepokoju godzin czekania na panią ta myśl przyszła jej do głowy, choćby przelotnie.

- Pan nie rozumie - powiedziała, znów się nachylając. - Nikt nie rozumie. Wszyscy patrzą na piękną młodą kobietę i starego mężczyznę i widzą małżeństwo z rozsądku. - Z irytacją odgarnęła z czoła cienkie, spłowiałe kosmyki. - Na pewno tak to się zaczęło, ale dobrze się dobrali, naprawdę. Potrafili spędzać ze sobą całe godziny, rozmawiając, śmiejąc się. Niewiele jest takich par wśród socjety.

Nie użyła słowa „miłość”, ale wisiąco gdzieś między nimi niewypowiedziane.

- Mimo to, nawet gdy zaszła już w ciążę, nadal spotykała się z tym młodzieńcem - zauważył cicho Sebastian.

Tess Bishop przygryzła wargę i odwróciła wzrok.

- Czy to możliwe, że próbowała zerwać z tym młodym człowiekiem?

- zasugerował. Nie pierwszy raz rozpalony, odrzucony kochanek zabiłby obiekt swych uczuć.

Pokojówka pokręciła głową.

- Nie, ale rzeczywiście pokłócili się.

- Kiedy to było?

- W sobotę, przed jej śmiercią.

- Wiesz, o co się kłócili?

- Nie, ale wyglądało, że... że ona czegoś się o nim dowiedziała.

Czegoś, co... - zawahała się, szukając odpowiedniego słowa.

- Czegoś, co ją rozczarowało? Tess Bishop pokręciła głową.

- To było coś więcej. Z markizem łączyła ją głęboka przyjaźń, ale ten młody dżentelmen był dla niej jak Bóg.

Wicehrabia odwrócił się i wyjrzał za okno. Nie patrzył jednak na ogrzane słońcem ceglaste mury domów naprzeciwko ani na truchtającego wolno muła piekarza. Myślał o czasach, kiedy sam tak kochał. Kiedy poznał gorzki, rozdzierający trzewia smak rozczarowania.

W przypadku Sebastiana to rozczarowanie było jednak tylko przedstawieniem zainscenizowanym przez kobietę, która kochała go tak mocno, że dla jego własnego dobra chciała wicehrabiego od siebie odsunąć. Chociaż wtedy o tym nie wiedział.

„Był dla niej jak Bóg. A co, gdy Bóg umiera?” - zastanawiał się.

Kiedy ktoś jest naszym słońcem, księżycem i gwiazdami, a potem nagle odkrywamy jakąś nieznaną słabość - tak poważną, tak straszną, że niszczy nie tylko zaufanie do tej osoby, ale i szacunek.

Niektórzy ludzie po takim rozczarowaniu już nigdy nie dochodzą do siebie. Sebastian zaciągnął się do wojska i poszedł na wojnę. A co zrobiłaby Ginewra Anglessey?

Rzucił okiem na siedzącą w fotelu bladą, jakby wystraszoną Tess Bishop.

- Jego imię - poprosił ponownie, z naciskiem. Musiał to usłyszeć, musiał potwierdzić swoje przypuszczenia. - Jak mu na imię?

Przez chwilę zdawało mu się, że w ostatecznym akcie wierności swej pani pokojówka po prostu wstanie i wyjdzie. Jednak w końcu zwiesiła głowę i powiedziała rozdartym szeptem:

- Varden. To był chevalier de Varden.



Krzyki stawały się coraz bardziej dokuczliwe. Krzyki i irytujące kapanie wody. Tom podciągnął kolana blisko pod brodę. Zęby zgrzytały mu od przeszywających jego ciało dreszczy. Za oknem na czerwcowym niebie świeciło ciepłe, złote słońce, ale tutaj, w zawilgoconych, pokrytych grubą warstwą brudu murach Newgate* panowała ciemność i przejmujący chłód.

* *Newgate* - w czasach rzymskich jedna z bram miejskich Londynu, a od 1188 do 1902 r. więzienie [przyp. red.]

- Ej ty, chłopcze!

Nęcący szept dobiegał z niedaleka. Tom odwrócił głowę i udawał, że nie słyszy.

- Propozycja jest nadal aktualna. Dziś w nocy. Pięć szylingów.

Mężczyzna nigdy dokładnie nie sprecyzował, co Tom miałby za te pięć szylingów zrobić, ale on nie był głupi. Wiedział. Pusty żołądek podszedł mu do gardła.

Nie miał ani koca, ani nawet cienkiego siennika, który choć trochę chroniłby go przed ciągnącym od kamiennej posadzki chłodem. W

Newgate za takie luksusy jak jedzenie czy posłanie trzeba było płacić.

Gdyby nie łaskawość kapryśnej socjety i datki pojedynczych dobroczyńców, biedniejsi więźniowie umieraliby z głodu. Zresztą i tak wielu umierało.

Tom podniósł się z pełnej robactwa słomy i odszedł jak najdalej od zapraszającego szeptu. Pomieszczenie nie miało więcej niż dziewięć stóp na dwanaście, a tłoczyło się w nim piętnastu-dwudziestu mężczyzn i chłopców. Najmłodszy miał najwyżej sześć lat. Leżał w rogu zwinięty na boku, jego jasne włosy były potargane, a umorusana twarz zalana łzami.

Co chwilę wybuchał płaczem, wołając mamę, dopóki któryś z mężczyzn go nie kopnął i nie kazał siedzieć cicho.

Chłopak podszedł do krat i przylgnął do nich twarzą. Na chwilę zamknął powieki i niemal upadł. Nogi miał jak z waty.

W nocy przez długie, ciemne godziny nie odważył się zmrużyć oczu.

Pewnie i tak by nie zasnął - przez strach, biegające po podłodze szczury i zimno, które zdawało się przenikać go do szpiku kości. Były jeszcze krzyki. Krzyki zrozpaczonych, szalonych, chorych i umierających mieszające się z żalosnym zawrotem branych siłą kobiet.

Więzienny strażnik wypożyczał je na godziny - tak powiedział

Tomowi jeden z chłopców. Niektóre z nich prawdopodobnie się na to godziły - nie byłyby to dla nich

pierwszy raz, gdy sprzedawały swoje ciała, by przeżyć. Mimo to, nawet jeśli były chętne, i tak nie pozostawiano im wyboru.

Widział, jak ciągnięto po dziedzińcu jedną taką. Dziewczyna miała dwanaście, może trzynaście lat. W trzaskającym świetle pochodni obserwował blade i wątłe ramiona, które próbowała wyrwać z uścisku, jej napiętą twarz i płonące dziko oczy.

- Pst, chłopcze...

Tom nie przestawał chodzić.

Próbował namówić stróża, który go tu przywlókł, żeby zawiadomił

wicehrabiego Dewlinu, ale barczysty mężczyzna tylko się roześmiał i zażartował, że miejsce ptaszków jest w klatce. Potem strażnik więzienny opróżnił Tomowi kieszenie, nie mógł więc nawet komuś zapłacić, by zaniósł wiadomość na Brook Street.

Znów przystanął przy kratkach wychodzących na dziedziniec.

Próbował sobie wyobrazić, co zrobi jego lordowska mość. Czy szef pomyśli, że Tom po prostu dał nogę? Nie, tak nie pomyśli... ale czy na pewno?

Zrozumie, na pewno zrozumie, że coś mu się przytrafiło. Zacznie go szukać, ale z pewnością nie przyjdzie mu do głowy zajrzeć tutaj.

Przynajmniej nie od razu. Chłopak podsłuchiwał rozmowę innych więźniów.

Podobno następna rozprawa miała się odbyć już następnego dnia. Tom mógł więc jednego dnia zostać skazany, a już następnego zawisnąć.

Rzadko tak bywało, w większości przypadków łagodzano wyroki, a jednak zdarzało się, kiedy ktoś miał pecha. A on najwyraźniej miał.

Czuł, że ściany przygniatają go swoim ciężarem. Wziął głęboki oddech i zapachy celi odurzyły go - smród odchodów, potu, chorób i strachu. Strachu przed panoszącym się w więzieniu tyfusem, strachu przed biczem strażnika. Przed stryczkiem i lekarskim nożem.

- Pomóż mi, Huey - wyszeptał Tom, osuwając się na kolana. To było jak modlitwa, chociaż nie sądził, by Huey mógł go usłyszeć, a już na pewno nie był w stanie pomóc. Czy wszyscy złodzieje szli do piekła, nawet jeśli mieli zaledwie trzynaście lat? - Jak ty to zniosłeś? O Boże, Huey, tak mi przykro...

Wcisnął głowę między kolana i zaszlochał.

Physic Garden znajdował się w Chelsea na północnym brzegu Tamizy. Był to stary aptekarski ogród założony w siedemnastym wieku, a może jeszcze wcześniej. Kat nigdy tam nie chodziła, ale rozumiała, że wijące się delikatnie ścieżki i niemal opuszczone grządki czyniły to miejsce idealnym na spotkanie. Szpiedzy mogli przechadzać się tu do woli, nie wzbudzając podejrzeń.

Kiedyś wyczekiwała tych schadzek ze zniecierpliwieniem. Lubiła uczucie mrowienia, radosne podniecenie, jakie towarzyszy życiu na krawędzi. Kiedyś nie miała do stracenia nic prócz życia. Teraz to się zmieniło.

Pojechała do ogrodu faetonem zaprzężonym w dwa konie. Sama powoziła, a obok siedział jej stajenny George.

- Bardzo dziś gorąco - powiedziała, przekazując mu lejce przy zachodniej bramie ogrodu. - Uważaj na konie, niech nie stoją w słońcu.

Zakrywszy twarz szafirową parasolką, weszła do ogrodu i skierowała się ku kamiennemu stawowi. Tutaj powietrze było bardziej rześkie.

Delikatny wiaterek szeleścił liśćmi lip, niosąc mieszaninę słodkich zapachów - spalonego słońcem rozmarynu, zmysłowego jaśminu, świeżo skoszonej trawy.

Przez jakiś czas spacerowała sama między rabatkami róż. Nagle zauważyła dżentelmena w podeszłym wieku - plecy miał przygarbione, a skórę wysuszoną i ciemną od lat spędzonych pod tropikalnym słońcem.

Staruszek jednak nie podchodził do niej, a w końcu zniknął gdzieś pośród krzewów.

Ruszyła dalej, a z każdym krokiem czubki jej bucików wzbijały w górę fałdy sukni. Zastanawiała się, kim też jest ten nowy szef szpiegów.

Czy to francuski emigrant, tak jak Pierrepont? A może Anglik, który miał

na tyle mało rozumu czy też szczęścia, żeby pozwolić Francuzom złapać się na haczyk? A może to ktoś zniechęcony do własnego kraju, jakiś fascynat rewolucji albo Napoleona?

Kat nie sympatyzowała z Francuzami. Chociaż przemawiała do niej sama idea rewolucji, towarzyszące jej okrucieństwo i bestialstwo odrzucały. Poza tym koniec końców Francuzi zdradzili sami siebie -

skuszeni wizjami panowania nad światem poddali się wojskowej dyktaturze.

Niemniej hołdowała starej maksymie „Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem”. Dla Kat wrogiem była Anglia - od zawsze, nawet przed wydarzeniami tego mglistego dublińskiego poranka, kiedy to jej świat rozsypał się pod ciężkimi krokami żołnierskich butów, przy wrzaskach kobiet i

cieniach rzucanych przez dwa kołyszące się na wietrze ciała.

Nagle zdała sobie sprawę, że w ogrodzie jest ktoś jeszcze - wysoki, smukły, lecz dobrze zbudowany mężczyzna w bryczesach z płowej irchy i w dobrze skrojonym oliwkowym płaszczu. Rozpoznała go, naturalnie.

Nazywał się Aiden O'connell i był młodszym synem lorda Rathkeale z Tyrawley.

Cała aż zeszywniała. Podczas gdy reszta Irlandczyków została przepędzona z własnych ziem, O'Conellowie z Tyrawley przyjęli angielskie zwierzchnictwo, a nawet religię. W rezultacie nie tylko nie stracili swoich włości, ale jeszcze je poszerzyli.

Przystanęła na skraju stawu i czekała, aż do niej podejdzie. Był

przystojnym mężczyzną o zielonych, skrzących się oczach i z dwoma dołeczkami, które często pojawiały się na smukłych, opalonych policzkach.

- Piękny mamy poranek - powiedział radośnie, uwydatniając owe dołeczki. - Wspaniały ogród, nie uważa pani?

Nie podnosiła wzroku. Stała nieruchomo wpatrzona w skrzącą się słońcem tafelę wody. Trudno jej było uwierzyć, że ten człowiek mógł być nowym szpiegiem napoleońskim w Londynie, a nie miała zamiaru zwracać jego uwagi, jeśli znalazł się tu przypadkiem.

- Przypomina mi ogrody, które widziałem kiedy w Palestynie -

ciągnął - nieopodal Jeruzalem. Cedry i figowce mieniły się w słońcu czystym srebrem i złotem, tak potężne, że zdawały się ocierać o chmury.

Niespiesznie spojrzała na niego i dostrzegła, że by starszy, niż wyglądał. Wcześniej nie dałaby mu nawet trzydziestu lat. W dodatku urzekające dołeczki odwracały uwagę od kryjącego się w jego oczach inteligentnego błysku.

- Przyszłam tu jedynie przez grzeczność - odezwała się wreszcie. -

Nie chcę już tego robić. Już nie.

Aiden O'connell uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- To przez lorda Dewilna, nieprawdaż? Zastanawiałem się nad tym.

Wytrzymała jego spojrzenie, ale nie odpowiedziała. Po chwili przeniósł wzrok na gładką powierzchnię stawu. W trzcinach na przeciwnym brzegu dreptała kaczka, a za nią jak po sznurku podążała gromadka małych kaczątek.

- Czy on wie o pani słabości do Francuzów?

- Nie darzę ich sympatią. Obchodzi mnie jedynie los Irlandii.

- Wątpię, by dostrzegł różnicę.

Kat poczuła nagły przypływ złości pomieszanej ze strachem.

- Czy to zwykła uwaga, czy groźba? Spojrzał na nią rozbawiony.

- Z całą pewnością jedynie obserwacja.

- Bo jeśli groźba, to chciałabym panu i pana francuskim zwierzchnikom przypomnieć, że mogę zaszkodzić im równie mocno, co oni mnie. A moja śmierć nie rozwiąże problemu.

Nie uśmiechał się już.

- Nie służę Francuzom - oznajmił. - Nie sądzę też, by groziła pani przedwczesna śmierć.

Zignorowała to ostatnie zapewnienie. Swoje powiedziała. Teraz pozostawało jedynie czekać, by przekonać się, czy O'Connell i Francuzi wezmą jej groźbę na poważnie i dadzą jej spokój. Nagle zdała sobie sprawę, że ten niepokój nigdy jej już nie opuści. Już zawsze będzie żyła w tej gorzkiej niepewności.

Zapatrzyła się w przyjazną twarz mężczyzny.

- Dlaczego pan to robi? - spytała nieoczekiwanie.

- Z tych samych powodów, jakie ma pani, czy też powinienem powiedzieć: miała.

- Dla Irlandii? Uniósł brew.

- Czy aż tak trudno w to uwierzyć?

- Z tego, co wiem na temat O'Connellów, to trudno.

- Nasz ród zawsze uważał, że tylko głupiec bije głową w mur.

- Czy tak określiliby pan dzielnych mężczyzn i kobiety, którzy walczyli i umierali za Irlandię przez te lata? Jako tysiące bijących głowami w mur głupców?

Dołączki znikły.

- Owszem. Kiedyś Irlandia się wyzwoli, ale ten dzień nie nastanie, dopóki Anglia jest silna. I to nie Irlandczycy ją osłabią. Dokona tego ktoś inny. Ktoś taki jak Francuzi czy też Prusacy.

- Prusacy są sprzymierzeńcami Anglików.

- Byli.

Przez chwilę stali w milczeniu. Jej wzrok, tak jak i jego, podążał za kaczką prowadzącą swoje młode jedno za drugim do stawu. Powietrze wypełniło wesołe kwakanie i delikatny plusk marszczących powierzchnię stawu kręgów.

- Na ulicach panuje niezadowolenie - odezwał się O'connell po chwili. - Plotki. Szepty. Ludzie dojrzelili do zmian.

- Jakich zmian? - spytała. Jej oddech niespodziewanie przyspieszył i musiała użyć wszystkich swoich umiejętności aktorskich, by jej głos brzmiał zwyczajnie, by nie zdradzał zaciekawienia.

Nie spuszczał wzroku z gromadki kaczek.

- Być może nowej dynastii.

- A jak to miałyby pomóc Irlandii?

- Stuartowie zawsze sympatyzowali z katolikami. Odwróciła gwałtownie głowę i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Przecież Stuartów już nie ma, w każdym razie tych prawdziwych.

A poza tym Anglicy nigdy nie zaakceptowaliby katolickiego króla.

Pamięta lord, co się stało z Jakubem II?

- Jakub II nigdy nie zabiegał o przywrócenie religii katolickiej.

Pragnął jedynie tolerancji, chciał położyć kres krzywdzącym katolików restrykcjom.

- Mimo to lud się zbuntował. A skoro nie zaakceptował Jakuba II ponad sto dwadzieścia lat temu, to skąd przypuszczenie, że przyjąłby kogoś mu podobnego teraz?

- Ponieważ dynastia hanowerska jest naznaczona szaleństwem i wszyscy dobrze o tym wiedzą. Ponieważ tysiące mężczyzn nie ma pracy, a kobiety i dzieci umierają z głodu na ulicach. Ponieważ od tak dawna



prowadzimy wojnę, że czasy spokoju na dobre odeszły w niepamięć.

Gdyby nowy król obiecał zaprowadzić pokój, zlikwidować wysokie podatki i przymusowy pobór do wojska, myślę, że wielu ludzi by go poparło.

Kat zmrużyła oczy.

- Kto za tym stoi?

Zmierzył ją przenikliwym spojrzeniem i zdała sobie sprawę, że wykazała nadmierne zainteresowanie.

- To właśnie jest w spiskach ciekawe - powiedział z uśmiechem. -

Przyciągają całkowicie różnych ludzi z zupełnie odmiennych powodów, czasem nawet sprzecznych. Jakie ma znaczenie, kto za tym stoi?

Najważniejsze, że Irlandia na tym skorzysta.

- Sugeruje pan, że przywrócenie na tron Stuartów może doprowadzić do pokoju z Francją? - spytała. Słońce wyjrzało zza rosnących po drugiej stronie stawu kasztanowców, oślepiając Kat. - A ja myślałam, że wojna między Anglią a Francją służy Irlandii. Sam pan powiedział, że tego właśnie potrzebujemy: osłabić Anglików, że to jedyny sposób, by Irlandia odzyskała niepodległość.

Roześmiał się.

- No proszę, bystra z pani osóbką. - Pochylił się już poważniejszy. -

Lecz skoro wojna z Francją tak służy Irlandii, proszę pomyśleć, jak mogłaby jej pomóc angielska wojna domowa?

Przyjrzała mu się badawczo, ale potrafił ukrywać swoje myśli równie dobrze jak ona.

- Czy tego właśnie chcą ci ludzie? Wojny domowej?

- Nie sądzę, ale zdaje mi się, że to właśnie dostaną.

Po południu Tom był już tak głodny, że kręciło mu się w głowie. W

przeszłości nieraz czuł głód, ale te mroczne czasy minęły, gdy los zesłał

mu młodego lorda St. Cyra. Przez ostatnie kilka miesięcy zdążył się już przyzwycząić do sytego brzucha i ciepłego posłania. Zaczął nawet czuć się bezpiecznie jak za tych złotych na wpół zapomnianych lat, zanim tatę zabrała choroba, a mama...

Chłopak odgonił od siebie te wspomnienia, żeby łyzy i czający się w ciemnościach strach znów nim nie owładnęły.

Siedział oparty o tylną ścianę celi z głową wspartą na podkulonych kolanach, kiedy usłyszał zamieszanie na dziedzińcu. Mężczyźni zaczęli dudnić blaszanymi kubkami o kraty, a kobiety śmiały się, wykrzykując nieprzyzwoite zaczepki.

Więźniowie w celi Toma stłoczyli się przy kratkach. Chłopak wstał i też próbował wyjrzeć.

- Co się dzieje? - spytał.

- Jakiś sędzia pokoju - odpowiedział mu wyrośnięty chłystek z Cheapside, którego przyłapano, jak próbował zwędzić metalowe kufle z pubu, za co prawdopodobnie czekał go strycek. - Gadają, że przyszedł w sprawie tego syna arystokraty, co to go zarżnęli w nocy w St. James's Park.

Tom wreszcie go dojrzał. Śmieszny mały człowieczek w okularach z drucianymi oprawkami zsuniętych na czubek nosa przemierzał dziedziniec na swoich krzywych nóżkach.

Chłopiec rzucił się do okna.

- Sir Henry! - wrzasnął, walcząc o dostęp do krat. - Halo, sir Henry!

To ja, Tom! Sir Henry!

Czyjaś szorstka dłoń uderzyła go w ramię z takim impetem, że upadł z powrotem na cuchnącą słomę.

- Ej, ty tam! - huknął strażnik. - Zamknij jadaczkę, ty mały zasrańcu.

Zrozumiano?

Tom z trudem wstał z podłogi i rzucił się ponownie do krat, ale było już za późno. Dziedziniec opustoszał, a mały sędzia zniknął.

Sebastian spędził poranek w Smithfield, szukając Toma.

Nie starał się ukryć, kim jest. Wziął nawet ze sobą dwóch krzepkich lokajów, żeby wykluczyć powtórkę tego, co spotkało go ostatnim razem.

Tom jednak wyraźnie zastosował się do polecenia szefa i stopił się z otoczeniem. Dosłownie. Tylko starsza kobieta sprzedająca guziki twierdziła, że widziała chłopca w podobnym wieku, gdy biegł ulicą tuż przed zachodem słońca, jakby go czart gonił. Nie miała jednak pojęcia, co się z nim stało ani przed kim uciekał.

Wicehrabia próbował odszukać okaleczonego szkockiego żołnierza, który żebrał przed „Norfolk Arms”, ale już od dobrych kilku dni nikt go nie widział. Stojąc w cieniu rzucanym przez daszek sklepienia ze wstążkami, Sebastian przypatrywał się wiekowej ceglanej fasadzie pubu, który niepokoił go coraz bardziej.

Zdecydował wrócić tu po zmroku.

- Andrew, James - rzucił krótko. Dwaj służący stanęli na baczność.

- Chcę, żebyście wszystko sprawdzili. Zapytajcie każdego stróża, każdego dozorcę. Zrozumieliście? Ktoś musiał go widzieć.

- Tak jest, milordzie.

Wskoczywszy do powozu, młody arystokrata z hukiem zatrzasnął za sobą drzwi i popędził woźnicę na Queen Square - tylko po to, by dowiedzieć się, że sir Henry Lovejoy wyszedł tropić ohydny mordercę z parku. Coraz bardziej rozdrażniony, z trudem utrzymując nerwy na wodzy, przypomniał sobie poranną wizytę Tess Bishop i wiedział już, jak spędzi godziny pozostałe do zmierzchu.

Chevaliera de Varden odnalazł w szkole szermierki „Angelo” na Bond Street, gdzie młodzieniec fechtował z samym mistrzem. Przez jakiś czas Sebastian tylko stał i przyglądał się walce. Varden był dobrym szermierzem, miał bystry wzrok, giętkie nadgarstki i szybki, lekki krok.

Ćwiczył boso, rozebrany do koszuli i bryczesów z kozłej skóry.

Jasnobrązowe włosy opadały mu na oczy, gdy bez cienia wysiłku tańczył

po drewnianej podłodze, a jego floret połyskiwał w świetle.

Sebastian nigdy nie słyszał o Vardenie żadnych niepocholebnych opinii. Damy uwielbiały go za ujmujące maniery i pełne wdzięku ruchy na parkiecie, a mężczyźni lubili za poczucie humoru, wspaniałomyślność i odwagę podczas polowań. To prawda, był może zbyt porywczy, ale tym

bardziej nie pasowałyby do niego truć kochankę.

Nagle Varden zrobił unik w lewo, ominął gardę mistrza i trafił go w ramię. Mistrz roześmiał się - pojedynek był skończony. Przez chwilę stali, rozmawiając swobodnie jak dwóch dobrych znajomych zakochanych w tym samym sporcie. Potem młodzieniec ruszył do szatni. Sebastian dopadł

go tuż za drzwiami. Chwyciwszy Vardena za prawy nadgarstek, wykręcił

mu ramię, tak że ręka powędrowała na plecy, po czym zakręcił nim i młody człowiek stracił równowagę. Wtedy wicehrabia przycisnął go twarzą do ściany, lewym ramieniem obejmując go jednocześnie za gardło.

- Ty cholerny łgarzu - wysyczał mu do ucha. - St. Cyr? Co, u diabła?

Sebastian zacieśnił ucisk na gardle.

- Okłamałeś mnie. - Każde słowo wymawiał starannie i powoli. -

Wiem o umowie markiza Anglessey z żoną i wiem, jaką odegrałeś w niej rolę. Nie próbuj więc nawet zaprzeczać.

- Oczywiście, że cię okłamałem - odezwał się Varden chrapliwym głosem. - Jaki dżentelmen by tak nie postąpił?

Sebastian zawahał się. Potem zwolnił uścisk i zrobił pół kroku w tył.

Chevalier odwrócił się błyskawicznie. Jego ciemne oczy ciskały gromy, lewa ręka rozmasowywała ramię.

- Dotknij mnie jeszcze raz, a zabiję - zapowiedział. Podeszedł do toaletki i nalał do miednicy wody, po czym szybkimi, pełnymi wściekłości ruchami ochlapał twarz.

- Kto ci powiedział? - spytał po chwili. - Anglessey? Mogłem się tego spodziewać.

- On chce, żebym odnalazł zabójcę jego żony. Varden rozejrzał się po szatni.

- Sugerujesz, że ja nie?

Ich spojrzenia skrzyżowały się jak wcześniej florety.

- Gdzie się spotykaliście? - zapytał Sebastian. Młodzieniec zawahał

się, po czym sięgnął po ręcznik.

- W różnych gospodach. Zazwyczaj nigdy dwa razy w tym samym miejscu. Dlaczego pytasz?

- Czy kiedykolwiek spotkaliście się w Smithfield?

- W Smithfield? - Twarz Vardena zdradzała zdziwienie, ale było w niej coś jeszcze. Coś, co przypominało strach. - Nie, na Boga. Dlaczego pytasz?

- Ponieważ Ginewra Anglessey poszła tam tego popołudnia, kiedy ją zabito. Nie wiesz przypadkiem po co?

Ściągnął brwi.

- Gdzie w Smithfield? Sebastian tylko pokręcił głową.

- Gdzie byłeś ostatniej środy?

Pytania miały oczywiste implikacje. Nozdrza młodego kawalera rozdał gniew.

- Wstałem późno. Poprzedniej nocy bawiłem się ze znajomymi. Z

domu wyszedłem dopiero około piątej, może szóstej. - Przerwał wiązanie butów i rzucił Sebastianowi złowrogie spojrzenie. - Możesz spytać służących, jeśli mi nie wierzysz.

- Chcę usłyszeć o Walii - znów zmienił temat wicehrabia.

Chevalier skończył się ubierać i poprawił połę płaszcza. Do pomieszczenia weszło dwóch mężczyzn. Starszy poklepał młodszego po ramieniu.

- Brawo, Charles - powiedział. - Naprawdę świetnie ci poszło.

- Nie tutaj - rzucił w odpowiedzi Varden. Sebastian przytaknął.

- Dobrze, przejdźmy się.

Nie było takiej chwili w moim życiu, żebym jej nie kochał -

powiedział Varden, kiedy przechadzali się po Hyde Parku.

Delikatna mgiełka pokrywała niebo warstewką bieli, pozbawiając je koloru. Nieruchome powietrze przesiąknięte było wilgocią i ostrym zapachem trawy.

- Była jak... nigdy kogoś takiego nie spotkałem. Taka dumna, odważna i szlachetna, a jednocześnie tak czuła i opiekuńcza.

Coś w sposobie, w jaki słabe światło padało na twarz rozmówcy, przypomniało Sebastianowi, jaki młody był jeszcze chevalier de Varden.

Zaledwie dwadzieścia dwa lata, a przystojna twarz blada, oczy smutne, zapadnięte.

- Gini i ja dorastaliśmy razem - ciągnął. - Przypuszczam, że Claire i Morgana czasem bawiły się z nami, ale ich nie pamiętam. We wspomnieniach jesteśmy zawsze tylko Gini i ja.

Potoczył wzrokiem po parku i zatrzymał spojrzenie w miejscu, gdzie dwójka dzieci harcowała z psem. Zwierzak szczekał, a dzieci biegały wokół niego roześmiane. Opiekunka próbowała bezskutecznie nad nimi zapanować.

Na jego twarzy pojawił się smutny uśmiech; pojawił się i zgasł.

- Zawsze wiedziałem, że mnie kochała. Nie jak siostra brata. Od samego początku, było w tym coś więcej, oboje to czuliśmy. Nawet kiedy byliśmy zbyt młodzi, by to zrozumieć.

Zamilkł. Sebastian czekał i po chwili Varden znów podjął:

- Dorastaliśmy, wierząc, że już zawsze będziemy razem, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Gini była przekonana, że pewnego dnia się pobierzemy.

- A pan?

- Ze mną na początku było tak samo. Ale w miarę jak dorastałem, zacząłem zdawać sobie sprawę z... przeszkód.

- Takich jak brak fortuny? Parsknął krótkim, gorzkim śmiechem.

- To była główna z przeszkód. Kiedy Ginewra skończyła siedemnaście lat, ciotka zaprosiła ją na sezon towarzyski do Londynu. To samo zrobiła wcześniej dla Morgany. Wtedy stary Athelstone trochę się ociągał, ale w końcu wysupłał niewielką sumę na ubrania i pozwolił

Morganie jechać. Poradziła sobie lepiej, niż ktokolwiek się spodziewał.

Athelstone był przekonany, że Ginewrze pójdzie jeszcze lepiej. - Varden zawiesił głos. - Ten stary łajdak bardzo na to liczył.

- Tonął w długach, tak? Młodzieniec przytaknął.

- Bardziej niż Ginewra przypuszczała. Miała nadzieję, że będzie chciał zaoszczędzić i nie pośle jej do Londynu. Kiedy jednak oznajmiła mu, że nie musi szukać świetnej partii, ponieważ zamierza wyjść za mnie, roześmiał się. A potem oczywiście wpadł w szal.

Kiedy rozmawiali, coraz silniejszy wiatr marszczył wysoką trawę i szumiał w konarach otaczających ich wiązów. W oddali jedno z dzieci zaczęło bawić się latawcem, ale ilekroć malec podrywał go do lotu, papierowo-bambusowe czerwone cacko natychmiast wracało na ziemię.

Głos Vardena stał się szorstki.

- Wszystko, co mój ojciec miał mi zostawić, wszystko, co od pokoleń było w mojej rodzinie, przepadło. Został mi jedynie tytuł, szlacheckie urodzenie i kilku zubożałych krewnych z rodziny królewskiej, w równie poważnych tarapatach.

Sebastian obserwował, jak mały chłopiec podnosi latawiec i ponawia próbę. Próżno by szukać arystokraty, który powierzyłby rękę córki zubożałemu francuskiemu emigrantowi.

- Gini próbowała z nim dyskutować, ale był niewzruszony. Zagroził, że jeśli ona odmówi wyjazdu do Londynu czy też nie uda jej się znaleźć tam dobrej partii, zostawi ją bez środków do życia i przepędzi z domu. Nie żartował.

- A więc zgodziła się?

- Nie od razu. Wybiegła z domu. - Varden odwrócił głowę, zmrużył

oczy i również obserwował latawiec. - Nigdy nie zapomnę tej nocy. Na morzu szalał sztorm. Przyszła dróżką nad klifami, tą samą, którą przybiegała w dzieciństwie. To cud, że nie zginęła. - Wziął głęboki, rozedrgany oddech. - Kiedy rozpętała się burza, jeździłem konno po okolicy. Znalazła mnie w stajni.

Sebastian wyobraził sobie Ginewrę Anglessey, młodziutką wtedy dziewczynę, z mokrymi włosami opadającymi kaskadami na plecy i z przepelnionymi rozpaczą, dzikimi oczami.

- Co jej pan wtedy powiedział?

Chevalier nie spuszczał wzroku z latawca, z trudem przełknął ślinę.

- A co mogłem powiedzieć? Miałem osiemnaście lat. Nie byłem w stanie utrzymać żony. Nie mogłem nawet ożenić się bez pozwolenia.

- Pańska matka by jej nie przyjęła? Młodzieniec uśmiechnął się.

- Moja matka uwielbiała Ginewrę, szczególnie gdy była małą dziewczynką. Ale nigdy nie zgodziłaby się na takie małżeństwo.

Wicehrabia przypomniał sobie swoje spotkanie z tą dumną i elegancką kobietą. Lady Audley musiała z rosnącym niepokojem obserwować uczucie rozkwitające między dorastającym synem a jego przyjaciółką z dzieciństwa. Jej plany również nie uwzględniały małżeństwa ukochanego potomka z córką zubożałego hrabiego z prowincji. W Londynie roiło się od bogatych bankierów i kupców, którzy nie mieliby nic przeciwko ubogiemu zięciowi, jeżeli tylko miałby tytuł.

- Jak zareagowała lady Ginewra, kiedy jej pan to powiedział?

- Wybiegła z powrotem w nawałnicę. Próbowałem ją gonić, ale straciłem ją z oczu. Bałem się, że skoczyła z klifu. - Zrobił przerwę. Skóra na jego twarzy napięła się i nagle jakby przybyło mu lat. - Powiedziała mi później, że była tego bliska. Ale ostatecznie zdecydowała, że nie da się zniszczyć ojcu. Postanowiła pojechać do ciotki do Londynu i wyjść za starego, bogatego mężczyznę; im bogatszego i starszego, tym lepiej. I cierpliwie czekać na jego śmierć, a swoją wolność.

- Wolność także od ojca.

- Właśnie. Taki przynajmniej miała plan. Problem w tym, że chociaż bogatych starców nie brakowało, myśl, że miałyby któregoś poślubić, napawała ją wstrętem.

- Dopóki nie poznała Anglesseya?

Usta Vardena zbiegły się w cienką kreskę.

- Tak. Mówiła, że z początku wydawał się taki jak inni: stary, posiwiały, zwiędnięty i zbyt opasty. Jednak z czasem, gdy poznała go lepiej, odkryła, jak dobre ma serce i bystry umysł, i zostali przyjaciółmi.

Myślę, że w jakimś sensie był dla niej jak ojciec, którego tak naprawdę nigdy nie miała.

Sebastian zadarł głowę, podążając wzrokiem za czerwonym latawcem pnącym się teraz nierównymi skokami po zachmurzonym niebie.

Co mówiła Tess Bishop o markizie Anglessey i jego małżonce? „Dobrze się dobrali... Potrafili spędzać ze sobą całe godziny, rozmawiając, śmiejąc się. Niewiele jest takich par...” Czy Ginewra przyznała się miłości swego życia, jak wielką sympatią darzyła sędziwego męża? Szczerze w to wątpił.

Odwrócił się, by spojrzeć na stroskaną twarz Vardena.

- W noc, w którą zamordowano lady Anglessey, ktoś włamał się do jej pokoju. Pokojówka wystraszyła intruza, ale wrócił następnej nocy.

Szukał czegoś. Wie pan, o co mogło chodzić?

Młodzieniec potoczył wzrokiem po parku, jakby się zastanawiał.

Było jednak coś w sposobie, w jaki zacisnął wargi, co powiedziało wicehrabiemu, że mężczyzna od razu odgadł, czego szukał ten tajemniczy włamywacz, o którym wspominała Tess Bishop. Jednak pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia.

- Nie? Jak rozumiem, miał pan niedawno z lady Anglessey poważną sprzeczkę.

Varden ściągnął brwi.

- Skąd hrabia o tym wie?

- Czy to ważne?

Chevalier zatrzymał się i gwałtownie odwrócił do Sebastiana, żwir zazgrzytał pod podeszwami jego butów.

- Co też pan insynuuje? Myśli pan, że chciała ze mną zerwać, więc ją zabiłem? To nie było tak.

Wicehrabia ani drgnął.

- Więc jak?

Młodzieniec zastanawiał się na chwilę, po czym wyrzucił z siebie:

- Miała zamiar odejść od Anglesseya. Dlatego się kłóciliśmy.

Chciała, żebym z nią uciekł.

Sebastian przyjrzał się bacznie pełnej napięcia i niepokoju twarzy Vardena. Nie wierzył w ani jedno jego słowo.

- Dlaczego? Dlaczego miałybyście chcieć to zrobić?

- Ponieważ się go bała. Tak, wiem, co sobie pan myśli. Wydaje się tak dobronuszy, prawdziwy dżentelmen starej daty. Z początku Gini też

tak myślała. Dopiero po kilku latach małżeństwa zrozumiała, jaki jest naprawdę.

- A jaki jest naprawdę?

- Zazdrosny. Zaborczy. Sam wpadł na pomysł, żeby znalazła sobie kochanka, ale kiedy tak zrobiła, nie mógł tego znieść. Doszło do tego, że Gini zaczęła obawiać się o swoje życie. Bała się, że zabije oboje - i ją, i dziecko.

Wicehrabia pokręcił głową.

- Anglesseyowi na niczym nie zależy bardziej niż na odcięciu bratanka od swoich pieniędzy. Mój Boże, ten mężczyzna gotów był

namawiać własną żonę do cudzołóstwa, licząc, że da mu potomka.

Dlaczego miałby zwrócić się przeciwko niej?

- Nie wiem, ale to nie byłby pierwszy raz. Wie pan chyba...

- O czym pan mówi?

- Tak właśnie zmarła jego pierwsza żona. Nie wiedział pan?

Spodziewała się dziecka, a on zrzucił ją ze schodów. Zabił ją. Dziecko też.

Zmierzając do domu markiza Anglessey na Mount Street, Sebastian usłyszał wołający za nim niski, napięty głos:

- Lordzie St. Cyr! Proszę poczekać, lordzie St. Cyr. Odwrócił głowę i zobaczył sir Henrygo Lovejoya wołającego ze starego zdezelowanego powozu.

- Czy moglibyśmy zamienić słowo, milordzie?

W Londynie było inaczej niż na prowincji. Na wsi sądy odbywały się co kwartał, a nawet rzadziej. W najodleglejszych zakątkach kraju człowiek w oczekiwaniu na proces mógł gnić w więzieniu całymi miesiącami, a czasem i rok. Tu w poniedziałek ukradłeś, niedzielę możesz wisieć na stryczku.

Sebastian starał się o tym nie myśleć, kiedy razem z Lovejoyem podążali za strażnikiem ponurymi więziennymi korytarzami, w których kopciły świece z knotami z sitowia. Cuchnęło odchodami, moczem i zgnilizną. Gnijącą słomą, gnijącymi zębami, gnijącym życiem.

Wprowadzono ich do chłodnego, lecz dość czystego pomieszczenia z gołą kamienną podłogą oraz małym zakratowanym oknem rzucającym jedynie przygaszone światło na kilka prostych krzeseł i stary, porysowany stół.

- Co pan tu robił? - spytał Sebastian Lovejoya, kiedy zostali w pomieszczeniu sami.

- Tej nocy, kiedy zamordowano syna sir Humphreya Carmichaela, niedaleko St. Jamess Park patrol złapał dwóch włamywaczy. Miałem nadzieję, że coś widzieli.

- I?

Sędzia wykrzywił usta.

- Nic.

W korytarzu rozległy się odgłosy kroków - jedne ciężkie, z pewnością dorosłego mężczyzny, drugie lżejsze, chłopięce.

Tom wszedł, powłócząc nogami i ze spuszczoną głową. Ubranie miał całe zabłocone i podarte. Zgubił gdzieś czapkę. Wyglądał tak blado i mizernie, jakby jedna noc w tym piekle odarła go z całej zawadiackiej pewności siebie.

- To ten, sir - powiedział niechętnie strażnik.

- Dziękuję - odparł Sebastian ochryple. - Możesz odejść.

Chłopiec błyskawicznie uniósł głowę.

- Szefie! Znaczy się milordzie! - krzyknął osłupiały. Lovejoy wyciągnął rękę, by zatrzymać małego więźnia, gdy ten gwałtownie ruszył

do przodu.

- Hola, chłopcze! Pamiętaj, gdzie twoje miejsce.

- Proszę go puścić - powiedział wicehrabia.

Tom zręcznie wyminął sędziego pokoju i rzucił się Sebastianowi na szyję.

- Ja tego nie zrobiłem! Nie zwędziłem temu facetowi zegarka, przysięgam! - Ramiona mu drżały, właściwie to cały się trząsał. - Oni to wszystko zmyślili, bo żem widział proch i słyszał, o czym gadali.

- W porządku. - Młody arystokrata położył dłoń na ramieniu chłopca, spoglądając jednocześnie na Lovejoy'a. Proch? Jaki znów proch?! -

Przyszedłem zabrać cię do domu.

- Oni chcieli mnie obwiesić! - Tomowi załamał się głos. - Tak jak Hueya.

Sebastian spojrział w dół na udręczoną, zalaną łzami twarz chłopca.

- Kim był Huey?

- Moim bratem.

Gdy opuścili więzienne mury, Sebastian wsadził Toma do powozu i kazał stangretowi zawieźć go do Paula Gibsona.

- Do Gibsona? - zdziwił się foryś i od razu wyprostował. - Nie potrzebuję żadnego lekarza. Szef tam wraca, co? Do Smithfield? No to ja też.

- Zrobisz, co ci każę - powiedział wicehrabia głosem, którym w przeszłości tłumił krwawe zapędy swoich żołnierzy po skończonej bitwie.

Chłopiec opadł z powrotem na siedzenie i spuścił głowę.

- Tak jest, szefie.

Sebastian skinął na stangreta, po czym odwrócił się, by złapać dorożkę.

- Jadę z panem. I nie obchodzi mnie, co pan o tym sądzi - oświadczył

Lovejoy, gramoląc się za Sebastianem do dorożki. - Prawo nie patrzy przychylnym okiem na rzucających fałszywe oskarżenia.

Wicehrabia spojrział na sędziego pokoju z lekkim zdziwieniem, ale nic nie powiedział.

Tymczasem Lovejoy usadowił się w przeciwnym rogu dorożki, przygryzając w zamyśleniu dolną wargę.

- Całe to gadanie o beczkach z prochem - zaczął po chwili - i o powtórcie chwalebnej rewolucji z

1688 roku... Myśli pan, że to się właśnie szykuje? Rewolucja?

Sebastian pokręcił głową. Tom opowiedział im ze szczegółami, co usłyszał przy piwnicach „NorfolkArms”. Z pewnością było to podejrzenie, ale niejednoznaczne.

- To wygląda bardziej na przewrót pałacowy niż na rewolucję. Bóg jednak raczy wiedzieć, do czego to może doprowadzić. Trudno zapanować nad buntem, jak już się rozpocznie. Rewolucję francuską zaczęło kilku arystokratów pragnących jedynie przywrócenia Zgromadzenia Narodowego, pamięta pan? Z pewnością dostali więcej, niż chcieli.

Coraz gęstsze chmury okradały dzień ze światła, sprawiając, że pora zdawała się późniejsza niż w rzeczywistości. Sebastian spojrzął za okno na ceglaste, pokryte sadzą domy i pijalnie piwa, z których na ulicę wylewał

się śmiech. W dusznym powietrzu wisiał zapach gotowanej kapusty, końskich odchodów i palonych śmieci. Dziesięcio-, może dwunastolatek -

zamiatacz ulic, sądząc po wyglądzie - zerwał się, by zejść im z drogi, po czym ściskając w dłoniach miotłę, podążył za dorożką. Tuż za nim odziana w szmaty mała dziewczynka, najwyżej ośmioletnia, z buzią bladą i ponurą, wyciągała ubrudzoną rączkę, żebząc o pomoc.

Pojechali dalej, a chłopiec i dziewczynka zniknęli w obdartym tłumie.

Sebastian zamyślił się nad dwójką innych dzieci - Hueyem i Tomem.

Oraz ich matką, owdowiałą, poczciwą kobietą bez pracy, która znalazła się na bruku z dwójką synów do wykarmienia. Dla niej, tak jak dla tysięcy innych kobiet w tej sytuacji, wybór był prosty, choć przerażający: głód, kradzież lub prostytutka. Matka Toma wybrała kradzież i zafundowała sobie bilet w jedną stronę do kolonii karnej Botany Bay. prostytutka mogła sprowadzić na nią chorobę i wczesną śmierć, ale nie była przestępstwem surowo karanym. Kradzież, by wyżywić umierające z głodu dzieci - tak.

Z opowieści Toma wynikało, że miał dziewięć lat, kiedy razem z bratem stali w porcie i patrzyli, jak ich matkę wsadzają na zakotwiczony na Tamizie statek. Starszy o trzy lata Huey opiekował się swoim młodszym bratem, jak najlepiej potrafił, dopóki jego też nie złapano za kradzież. Nie miał tyle szczęścia co matka - zawisł.

W myśli wicehrabiego wdarł się głos Lovejoya:

- Ustaliliśmy już tożsamość człowieka, którego zabił pan nad rzeką.

Sebastian przesunął głową po popękany skórzany obiciu dorożki.

- Ja go nie zabiłem. Spadł.

Sędzia wykrzywił usta, co u tego srogiego, choć korpulentnego urzędnika oznaczało uśmiech.

- Nazywał się Ahrean. Charles Ahrean. Słyszał pan o nim?

Wicehrabia pokręcił głową.

- Co o nim wiadomo?

- Nic podejrzanego. Był guwernerem synów lorda Cochran, dopóki najmłodszy nie wyjechał zeszłej jesieni do Eton.

- Co robił od tego czasu?

Lovejoy wyjął z kieszeni dużą chusteczkę i przysunął ją do nosa.

- Tego nie wiemy.

Sebastian poczuł ciężki smród dymu zagłuszający inne przykre zapachy dzielnicy - śmierdzące garbarnie i cuchnące rudery. Kiedy wjechali na Giltspur Street, zrobiło się głośno od okrzyków, ludzkiej bieganiny i trzasków płomieni. Gęsty tłum niemal zablokował im przejazd.

Z oddali dało się słyszeć miarowe uderzenia bijących na alarm dzwonów.

- Coś się pali - zauważył sędzia, wyciągając szyję, by wyrzeć za okno.

Wicehrabia też wyrzał. Wokół starego dwuspadowego dachu tańczyły płomienie. Ogień strzelał też z okien - ziejących dziur w kruszejcej ceglanej fasadzie. Gęsty czarny dym nad ich głowami mieszał się z płynącymi nisko szarymi chmurami.

- Do kroćset! - zaklął Sebastian, wyskakując na ulicę, zanim dorożka zdążyła się zatrzymać. - To „Norfolk Arras”.

Uliczka była kłębowiskiem dźwięków, huczących płomieni, krzyczących kobiet i czarnych od dymu mężczyzn, których złane potem twarze odbijały pomarańczowe światło. Stali w rzędzie, podając sobie gorączkowo chlupiące wiadra z wodą.

Sebastian zaczął przedzierać się przez tłum, przebiegając wzrokiem po lizanej językami ognia fasadzie starego pubu. Wokół wirował czarny popiół sypiący się z góry niczym brudny śnieg. Czuł na twarzy ciepło ognia, czuł, jak żar wysysa mu powietrze z płuc. Gdy tak stał i patrzył, kłęby dymu zaczęły wydobywać się spod drzwi przylegającego sklepiku z guzikami. Nagle frontowe okno wybuchło i cały budynek stanął w płomieniach.

Tłum jęknął ze zgrozą. Tego właśnie obawiali się ci ludzie - że ogień się rozprzestrzeni. Takie niebezpieczeństwo istniało w każdej części miasta, jednak tu, gdzie zbudowane z suchych, starych belek domy opierały się o siebie w wąskich krętych uliczkach, jedna zostawiona przez nieuwagę świeczka mogła w noc pochłonąć całą dzielnicę. Mężczyźni uwijali się więc coraz bardziej, wylewając na szalejące piekło kolejne kubły wody. Wicehrabia spodziewał się zobaczyć wśród nich potężnego czarnego właściciela pubu. Lecz Caleba Cartera nie było.

Wzrok Sebastiana zatrzymał się na stojącej przy krawężniku wysokiej dziewczynie o ciemnych oczach i cienkich blond włosach. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Wiedział, że go rozpoznała, gdyż jej oczy nagle zrobiły się duże i otworzyła usta.

Chwilę potem zaczęła uciekać, ale wicehrabia już przy niej był.

- Gdzie jest Carter? - Chwycił ją mocno za ramię i odwrócił do siebie.

Chwycił ją za drugie ramię, uniósł do góry, tak że stopy ledwie dotykały ziemi, i z całej siły potrząsnął.

- Gdzie on jest, do cholery?!

- W piwnicach! Mówił coś o piwnicach... Sebastian odepchnął ją.

Zachwiała się, ale nie upadła - natychmiast uciekła.

Ogień nie dotarł jeszcze na tyły pubu, choć wicehrabia słyszał już jego groźne posykiwanie, a w dusznym powietrzu wyczuwał gryzący dym.

Grube drewniane drzwi prowadzące do piwnicy były zaryglowane od środka. Z pewnością istniało drugie wejście wprost z pubu, ale czas uciekał. Sebastian chwycił leżący na ziemi żelazny pręt i próbował

wyważyć drzwi. Drewno zaczęło pękać i odpryskiwać.

- Hej! - krzyknął ktoś. - Co ty tam robisz... Ignorując wołanie, Sebastian kopnął potrzaskane drzwi.

Raptem z piwnicy buchnęło suche, ciepłe i przesiąknięte już dymem powietrze. Wicehrabia wahał się. Jeśli proch, o którym mówił Tom, nadal tu był, mógł wybuchnąć w każdej chwili. Sebastian nie sądził jednak, by mężczyźni, z którymi miał tu do czynienia, byli aż tak nierozważni.

W najodleglejszym zakątku piwnicy ktoś zostawił palącą się lampkę.

Sebastian widział jej odległy równy płomień, kiedy po wytartych kamiennych schodach ruszył w głąb piwnicy. Tu gęstszy dym przesączał

się przez drewniany sufit.

Wicehrabia zszedł z ostatniego stopnia i zatrzymał się. Zamiast podłogi w piwnicy było klepisko. Zewsząd otaczały go wysokie stojaki pełne dębowych beczek i niekończące się rzędy butelek. Smród płonącego drzewa tłumiły intensywne zapachy francuskiego wina i brandy. Na dole odgłosy pożaru były przytłumione, ale Sebastian i tak słyszał huk ognia, a gdzieś bliżej złowieszcze skwierczenie.

Zaś jeszcze bliżej suche pokastywanie.

Odwrócił się w stronę, z której dobiegał dźwięk i ostrożnie zaczął

przesuwać się między sięgającymi sufitu stojakami. Właściciel pubu leżał

na ziemi twarzą do klepiska. Ręce i nogi sterczały mu na boki. Sebastian patrzył, jak mężczyzna przyciąga ręce do ciała i wspierając się na łokciach, usiłuje wstać. Tył jego łysej głowy błyszczał krwią, która spływając po karku, wsiąkała w biały kołnierzyk koszuli.

Jęcząc, Carter przycisnął dłonie płasko do ziemi, z ogromnym wysiłkiem dźwignął się i przetoczył na plecy. Leżał tak bez ruchu, oddychając z wysiłkiem. Uderzenie w tył głowy z pewnością go ogłuszyło, ale nie ono powaliło Mulata na ziemię i zabarwiło mu usta krwawą pianą.

Przyczyną był nóż tkwiący między żebrami.

- Ty - zaczął, krzywiąc się bólu, Carter na widok Sebastiana. - Co u diabła...

Zaniósł się kaszlem. Sebastian wsunął ręce pod ramiona mężczyzny i uniósł mu głowę, żeby mógł oddychać.

- Kto ci to zrobił?

Gardło Cartera drgało, próbował coś powiedzieć; wokół jego ust zbierała się krwawa ślina.

- P...

Wicehrabia pochylił się jeszcze bliżej.

Pęcherz mężczyzny nie wytrzymał i Sebastian poczuł w powietrzu ciepły zapach moczu. Mulat był bliski śmierci. Jego płuca z trudem walczyły o powietrze.

- Pie... - Górna warga podniosła się, czarne oczy zaszyły mgłą. -

Pieprz się - dokończył rwącym się głosem. Potem światło w jego oczach zgasło.

Młody wicehrabia wyciągnął ręce spod ramion zwalistego mężczyzny i położył ciało na mocno ubitej ziemi. Piwniczny półmrok



zabarwił się na pomarańczowo. Sebastian spojrział w górę i zobaczył liżące sufit płomienie.

Poderwał się z ziemi. Choć w piwnicy nie było już beczek z prochem, obfite zapasy brandy również były łatwopalne. Skoczył do schodów, lecz w tej właśnie chwili drzwi do piwnicy eksplodowały i ogniste języki buchnęły Sebastianowi prosto w twarz.

Gęsty dym szczypał Sebastiana w oczy, drapał w gardło. Osłoniwszy twarz ramieniem, zaczął po dwa stopnie wspinać się do wyjścia.

Był już w połowie drogi, kiedy tuż nad głową usłyszał ogłuszający trzask. Rzucił za siebie spojrzeniem i w tym momencie płonąca belka gruchnęła o kamienne schody tuż za nim, a wraz z nią runęła połowa sufitu. Nagły podmuch gorącego powietrza uderzył go w plecy i posłał na kolana.

Coraz mocniej kaszłąc, kontynuował wspinaczkę, ostatnie kilka stopni pokonał na klęczkach. Chwycił framugę zniszczonych piwnicznych drzwi, podciągnął się i chwiejnym krokiem wyszedł na ulicę.

Stał z pochyloną głową, rękoma obejmując kolana, i wciągał

łapczywie hausty słodkiego, życiodajnego powietrza. Pub za jego plecami był już tylko gorejącym szkieletem. Płuca wicehrabiego rozdzierał ból.

Odwrócił głowę i patrzył, jak ściany zapadają się do środka, posyłając w zaciągnięte chmurami niebo słup płomieni i rozżarzonych kawałków drewna.

Poczuł na skórze chłodny podmuch wieczornego wiatru. Wiatru i czegoś jeszcze, co kłuło go w powieki i spływało po twarzy, gdy podniósł

wzrok ku niebu.

Deszcz.

Kiedy Lovejoy odnalazł Sebastiana, ten siedział na starej kamiennej ławce do wsiadania na konia i mokrą chusteczką opatrywał spaloną rękę.

Drobny sędzia pokoju zgubił gdzieś kapelusz, kołnierzyk miał

przekrzywiony, a jego zazwyczaj nieskazitelnie czysta koszula upačkana była czarnymi plamami szarzejącymi teraz na rześistym deszczu.

- Gdyby twój foryś miał rację i w piwnicy rzeczywiście był proch, wybuch zmiotłby połowę ulicy - powiedział, zdejmując okulary, żeby przetrzeć szkła.

Wicehrabia zębami zacisnął na chusteczce węzeł.

- Prochu nie ma. Prawdopodobnie przenieśli go wczoraj, po tym jak rozprawili się z Tomem. Nie mogli ryzykować, że wersja chłopca kogoś zainteresuje.

Lovejoy zadarł głowę i mrużąc oczy, spojrział na dymiącą fasadę budynku.

- A pożar?

- Myślę, że wzniecili go, by zatrzeć wszelkie ślady, które mogli przeoczyć. - Sebastian stanął na nogi.
- No i zatuszować morderstwo Caleba Cartera.

Sędzia momentalnie przeniósł wzrok na wicehrabiego.

- Ma pan na myśli tego czarnoskórego właściciela pubu? Nie żyje?

- Znalazłem go w piwnicy. Ktoś włożył mu nóż między żebra.

- Ale... dlaczego?

- Proszę się zastanowić. Zeszłej środy do tego pubu weszła markiza Anglessey. Z tego, co nam wiadomo, nikt poza jej zabójcą nie widział jej już żywej. Kilka dni później zjawiam się ja i wypyuję o nią. Potem wczorajszej nocy mój foryś jest świadkiem rozładunku prochu i słyszy rozmowę o powtórce chwalebnej rewolucji z 1688 roku. Tu dzieję się coś poważnego, a nasze jedyne ślady to Caleb Carter i jego pub.

Sebastian przerwał i spojrzał na walące się ściany budynku.

- I teraz obydwaj straciliśmy.

Wicehrabia zdecydował się wstąpić do gabinetu Paula Gibsona przy Tower Hill. Tom spał smacznie w sypialni medyka.

- Uznałem, że to mu zrobi najlepiej - powiedział lekarz, osłaniając dłonią płomień świecy. - Był wykończony.

Sebastian przyglądał się śpiącemu chłopcu.

- Nic mu nie jest?

- Najadł się strachu, ale nic poza tym.

Młody arystokrata pokiwał głową. Nie było sensu drażnić tego tematu. Obydwaj wiedzieli, co mogło spotkać chłopców, którzy mieli pecha trafić do jednego z więzień Jego Wysokości.

- Wciąż mówił o jakimś Hueyu - powiedział Gibson, prowadząc przyjaciela do salonu.

Wicehrabia kiwnął głową.

- To jego brat. Z tego, co wiem, chłopca powieszono. Medyk westchnął.

- Żyjemy w iście barbarzyńskich czasach. - Poszedł nalać dwa kieliszki wina. - A ta sprawa z

obaleniem Hanowerów... Kto może za tym stać?

- Chcąc mieć choć cień szansy na powodzenie, potrzebowaliby wpływowych ludzi zarówno w wojsku, jak i w parlamencie. Lecz czy je mają? - Sebastian wzruszył ramionami. - Tego nie wiem. Nie zaobserwowałem niczego, co mogłoby na to wskazywać. To jednak nie znaczy, że nic się nie dzieje. Z pewnością „Norfolk Arms” było jedynie mało znaczącą częścią tej układanki.

- Czy możliwe, by był w to zamieszany Anglessey?

- Niewykluczone. Chociaż zdziwiłbym się. - Wicehrabia wziął od Gibsona kieliszek i rozsiadł się w jednym z przetartych skórzanych foteli przez kominkiem. - Żaden z kręgu podejrzanych o zabójstwo lady Anglessey nie posiada władzy - zawiesił głos. - Poza Portlandem, rzecz jasna. Ale on jest tak zaciętym torysem, że raczej trudno go sobie wyobrazić w roli adwokata rewolucji.

Gibson podszedł do zimnego paleniska.

- Masz już jakieś przypuszczenia co do roli naszyjnika lady St. Cyr w całej tej sprawie?

Sebastian spojrzał w szczerze, pełne troski oczy przyjaciela. Kiedyś, lata temu we Włoszech, razem z tym mężczyzną przeszedł piekło. Ich przyjaźń nie miała nic wspólnego ze stopniami wojskowymi czy statusem społecznym. Opierała się na wspólnych zasadach moralnych i głębokim wzajemnym szacunku dwóch mężczyzn, którzy wystawieni na ciężką próbę wykazali się nie lada odwagą i zdrowym rozsądkiem.

Jednak i największa przyjaźń ma swoje granice. Wicehrabia nie wyznałby nawet Kat: „Nie chcę dawać temu wiary, lecz zaczynam podejrzewać, że moja matka nie utonęła w ten letni dzień lata temu. Gdyby tak się stało, ten naszyjnik przeleżałby ostatnie siedemnaście lat

zagrzebany w mule gdzieś na dnie Kanału. Nie miałby nic wspólnego z tym, co przytrafiło się Ginewrze Anglessey”.

Tak więc Sebastian dopił wino i powiedział jedynie: - Nie. To nadal jest dla mnie zagadką.

Dotarłszy do siebie na Brook Street, Sebastian zamierzał z marszu udać się na piętro, stawić czoła lamentom garderobianego nad kolejnym zniszczonym płaszczem i przebrać się w wieczorny strój. Zamiast tego zajrzał do biblioteki, nalał sobie kieliszek brandy i stanął nieruchomo ze wzrokiem zatopionym w pustym palenisku kominka.

Czasem przychodził taki moment, że spryt i inteligencja nie wystarczały i należało je zastąpić siłą. Uznał, że wysłanie Toma na przespīgi na Giltspur Street było błędem. Nie tylko wystawił chłopca na nadmierne niebezpieczeństwo, lecz także stracił szanse ponownych odwiedzin w „Norfolk Arms” i bezpośredniej konfrontacji z Calebem Carterem, co mogło wyjaśnić wizytę markizy w pubie. Teraz było już za późno.

Nagle zdał sobie sprawę, że ktoś natarczywie stuka do frontowych drzwi.

- Nie ma mnie w domu, Morey - powiedział wicehrabia do swojego majordomusa, który zmierzał już do holu.

- Tak, milordzie.

Łyknąwszy brandy, Sebastian wyjrzał przez okno na ulicę. Przy schodach stał elegancki powóz zaprzęgnięty w parę pięknie dobranych gniadoszy. Nie musiał wytrzeszczać oczu w poszukiwaniu herbu, by wiedzieć, do kogo należały. Usłyszał jak grzeczny, dystyngowany ton Moreya miesza się z kobiecym głosem, o wiele głośniejszym i aż nadto znajomym.

- Nie bądź śmieszny - mówiła Amanda. - Dobrze wiem, że mój brat jest w domu. Sama widziałam, jak przed chwilą wbiegał po schodach.

Więc albo mnie zaanonsujesz, albo sama go poszukam.

Sebastian pojawił się w drzwiach biblioteki. W niezabandażowanej ręce obracał kieliszek brandy, przyglądając się wysokiej, szczupłej kobiecie w żałobie stojącej w wyłożonym marmurem wejściu.

- Nie męcz biedaka. Wykonuje jedynie moje polecenia.

Amanda odwrócił głowę i spojrzała na niego.

- Jakbym nie zdawała sobie z tego sprawy. - Nagle zdumiona wytrzeszczyła oczy i skrzywiła się, czując smród spalenizny. - Wielkie nieba. Coś ty znowu wymyślił? Zatrudniłeś się jako kominiarz?

Wicehrabia ze śmiechem zrobił krok w tył.

- Zapraszam szanowną panią. - Skłonił się nisko. Minęła go szybkim krokiem, energicznym ruchem zsunęła rękawiczki, ale kapelusza nie ruszała.

- Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że całe miasto mówi tylko o tobie? Znowu.

- Och, mam nadzieję, że nie tak źle jak ostatnim razem!

Odwróciła się i spiorunowała go błękitnym spojrzeniem.

- Proszę jedynie, byś miał wzgląd na dobro swojej siostrzenicy. Czy to tak wiele? - Pomachała w powietrzu ręką, jakby odganiała się od natrętej muchy. -

Ach, bynajmniej nie przez wzgląd na mnie, lecz na ojca. W końcu jest jego wnuczką. Sebastian zmarszczył brwi.

- Stephanie? A co ona ma do tego?

- Ma siedemnaście lat. Za niecały rok będzie debiutować. Jakie według ciebie ma szanse na znalezienie dobrej partii, jeśli jej wuj przestaje z mordercami?

Wicehrabia poszedł sobie nalać kolejnego drinka.

- Sherry? - zapytał. Amanda pokręciła głową.

- Nie przestaję z mordercą lady Anglessey - odparł Sebastian. -

Staram się jedynie dowiedzieć, kim jest.

- Doprawdy, zachowujesz się jak pospolity konstabl z Bow Street.

- Zachowuję się z większą finezją, śmiem twierdzić. No i oczywiście nie biorę za to pieniędzy, więc bądź spokojna, nikt nie pomyśli, że oddaję się czemuś tak niestosownemu jak praca.

- Mam nadzieję.

Sebastian posłał jej cierpki uśmiezek.

- To by dopiero uraziło twoje uczucia.

- To raziłoby uczucia każdej dobrze urodzonej, kulturalnej osoby.

- Doprawdy? Cóż, a mnie razi morderstwo.

- Ty nie masz uczuć. - Odwróciła się, unosząc dłoń do oczu. Po chwili znów na niego spojrzała. -
Dlaczego to robisz?

Wicehrabia wziął mały łyk brandy.

- Myślałem, że właśnie to wyjaśniłem. Pokręciła głową.

- Nie. Dlaczego ty? Dlaczego akurat to morderstwo? Wahał się przez chwilę, nim zapytał:

- Pamiętasz ten naszyjnik z niebieskimi kamieniami, który matka tak często nosiła? Ten, który dostała od jakiejś starej wiedźmy w walijskich górach.

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Czy wiesz, że miała go na sobie w dniu, w którym zaginęła na morzu?

- Nie. Dlaczego nagle tak cię zainteresował?

- Markiza Anglessey miała go na szyi, gdy znaleziono ją martwą w pawilonie.

Zaskoczona Amanda otworzyła szeroko oczy.

- Nie mówisz poważnie. Zdumiewające! Skąd go miała?

- Tego zdaje się nie wiedzieć nikt. Lecz Jarvis go rozpoznał i zasugerował, że mogę mieć osobiste

powody, by zając się tą sprawą.

- Jesteś aż tak pewien, że księżę jej nie zabił? - Amanda spojrzała na niego badawczo.

Sebastian odwzajemnił spojrzenie. Cokolwiek by nie powiedziec o Amandzie, była kobietą rozsądną i bystrą. Jeżeli nawet ona zaczęła podejrzewać Księżcunia o morderstwo, to regent był w sporych tarapatach.

- Zabito ją wcześniej tego popołudnia. - Wicehrabia pokręcił głową. -

Dopiero potem ktoś przeniósł jej zwłoki do pawilonu i zaaranżował to tak, by księżę ją znalazł.

Zmarszczyła brwi.

- Kiedy dokładnie została zabita?

- Jakieś sześć godzin wcześniej, może nawet więcej. Amanda wyduła wargi w pogardliwym uśmiešku.

- Ach, no widzisz! I po zagadce. Sama mogłam ci powiedziec, że Księżcunio tego nie zrobił. Wczesnym popołudniem nie było go jeszcze w Brighton.

Wicehrabia ścisnął trzymany w ręku kieliszek.

- Co takiego?!

- Czyżbyś nie wiedział? - Roześmiała się. - Był tu, w Londynie.

Sama widziałam, jak wychodził od lady Benson.

- W zeszłą środę? Jesteś pewna?

- W zeszłą środę lady Sefton organizowała proszone śniadanie. Ja naturalnie nie mogłam w nim uczestniczyć, ale dobrze to pamiętam. -

Bezwiednie poprawiła fałdy swej żałobnej sukni. - W pełni rozumiem, dlaczego Księżcunio starał się zachować swoją wizytę w Londynie w sekrecie: w grę wchodziła reputacja damy. Nie żeby Alice Benson miała jeszcze jakiś honor. Gdyby jej ojciec nie zabezpieczył wiana córki, Benson dawno już by się z nią rozwiódł. A tak, obawiam się, że Bensonowi łatwiej jest znosić myśl, iż księżę przyprawia mu rogi, niż zrezygnować z fortuny Alice.

- O której go widziałaś? - spytał szorstko Sebastian.

- To musiało być wczesnym popołudniem.

No tak, w wysokich kręgach na śniadania proszono po dwunastej, tak jak poranne wizyty składano po trzeciej po południu. Wicehrabia jednym haustem wychylił resztę brandy i odstawił kieliszek.

- Gdzie dziś wieczorem bawi lord Jarvis?

- Jarvis? - Zastanowiła się. - Cóż, jest przyjęcie u lady Crue, lecz słyszałam, że wdowa po ojcu lorda Jarvisa organizuje bal w Vauxhall.

Sebastianie - krzyknęła za nim, kiedy ruszył do wyjścia - dokąd to?!

- Do Vauxhall.

Wcisnąwszy monetę w pokrytą odciskami rękę przewoźnika, Sebastian wysiadł na nadbrzeże w Vauxhall. Pochodnia za jego plecami buchała jasnym płomieniem na tle ciemnego nieba, wypełniając wilgotne, duszne powietrze zapachem rozgrzanej smoły.

Popołudniowy deszcz przyniósł niewielką ulgę, nadal było parno.

Gdy wszedł do ogrodów przez Water Gate, w migoczącym świetle długich rzędów latarni naftowych dostrzegł, że żwir głównej alejki był jeszcze mokry. Nad otaczającym go gąszczem bujnej roślinności unosiła się para.

Doszedł do zagajnika, przystanął i omiół wzrokiem kolumnadę drzew. Czyste dźwięki „Muzyki na wodzie” Haendla płynęły ze znajdującego się pośrodku pawilonu dla orkiestry. Melodii towarzyszyły dochodzące z ciemniejszych zakątków ogrodu kobiece piski.

Bez trudu odnalazł zarezerwowaną dla Jarvisów lożę. Przy stole dostrzegł zasępioną jastrzębionosą wdowę po starym lordzie, a także obecną lady Jarvis, której ładna niegdyś twarz zdążyła już przywiędnąć i stracić wyraz. Rozpoznał też dwie tęgie, podstarzałe siostry książecego zausznika - jedna jak zwykle strokana w milczeniu zaciskała dłonie, druga, surowa i wybuchowa, przypominała brata. Wyglądali jak zwykła rodzina, a jednak Sebastian przypominał sobie, że seniorka rodu próbowała kiedyś zamknąć synową w domu wariatów, a Jarvis kilkakrotnie proponował jednej z siostr, że pozbędzie się jej męża utracjusza.

Ani Jarvisa, ani jego córki Hero nie było. Dwa wolne krzesła wskazywały, że wybrali się na krótką przechadzkę. Wicehrabia zerknął na kieszonkowy zegarek i przyszło mu do głowy, że być może ojciec i córka oddalili się, by obejrzeć pokaz przy fontannach. Postanowił to sprawdzić.

Natknął się na nich przy fontannie Neptuna. Stali tak skupieni na pokazie tańczącej wody, że nie zauważyli, kiedy Sebastian do nich podszedł. Był zaskoczony, jak zawsze, niesamowitym podobieństwem ojca i córki. Panna Hero Jarvis uchodziła co prawda za ładną - miała duże szare oczy i wytworną, posągową sylwetkę. Wątpił jednakże, by ktoś kiedykolwiek nazwał ją piękną, nawet w dzieciństwie. Podbródek miała zbyt kanciasty, nos zbyt podobny do ojcowskiego. Była też o wiele za wysoka. Choć Sebastian mierzył ponad sześć stóp wzrostu, Hero prawie zaglądała mu w oczy.

To ona pierwsza go dostrzegła, gdy odwracała się rozbawiona jakimś żartem ojca. Zastygła w bezruchu, a uśmiech na jej ustach przygasł.

Wicehrabia skłonił się lekko.

- Panno Jarvis - odezwał się i posłał Jarvisowi sardoniczny uśmiech, gdy ten podskoczył jak oparzony. - Wybacz nam pani?

Spojrzała na niego z wahaniem i Sebastianowi zdało się, że nie zamierza odejść. Przy ich ostatnim spotkaniu, włamawszy się do jej domu, przystawił dziewczynie pistolet do skroni i jakby nie było,

porwał ją.

- Proszę bardzo - wycedziła.

Minęła go spiesznie, zatrzymując się jedynie, by szepnąć wicehrabiemu:

- Jeżeli za pięć minut nie wróci cały i zdrowy, naślę na pana strażę.

Sebastian patrzył, jak odchodzi wyprężona jak struna.

- Pańska córka zdaje się obawiać, że mógłbym pana skrzywdzić -
stwierdził.

- Moja córka jest zdania, że powinno się pana zamknąć.

Wicehrabia przeniósł wzrok na królewskiego kuzyna.

- Dotarła dziś do mnie informacja, że w dniu śmierci markizy Anglessey Jego Królewska Wysokość Księżę Regent bawił w Londynie u lady Benson. O której godzinie przybył do Brighton? Czwartej? Szóstej?

Może później?

Pulchna twarz Jarvisa nie zdradzała najmniejszych emocji.

- Pan wybaczy, tego dnia księżę nie opuszczał Brighton. Musiała zajść jakaś pomyłka.

Sebastian wytrzymał surowe spojrzenie zausznika Księżciunia.

- Żałuję, to jednak pan się pomylił.

Jarvis uciekł wzrokiem. Zacisnął szczękę, przeciągając spojrzeniem po okrytych mrokiem ogrodach.

- Kto panu to powiedział? - spytał w końcu. - Zaledwie garstka ludzi o tym wiedziała.

- Widziano go.

Ruszyli razem. Żwir pod ich nogami zgrzytał, z oddali dobiegały dźwięki muzyki.

- Co dokładnie pan sugeruje? - odezwał się po chwili Jarvis. - Myśli pan, że księżę zabił lady Anglessey w Londynie, by potem przewieźć jej martwe ciało do Brighton? To absurdalne.

- Nie do końca to miałem na myśli. Być może ktoś inny przywiózł ją do pawilonu. Mam na myśli kogoś, kto wiedział, co księżę zrobił i za wszelką cenę nie chciał dopuścić, by to morderstwo uszło mu na sucho, tak jak było to w przypadku jego brata Cumberlanda.

Spod obcasa Jarvisa wystrzelił żwir, gdy lord odwrócił się gwałtownie.

- Miał pan znaleźć sposób, by rozwiązać te nedorzeczne plotki, a nie rozsiewać kolejne.

Wicehrabia spokojnie, lecz nieustępliwie ciągnął:

- Tak właśnie pomyślą ludzie, kiedy obecność księcia w Londynie tego dnia wyjdzie na jaw. A wyjdzie, proszę mi wierzyć. Takie sprawy zawsze wychodzą.

Jarvis bez słowa odwrócił się i ruszył przed siebie. Po chwili Sebastian zagaił jakby od niechcenia:

- Wie pan, że sztylet Stuartów wrócił na swoje miejsce w kolekcji Jego Wysokości? Ależ naturalnie, że pan wie! Sam pan go tam odłożył, prawda?

Książęcy zauszniak machnął gniewnie ręką.

- Dość tego! Zdecydowałem, że pańska pomoc w rozwikłaniu tej sprawy nie będzie już potrzebna. Proszę się w to więcej nie mieszać.

- Lepiej by lord zrobił, wynajmując kogoś z Bow Street - uśmiechnął

się wicehrabia. - Jego mógłby pan odprawić, mnie nie.

Szli długim, sklepionym gałęziami przejściem oświetlonym dziesiątkami mieniących się jasnym światłem lampionów. Mijające ich dwie młode kobiety obrzuciły obu mężczyzn ciekawskim spojrzeniem i Jarvis znacznie ściszył głos.

- Gdyby pan wiedział...

- Jak bardzo niepewna jest obecnie pozycja Księcia? - przerwał mu Sebastian. - Bo że pewna nie jest, to świetnie wiem. - Nad ich głowami wybuchła raca, zasypując pograżony w mroku ogród deszczem światełek.

Zaczął się pokaz sztucznych ogni. - Proszę mi powiedzieć, co lord wie o pretensjach Stuartów do tronu.

- Stuartów już nie ma - odparł Jarvis beznamiętnie. - Dynastia wygasła cztery lata temu wraz ze śmiercią Henry'ego.

- A co z innymi pretendencjami o mocniejszych roszczeniach niż króla Jerzego i jego synów? I nie zdołał mnie lord przekonać, iż nie wie, że zaczęli działać.

Jarvis założył ręce za plecy, odwrócił się i ruszył w stronę kolumnady. Minęła chwila, nim spytał:

- Skąd pan o tym wie? Czy to ma coś wspólnego ze śmiercią lady Anglessey?

- Możliwe. Pomogłoby, gdybym dowiedział się, kto jest w to zamieszany.

Sebastian nie spodziewał się odpowiedzi, lecz ku jego zdziwieniu Jarvis zaczął mówić:

- Nie wiemy, kto bierze w tym udział. Owszem, udało nam się dopaść kilka osób, ale same płotki. Kimkolwiek są przywódcy spisku, to bardzo sprytni, dobrze zorganizowani ludzie - Kuzyn regenta jeszcze bardziej ściszył głos. - Krążą pogłoski, że udało im się znaleźć zwolenników w wojsku i na wysokich stanowiskach państwowych, lecz nikt nie wie, o kogo dokładnie chodzi.

Słowa Jarvisa zaniepokoiły wicehrabiego.

- Jednak trudno mi dać wiarę, by ktokolwiek mógł poważnie myśleć, że takie przedsięwzięcie ma szanse powodzenia - zauważył. - Nie tak dawno przecież mieszkańcy Londynu zareagowali na projekt równouprawnienia katolików rozruchami Gordona*. Nigdy nie zaakceptują katolickiego monarchy.

* *Rozruchy Gordona* - protesty przeciwko ustawie o równouprawnieniu katolików, do których doszło w Londynie w 1780 roku.

[Przyp. tłum.]

- Ach, proszę jednak zważyć, że roszczący sobie obecnie prawo do tronu król z dynastii sabaudzkiej ma córkę Annę poślubioną księciu Danii.

Jest protestantką. Jeżeli król sabaudzki zrzekłby się roszczeń do tronu na jej rzecz...

- Czy to możliwe?

- Owszem, krążą takie pogłoski. Ewentualne roszczenia księcia Danii byłyby słabe, lecz wcale nie gorsze od tych, które w 1688 roku wysuwał

William.

Kolejna raca wybuchła nad ich głowami. Jarvis przystanął i zadarł

głowę, by się przyjrzeć kaskadzie różowych iskier.

- Czasy są niespokojne - powiedział, gdy kolejny fajerwerk eksplodował ognistymi strumieniami. - Jedna rysa na tradycji i zasadach dziedziczenia i kto wie, do czego może to doprowadzić. Zawsze łatwiej zacząć zabijanie niż je przerwać.

Sebastian obserwował, jak różnobarwne strugi ognia opadają na ogród.

- Jeśli księżę rzeczywiście postradał zmysły, lepiej by pan zrobił, przyznając to teraz, kiedy jeszcze można zapobiec nieszczęściu i ogłosić nowego regenta. Im dłużej lord zwleka, tym gorzej dla monarchii.

- Księżę nie jest szalony - odparł Jarvis cichym, opanowanym głosem. - On nie jest szalony i nie zabił tej kobiety - stwierdził dobitnie, ale zabrzmiało to tak, jakby próbował przekonać sam siebie, nie wicehrabiego.

- Ginewry - powiedział Sebastian. - Miała na imię Ginewra.

Jarvis przeniósł na niego wzrok.

- Proszę się w to nie mieszać, mój panie. Ostrzegam pana...

Wicehrabia zatrzymał się raptownie.

- Ostrzegam? Ani się pan waż ostrzegać. I niech panu do głowy nie przyjdzie mi grozić.

Sebastian przemierzał zagajnik długimi krokami, gdy nagle jego wzrok padł na znajome towarzystwo. W schowanej wśród wiązów łoży siedzieli lord Portland, jego żona Claire i jej matka, owdowiała lady Audley. Wicehrabia zawahał się, lecz po chwili skierował swoje kroki w ich stronę.

Zbliżając się, słyszał, jak Portland narzeka na cenę słynnej serwowanej w Vauxhall szynki - krojonej tak cienko, że niektórzy uważali, iż dałoby się przez nią czytać gazetę.

- Spójrzcie tylko. - Podniósł widelcem nędzny obrzynek. - Za szylinga można tu dostać zaledwie uncję szynki, co znaczy, że właściciele liczą szesnaście szylingów za funt. A jeśli przeliczyć, że trzydziestofuntową szynkę można kupić za dziesięć szylingów, na każdej zarabiają dwadzieścia cztery funty.

Lady Portland roześmiała się i położyła dłoń na mężowskim ramieniu.

- Ależ nie gorączkuj się tak! Przypominasz kupca w rachubie. Kilka szylingów w tę czy we w tę, jakież to ma znaczenie? - Uśmiechnęła się, zobaczywszy nadchodzącego Sebastiana. - Czyż nie mam racji, milordzie?

- Całkowitą - odpowiedział wicehrabia, kłaniając się damom. - Jak zdrowie pani suczki collie? - zapytał lady Audley.

Obdarzyła go życzliwym uśmiechem. Jej oczy błyszczały.

- Ach, dziękuję, została dumną matką sześciu zdrowych szczeniaków.

- Czyżby Varden nie towarzyszył pani dzisiejszego wieczoru?

Dojrzał, jak matka i córka wymieniają ulotne spojrzenia, zanim lady Portland odpowiedziała:

- Obawiam się, że niewielu młodzieńców uznałoby wieczór z matką i siostrą za nęcący. Tyle jest żywszych rozrywek.

Miała rację, oczywiście. Jeśli ludzie z kręgu chevaliera zjawiali się w Vauxhall, to tylko po to, by tańczyć pod gwieździstym niebem z kurtyzanami oraz kraść pocałunki i nie tylko w ciemniejszych, bardziej ustronnych alejkach ogrodu. Chociaż z pewnością tłumaczyło to nieobecność Vardena, nie

wyjaśniało jednak znaczących spojrzeń obu dam.

- Czy wybiera się pan jutro na książęce przyjęcie? - spytała lady Audley, jakby chciała zmienić temat.

- Oczywiście - odparł Sebastian - lecz przy oczekiwanych dwóch tysiącach gości, muszę przyznać, iż korci mnie, by złamać wszelkie nakazy dobrego wychowania i wybrać się tam na piechotę. Nie chciałbym spędzić kilku godzin w sznurze powozów.

- Być może powinniśmy pójść w pańskie ślady - uśmiechnęła się lady Portland.

- Zapoczątkujemy nową modę - skwitował Sebastian, kłaniając się na pożegnanie.

Kolejna świszcząca raca rozdarła niebo ogniem.

Dotarłszy do rzeki, Sebastian zawołał małą łódkę wiosłową, kazał

przewoźnikowi płynąć do schodów przy Westminster Bridge, po czym usadowił się na cienko obitej ławce, wyrzucając swoje długie nogi daleko do przodu i krzyżując ręce na piersiach.

Otaczała ich duszna, czarna noc. Gęste chmury zatrzymały ciepło dnia, lecz jednocześnie połknęły światło księżyca i gwiazd. Wicehrabia nie mógł przestać myśleć o kobiecie, która przekazała Portlandowi liścik. A może nie było żadnej tajemniczej damy w zieleni? Może rola Portlanda w wieczornej szaradzie nie była tak przypadkowa i tak nieistotna?

Delikatny wietrzyk przyniósł ze sobą salwy męskiego śmiechu.

Sebastian podniósł wzrok i zobaczył barkę jednego z londyńskich cechów.

Mijając ich, na chwilę rozświetliła czarne wody Tamizy. Wicehrabia poczuł lekkie kołysanie i kilka większych fal odbiło się z pluskiem od łódki.

W słabym świetle rzucanym przez jedyną na łodzi latarenkę Sebastian starał się przyjrzeć mężczyźnie u wiosła. Miał gęstą burzę ciemnych, niemal czarnych włosów wciśniętych pod przetartą filcową czapkę, ostre rysy twarzy ogorzałej i zahartowanej twarzy od lat smaganej słońcem, wiatrem i deszczem. Z każdym uderzeniem wiosła gruby kark przewoźnika napręzał się, a mięśnie ramion napinały znoszoną barchanową kurtę. Jego ruchy były jednak wolne, wręcz oszczędne. Wicehrabia już miał mu nakazać, by się bardziej przyłożył, kiedy za plecami usłyszał

cichy plusk innej pary wiosła.

Sebastian ponownie rzucił okiem na kamienną, pooraną zmarszczkami twarz przewoźnika. Było coś intrygującego w jego posturze

- jakaś czujność, wręcz niepokój, coś, co zastanowiło wicehrabiego. Jakby mężczyzna czekał na coś, na kogoś.

Odgłos drugiej pary wiosła przybierał na sile. Samo w sobie nie było to niczym niezwykłym. Na rzece pełno było takich łódek, zważywszy zaś na ich żółwie tempo, żywszy przewoźnik mógłby z łatwością ich wyprzedzić. A jednak...

Zmieniając pozycję, Sebastian zerknął za siebie. Dojrzał majaczący w mroku dziób niewielkiej łódki spacerowej, pociągnięty czarną farbą kadłub i rozmyty cień wiosłarza. Człowiekowi o mniej wyostrzonym wzroku i słuchu z pewnością by to umknęło. Wicehrabia celowo odwrócił

się plecami do coraz bliższej łodzi.

Miejsce było wręcz idealne do ataku, jak pomyślał. Nie miał jak uciec, nie mógł liczyć na pomoc przypadkowych przechodniów. Tamiza stała się pułapką. Brzeg był odległą linią łączącą czerń z

czernią; byli mniej więcej pośrodku rzeki szerokiej w tym miejscu prawie na ćwierć mili. Barwnie oświetlona barka z rozbawioną załogą dawno odpłynęła.

Gdyby Sebastian zgasił lampkę na łódce i wyskoczył, może pod osłoną nocy zdołałby dostać się na brzeg. Niestety prąd był tu silny, a lampkę przewoźnik mógł ponownie zapalić. Trzeba było działać, i to natychmiast!

Coraz głośniejszy dźwięk tnących wodę wiosł drugiej łodzi mieszał

się z bulgotem rzeki obmywającej jej dziób. Wicehrabia, czujny i nieruchomy, nasłuchiwał. Dopiero gdy charakterystyczne skrzywienie łodzi stało się już na tyle głośnie, że nie umknęłoby niczyjej uwadze, wiosłarz wstał ze swojej ławki i z zaciśniętą szczęką wpatrywał się w horyzont.

Sebastian czekał do ostatniej chwili, aż gęste, parne powietrze przeciął świst deski. Młody arystokrata rzucił się do przodu, padając płasko na mokre, wysmarowane błotem dno łódki - dokładnie w tym momencie, gdy płaska strona wiosła ubranego na czarno mężczyzny z drugiej łodzi zatoczyła łuk w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się głowa wicehrabiego. Siła włożona w zamach obróciła napastnikiem i z trudem utrzymał równowagę, a łódki odsunęły się od siebie.

Przekręciwszy się na plecy, Sebastian zobaczył, jak jego przewoźnik wciąga wiosła i wstaje. Twarz wykrzywił mu paskudny grymas, a w lewej ręce ścisnął nóż. Gwałtownym ruchem wicehrabia wyrzucił w górę prawe ramię i blokując pchnięcie, złapał mężczyznę za nadgarstek. Łódź zakolebała się niebezpiecznie. Sebastian podniósł się na kolana.

- Ty cholerny bydlaku - warknął wiosłarz. Wicehrabia poczuł jego cuchnący oddech.

Gdy próbował wstać, łódka zatrzęsała się uderzona w bok przez drugą łódź. Kątem oka dostrzegł cień znów unoszonego do uderzenia wiosła.

Obrócił się, złapał swojego przewoźnika i osłonił się jego ciałem.

Wiosło uderzyło mężczyznę tuż za uchem, aż zadudniło. Przewoźnik ryknął z bólu i z głośnym pluskiem runął do rzeki, wzbijając fontannę wody. Łódź zakołysała się niebezpiecznie i Sebastian upadł na kolana.

Chwycił jedno z wiosł i uniósł, dźgając prosto w klatkę piersiową drugiego napastnika, który akurat ponownie się zamachnął.

Mężczyzna był drobny, miał przydługie blond włosy i chudą, wątłą twarz dżentelmena. Przez ułamek sekundy ich spojrzenia skrzyżowały się.

Potem przewrócił oczami i z pluskiem wypadł za burzę.

Z galopującym oddechem Sebastian włożył wiosło z powrotem w dulkę. Był już na tyle blisko Westminster Bridge, że dostrzegał światła na moście odbijające się w czarnych wodach rzeki.

Usłyszał paniczny krzyk swojego przewoźnika:

- Pomocy! Nie umiem pływać!

Wicehrabia usiadł na ławce i ujął w dłonie wytarte, gładkie wiosła.

Spojrzał na wystającą z wody głowę.

- Dla kogo pracujesz? Kto cię wynajął?

- Jasna cholera! Rzuć mi linę! Nie umiem pływać!

- Lepiej więc oszczędzaj powietrze - odparował Sebastian.

Głośno przeklinając, mężczyzna krzyknął za nim:

- To ten blondyn w wojskowym płaszczu. To on mnie wynajął.

Młody arystokrata omiół wzrokiem lekko falującą wodę. Blondyn w ciemnym szynelu zniknął.

- Ej! Rzuć no tę linę! - wrzasnął ponownie mężczyzna.

- Masz. - Sebastian pchnął unoszące się na wodzie wiosło drugiej łodzi w stronę miotającego się mężczyzny. - Radzę, byś zrobił z niego użytek i zniknął stąd. Patrole na Tamizie raczej nie lubią przewoźników usiłujących mordować swoich pasażerów.

Kat obserwowała, jak Sebastian zdejmuje koszulę. Łagodne światło pary świec przy toalecie pokryło złotem skórę na jego karku i plecach, gdy schylił głowę, by przypatrzeć się plamom cuchnącego błota na delikatnej tkaninie swojego wyjściowego płaszcza.

- Do kroćset. Jeśli tak dalej pójdzie, mój garderobiany gotów dostać apopleksji lub odejść.

Kat podeszła od tyłu i przeciągnęła dłonią po jego nagich ramionach, koniuszkami palców wyczuwając podłużny siniec, który zaczynał

purpurowieć.

- Oberwał nie tylko twój płaszcz - zauważyła. Odrzuciwszy na bok zniszczone okrycie, obrócił się i wziął ją w ramiona.

- Na szczęście najważniejsze rzeczy są na miejscu - powiedział z zalotną nutką.

- Chcieli cię dziś zabić.

Przygryzł delikatną skórę za jej uchem.

- Przypuszczam, że moje ciało miało wypłynąć na brzeg gdzieś w okolicach Greenwich.

Odsunęła się, by móc spojrzeć mu w oczy.

- Ale dlaczego ci ludzie chcą twojej śmierci? Wzruszył ramionami.

- Najwyraźniej uważają, że wiem o spisku więcej niż w rzeczywistości.

- Możliwe. A może po prostu wolą, żebyś nic więcej nie odkrył. -

Wyswobodziła się z jego objęć i poszła nalać mu brandy. - Jak mylisz, kto może za tym stać?

- Nawet Jarvis nie ma pojęcia. - Nalał wody z dzbana do misy i pochylił się, by obmyć twarz. - To nie jest robota jednego człowieka ani nawet kilku osób. W taki spisek, jeśli ma mieć szanse powodzenia, muszą być zaangażowane całe zastępy ludzi.

- Ktoś jednak musi im przewodzić. Przytaknął.

- Stawiałbym na wigów. Przez ostatnie dwadzieścia lat czekali, aż Księciunio przywróci ich do władzy, a kiedy wreszcie został regentem, nic się nie zmieniło - rząd torysów nadal ma silną pozycję. Tylko jakoś trudno mi sobie wyobrazić nawet radykalnych wigów ryzykujących życiem tylko po to, by zastąpić jedną dynastię rozpuszczonych głupców w koronach inną. Czy nie lepiej byłoby pozbyć się monarchii?

- Tak jak Francuzi? - spytała Kat z cierpkim uśmiechem.

- Chodziło mi raczej o model amerykański. - Wyprostował plecy i sięgnął po ręcznik. - Tutaj podejrzewałbym bardziej torysów, ale oni są już u władzy i prawdopodobnie utrzymają się co najmniej dwadzieścia lat, jeśli nie dłużej. Dlaczego więc mieliby pozbywać się Księciunia?

- Szczególnie że bunt mógłby przerodzić się w masową rebelię, a tego torysi boją się przecież jak ognia - zauważyła Kat, przypominając sobie, co Aiden O'Connell powiedział jej tego ranka w Chelsea.

Wicehrabia spojrział na nią badawczo.

- Myślisz o rewolucji?

- Albo wojnie domowej.

- Wątpię, by potrafili dostrzec zagrożenie. Nie ludzie o tak nieposkromionej pysze, jakiej potrzeba, by obalić dynastię. Pewnie nie zdają sobie sprawy, jak łatwo mogliby stracić nad wszystkim kontrolę.

- Ale co to wszystko ma wspólnego ze śmiercią lady Anglessey?

- Chciałbym to wiedzieć. - Sebastian odrzucił ręcznik na bok. -

Możliwe, że przypadkiem zobaczyła coś, czego nie powinna, tak jak Tom w tej alejce na tyłach „Norfolk Arms”. Albo... - zawahał się.

- Albo sama brała w tym udział - dokończyła Kat, podając mu kieliszek brandy.

Wziął łyk i zajrzał jej w oczy.

- Tego nie możemy wykluczyć, prawda? Milczała zamyślona, przypominając sobie, co jeszcze mówił Aiden O'Connell. Powiedział, że zakończyłaby wojnę z Francją...

- A chevalier de Varden? - spytała nagle. Ten był przecież w połowie Francuzem. - Jakie ma poglądy polityczne?

- Przypuszczam, że żadnych. Jego szwagier, Portland, jest, rzecz jasna, torysem, tak jak i mąż Morgany, lord Quinlan. Z drugiej strony, większość wysoko urodzonych i zamożnych to torysi, włączając

Anglesseya, i mojego ojca. - Zamilkł, bezwiednie obracając kieliszek w dłoniach.

- O co chodzi?

- Varden powiedział mi dziś, że Ginewra chciała odejść od Anglesseya. Twierdził, że się go bała.

- Bała się? Dlaczego?

- Powiedział, że Anglessey zabił swoją pierwszą żonę.

- Czy to może być prawda?

- Słyszałem, że jego pierwsza żona zmarła w połogu. Szedłem właśnie na Mount Street, by go o to spytać, kiedy zatrzymał mnie Lovejoy.

- Co sugerujesz? Myślisz, że Ginewra dowiedziała się o konszachtach jej męża ze Stuartami i była się, że będzie chciał ją uciszyć.

Ależ... z pewnością nie zdradziłaby własnego męża. Prawda?

Sebastian uniósł rękę i pomasował czoło. Dotarło do niej, jak bardzo był zmęczony. Zmęczony i sfrustrowany.

- Najwyraźniej nadal coś mi umyka. Coś ważnego. Wsunęła mu ręce pod ramiona i przywarła do niego całym swoim ciałem. Może nigdy nie zostanie jego żoną, lecz z nim mogła cieszyć się bliskością i odwzajemnioną miłością. Powtarzała sobie, że to wystarczy. Musiało wystarczyć, dla jego dobra.

- Dojdiesz do prawdy - zapewniła cichym, chropowatym głosem. -

Jeśli komuś ma się udać, to na pewno tobie. A teraz chodź do łóżka.

Gdy obudziła się o świcie, łóżko było puste i zimne. Uniosła głowę.

Stał przy oknie. Jedna z ciężkich zasłon była odsłonięta, a on obserwował z góry powoli jaśniejącą ulicę. Stał do niej bokiem, więc widziała jedynie jego profil. Głowę miał spuszczoną, jakby nie wyglądał

na ulicę, a badał wzrokiem coś trzymanego w dłoniach. Dopiero gdy wysunęła się z pościeli i podeszła, by opleść go ramionami, zauważyła, że trzyma niebieski naszyjnik matki; srebrny łańcuch oplatał palce dłoni.

- O co chodzi? - spytała, muskając Sebastiana po karku. - Co się dzieje?

Wolną ręką ujął jej dłoń i przyciągnął ukochaną do siebie.

- Wczoraj wieczorem była u mnie Amanda.

- Lady Wilcox? - spytała Kat zdumiona. Z tego, co wiedziała, siostra wicehrabiego nie odzywała się do niego od lutego.

- Jest niespokojna, bo moje niezwykłe zajęcia mogą przeszkodzić jej córce w znalezieniu dobrej partii. Chciała wiedzieć, co też mnie opętało, że zająłem się czymś tak plebejskim, jak śledztwo w

sprawie morderstwa.

- Powiedziałeś jej o naszyjniku?

- Tak. - Uniósł go w górę i błyszczący triskelion zakołysał się na łańcuchu, zakreślając łuk. - Zaskoczyło ją to, ale nie wyglądała na zbyt zdziwioną.

Kat przyjrzała się wnikliwie skrytym w cieniu liniom jego twarzy, ale nie potrafiła wyczytać z niej żadnych emocji.


- Być może nie dostrzegła implikacji.

Kąciki jego ust uniosły się w kwaśnym uśmiechu.

- Nie ma mowy. Czego jak czego, ale bystrości to jej nie brakuje.

Mogło ją zdziwić, że matka oddała coś tak dla niej cennego, ale ani przez ułamek sekundy nie zastanowiło ją, co wydarzyło się tego dnia u wybrzeży Brighton.

- Do czego zmierzasz, Sebastianie? - Kat wzięła głęboki oddech.



Przekręcił głowę, by spojrzeć jej prosto w oczy i przez jeden ulotny moment słabości zobaczyła wszystko - zdumiewającą mieszaninę złości, krzywdy, zagubienia i bólu.

- Amanda wie. Zawsze wiedziała! - parsknął gorzkim śmiechem. -

Cała ta przejażdżka, zatopiony jacht, to było na pokaz. Moja matka nie utonęła tego lata. Po prostu odeszła. Zostawiła mojego ojca i zostawiła mnie. Ale nie umarła.

Zamknął naszyjnik w dłoni, na palce padły pierwsze promienie świtu.

- Nie umarła.

Amanda jadła śniadanie, zerkając jednocześnie do *Morning Post*, gdy do jadalni wparował niezapowiedziany jej brat. Nie podniosła wzroku.

Srebrny naszyjnik z szafirami hrabiny Hendonu wylądował na gazecie. Głośne plaśnięcie zaskoczyło ją i z trudem powstrzymała się od reakcji zbyt gwałtownej na damę. Starając się zapanować nad sobą, podniosła wzrok na brata. Burza emocji, jaką dostrzegła w jego oczach, sprawiła, że musiała odwrócić wzrok.

- Ona nadal żyje? Prawda? - zapytał.

Starając się uspokoić oddech, Amanda wciągnęła powietrze głęboko w płuca i utkwiała wyzywające spojrzenie w jego nienaturalnie żółtych oczach.

- Tak.

- Od jak dawna wiesz?

- Od tamtego lata.

Pokiwał głową, jakby jedynie potwierdziła to, co i tak podejrzewał.

- A ojciec?

- Naturalnie, że wie. Wiedział od samego początku. Sam pomógł to zainscenizować.

W głębi zwierzęcych oczy Sebastiana dostrzegła błysk - czego?

zaskoczenia? bólu?

- Dlaczego nic mi nie powiedziano?

Amanda uraczyła go szerokim, złośliwym uśmiechem.

- O to powinieneś spytać samego hrabiego Hendonu.

Sebastian rzadko pozwalał myślom powracać do tego jakże odległego już w czasie lata, lata poprzedzającego jego dwunaste urodziny.

Dni były wtedy upalne, niebo niezmiennie błękitne. Złote, prażące słońce zmieniało uprawy w pył. Wysychały najgłębsze studnie.

Hrabina Hendonu spędziła większość tej wiosny i lata w rodzinnej rezydencji w Kornwalii, mimo że tak kochała Londyn. Ubóstwiała zarówno jego gorączkową atmosferę i intelektualne wrzenie na

politycznych salonach, jak też niekończące się bale, śniadania i wyprawy na zakupy - podobnie jak większość dam. Hrabia jednak uważał londyńską atmosferę za niezdrową dla kobiet i dzieci, szczególnie gdy ulice robiły się suche i zakurzone, a powietrze ciężkie. Choć jego samego sprawy natury państwowej zatrzymywały w Whitehall i St. James's Pałace, nalegał, by hrabina wyjechała do Kornwalii i żeby Sebastian z bratem Cecilem dołączyli do niej po powrocie z Eton.

Wicehrabia próbował sobie przypomnieć, jak matka spędzała to lato, ale pamiętał jedynie wspólne włości z Cecilem i zabronione kąpiele w zatoczce u stóp klifu. W jego wspomnieniach była dziwnie odległą postacią, znikającą gdzieś każdego ranka na grzbiecie zadbanej gniadej klaczy. Pamiętał jedną wyraźną scenę - popołudniową herbatę na skąpanym w słońcu tarasie i uśmiech matki - ciepły, lecz jakby... odległy.

A potem w lipcu rodzina pojechała na miesiąc do Brighton.

Lady Sophie uwielbiała Brighton - upajała się koncertami w ogrodach Steyne i balami na zamku oraz w Ship Hotel. Tego roku jednakże nawet Brighton było upalne, zakurzone i przepełnione letnikami pragnącymi za wszelką cenę uciec od dusznej, niezdrowej atmosfery głębi wyspy. Ojciec narzekał, że Brighton stało się równie cuchnące i odrażające co Londyn i często powtarzał, że wyśle hrabinę i ich synów z powrotem do Kornwalii. Matka na zmianę piekliła się i zalewała łzami, prosząc, by pozwolił jej zostać.

I tak zostali aż do tego lipcowego poranka, kiedy Cecil obudził się cały purpurowy i rozpalony. Do zmierzchu zaczął majaczyć. Zawezwano najlepszych lekarzy, aż z Londynu. Kręcili głowami, zalecając upuszczanie krwi i kalomel, ale Cecil miał coraz większą gorączkę. Dwa dni później już nie żył, zaś Sebastian został nowym wicehrabią Dewlinu, jedynym żyjącym synem i dziedzicem ojca.

Potem nastąpiły nerwowe tygodnie, pełne krzyków i gniewnych oskarżeń. Jednakże w obecności Sebastiana hrabia zachowywał dziwną, pełną napięcia ciszę. Tak jakby nie mógł pojąć, dlaczego los odebrał mu dwóch pierwszych synów, a zostawił jedynie najmłodszego, najmniej podobnego do ojca.

Dla Sebastiana te dni pozostały bolesną, rozmazaną plamą. W jego pamięci świeży był jedynie słoneczny poranek, kiedy to Sophie hrabina Hendonu wypłynęła na zwykłą wycieczkę ze znajomymi.

By nigdy już nie powrócić.

Ból tamtego lata podsycił teraz gniew, jaki Sebastian odczuwał, wbiegając po schodach do domu swojego ojca na Grosvenor Square.

Znalazł hrabiego w holu, gdy ten zmierzał właśnie na piętro. Miał na sobie bryczesy, wysokie buty, a w ręce trzymał szpicrutę - wrócił właśnie z porannej przejażdżki konnej.

- Co się stało? - zapytał, spoglądając zdziwiony na syna.

Sebastian przeszedł przez hol i otworzył na oścież drzwi biblioteki.

- Tę rozmowę powinniśmy odbyć na osobności. Ojciec zawahał się, ale puścił poręcz schodów.

- W porządku. - Przeszedł do pokoju, rzucił szpicrutę na biurko, a Sebastian zamknął drzwi. - Słucham, o co chodzi?

- Kiedy zamierzałeś powiedzieć mi prawdę o mojej matce?

Alistair St. Cyr odwrócił się jak rażony gromem i popatrzył na syna nieufnie, z rezerwą.

- Którą prawdę?

- Do diabła - Sebastian parsknął ostrym, pozbawionym humoru śmiechem - czy jest aż tyle kłamstw?! Chodzi mi o to, co wydarzyło się w Brighton siedemnaście lat temu. A raczej o to, co się wtedy nie wydarzyło.

Czy ona nadal żyje? A może sam nie wiesz?

Ojciec zeszywniał.

- Kto ci powiedział?

- Czy to ważne? Sam powinienes mi być powiedzieć, i to na długo przed tym, jak pokazałem ci naszyjnik.

Ze starego St. Cyra jakby uszło powietrze.

- Bałem się.

- Czego?

Hrabia wyjął z szuflady fajkę i powolnymi, starannymi ruchami napełnił cybuch tytoniem i ubił go kciukiem.

- Ona żyje - powiedział po chwili - a przynajmniej żyła jeszcze zeszłego sierpnia. Co rok wysyła do mojego bankiera list z krótkim opisem politycznych i wojskowych wydarzeń z ostatnich dwunastu miesięcy.

Kiedy mamy już pewność, że nadal żyje, przesyłam jej roczną pensję.

Sebastian poczuł, że w środku wszystko mu się przewraca. Sam nie wiedział, czy odkrycie, iż matka żyje, choć przez siedemnaście lat miał ją za zmarłą, przyniosła mu ulgę, czy tylko dodatkowo podsyciło gniew.

- Płacisz jej? Dlaczego? Żeby trzymała się z daleka?

- To wcale nie taka niezwykła umowa. Pary, które nie mogą już być razem, często zgadzają się na życie osobno. Popatrz chociażby na księcia i księżną Yorku.

- Księżna Yorku nie upozorowała własnej śmierci. Ojciec zapalił

knot świecy i przyłożył go do fajki.

- Twoja matka... związała się z innym mężczyzną. Gdyby zamieszkała z nim w Anglii, przekreśliłoby to moją karierę polityczną.

Zgodziła się wyjechać w zamian za gwarancję corocznej pensji.

Wicehrabia przez chwilę milczał. Czy był tego lata jakiś mężczyzna, jakiś szczególny mężczyzna? Nie mógł sobie przypomnieć. Wokół lady Sophie zawsze kręcili się mężczyźni.

- Dlaczego się po prostu nie rozwiodłeś? - powiedział na głos, patrząc na poraną głębokimi zmarszczkami twarz ojca. - Co ona na ciebie ma?

Alistair St. Cyr podniósł wzrok i wytrzymał spojrzenie syna.

- Nic, o czym chciałbym ci opowiedzieć.

- Do pioruna, a naszyjnik?!

- Uwierz mi, że nie wiem, jakim sposobem znalazł się na szyi Ginewry Anglessey. Możliwe, że twoja matka komuś go oddała.

Sebastian szczerze w to wątpił. Nigdy nie była zbyt przesądna, ale w moc tego naszyjnika akurat wierzyła.

- Gdzie jest teraz?

Ojciec pociągnął z fajki, rozpalając tytoń.

- W Wenecji. Tam przynajmniej wysyłam pieniądze. Znajomi, z którymi wypłynęła tego dnia - ci, którzy pomogli jej upozorować wypadek

- to Wenecjanie.

Powietrze wypełnił słodki zapach tytoniu. Sebastian stał w jednym z wysokich okien wychodzących na plac.

- Tyle lat - powiedział raczej do siebie niż do ojca - tyle lat tęsknoty, tyle bólu... a to wszystko kłamstwo.

Wyczuł, że hrabia zbliżył się i stał tuż za nim, ale nie odwrócił

głowy.

- Gdyby mogła wtedy zabrać cię ze sobą - odezwa się stary St. Cyr chropawym głosem - to myślę, że tak właśnie by zrobiła. Zawsze uważałem, że ze wszystkich swoich dzieci to ciebie darzyła najgłębszym uczuciem.

Sebastian pokręcił głową, nadal wpatrując się w scenę za oknem.

Chłopczyk i dziewczynka - mogli mieć dziesięć, może dwanaście lat -

biegali z obręczą, a ich roześmiane głosy niosły się lekko wraz z porannym wiatrem. Tak, tym razem ojciec nie kłamał. Sam czuł, dorastając, że choć hrabina Hendonu kochała wszystkie swoje dzieci, to on zajmował w jej serce szczególne miejsce. A jednak zostawiła go.

Coś dławiło mu gardło, w ustach czuł gorzki smak. Pomiedzy nim a ojcem zawisła gęsta cisza - cisza, którą Sebastian zakończył, uderzając ręką o parapet i odwracając się z impetem od okna, by stawić czoła hrabiemu.

- Dlaczego, u diabła, nie powiedziałeś mi prawdy?! Pozwoliłeś mi myśleć, że nie żyje. Dzień w dzień chodziłem na te klify i wypatrywałem jej. Łudziłem się, że to jakaś pomyłka, że zaraz zobaczę, jak wraca do domu. W końcu jednak poddałem się. Uwierzyłem w twoje słowa. A to wszystko było jednym cholernym kłamstwem!

Wbił wzrok w ojca. Szczeka hrabiego poruszała się energicznie, ale nie odpowiadał.

- Dlaczego?

- Uznałem, że tak będzie lepiej.

- Dla kogo? Dla ciebie, dla niej, a może dla mnie?

- Dla nas wszystkich.

Sebastian minął ojca i szybkim krokiem ruszył do drzwi.

- Myliłeś się.

Księżna wdowa Claiborne poderwała się ze snu, jedną ręką po omacku poprawiała swój czepek, by nie spadł jej na oczy. Wysoka, zagadkowa postać przemierzyła zaciemnioną zasłonami sypialnię. Księżna wydała z siebie stłumiony okrzyk, usiadła na łóżku i nagle policzki zapłonęły jej oburzeniem, gdy w tajemniczym gościu rozpoznała swojego jedynego bratanka.

- Wielkie nieba, Sebastianie, mało nie dostałam ataku apopleksji! Co też tu robisz o tak nieludzkiej porze? I dlaczego patrzysz na mnie takim wzrokiem?

Zbliżył się do rzeźbionego wezgowia jej potężnego tudorskiego łoża cały napięty jak jakiś drapieżnik.

- Moja matka nie zginęła w wypadku na łodzi siedemnaście lat temu.

Zwyczajnie zostawiła męża i dzieci i odpłynęła. Powiedz, że o tym nie wiedziałas.

Henrietta westchnęła. Gdyby tylko mogła zaprzeczyć...

- Wiedziałam - przyznała.

Odwrócił się gwałtownie i podszedł do okna, by jednym ostrym ruchem odsłonić ciężką aksamitną zasłonę. Do pokoju wtargnął snop jasnego porannego słońca. Ciotka aż jęknęła. Podniosła rękę, by osłonić oczy, i poprawiła się na łóżku.

- Uważałam, że powinieneś poznać prawdę, ale decyzja nie należała do mnie.

- Podobno wyjechała z mężczyzną. Czy to prawda? Objęła wzrokiem jego zeszywniałe ramiona.

- Owszem. Skinął głową.

- Pamiętam, że w jej życiu byli inni mężczyźni. Od wielu lat.

Dlaczego zdecydowała się odejść właśnie z tym?

- Pozostali byli jedynie rozrywką czy też narzędziami zemsty. Mogę jedynie przypuszczać, że z tym było inaczej.

- Kim on był?

- Nie pamiętam, jak się nazywał. Był chyba poetą. Bardzo romantycznie wyglądający młodzieniec.

- Wenecjanin?

- Miał jakieś koneksje z Wenecją, ale sam był Francuzem.

- Był od niej młodszy? - Tak.

- Poznałaś go?

Księżna szarpnęła wysoki, haftowany kołnierz swojej koszuli nocnej.

- Był tej wiosny ulubieńcem towarzystwa. Chociaż, o ile mnie pamięć nie myli, długo w Londynie nie zabawił.

- Dokąd się udał? Do Kornwalii?

- Najwyraźniej tak.

Sebastian uniósł dłoń i przetarł oczy. Henriecie zdało się, że nigdy jeszcze nie wyglądał tak źle, tak staro.

- Wiesz, gdzie teraz przebywa? - zapytał.

- Twoja matka? Nie. Nigdy nie byliśmy ze sobą blisko i absolutnie nie kontaktowałyśmy się z sobą po jej wyjeździe. Sądzę, że nawet mój brat nie wie dokładnie, dokąd się udała, chociaż co roku wysyła jej pieniądze.

- Dlaczego? Z pewnością nie robi tego z dobroci serca. Ona musi coś wiedzieć. Coś, za co gotów jest płacić, byleby nie wyszło na jaw. Wiesz, o co chodzi?

Zajrzała w zatroskane oczy bratanka i po raz pierwszy tego ranka skłamała:

- Wierz mi, nie mam pojęcia.

Sir Henry Lovejoy był poirytowany. Jego wysiłki w schwytaniu mężczyzny, którego prasa zdążyła już okrzyknąć „Rzeźnikiem z St. Jamess Park”, nie przynosiły pożądanego efektów. Nie dość, że sędziowie pokoju z Bow Street robili co w ich mocy, by utrudnić mu to śledztwo, teraz musiał jeszcze tracić czas na utarczki ze wzburzonymi urzędnikami ambasady i wyraźnie rozgniewanymi pracownikami Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Opuściwszy Whitehall, Lovejoy zawołał dorożkę i udał się do wicehrabiego Dewlinu.

Spotkał Sebastiana, gdy ten właśnie wchodził do domu.

- Muszę z panem mówić, milordzie - oznajmił sędzia z lekkim ukłonem.

Wicehrabia był wyjątkowo blady i zdenerwowany. Zawahał się, po czym odparł:

- Oczywiście. - Poprowadził sędziego do biblioteki. - Proszę, niech pan siada, sir Henry. Czym mogę służyć?

- Nie zajmę panu dużo czasu. - Lovejoy zdjął kapelusz, ale nie usiadł. - Jeden z wioślarzy wyciągnął

wczorajszej nocy z Tamizy zwłoki.

Rysy wicehrabiego zdradzały ciekawość.

- Ktoś, kogo znam?

- To cudzoziemiec - odpowiedział sędzia, obserwując młodą twarz rozmówcy. - Z północnych Włoch.

Sebastian zmarszczył brwi.

- Szczupły mężczyzna z blond włosami?

- Ach, zna go pan więc!

- Istotnie, próbował mnie wczoraj zabić.

- A pan, jak ma zwyczaj czynić w takich razach, zabił jego?

- Wpadł do Tamizy - odparł chłodno wicehrabia. - Dlaczego przyszedł pan z tym do mnie?

Lovejoy wydał z siebie gardłowy dźwięk.

- Wiemy, że był współnikiem pańskiej poprzedniej ofiary, Charlesa Ahreana - dodał, widząc pytający wzrok Sebastiana. - Przypomnę, to ten dżentelmen, którego zabił pan niedaleko Hungerford Market.

- Nie zabiłem Ahreana, czyżby pan zapomniał? On też spadł -

odpowiedział wicehrabia z lekkim uśmiechem, który po chwili przygasł. -

Jest sędzia pewien, że ten blondyn był Włochem?

- Absolutnie. - Nasadziwszy na głowę kapelusz, Lovejoy odwrócił

się i ruszył do drzwi. - Włochem, a w dodatku kuzynem sabaudzkiego króla.

Po wyjściu sędziego Sebastian stał przez jakiś czas ze wzrokiem utkwionym w wiszącej na przeciwległej ścianie biblioteki skrzyżowanej parze starych rapierów.

Powiązania między królem sabaudzkim a zniewieściałym blondynem, który ścigał Toma ulicami Smithfield i próbował utopić Sebastiana w Tamizie, były oczywiste. Niewyjaśnione natomiast pozostawało, co łączyło spisek przeciw regentowi, morderstwo lady Anglessey i stary szafirowy naszyjnik, który należał niegdyś do hrabiny Hendonu. Sebastian wiedział jednak, że tej zagadki nie uda mu się rozwikłać, dopóki będzie rozpamiętywał wydarzenia tego odległego lata i towarzyszące im kłamstwa. Zdusił więc w sobie poczucie krzywdy.

Czy to, że poznał prawdę o matce, rzucało nowe światło na sprawę morderstwa Ginewry Anglessey? Związek między hrabiną Hendonu a nieznanym francuskim poetą o włoskich powiązaniach był zastanawiający, ale Sebastian nie zdecydował jeszcze, czy ważny. Zbierając w myślach wszystko, czego dowiedział się w ciągu ostatnich kilku dni, uznał, że najwyższy czas złożyć ponowną wizytę pogrążonemu w żałobie markizowi Anglessey.

Sięgnął do sznura dzwonka przy kominku i energicznie szarpnął.

- Każ Gilesowi podstawić dwukółkę - powiedział Moreyowi, kiedy majordomus pojawił się w drzwiach.

Służący skłonił się dostojnie.

- Oczywiście, milordzie.

Gdy kwadrans później Sebastian wyszedł przed dom, to nie Giles, ale Tom trzymał na wodzy parę kasztanów.

- Co to tu robisz, do kata? - warknął wicehrabia. - Kazałem ci wziąć kilka wolnych dni i odpocząć.

- Nie potrzebuję wolnych dni, szefie - oświadczył chłopiec poważnie. - To jest moja praca i koniec.

Sebastian wskoczył na dwukółkę i przejął wodze.

- Twoja praca to wykonywać polecenia. A teraz wyskakuj.

Tom prychnął głośno i popatrzył prosto przed siebie.

- To dlatego, że pana zawiodłem, nie? Skopałem sprawę. Mało brakowało, a szef skończyłby przeze mnie jako przynęta na ryby.

- Nie, nie zawiodłeś mnie. To ja zawiodłem ciebie, narażając cię na tak ogromne zagrożenie. To bardzo niebezpieczni ludzie i nie mam zamiaru brać odpowiedzialności za twoją śmierć. Wyskakuj, ale już!

Foryś nadal patrzył przed siebie, ale wicehrabia zauważył, że kilka razy mrugnął, a mięśnie jego szyi zadrgały, gdy z trudem przełknął ślinę.

- Młodszy ode mnie służom jako chłopcy okrętowi w marynarce albo idom do wojska jako doboosze - powiedział, niechętnie schodząc na ziemię.

- Do tego też bym się nie nadawał, tak?

- A niech cię! - rzucił Sebastian, gwałtownie ściągając cugle. - Tylko mi więcej niepotrzebnie nie ryzykuj, słyszałeś? A spróbuj mi się jeszcze raz sprzeciwić, to cię zwolnię. Zrozumiano?

Przytrzymując kapelusz, Tom wdrapał się z powrotem na ławkę uśmiechnięty od ucha do ucha. - Taaaa jest, szefie!

Markiz Anglessey powoli i ociężale dreptał po oranżerii. Przez ostatni tydzień jakby przybyło mu kilka lat.

Na odgłos kroków Sebastiana odwrócił głowę, przytrzymując się ręką krawędzi półki z orchideami.

- O co chodzi?

Wicehrabia zatrzymał się na środku pomieszczenia. Ciepła wilgoć otuliła go jak koc.

- Chciałbym, by mi pan opowiedział, jak umarła pańska pierwsza żona.

Ku jego zaskoczeniu, na twarz staruszka wypłynął cierpki uśmiezek. Markiz odwrócił się plecami i zaczął z uwagą obrywać pożółkłe liście chińskiej róży.

- Rozumiem, że doszły lorda plotki, jakoby ją popchnął.

- A popchnął pan?

- Potknęła się na schodach w Anglessey Hall. Miała już duży brzuch, była niezdarna. Nie zdołała się uchwycić poręczy.

Ręce starca znieruchomiały, podniósł głowę i błędnym wzrokiem zapatrzył się przed siebie - jakby w przeszłość.

- Być może i tak umarłaby podczas porodu - dodał cicho. - Przez ostatnie kilka miesięcy nie miała się za dobrze. Cóż, tego się nie dowiemy.

- Przeniósł wzrok z powrotem na twarz Sebastiana. - Kto powiedział panu, że ją zabiłem?

- Czy to ważne?

- Nie, raczej nie. - Anglessey wyrwał kolejny liść i wrzucił go do przewieszzonego przez ramię koszyka. - Co też pan sugeruje? Myśli pan, że mam paskudny nawyk zabijania ciężarnych żon? Jakiż mógłbym mieć powód, by zabić Ginewrę?

- Zazdrość?

- O dziecko, które nosiła? Zapomina pan, jak desperacko go pragnąłem.

- Ludzie pod wpływem silnych emocji często robią rzeczy, których później żałują. Może dowiedziała się czegoś o panu? Czegoś, co chciał pan zachować w sekrecie.

- Ginewra wiedziała o mojej pierwszej żonie. Powiedziałem jej o tych plotkach, zanim się pobraliśmy.

- Nie chodziło mi o śmierć pańskiej pierwszej żony. Staruszek obejrzał się skonsternowany.

- O co więc?

- Może dowiedziała się, że spiskuje pan, by przywrócić na tron dynastię Stuartów?

Markiz, mrużąc oczy, zamyślił się głęboko. Sebastian pomyślał, że chociaż ciało Anglesseya zaczynało go zawodzić, błędem byłoby zakładać, że i umysł odmawia mu posłuszeństwa.

- Słyszałem plotki, insynuacje, pomruki niezadowolenia. Muszę jednak przyznać, że nigdy nie brałem ich na poważnie. Zakładałem, że to tylko czcza gadanina, pobożne życzenia. Twierdzi lord, że coś w tym jest?

Ale... cóż może to mieć wspólnego ze śmiercią Ginewry?

- Tego właśnie jeszcze nie rozgryzłem. - Sebastian zawiesił głos. -

Chciałbym rozejrzeć się po pokoju pańskiej żony, o ile to możliwe.

Prośba widocznie zaskoczyła markiza. Wziął szybki oddech, ale odparł:

- Oczywiście. Jeśli pan sobie życzy... Niczego nie dotykano. Wiem, że powinienem pozwolić Tess zebrać *rzeczy* Gini i oddać je biednym, ale jakoś nie mam siły o tym myśleć.

Gini. Sebastian przypomniał sobie, że tak nazwał ją Varden.

Zmierzył wzrokiem leciwego arystokratę. Gdyby Ginewrę zwyczajnie zastrzelono lub dźgnięto, to jeszcze mogłoby pasować do markiza. Trudno było jednak sobie wyobrazić, by ten słabowity starszy mężczyzna mógł

odegrać jakakolwiek rolę w skomplikowanej szaradzie, która nastąpiła po zabójstwie.

Wicehrabia ruszył w kierunku domu, lecz przystanął i odwróciwszy się, zapytał:

- Czy możliwe, że żona zamierzała od pana odejść? Anglessey stał

nieruchomo obok róży, trzymając w ręce kosz pożółkłych liści.

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Jest pan pewien?

Starzec zaniósł się kaszlem. Odwrócił głowę, przyciskając do ust chustkę. Kiedy kaszel ustał, szybkim ruchem schował zmięty kawałek jedwabiu do kieszeni, lecz Sebastian zdążył dojrzeć na nim jaskrawe plamy krwi.

Na blade policzki starca wystąpił lekki rumieniec, gdy spojrzenia markiza i wicehrabiego skrzyżowały się.

- Całkowicie. Sam pan widzi. Dlaczego Ginewra miałaby chcieć odejść, skoro wkrótce i tak zostałaby wdową? Moi medycy twierdzą, że będę miał szczęście, jeśli dotrwam do końca lata.

- Czy pańska żona wiedziała? Markiz skinął głową.

- Wiedziała. Czyż to nie ironia? Wciąż myślę o dniu poprzedzającym mój wyjazd do Brighton. Zazwyczaj dzielnie znosiła moje złe samopoczucie, ale ta noc była szczególnie trudna i bardzo się tym przejęła.

Próbowała to ukryć, ale wiedziałem, że płakała. Powiedziała... - Głos mu się załamał. Odwrócił wzrok jakby zawstydzony, zmrużył oczy i zacisnął

wargi. - Powiedziała, że nie wyobraża sobie, by mogło mnie zabraknąć.

Pokój Ginewry spowijała martwa ciemność. Grube zasłony w oknach broniły dostępu światłu dnia. W powietrzu unosił się ledwie wyczuwalny zapach perfum, jakby pamięć kobiety nadal tu trwała, nieuchwytna i smutna.

Wicehrabia przemierzył pokój, by rozsunąć zasłony. Gruby dywan wchłonał jego kroki. Okna wychodziły na ogród - widział oranżerię Anglesseya i konar olbrzymiego, sędziwego dębu rosnącego na tyle blisko, że - tak jak mówiła Tess Bishop - można byłoby wspiąć się po nim do sypialni.

Baldachim łóżka, tak jak okienne zasłony i obicia foteli przy kominku, miały jasnożółty odcień. Poranne słońce wypełniło pokój ciepłym, pogodnym światłem. Sebastian nie potrafił określić, czego się spodziewał, lecz na pewno nie takiego poczucia spokoju i błogiej wesołości. Kłóciło się to z tym, co wiedział na temat Ginewry Anglessey -

kobiety rozdartej między swą pierwszą i jedyną miłością a równie szczerym, choć pozbawionym namiętności uczuciem do starzejącego się, umierającego męża.

Przeszukanie zaczął od garderoby. Intruz, który wdarł się tu po śmierci Ginewry Anglessey, też desperacko próbował coś odnaleźć. Czy tak się stało? Otworzył skrzynię przy największej z szaf i ujrzał malutkie, delikatnie plisowane czepki ozdobione koronką. Spoczywały na równo złożonych miniaturowych sukieneczkach i białych flanelowych kocykach wyszywanych w ptaszki i kwiatki. Poczł nagły ucisk w klatce piersiowej, spiesząc się, przeszukał skrzynię i delikatnie ją zamknął.

Wróciwszy do sypialni, stanął na środku dywanu i zamyślonym wzrokiem chłonał skąpany w słońcu pokój. Na kominku nad pustym paleniskiem stał mosiężny zegar otoczony kolekcją muszli. Pamiątki z jej dzieciństwa w Walii?

Zaintrygowany chciał podejść i przyjrzeć im się z bliska, gdy nagle w palenisku mignęło coś jasnego. Schylił się i wyjął z popiołu zmięty w kulkę kawałek papieru.

Rozprostował kartkę, po czym rozłożył ją na gzymsie marmurowego kominka. Wiadomość była krótka, napisana zamaszystym męskim pismem:

Najdroższa,

Muszę się z Tobą zobaczyć. Błagam, pozwól mi wytłumaczyć.

Spotkajmy się w środę po południu w „Norfolk Arms” na Giltspur Street w Smithfield. Przynieś list. Proszę, nie zawieź mnie!

Podpis był niewyraźny, lecz nadal czytelny:

Varden

Trochę trwało, zanim Sebastianowi udało się wytropić chevaliera de Varden w klubie Whites na St. James's Street.

- Tam jest, szefie - powiedział Tom, zeskakując ze swojej ławki i kryjąc się za końmi.

Chevalier opuszczał właśnie klub w towarzystwie jakiegoś dandysa, kiedy wicehrabia podjechał powozem blisko trotuaru.

- Moglibyśmy zamienić słowo, sir? - zawołał. Varden wymienił ze swym towarzyszem kilka uprzejmości, po czym wolnym krokiem podszedł

do powozu.

- O co chodzi, milordzie? - Towarzyszący słowom uśmiech był

nawet przyjazny, ale oczy zdradzały czujność i ostrożność.

Sebastian odwzajemnił uśmiech.

- Przejedziemy się? Chciałbym panu coś pokazać. Po chwili wahania młody mężczyzna wzruszył ramionami i wskoczył na miejsce obok Sebastiana.

- Odsuń się od koni, Tom - zawołał wicehrabia, ściągając lejce, by dać koniom znak do drogi.

- Co takiego chciałby mi pan pokazać? - spytał Varden, gdy Tom wdrapał się z powrotem na swoją ławkę.

- Zastanawiałem się, co też mógłby mi pan o tym powiedzieć. - Nie spuszczając oczu z drogi, Sebastian wyjął z kieszeni zmięty liścik.

Czuł przyspieszony oddech Vardena, gdy ten czytał wiadomość. W

końcu młodzieniec zacisnął papier w dłoni i podniósł wściekły wzrok na wicehrabiego.

- Skąd pan to ma?

- Był w kominku w sypialni lady Anglessey.

- Ale... nie rozumiem. - Wierzchnią stroną dłoni Varden uderzył w pomietą kartkę, głos miał ściśnięty ze złości. - Ja tego nie napisałem.

- To nie pana pismo?

- Nie! - Sprawiający wrażenie dezorientowanego kawaler stanowczo pokręcił głową. - Wygląda na moje, ale tak nie jest. Mówię panu, ja tego nie napisałem.

Jeśli było to kłamstwo, to bardzo dobre. Sebastian znał jednak ludzi, którzy potrafili oszukiwać z taką łatwością i pozorną szczerością, że nieważnej osobie do głowy by nie przyszło ich podejrzewać. Tak potrafiła kłamać Kat, dlatego też odnosiła na scenie ogromne sukcesy.

- Czy pańskim zdaniem pismo jest na tyle podobne, że lady Anglessey mogła dać się zwieść? - spytał wicehrabia.

Varden ponownie przebiegł wzrokiem po liściku.

- Najwyraźniej tak właśnie się stało. A ten hotel, „Norfolk Arms”...

Czy to tam się udała tego popołudnia, kiedy ją zamordowano?

Sebastian skinął głową.

- Co z listem, który miała ze sobą przynieść? - Nie mam pojęcia, o co chodzi - odpowiedział Varden, spoglądając na wicehrabiego bez mrugnięcia okiem.

To ci już tak dobrze nie wyszło, przyjacielu - pomyślał Sebastian, a skręcając przez bramę do Hyde Parku, powiedział na głos:

- Proszę mi jeszcze raz opowiedzieć o waszej kłótni. Chude policzki chevaliera nabrały koloru.

- Cóż jeszcze mógłbym dodać? Chciała odejść...

- Nie! - przerwał mu wicehrabia ściśniętym złością głosem. - Za daleko się pan posuwa. Anglessey umiera i jego żona o tym wiedziała. Nie miała powodów, żeby od niego odchodzić, wręcz przeciwnie.

Przez chwilę Sebastianowi zdawało się, że Varden zamierza obstawać przy swoim. Potem zacisnął jednak wargi i wypuścił głośno powietrze.

- W porządku. Przyznaję, zmyśliłem to.

- A sprzeczka? - drażył wicehrabia. - Czego dotyczyła?

Młodzieniec wysunął szczękę.

- To, co zdarzyło się tamtej nocy, to sprawa wyłącznie moja i Gini.

To nie ma nic wspólnego z jej śmiercią.

- Ten liścik dowodzi, że ma.

- Powtarzam panu, to nie ma nic wspólnego z jej śmiercią.

- Taki pan pewien? - Tak!

Sebastian postanowił nie naciskać, przynajmniej w tej chwili.

Ktokolwiek wysłał ten liścik, musiał wiedzieć o kłótni kochanków.

Wiedział i użył tej wiedzy, by zwabić Ginewrę Anglessey w pułapkę.

- Proszę mi powiedzieć - odezwał się pozornie skoncentrowany tylko na powożeniu - kto według pana ją zabił? Varden utkwiał wzrok w końskich łbach. Poranny wietrzyk i płynny stęp poruszały nieznacznie ich grzywami.

- Kiedy dowiedziałem się, że nie żyje - zaczął po chwili - moje podejrzenie padło oczywiście na Bevana Ellswortha. Potem usłyszałem, że znaleziono ją w ramionach księcia i pomyślałem, że to jego sprawka.

Cząstka mnie nadal podejrzewa Ellswortha, chociaż lord twierdzi, że to nie mógł być on, że miał tego dnia inne zajęcia. - Otwartą dłonią przeciągnął

po twarzy i potarł oczy. - A teraz? Nie wiem. Po prostu nie wiem -

powtórzył cicho.

Sebastian wyjął z kieszeni szafirowy naszyjnik i pokazał go młodzieńcowi.

- Widział to pan już kiedyś?

Chevalier wbił wzrok w klejnot. Nozdrza rozdał mu nagły głęboki wdech, otworzył szeroko oczy jak ktoś śmiertelnie wystraszony.

- Wielkie nieba, skąd lord to ma?!

Wicehrabia przeciągnął palcami w rękawiczkach po srebrnym łańcuszku.

- Wisiał na szyi lady Anglessey, kiedy znaleziono ją w pawilonie.

- Co takiego? Ależ to... - Varden urwał.

- Niemożliwe? A dlaczego? - natarł Sebastian. - Ju' pan kiedyś widział ten naszyjnik. Gdzie?

Chevalier zapatrzył się w dal. Mimo wczesnej pory alejki pełne były spacerowiczów, na błękitnym niebie wisiało ciepłe słońce. Na horyzoncie jednak majaczyły zwiastujące deszcz ciemne chmury.

- Kiedyś, gdy miałem dwanaście, może trzynaście lat, matka zabrała nas na wakacje na południe Francji.

Panował wtedy pokój. Od niedawna co prawda, lecz matka kochała Francję i chciała nam ją pokazać. Ginewra pojechała z nami.

- Tylko lady Ginewra? Varden pokręcił głową.

- Morgana też. Zatrzymaliśmy się u znajomych w zamku niedaleko Cannes. Jakimś cudem przeżyli rewolucję, chociaż stracili większość majątku. Tam też poznaliśmy kobietę - Angielkę, również ich gościa. To był jej naszyjnik. Opowiedziała nam dziwną historię, jakoby należał kiedyś do kochanki Jakuba II i zawsze wybierał kolejnego właściciela, rozgrzewając się w jego dłoni.

Opadł plecami na oparcie siedzenia, ręce skrzyżował na piersi.

- Nie uwierzyłem w ani jedno słowo, choć to wspaniała historia.

Lecz kiedy kobieta zdjęła z szyi naszyjnik i podała go Ginewrze... - głos mu się załamał.

- Naszyjnik zrobił się ciepły?

- Tak, zaczął wręcz parzyć - prychnął ironicznie młodzieniec. -

Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie. Pamiętam, że Morgana była tak zazdrosna, że wyrwała naszyjnik z rąk siostry, ale natychmiast zrobił się zimny.

Sebastian spojrzał badawczo na Vardena. Pamiętał dobrze, że kiedy opisał naszyjnik Morganie, ta zdecydowanie zaprzeczyła, by go kiedykolwiek widziała. Czyżby zwyczajnie zapomniała? A może świetnie wiedziała, o czym mówił.

- Ta kobieta... dała naszyjnik Ginewrze?

- Nie! - zaprzeczył gwałtownie młodzieniec. - O to właśnie chodzi.

Ostatni raz widziałem go na szyi tej Angielki. A to było jakieś osiem, dziewięć lat temu.

- Jak się nazywała? - Wicehrabia nie chciał, by pytanie zabrzmiało szorstko, ale ledwie nad sobą panował. - Pamięta pan?

Varden potrząsnął głową.

- Podobno była kochanką jakiegoś Francuza - jednego z generałów Napoleona, jeśli się nie mylę. Imienia jednak nie pamiętam. Nie potrafię nawet opisać, jak wyglądała.

- Czy była blondynką? - spytał Sebastian. Serce biło mu tak, jakby miało wyskoczyć z piersi. - Delikatnie zbudowaną blondynką?

- Przykro mi. - Młodzieniec zwrócił złocistą od słonecznych promieni twarz ku Sebastianowi - nie

pamiętam.

Kat miała suknie od najmodniejszych londyńskich krawcowych, pantofle z najlepszego jedwabiu i koźłej skóry, halki zaś wykończone delikatną belgijską koronką. Nie zawsze tak jednak było. Kiedyś nieobcy był jej kwitnący w Londynie handel używaną odzieżą. Dlatego dobrze wiedziała, do kogo udać się po jedwabną chustkę, tak jak i kto dawał

najlepsze ceny za kradzione zegarki.

Nie wszystkie towary z drugiej ręki były jednak kradzione. W

ciężkich czasach mężczyźni i kobiety, nie mając już nic do spieniężenia, pozbywali się strojów i powoli wchłaniała je ulica. Oczywiście taki ruch w interesie przyciągał też złodziei. Kat, której w przeszłości kradzież nie była obca, dokładnie wiedziała, gdzie szukać pasera, który sprzedał zabójcy Ginewry Anglessey zieloną balową suknię lady Addison Peebles.

Wielu sprzedawców używanej odzieży miało stragany na Rag Fair i na Rosemary Lane. Reszta kręciła się ze straganiarskimi wózkami po Whitechapel, pod obszarpanymi halkami i bryczesami często ukrywając zwędzone sery i bekon. Towary najlepszej jakości oferowała jednak pani Keyes.

W eleganckiej witrynie sklepowej na Long Acre eksponowała delikatne jedwabne chusteczki, lniane, obszyte koronką koszule nocne, śnieżnobiałe rękawiczki z koźłej skórki i suknie, których nie powstydzilaby się sama królowa. Wszystkie wyglądały na nowe, choć takie nie były. Niektóre sprzedawały same właścicielki, niektóre ich służące, które przedkładały brzęczącą monetę nad takie mało użyteczne prezenty swych pań. Inne jeszcze trafiały do sklepu bardziej nikczemnymi kanałami. Z tych, zanim pojawiły się na wystawie, usuwano wpierw wszelkie inicjały i naszywki.

Dzwoneczek na drzwiach wejściowych zabrzączał przyjaźnie, gdy Kat weszła do sklepu, wypełniając wnętrze zapachem słońca i porannego wiatru. Pani Keyes wychyliła się zza lady. Jej zmrużone orzechowe oczy powędrowały w górę od zakończonej frędzlami haftowanej, prążkowanej sukni młodej kobiety, zatrzymały się dłużej na trzymanym przez nią pakunku, po czym dotarły do twarzy.

Minęło już prawie dziesięć lat od czasu, gdy o wiele młodsza Kat ostatni raz przekroczyła próg tego sklepiku. Wtedy nie miała na sobie rękawiczek z koźłej skóry ani karbowanego kapelusza z lekko wygiętym strusim piórem, za który cała rodzina mogłaby przeżyć kilka miesięcy. Kat wiedziała jednak, że kobieta ją rozpoznała. Pamięć do twarzy i umiejętność odczytywania wypisanych na nich myśli i uczuć pozwalała pani Keyes od ponad sześćdziesięciu lat unikać Newgate.

Nie spuszczać wzroku z kobiety, Kat rozłożyła na dzielącej je wypolerowanej ladzie zieloną atlasową suknię.

- Gdybym była służącą synowej księcia i moja pani podarowałaby mi suknię taką jak ta, myślę, że przyszedłabym z nią właśnie do pani -

powiedziała.

Sklepiarka, mrużąc oczy, spojrzała na suknię. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Była szczupłą, drobną kobietą o delikatnych, równych rysach pomarszczonej przez wiek twarzy. Podniosła wzrok z powrotem na Kat.

- Masz mnie za głupią?

- Ależ skąd! - odparła ze śmiechem aktorka. - A ta służąca, która tu była, mówiła prawdę. Lady Addison Peebles naprawdę podarowała jej tę suknię. Jej teściowa stwierdziła, że w tym kolorze wygląda jak żaba.

Pani Keyes zamrugła.

- Ma pani suknię i wie, kto ją sprzedał. Po co więc pani przysłała?

Kat położyła na mieniącym się atłasie gwineę.

- Chcę się dowiedzieć, kto ją kupił.

Handlarka chwilę się wahała, po czym szybkimi, zręcznymi palcami podniosła monetę.

- Nie znam ich nazwisk, ale pamiętam, jak wyglądali.

Ani trochę nie zaskoczyła Kat tymi słowami. Ludzie - to było hobby pani Keyes. Lubiła na nich patrzeć, studiować, analizować.

- Dziwaczna para - ciągnęła. - Bez dwóch zdań dziwaczna. -

Przerwała i spojrzała wyczekująco.

Aktorka położyła na ladzie drugą monetę.

- Więc dwie osoby?

- Właśnie. Jeden mężczyzna z kolonii. Południowych, sądząc po akcencie. - Pochyliła się i ściszyła głos. - Afrykanin, ani chybi. Błady był

jak Portugalczyk, ale miał te rysy, rozumiesz? Płaski nos i takie pełne usta.

A jaki olbrzym! No i łysy jak kolano.

Kat domyślnie położyła na ladzie kolejną monetę.

- A drugi? Jak wyglądał?

- To nie był mężczyzna. Dziewczyna. Londyńska dziewczyna.

Młodziutka była. Miała jakieś piętnaście, szesnaście lat. Jasnowłosa i wysoka, ale poza tym całkiem pospolita. Nie pamiętam jej zbyt dokładnie, tylko oczy.

- Oczy?

- Były takie płowe, prawie przezroczyste. Jak deszczówka w chmurny dzień. Wszystko się w nich odbijało.

- Pamięta pani może, o czym rozmawiali?

Pani Keyes wyjrzała za okno sklepiku na maszerujący ulicą oddział żołnierzy. Zaciśnęła usta, jakby głęboko się zastanawiała.

- Hmm, niech no pomyślę...

Kolejna już gwinea zniknęła pod drobną dłonią pani Keyes.

- Trochę się kłócili o rozmiar sukni. Dziewczyna upierała się, że potrzebują większej, ale Afrykańczyk stwierdził, że ta będzie w sam raz. A potem powiedział coś bardzo dziwnego.

Staruszka zawiesiła głos w oczekiwaniu. Powstrzymując się, by nie westchnąć ze zniecierpliwienia, Kat wyjęła jeszcze jedną monetę.

Pani Keyes uśmiechnęła się, pokazując zaskakująco zdrowy garnitur zębów.

- Powiedział, że ta suknia idealnie nadaje się na ba w pawilonie w Brighton.

Chciałbym, żebyś pokręcił się trochę w pobliżu domu lady Quinlan -

poleciał Sebastian swemu forysiovi, gdy odstawili chevaliera de Varden na St. James's Street. - Spróbuj się dowiedzieć, co ta dama robiła w dniu śmierci Ginewry Anglessey.

- Myśli szef, że lady Quinlan ukatrupiła własną siostrę? - zapiszczał

zaskoczony Tom.

- Myślę, że chciałbym wiedzieć, co robiła w ostatnią środę.

- Dowiem się, spokojna głowa - obiecał chłopak. Sebastian odchrząknął.

- I tym razem postaraj się, żeby cię straż nie zwinęła, rozumiano?

- Ja nigdy... - zaczął Tom, gdy skręcili w Brook Street, lecz przerwał

i krzyknął: - Szefie! Niech szef patrzy. Czy to nie panienka Kat?

Stała na chodniku przed domem Sebastiana. W ręce trzymała fałdy swojej haftowanej sukni spacerowej i szykowała się, by wejść po schodach.

Kat nigdy nie odwiedzała go w domu. Mówiła, że to niewłaściwe, że nie powinni łączyć ich związku z życiem, które jej ukochany prowadził w Mayfair jako syn hrabiego Hendonu i brat lady Wilcox. Wiedziała, że doprowadzało go to do szału, ale nie należała do kobiet, na których męski gniew robił jakiegokolwiek wrażenie. Niezależnie jak gorąco zapewniał ją, że w nosie ma konwenanse, że ma tylko jedno życie i tylko jedno serce, Kat uparcie trzymała się na uboczu. Była tu tylko raz, lecz wtedy nieprzytomna i ranna.

Usłyszawszy nadjeżdżający powóz, odwróciła głowę, a brzeg kapelusza skrył jej twarz w cieniu.

- Zaprowadź konie do stajni - powiedział Sebastian, przekazując Tomowi lejce i zeskakując zwinnie z wysokiego siedzenia dwukółki. - O

co chodzi? Czy coś się stało? - spytał, ujmując Kat za ramiona, gdy się zbliżyła.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nic się nie stało. Odnalazłam sklep z używaną odzieżą, w którym kupiono zieloną atlasową suknię lady Addison.

Sebastian nie zamierzał pytać, jak pośród wszystkich handlarzy używanymi sukniami udało się jej znaleźć właściwego.

- A więc?

- Kobieta twierdzi, że sprzedała ją jakiemuś Afrykaninowi i wysokiej młodej dziewczynie o płowych, szklistych oczach.

Odnalezienie dziewczyny okazało się proste.

Według jednego z mężczyzn, którzy przeszukiwali jeszcze tłące się zgłiszcza „Norfolk Arms”, nazywała się Amelia Brennan. Najstarsza z ósemki rodzeństwa, mieszkała z matką i ojcem w rozpadającym się, pobielanym domku postawionym w niegdyś większym ogrodzie większego budynku przy Cock Lane. Wszystkie duże nieruchomości w okolicy dawno już rozparcelowano na mniejsze, a ich ogrody zniknęły pod labiryntem prowizorycznych bud i ruder. Wśród nich wiły się wąskie zaułki często całkiem zatarasowane parującymi stertami śmieci.

Kiedy Sebastian wjechał w uliczkę swoim eleganckim powozem, z domków natychmiast wysypały się obszarpane dzieci. Włosy miały potargane, a buzie i ręce oblepione ziemią jak świeżo wykopane ziemniaki.

Większość pewnie w życiu nie widziała lordowskiej karety ani tak dobrze wykarmionych, lśniących koni i stojących po bokach powozu upudrowanych służących w liberiach. A jeśli nawet widzieli, to z pewnością nie tu, nie na Ha'penny Court.

Wicehrabia czekał w powozie, podczas gdy jeden ze służących zeskoczył na ziemię i zastukał do wypaczonych drzwi Brennanów.

Ich dom, jak zauważył Sebastian, był bardziej zadbane niż te sąsiadów: brakujące okna zakryto pociągniętym farbą olejną pergaminem, nie szmatami, ganek zamieciono. Ślady postępującego zniszczenia zdradzał jednak rdzewiejący okap i chwiejąca się niepewnie na złamanym zawiasie okiennica.

Drzwi otworzyła kobieta kołysząca na rękach może dwuletniego malca. Zniszczona twarz i siwiejące włosy sprawiały, że wyglądała staro.

Patrząc jednak na wiek jej dzieci, wicehrabia wywnioskował, że mogła mieć zaledwie jakieś trzydzieści pięć lat. Gdy jej wzrok przesunął się po upudrowanych służących i okazałym powozie, Sebastian dostrzegł

wzbierające w oczach kobiety przerażenie. Rozchyliła usta, a dziecko przyciągnęła do siebie tak mocno, że aż zakwiliło w proteście.

Sebastian otworzył drzwiczki karety i przykładając do nosa perfumowaną chusteczkę, niespiesznie wysiadł.

- Pani córka Amelia jest zamieszana w morderstwo markizy Anglessey - oświadczył patrycjuszowskim, protekcyjnym tonem. - Jeśli zgodzi się współpracować, będę w stanie jej pomóc. Musi jednakże współpracować. Jeśli się nie zgodzi, źle się to dla niej skończy.

Potoczył znacząco wzrokiem po skromnym domostwie.

- Źle się skończy dla niej, dla pani i pozostałych dzieci.

- Och, mój panie! - wyrzuciła z siebie kobiecina, padając na kolana. -

Nasza Amelia to porządna dziewczyna, naprawdę. Robiła tylko, co jej kazano, jak dobra służąca, kiedy...

Wicehrabia jej przerwał:

- Jest w domu?

- Nie, mój panie. Jest...

- Zawołaj ją natychmiast.

W otwartych drzwiach pojawił się tłumek dzieci różnego wieku i wzrostu. Ich matka wybrała wzrokiem cherlawego chłopca - mógł mieć jedenaście, może dwanaście lat. Normalnie chłopak w tym wieku powinien być poza domem, pomagając utrzymać rodzinę. On jednak najwidoczniej, podobnie jak siostra, pracował w „Norfolk Arms”. Ta rodzina głęboko odczuje pożar z zeszłej nocy.

- Nathan - rzuciła kobieta - ruszaj. Piorunem! Sebastian patrzył, jak pędzący co sił chłopiec znika za rogiem, po czym zwrócił się z powrotem do kobiety.

- Chciałbym wejść i usiąść.

Pani Brennan z wysiłkiem podniosła się z kolan, z każdym gwałtownym oddechem jej pierś podskakiwała.

- Tak. Oczywiście, mój panie. Proszę wejść.

W domu panował idealny porządek - podłoga zamieciona, ściany wyszorowane do czysta. Pokoje były dwa, jeden nad drugim. Na piętro prowadziły strome schodki przy jednej ze ścian. Tam zapewne spały dzieci.

Najwyraźniej jak na tę okolicę Brennanom nieźle się powodziło.

Posiadanie dwóch pokoi było nie lada luksusem. W niektórych częściach Londynu rodziny spały po dwadzieścia, trzydzieści osób w jednej izbie.

Wcisnąwszy dziecko w ramiona może siedmioletniej dziewczynki, matka Amelii poprowadziła Sebastiana do ławy z wysokim oparciem.

Przed zajmującym niemal całą tylną ścianę kominkiem stał prosty stół na kozłach i ławki. W drugim rogu izby wicehrabia zobaczył skrzyniowe łóżko, a na nim, w mętym świetle, skulonego mężczyznę leżącego na boku z głową zwróconą do ściany.

- Będzie kilka miesięcy, jak pokieroszował nogę - odezwała się kobieta, podążając za wzrokiem Sebastiana. - Nogę i głowę. Tera nie da rady robić. Nawet chodzić nie może.

To by wyjaśniało zardzewiały okap i oberwaną okiennicę w niegdyś zadbanym domku - pomyślał wicehrabia. Bez głównego żywiciela rodzina stopniowo popadała w ubóstwo. Przez otwarte tylne drzwi widać było niewielkie podwórko z pralnią i ogromnym miedzianym kotłem do gotowania bielizny. Mężczyzna z „Norfolk Arms” wspomniał

Sebastianowi, że matka Amelii pracuje jako praczka. Kiedy niosła dzbanek piwa, wzrok wicehrabiego padł na jej popękane, obtarte do żywego mięsa ręce.

- Nasza Amelia to dobre dziecko, naprawdę dobre - powtórzyła pani Brennan, wycierając czerwone dłonie w fartuch. - Robiła tylko, co jej kazano.

- To znaczy? - Sebastian obracał dzbanek w rękach, ale nie zamierzał

próbować piwa. Nie po tym, co w tej dzielnicy spotkało Ginewrę Anglessey.

Pani Brennan odwróciła się, słysząc dochodzący z zewnątrz stukot chodaków. Jej napięta twarz wyrażała strach i tylko strach.

Amelia przystanęła na progu, wytrzeszczyła oczy i chwyciła się rękami framugi. Widząc arystokratę, zawróciła jak oparzona i rzuciła się do ucieczki. Ale za nią stał już Andrew - jeden ze służących w pasiastych liberiach, których zabrał ze sobą Sebastian. Mężczyzna dał krok do przodu i chwycił dziewczynę za ramiona.

- No już, już panienko - odezwał się całkiem łagodnie. - Jego lordowska mość życzy sobie z panienką mówić.

Amelio, proszę - odezwała się pani Brennan. Wyciągnęła rękę i przyciągnęła do siebie jedno z młodszych dzieci, jakby chciała w ten sposób ochronić je przed tym, co miało nastąpić. - Proszę.

Płowe, szkliste oczy Amelii napotkały ciemne, strapione spojrzenie matki. Dziewczyna zawahała się, by po chwili przykucnąć i rozpiąć paski u chodaków. Kiedy stanęła znów prosto, jej twarz była pozbawiona jakichkolwiek emocji.

Podeszła, wsunęła się na ławę na drugim końcu stołu. Do siostry przylgnęła czwórka młodszego rodzeństwa i wszyscy z poważnymi minami utkwili wzrok w Sebastianie - również dziewczynka z malcem na rękach, choć została dalej, przy ścianie. Jedynie Amelia wbiła spojrzenie w stół.

- Chciałbym, żebyś opowiedziała mi, co dokładnie wydarzyło się w

„Norfolk Arms” w zeszłą środę - powiedział do niej wicehrabia. - O

morderstwie już wiem. Potrzebuję jedynie, byś potwierdziła szczegóły.

Odgarnęła z twarzy swoje proste włosy. Choć spojrzenie miała spokojne, ręce jej się trzęsły. Wzięła głęboki oddech i przygryzła dolną wargę.

- Ja zem się dowiedziała, o co chodzi, jak już było po wszystkim -

zerknęła na Sebastiana i szybko odwróciła wzrok. - Przysięgam, że nie wiedziałam. Dużo gości było tego popołudnia, pracowałam na głównej sali. Potem pan Carter podchodzi do mnie i mówi, że mam mu pomóc kupić sukienkę dla... dla tej damy.

Wicehrabia czekał. Na jego twarzy malowała się odraza.

- Chciał mieć pewność, że kupi odpowiedni rozmiar - ciągnęła dziewczyna. - Powiedział, że jest wysoka tak jak ja, ale dla pewności kazał

mi się jej przyjrzeć.

- I poszłaś z nim na Long Acre? Przytaknęła.

- A ta zielona suknia, ja mu mówiłam, że jest za mała, ale on się uparł. Powiedział, że to idealna suknia... - urwała.

- ...dla damy na wizytę w pawilonie w Brighton? - dokończył za nią Sebastian.

Spuściła głowę, aż zobaczył krzywą białą linię przedziałka.

Zaciśnięte ręce spoczęły na zniszczonym blacie stołu.

- Upierał się, że będzie pasować, że przy tej damie to ja wyglądam jak beczka.

- A jednak okazało się, że miałaś rację, prawda? Suknia była za mała. Czy kazali ci również umyć ciało jaśnie pani i ubrać ją?

Amelia przeniosła wzrok na matkę. Pani Brennan zacisnęła usta, po czym ledwie zauważalnie skinęła głową. Dziewczyna wzięła kolejny drżący oddech.

- W naszej okolicy to mama głównie przygotowuje zwłoki do pogrzebu. Kiedy pan Carter i ja pojechaliśmy do sklepu, kazał ją przyprowadzić do tej damy.

Sebastian zerknął na kobietę stojącą tuż obok pustego kominka -

szczupłe ramiona miała przygarbione, ręce na piersi skrzyżowała tak mocno, jakby chciała połamać sobie żebra.

- Czy powiedział wam, co zamierzali zrobić z ciałem?

- Nie, ale słyszałyśmy ich rozmowę - odpowiedziała Amelia. - Stali po drugiej stronie pokoju i sprzeczali się, kiedy ja z mamą ubierałyśmy ją i sprzątałyśmy ten bajzel.

- Bajzel?

- W tym pokoju, gdzie zmarła.

- To znaczy gdzie?

Zdziwiona dziewczyna zmarszczyła czoło, jakby spodziewała się, że skoro wie tak wiele, to i to też powinien.

- W najlepszym salonie na piętrze. Wicehrabia odstawił nietknięty dzbanek z piwem i wstał.

- Opowiedz mi o naszyjniku. O srebrnym naszyjniku z szafirami.

Czy ta dama miała go na szyi, kiedy zobaczyłaś ją po raz pierwszy?

Zanim Amelia odpowiedziała, ponownie porozumiała się wzrokiem z matką.

- Nie, leżał na podłodze. Mama znalazła go, kiedy ją obmywała.

Zapięcie było lekko wygięte, ale udało mi się je wyprostować i założyłyśmy go z powrotem na szyję tej pani.

- A co zrobiłyście potem? Dziewczyna przełknęła ślinę.

- Zawinęłyśmy ją w kawał grubego płótna, a potem pan Carter i ja znieśliśmy ją tylnymi schodami i na boczną uliczkę. Tam czekał już wóz.

- Jaki wóz?

Amelia wzruszyła ramionami.

- Taki zwykły. Taki, jakich używają kupcy żelazni. W środku były ino worki z lodem i wielka skrzynia.

- Skrzynia?

- No tak. Taki cudaczny chiński kufer lakierowany na czarno z czerwono-żółtymi rysunkami smoków i drzew.

Sebastian uśmiechnął się pod nosem. Pamiętał tę skrzynię z Żółtej Komnaty w pawilonie. Widział ją, ale nie łączył ze sprawą. Księżę wciąż zamawiał do pawilonu całe transporty osobliwych dodatków. Kolejna chińska skrzynia nikogo by nie zastanowiła, a lód...

Lód mógł pochodzić z piwnic pubu. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Niska temperatura mogła opóźnić stężenie pośmiertne na tyle, by zabójcy Ginewry zdążyli przewieźć jej ciało do Brighton, włożyć do skrzyni i wnieść do pawilonu.

Jednak godziny w wozie zostawiły na skórze plamy pośmiertne, których charakterystyczny wzór odnalazł i bez problemu odczytał Paul Gibson. Ktokolwiek jednak zabił Ginewrę Anglessey i planował wmieszać w to morderstwo księcia regenta, nie znał się na tych znakach, nie wiedział, że ciało ofiary może go zdradzić.

- Kto jeszcze pojawił się tego popołudnia w pubie? - spytał

wicehrabia. - Pamiętasz?

Dziewczyna pokręciła głową, nie rozumiejąc, do czego zmierza.

- Ci, co zawsze. Główna sala była przepełniona.

- Nie chodzi mi o główną salę. Ciekawi mnie, czy ktoś jeszcze wchodził na górę.

- Tego nie wiem. Tak jak mówiłam, mieliśmy po łokcie roboty.

- Nie widziałaś przypadkiem młodego dżentelmena? Przystojnego szatyna o ciemnych oczach?

- Nie, mówię przecie, nikogo nie widziałam - zirytowała się. Wciąż jednak siedziała sztywno, jakby kij połknęła, a oczy miała jak spodki.

- W nocy kilka dni temu jacyś mężczyźni przywieźli do pubu ładunek - zaczął łagodniej Sebastian. - Jeden z nich wyglądał na dżentelmena - szczupły, z przydługą blond fryzurą. Wiesz, kto to?

- Nie.

Wicehrabia położył dłonie płasko na blacie stołu i wsparł się na nich niczym pewny swego sędzia, który za chwilę ogłosi wyrok.

- Kobieta, której morderstwo pomogłaś zatuszować, była markizą.

To markiza Anglessey. Wiedziałaś o tym?

Amelia spojrzała na niego, jej pierś podnosiła się i opadała z każdym przyspieszonym oddechem.

- Ale myśmy nic nie zrobiły! - Wskoczyła zza stołu i cofnęła się. -

My tylko robiłyśmy, co nam kazano.

- To wystarczy, byście zawisły. Ty i twoja matka. - Sebastian przetoczył wzrokiem po zbitych w grupkę, milczących dzieciach. - I co się wtedy stanie z nimi?

Kobieta przy pustym palenisku wydała z siebie przeraźliwy krzyk.

Sebastian nawet na nią nie spojrzał.

Dziewczyna zakryła ręką usta i zacisnęła powieki. Potem jej dłoń osunęła się, a oczy powoli otworzyły.

- Widziałam go w pubie kilka razy - powiedziała z rozpaczą, spoglądając w nieubłagane oczy wicehrabiego. - Ale nie wiem, jak się nazywa. Przysięgam na Boga, że nie wiem! Zazwyczaj przychodzi z jaśnie panem.

- Z jaśnie panem?

- Tego dnia byli tam obaj. Myślałam, że pan wie. To on przyjechał

wozem.

Sebastian przyjrzał się jej twarzy, szukając oznak fałszu.

- Jesteś pewna, że ten drugi był arystokratą? Energicznie pokiwała głową.

- Wysoki dżentelmen, rudy. Lord... nie mogę sobie przypomnieć. On się nazywał jak ten cement, co go używają na wielkich budowach.

- Portland?

- Tak. Właśnie ten, lord Portland.

Postanowiwszy porozmawiać z ministrem spraw zagranicznych, nim ten opuści Whitehall i uda się na bankiet regenta, Sebastian polecił

stangretowi jechać w stronę Westminster.

Cienie ledwie zaczęły się wydłużać, do wieczoru było jeszcze daleko. Pierwsi goście regenta zaczęli przybywać dopiero za kilka godzin.

Mimo to na ulicach już panował ścisk. Tłumy ciągnęły w stronę Carlton House w nadziei, że uda im się przynajmniej rzucić okiem na przebywającą na wygnaniu francuską rodzinę królewską i dwa tysiące arystokratów oraz arystokratek zaproszonych na - jak mówiono -

najwspanialsze, najbardziej ekstrawaganckie przyjęcie w historii europejskich monarchii. Kiedy powóz Sebastiana minął Tempie Bar i wjechał na Strand, konie niemal stanęły w miejscu. Szarpały niespokojnie łbami, a lekki powóz kołysał się mocno na boki w napierającym tłumie.

Sebastian otworzył drzwiczki.

- Spróbuj zawrócić i wracaj do domu - polecił stangretowi. - Ja szybciej dojdę pieszo.

- Tak jest, milordzie.

Wicehrabia zaczął przeciskać się przez tłum. Im bliżej Somerset House, tym większą ekscytację czuł wśród ciżby.

- Ponoć mają nas jutro wpuścić do środka, cobyśmy se popatrzyli! -

wrzasnął jakiś mężczyzna. - Wielkie pany piją i jedzą do syta, a my patrzeć jedynie możemy.

- Racja! Dobrze gada! - zawtórowała mu grupa stłoczonych wokół

niego kompanów.

Wicehrabia przeciskał się dalej świadom rzucających w jego kierunku posępnych spojrzeń. Żałował nienagannie skrojonego płaszcza z doskonałej granatowej tkaniny, opiętych skórzanych bryczesów i wypolerowanych na wysoki połysk wysokich butów, które niewątpliwie zdradzały jego pochodzenie. Księżcunio chciał tym bankietem uczcić początek swojej regencji, jednak błędnie ocenił swych poddanych. Ludzie byli źli, rozdrażnieni, na spoconych twarzach wokół Sebastiana malowała się gorycz. Jutro regent miał znów wyjechać z Londynu do Brighton.

Trudno o lepszy moment na dokonanie zamachu stanu - pomyślał

Sebastian.

Ktoś z przodu zaczął śpiewać:

W żadnym morzu na tym świecie Grubszej ryby nie znajdziecie...

Przez tłum przetoczyła się fala szyderczych gwizdów. Śpiewkę podchwyciło kolejnych kilka głosów:

Oceany zwierz wypija Cielskiem potężnym wywija...

- Ejże! Nie pchaj się pan! - warknął ktoś za plecami wicehrabiego.

Młody arystokrata zerknął za siebie. Ciemnowłosa mężczyzna o pobrużdżonej twarzy, otwartymi ustami i wysuniętą z determinacją szczęką przeciskał się przez tłum, nie spuszczając przy tym wzroku z Sebastiana.

Motłoch napierał coraz mocniej, młody St. Cyr czuł się osaczony.

Nieznajomy rzucił się gwałtownie do przodu ze sztyletem w garści.

Wicehrabia próbował zrobić unik w lewo, ale panował zbyt duży ścisk.

Stalowe ostrze przeszło przez płaszcz, kamizelkę i koszulę, sięgnęło skóry.

Wszystkie ryby - małe, duże, Widząc go czmychają nuże...

- śpiewała tłuszcza.

- Jasna cholera! - zaklął Sebastian, krawędzią dłoni uderzając mężczyznę w nadgarstek. - Zniszczyłeś mi kolejny płaszcz!

Napastnik krzyknął z bólu. Jego pięść odruchowo otworzyła się i nóż zniknął w kłębowisku nóg i tanich butów.

Złapał wicehrabiego za ramię. St. Cyr, popychając lewą dłonią prawą pięść, wbił łokieć w brzuch mężczyzny. Ten wytrzeszczył oczy i zgięty wpół wypuścił powietrze z zaciśniętych ust. Zatoczył się i wpadł na stojącego za nim czeladnika ciesielskiego w papierowej czapce.

- Ejże! Co, u diabła? - zaklął terminator, unosząc pięści.

Obracając się, Sebastian przeciągnął wzrokiem po morzu wrogich twarzy oświetlonych silnym złotym światłem gasnącego już dnia. W

głowie mu się kręciło od wszechogarniającego smrodu przypalanych słońcem kamieni i cegieł, spoconych ludzi i cuchnących oddechów. Nagle dostrzegł gładko ogolonego mężczyznę o ciemnych włosach i patrycjuszowskim nosie. Rozpoznał go - spotkali się już w zaułku koło

„Norfolk Arms”, skąd wicehrabia miał już nie wyjść żywy. W chwilę potem wzrok Sebastiana napotkał surowe spojrzenie innego człowieka -

wysokiego rudzielca, którego głowa górowała nad obdartym tłumem.

Hrabia Portland miał na sobie ciemny, skromny płaszcz człowieka, który nie chce zwracać na siebie uwagi. U jego boku Sebastian dostrzegł

znajomego korpulentnego jegomościa - Nathana Brennana z Ha'penny Court.

- Do kroćset! - mruknął pod nosem wicehrabia. Ilu ich jeszcze było?

Brzuchaty piekarz z siwiejącymi bokobrodami odchylił głowę i zaśpiewał:

Któż to taki? Jak się zwie? Czy to regent morski jest?

Sebastian rzucił wzrokiem w górę Strand. Nie miał szans przedrzeć się przez tłum. Zaczął więc torować sobie łokciami przejście w bok, w stronę wąskiej uliczki, której wylot dostrzegł po prawej tuż za piwiarnią.

Po rozmiarach jego sądząc, Po sylwetce słusznej wnosząc...

- śpiewał tłum, a głosy ludzi nabrzmiwały, bo zbliżali się do puenty.

Przecisnąwszy się między handlarzem ryb a żebrakiem, wicehrabia dotarł na róg. Boczne alejki skryte były w mroku, sklepiki pozamykane z obawy przed niespokojną cizbą. Nie oglądając się za siebie, Sebastian popędził w dół wąskiej uliczki.

Wzrok mnie mylić już nie może, Toż to wal! Walijski Księżę!

- huczały tysiące głosów.

Sebastian usłyszał za plecami krzyk, a w chwilę potem protesty ludzi, których popychano lub deptano im po butach. To ścigający wicehrabiego ludzie również torowali sobie łokciami drogę do wąskiej przecznicy.

Przed Sebastianem ciągnęła się brukowana uliczka. Zerknąwszy za siebie, biegiem skręcił w pierwszy zaułek po lewej. Za sobą słyszał już odgłosy biegnących stóp. Dał nura w kolejną przecznicę.

Liczył, że zgubi się w labiryncie uliczek między Bedford Street a St.

Martin's Lane. Nie znał jednak tej dzielnicy. Uchylił głowę przed kołyszącym się nisko szyldem zamkniętego na cztery spusty szynku, skręcił za róg i znalazł się w ślepym zaułku. Stare, pokryte sadzą kamienice z cegły wznosiły się na trzy piętra i wyżej. Był w pułapce.

Rozejrzał się spiesznie wokoło. Jego pierś chodziła przy każdym łapczywym wdechu. Na ulicę wychodziło kilka par drzwi, wszystkie jednak były zamknięte na kłódki. Pościg był blisko. Nie mógł się już cofnąć.

Wzrok wicehrabiego padł na łukowate wejście do kanału u jego stóp.

Żelazna krata studzienki była przerdzewiała i połamana, jej powyginane pręty sterczały na zewnątrz, tworząc szczelinę wystarczająco szeroką, by mógł się przez nią przecisnąć człowiek.

Słyszał opowieści o ludziach, którzy żyli z tego, co udało im się wygrzebać z labiryntów starych kanałów burzowych i ścieków biegnących pod ulicami Londynu. Nazywano ich szperaczami. Robota była niebezpieczna - korytarze w najmniej spodziewanej chwili mogła zalać woda, ulatniały się też trujące gazy. Czasem zapadnięte podłoże korytarza otwierało lej do starszego, biegnącego poniżej przejścia, a wyrwę pokrywała pozornie solidna warstwa mułu, skutecznie maskująca zdradzieckie miejsce.

- Tędy! - ktoś krzyknął.

- Do kata! - zaklął Sebastian.

Przykucnął w rynsztoku i zaczął przeciskać się przez kratę.

Zardzewiałe pręty raniły mu boki, a kiedy osuwał się do kanału, poczuł, że płaszcz zaczepił się na jednym z nich. Szarpnął go i słysząc dźwięk rwącego się materiału, ponownie zaklął.

Szukając po omacku żelaznych obręczy umocowanych w obmurowanym tunelu, zanurzył się w ciemność. Jakies sześć do ośmiu stóp niżej jego nogi zawisły nad próżnią. Puścił się i spadł ostatnie trzy, cztery stopy w cuchnącą warstwę błota i odchodów, rozpryskując je na wszystkie strony.

Ciężki, obrzydliwy smród gryzł go w nos, drażnił żołądek. Z trudem łapiąc oddech, zatrzymał się, zanim jego oczy przywykną do ciemności.

Nagle usłyszał dochodzący z ulicy głos:

- Gdzież on się, u diabła, podział? Sebastian znieruchomiał.

- Tam. - Poznał głos Portlanda. - Wszedł do kanału. Widzicie... -

Rozległ się głuchy brzęk metalu. - Podarł płaszcz. Rory, skocz po latarnie, ale migiem.

- Na rany Chrystusa - usłyszał szorstki męski głos. - Ja tam nie schodzę. Stamtąd nie wychodzi się żywym.

- Głupcze - sarknął Portland - jeśli go nie znajdziemy i nie powstrzymamy, będziemy martwi. A teraz ruszaj się!

Wicehrabia zaciskał zęby od niemożliwego smrodu, ale jego oczy zdążyły się już przyzwyczać do przyćmionego światła, wpadającego do kanału przez kraty umieszczone w znacznych odstępach. Znajdował się w murowanym przejściu sklepionym tak nisko, że musiał iść przygarbiony, by nie zahaczyć głową o łukowaty strop. Środkiem tunelu biegł niemrawy strumyk, zbyt wąski niestety, by zatrzeć ślady jego stóp. Jeżeli Portland i jego ludzie mają latarnie, z łatwością odnajdą kierunek, który obrał

Sebastian.

Nierówne, pokryte błotem cegły pod jego stopami stanowiły niepewne podłoże, Sebastian jednak starał się iść jak najszybciej. Podążył

z nurtem wody, mając nadzieję natknąć się na kolejny otwarty włącz, który wyprowadziłby go z powrotem na ulicę. Nie uszedł nawet stu kroków, gdy usłyszał za sobą plusk i męskie głosy, a po chwili zobaczył migotliwe światło. Rory znalazł latarnie o wiele szybciej, niż Sebastian się tego spodziewał.

- St. Cyr! - głos Portlanda poniósł się echem. - St. Cyr! Wiem, że mnie słyszysz.

Sebastian zamarł i nasłuchiwał.

- Daleko nie zajdziesz. Nie bez latarni. Wkrótce się ściemni. Czy tego chcesz? Zdechnąć w ścieku jak szczur? I w imię czego? Jakiegoś pomyłonego króla i jego nadętego, błaznowatego synalka?

Zapadła cisza przerywana jedynie kapaniem wody i tupotem niewidocznych szczurzych łap.

Po chwili głos ministra rozbrzmiał ponownie:

- Dobrze wiesz, St. Cyr, że postępujemy słusznie. Sam widziałeś, co działo się tam na górze. Angielski lud ma dosyć. Jest rozgoryczony i wściekły. Jeśli nie wkroczymy teraz, wkrótce ludzie sami obalą monarchię.

Tylko że wtedy nie pozbędą się jedynie tego króla czy tego regenta.

To będzie koniec nas wszystkich jak we Francji. Czy tego chcesz? Patrząc, jak Anglia zmienia się w

republikę? Chcesz gilotyny na Charing Cross i nagonki na wszystkich arystokratów bez wyjątku? Na każdego mężczyznę, każdą kobietę, dzieci?

Wicehrabia czuł wilgotny chłód tego miejsca powoli oplatający go lodowatym uściskiem. Spojrzał w górę na nierówne sklepienie i starał się nie myśleć o miazdzącym ciężarze spoczywających nad jego głową ton ziemi.

- Dołącz do nas - mówił Portland. - Chcesz tego, co my. Silnej Anglii, silnej monarchii. To jest w zasięgu ręki. Wystarczy jedynie kilku bezinteresownych, zdecydowanych ludzi w odpowiednich miejscach. Jutro regent wyjeżdża do Brighton. Bez problemu przejmemy kontrolę podczas jego nieobecności. Opowiemy się za Anną Sabaudzką i jej mężem i postawimy świat przed faktem dokonanym. Co może zrobić Księżciunio?

Ruszy na Londyn? Żaden regiment go nie posłucha. To będzie Bezkrwawa Rewolucja 1811. Dołącz do nas, St. Cyr. Razem stworzymy historię.

Minister spraw zagranicznych zamilkł.

- Tam! - ciemność przeciął szorstki męski głos. - Widzisz te ślady?

Poszedł w stronę rzeki.

Sebastian, nie zważając już na hałas, rzucił się przed siebie. Biegł, rozchlapując wodę, buty ślizgały się w błocie, głowa obijała o ceglane sklepienie. Słyszał za sobą Portugalskiego i jego ludzi, słabe światło ich latarni odbijało się od przesiąkniętych wilgocią ścian tunelu.

Pokonawszy szeroki zakręt, po prawej stronie natrafił na inny tunel prowadzący w górę. Kanał był wyższy i szerszy niż ten, lecz kiedy wicehrabia wahał się chwilę przy rozwidleniu, poczuł, że powietrze w szerszym tunelu wisi martwo w ciemnościach, podczas gdy w przejściu biegnącym w dół panował lekki przewiew.

Postanowił pójść za ruchem powietrza.

Zanim jednak opuścił rozwidlenie, Sebastian zszedł z boku tunelu w sam środek wolno płynącego strumyka. Tu woda była głębsza. Ukryje ślady, zamaskuje wybór drogi.

Smrodliwa ciecz kłębiła się wokół jego butów, spowalniając kroki. Z

minuty na minutę jej poziom był coraz wyższy. Nie śmiał poruszać się zbyt szybko - najcichszy dźwięk zdradziłby, który obrał kierunek.

Przeszedł kolejne osiemdziesiąt, sto kroków, gdy światła za nim przestały migać, a odgłosy rozchlapywanej wody i szuranie ucichły.

Natychmiast zatrzymał się i znieruchomiał. W uszach słyszał swój własny świszczący, przyspieszony oddech. Słyszał go tak wyraźnie, że zaczął się zastanawiać, czy ten odgłos nie zwróci uwagi Portugalskiego i jego ludzi.

- Niech to szlag! - wrzasnął minister. - Którędy on polazł?

Żeby nie czuć narastającego smrodu, Sebastian oddychał przez usta.

Obok jego nóg przepłynął rozdęty zdechły pies. Rozejrzawszy się po wilgotnym, ciasnym kanale, wicehrabia zdał sobie sprawę z wpatrzonych w niego dziesiątek oczu, migających w ciemnościach punkcików światła.

Jeszcze więcej szcurów - pomyślał - całe zastępy.

- Musimy się rozdzielić - usłyszał głos Portlanda. - Bedlow, ty i Hank pójdziecie dalej prosto. Rory, pójdiesz ze mną.

Znów rozległy się odgłosy chlapania i Sebastian ostrożnie ruszył

przed siebie. Musiał iść o wiele ciszej niż wcześniej, żeby dwaj podążający za nim mężczyźni nie usłyszeli go i nie zawołali pozostałych.

Tunel, w miarę jak schodził w dół ku rzece, był coraz szerszy i wyższy. Wicehrabia mógł wreszcie iść wyprostowany, niestety cuchnąca ciecz zaczynała wlewać mu się do wysokich butów.

Przed sobą usłyszał szum spadającej wody. Chłodny wietrzyk przywiał w jego stronę nowy zapach, słoną woń rzeki przemieszaną z gryzącym odorem siarki i zgnilizny. Pokonawszy kolejny zakręt, wicehrabia daleko przed sobą dojrzał, że tunel przechodzi w znacznie szerszy korytarz z płaskim podłożem. Ten kanał wyglądał na stary, prawdopodobnie pochodził jeszcze z czasów średniowiecza i obudowano go kamieniem, nie cegłą. Pośrodku ział lej, do którego woda mknęła tak wartkim strumieniem, że w powietrzu unosiła się delikatna mgiełka. Tuż przed połączeniem ze starszym korytarzem tunel przechodził w szeroki basen, lecz ścieki płynęły jedynie jego środkiem, bo brzegi oblepiała gruba warstwa błota. Znalazłszy w murze płytką wnękę, Sebastian skrył się w jej cieniu, wyjął z buta sztylet i czekał na tropiących go mężczyzn.

Nie trwało to długo. Pierwszy minął go dzentelmen o patrycjuszowskim nosie, którego wicehrabia pamiętał ze Smithfield.

Portland mówił do niego Bedlow. W wystawionej daleko przed siebie ręce niósł latarnię, która kołysała się i światło jak pijane tańczyło po łukowatych ścianach tunelu. Sebastian ani drgnął, pozwalając, by pierwszy mężczyzna go minął.

W dłoni ścisnął gładką, twardą rękojeść noża. Chłód otaczającej go wilgotnej ziemi przenikał przez nasiąknięte potem ubranie. Wicehrabia odczekał, aż drugi mężczyzna - ciemnowłosy, pobrużdżony na twarzy napastnik ze Strand - zrobi jeden, dwa kroki za wnękę.

Mężczyzna poruszał się niezdarnie. Odgłosy jego butów ślizgających się po zabłoconej, nierównej powierzchni zagłuszyły ledwie słyszalny szelest, gdy Sebastian opuścił swoją kryjówkę.


Rzucił się od tyłu na spiskowca, lewą ręką zakrył mu usta i szybkim, pewnym ruchem, poderznął gardło.

Śmierć przyszła w jednej chwili i cicho. Równie bezszelestnie wicehrabia opuścił martwe ciało na błotniste podłoże u swoich stóp.

Niestety coś w kieszeni trupa uderzyło o kamień wystarczająco głośno, by odwrócił się pierwszy mężczyzna, Bedlow.

- O mój Boże! - krzyknął. Zamachnął się latarnią jak bronią i ruszył na Sebastiana.

Wicehrabia pochylił się, robiąc unik. Poślizgnął się, musiał przykłęknąć i nóż wypadł mu z ręki. Bedlow, wciąż ściskając latarnię w dłoni, natarł ponownie. Sebastian przykucnął, przechylił się w tył i wykorzystując zamach napastnika, przerzucił go przez ramię. Bedlow spadł w sam środek mętnego basenu.



Latarnia poszybowała w górę, z pluskiem spadła do wody i zgasła.

Tunel pogrzyżył się w ciemnościach. Gęste błoto zabulgotało, łapczywie wciągając Bedlowa.

- Pomocy! - Mężczyzna miotał się, tonąc coraz głębiej w mule. - Na litość boską, pomóż mi!

Sebastian zawahał się. Zrobił nawet bezmyślny krok z cegieł w zdradliwe błoto, lecz mężczyzna był zbyt daleko. Nawet gdyby wicehrabia położył się płasko na grząskim mule, jego wyciągnięte ramiona i tak nie dosięgłyby machającego rękami nieszczęśnika. Gdy niepewne podłoże poruszyło mu się pod stopami, Sebastian odskoczył.

Z głębi tunelu usłyszał krzyki i dojrzał światło latarni. Portland.

- Przestań się szamotać! - zawołał Sebastian, choć wiedział, że tonący już nie słuchał i nie myślał. Błoto zdążyło wciągnąć go po szyję. W

panice na przemian wrzeszczał i rozpaczliwie zawodził.

Wicehrabia rzucił się do ucieczki.

Światło sączące się z okratowania w górze słabło wraz z nadchodzącym zmierzchem. Sebastian zdał sobie sprawę, że niedługo zapadnie noc, a wraz z nią przyjdzie przyptyw i podniesie się poziom wody w Tamizie.

Dotarłszy do głównego kanału, wicehrabia skręcił w lewo, by oddalić się od rzeki. Tutaj woda była już na tyle głęboka, a nurt tak wartki, że mógłby porwać człowieka. Sebastian trzymał się wąskiego podwyższonego chodnika biegnącego wzdłuż koryta ścieku. Podłoże było jednak zdradliwe. Kruszące, popękane kamienie zmusiły go, by zwolnił

tempo. Wkrótce zobaczył za sobą błysk światła i jego uszu dobiegł

rozwścieczony głos Portlanda.

- Zostaw go! Już mu nie pomożesz. Już po nim. Sebastian brnął

dalej.

W pewnej chwili zobaczył prowadzący na górę szeroki szyb z solidną, żelazną drabiną przyśrubowaną do wilgotnego kamiennego muru.

Zaryzykował i wspiął się po niej, ale krata blokująca wyjście była nie do ruszenia. Świadomy upływu cennych sekund zeskoczył z powrotem do kanału i biegł dalej.

Przemierzywszy jakieś ćwierć mili, natrafił na miejsce, gdzie boczny korytarz zawalił się do głównego tunelu, zasypując go stertą cuchnącego ekskrementami gruzu. Woda tryskała nad tą tamą jak wodospad. Gdy wicehrabia wdrapał się na szczyt rumowiska, zobaczył po drugiej stronie prawdziwe podziemne jezioro. Murowane kładki po obydwu stronach szerokiego koryta przykryte były wodą.

- Jasna cholera!

Na tamie roiło się od szczurów, które, piszcząc, walczyły o coś leżącego u stóp wicehrabiego. Schyliwszy się po gruby kij, natrafił

wzrokiem na blade ciało noworodka leżące wśród zdechłych kotów i psów, połamanych krzesel oraz brudnych, poskręcanych łachmanów. Sebastian szybko się wyprostował - w tym miejscu wystarczało schylić głowę, a smród stawał się nie do zniesienia.

Ostrożnie stawiając nogi w niemal całkowitej ciemności, Sebastian opuścił się do lodowatej, mętnej wody po drugiej stronie tamy. Jego fular nie był już biały, ale i tak zerwał go z szyi i zapiął swój ciemny płaszcz na wszystkie guziki, by ukryć mogący go zdradzić połysk jedwabnej kamizelki. Z obrzydzeniem zgarnął z tamy garść błota, by dokładnie wysmarować nim twarz, po czym przyczaił się, ściskając w dłoniach kij.

Światło latarni było coraz bliższe.

- O Boże - usłyszał zduszony z obrzydzenia męski głos - szczury. I popatrz, co jedzą.

- Dalej! - warknął Portland. - Daj mi latarnię.

Teraz Sebastian go zobaczył. Rozkołysane światło poobijanej cynowej latarni tańczyło na sklepieniu tunelu, gdy minister wspinał się po gruzie. Zgubił gdzieś kapelusz, płaszcz miał podarty i cały oklejony błotem. Z rany na głowie po policzku płynęła krew. Dotarł na szczyt tamy i podniósł latarnię.

- Rany boskie, toż to jezioro! - wykrzyknął drugi mężczyzna, stając obok ministra. - Nie uda nam się przejść.

- St. Cyrowi najwyraźniej się udało, Rory.

- Skąd wiesz? On utonął.

- Nie utonął.

Ustawivszy latarnię na kamiennym występie, Portland wszedł do jeziora. Woda, wirując, pochłonęła jego buty, oplotła uda, potem biodra.

Uniósł ręce wysoko nad czarną taflę i Sebastian dostrzegł wciśnięty za pasek pistolet.

Schowany za stertą śmieci wicehrabia zanurzył się jeszcze głębiej i pozwolił mu przejść.

Drugi mężczyzna po chwili wahania ruszył za nim. Odwracał się właśnie po latarnię, gdy Sebastian jak widmo wyrósł z wody, ściskając w dłoniach kij.

Rory wytrzeszczył oczy, otworzył usta i wydał z siebie przenikliwy wrzask. Wicehrabia wziął zamach i z całej siły zdzielił go po nogach.

W mrocznych podziemiach rozniósł się echem trzask pękającej kości. Mężczyzna wrzasnął z bólu i runął do wody. Sebastian wymierzył

kolejny cios, roztrzaskując kij na głowie Rory'ego.

Portland odwrócił się i ruszył ciężko przez sięgającą mu po pas wodę.

- St. Cyr!

Minister nie zwrócił nawet uwagi na to, że ciało jego towarzysza unosi się na wodzie między nimi. Skoczył do przodu i natrafiwszy na płytsze miejsce, z drwiną na twarzy szybkim ruchem wyciągnął zza pasa pistolet. Pewnym ruchem wymierzył prosto w pierś Sebastiana.

- Przegrałeś, mój drogi - powiedział i pociągnął za spust.

Sebastian usłyszał jednak tylko szczęk mechanizmu.

- Proch nie lubi wody - zauważył z uśmiechem.

- Ty sukinsynu!

Nozdrza Portlanda rozszerzyły się, a usta zacisnęły w wąską, zaciętą linię. Złapał pistolet za lufę, uniósł go nad głowę jak pałkę i rzucił się na wicehrabiego.

Ten, uskakując w bok, poczuł, że pokryty szlamem kamień rusza mu się pod stopami. Stracił równowagę i tylko dzięki swej przytomności zdążył wziąć haust powietrza, zanim tafla wody zamknęła się nad jego głową.

Walcząc z niepewnym gruntem pod nogami, wicehrabia wynurzył

się w końcu tuż przed Portlandem. Minister podniósł pistolet, chcąc ponownie opuścić go na głowę Sebastiana. Lufa metalicznie połyskiwała w słabym świetle latarni, ciemna, wypolerowana drewniana rączka ociekała wodą.

Wicehrabia, który nadal trzymał w zaciśniętej ręce strzaskany kij, użył go teraz jak sztyletu i zatopił głęboko w trzewiach Portlanda, gdy ten rzucił się do ataku.

Minister otworzył nienaturalnie szeroko oczy, z jego gardła wydobył

się stłumiony krzyk. Sebastian zrobił szybki krok w tył.

Pod Portlandem ugięły się nogi, a głowa momentalnie zniknęła pod mętną wodą. Porwał go prąd tak silny, że Sebastian musiał zanurkować, by wyłowić ministra.

Wcisnąwszy mu ręce w kieszenie płaszcza, wyciągnął mężczyznę z wody i zawlókł na stertę gruzu.

- Dlaczego Ginewra Anglessey? - spytał. Z trudem łapiąc powietrze, zwałił się na ziemię obok ministra. - Dlaczego musiała umrzeć?

Portland miał otwarte oczy, walczył o każdy oddech.

- Varden zachował się lekkomyślnie - odpowiedział zachrypniętym szeptem. - Pozwolił jej znaleźć list...

Woda spływała Sebastianowi po policzkach, lała mu się do oczu.

Otarł twarz mokrym rękawem.

- Jaki list?

- List z Sabaudii. Varden... zaklinał się, że ona nikomu nie powie, ale nie mogliśmy ryzykować.

- Więc zwabiłeś ją do „Norfolk Arms” i zabiłeś?

- Nie, to nie ja - pokręcił głową minister i złapał go napad kaszlu. -

Carter miał problem z pozbyciem się zwłok z pubu. To ja wpadłem na pomysł, by wykorzystać jej śmierć... - twarz wykrzywił mu grymas bólu - i oczernić księcia. I podziałało. Dopóki ty się nie wtrąciłeś.

- A więc to Carter ją zabił? Powieki Portlanda zamknęły się.

Wicehrabia chwycił go za ramiona i potrząsnął. - Do kata! Kto ją zabił?

Dolna szczęka ministra opadła. Sebastian przyłożył palce do jego szyi - puls miał słaby, ale żył. Zresztą z raną brzucha człowiek może przeżyć kilka godzin, nawet dni.

Przykucnąwszy, wicehrabia wpatrywał się leżącego przed nim mężczyznę. Gdyby sam próbował wyciągnąć Portlanda z kanału, niechybnie by go zabił.

Wsunąwszy ręce pod ramiona ministra, wciągnął bezwładne ciało na sam szczyt rumowiska, gdzie - miał nadzieję - przyływ go nie dosięgnie.

Zostawił mu też latarnię na wypadek, gdyby Portland odzyskał

przytomność.

Potem wyszedł z podziemi tą samą drogą, którą się tam dostał.

Minęła godzina, może więcej, zanim Sebastian wraz z grupą konstabli dotarł z powrotem do starego, kamiennego kanału. Światła ich latarni odbijały się upiornie od ciemnych ścian i wysokiego, łukowatego sklepienia. Kiedy jednak dotarli do rumowiska, ministra już tam nie było.

Wicehrabia wdrapał się na sam szczyt tamy i potoczył wzrokiem po czarnej niczym smoła wodzie. Od razu dostrzegł tuż przy gruzach ciało tego mężczyzny, któremu rozbił głowę, Rory'ego. Portlanda zobaczył

dopiero po chwili. Jego zwłoki unosiły się twarzą do dna na samym środku podziemnego jeziora.

- Nie rozumiem - powiedział główny konstabl, stając za Sebastianem. - Kamienie na górze nie są mokre. Woda nie mogła podnieść się aż tak wysoko i zmyć go do jeziora. Co tu się stało?

Sebastian spojrział w dół na prowadzącą do brzegu jeziora smugę krwi, ale nic nie powiedział.

Kulejąc, wicehrabia przemierzył marmurową czarno-białą posadzkę swojego holu. Przy każdym kroku z butów tryskała mu cuchnąca rynsztokiem woda. Nie miał ani fularu, ani kapelusza, a bryczesy i płaszcz były podarte i usmarowane śmierdzącą mazią. Ten widok z pewnością przyprawiłby jego garderobianego o atak apopleksji.

Nie chcąc się zanadto zbliżyć, Morey został przy drzwiach.

- Natychmiast przyślij mi tu Sedlowa - nakazał Sebastian, kierując się do schodów.

- Muszę z przykrością donieść, milordzie, iż dzisiejszego popołudnia Sedlow zrezygnował z posady - oświadczył majordomus drewnianym głosem.

Wicehrabia przystanął i roześmiał się.

- Cały Sedlow! W takim razie przyślij któregoś z lokajów.

Potrzebuję gorącej kąpieli. Natychmiast.

- Tak jest, milordzie - Morey skłonił się wytwornie i oddalił.

Po kąpieli Sebastian wcierał właśnie w skaleczenia i otarcia obfite ilości ziołowej maści od aptekarza, kiedy do drzwi garderoby zapukał

Tom.

- Dowiedziałem się nieco o tej lady Quinlan - powiedział chłopiec, spoglądając na lokaja ze zdziwioną miną.

- Tak? - odparł Sebastian, nie odwracając się.

- W przeszłą środę urządziła w domu pokaz naukowy. Przyszedł

jakiś nawiedzony z całą masą szklanych rurek pełnych cieczy w dziwnych kolorach, które się pieniły i dymiły. Pokojówka była pewna, że przez ten

cały hokus-pokus wszystko wyleci w powietrze. Jej pani całe popołudnie spędziła w domu. Nawet pomagała mieszać mikstury.

Chłopak przerwał i zmarszczył nos.

- Co tak śmierdzi?

- Ścieki - wyjaśnił krótko wicehrabia, wciągając przez głowę elegancką koszulę.

Tom przyjął tę odpowiedź bez komentarza.

- Nie wygląda szef na zdziwionego - zauważył z nutką rozczarowania w głosie.

- Nie jestem. Wiem już, kto zabił Ginewrę Anglessey.

Kiedy Sebastian przybył na Curzon Street, rezydencja Audley House pogrążona była w ciszy i mroku. Ubrany w eleganckie spodnie i wieczorowy frak z długim ogonem, wszedł po niskich schodkach do drzwi wejściowych - jak się okazało, otwartych. Chwilę stał nieruchomo wsłuchany w martwą ciszę. Potem pchnął masywne drzwi i wszedł do środka.

Z ciemnego holu podążył za słabym, migoczącym w głębi domu blaskiem świecy. Światło pochodziło z biblioteki, gdzie w kandelabrze stojącym na kominku paliło się kilka świec. Obok plecami do drzwi chevalier de Varden porządkował papiery na biurku.

- Wygląda na to, że pańska służba zniknęła - powiedział Sebastian, opierając się o framugę drzwi.

Na dźwięk głosu młodzieniec niemal podskoczył. Odwrócił się jak oparzony z bladą, napiętą twarzą.

- Matka odprawiła wszystkich dziś po południu.

- Wyjeżdża pan?

Varden odwrócił się z powrotem do biurka.

- Owszem.

- Hrabia Portland nie żyje.

- I dobrze - burknął młodzieniec, wrzucając papiery do leżącej na stole otwartej torby.

Sebastian przeszedł od drzwi w głąb pokoju.

- On jej nie zabił.

- Wiem.

Wicehrabia spojrzał na płomienie świec odbijające się w lustrze nad kominkiem.

- Co może mi pan powiedzieć o liście z Sabaudii?

- Co lord już wie?

- O planie pozbycia się regenta? Niewiele. W tej chwili interesuje mnie jedynie, co przytrafiło się Ginewrze Anglessey. Jak trafił do niej ten list?

Przez moment myślał, że Varden nie zamierza odpowiedzieć. Potem jednak młody człowiek powoli odwrócił się od biurka. Głęboki wdech uniósł jego pierś, a dłonie powędrowały do twarzy i przywarły płasko do policzków.

- W sobotę przed jej śmiercią spotkaliśmy się w gospodzie niedaleko Richmond.

- Rozumiem.

Varden przeciągnął dłońmi w dół po policzkach i pozwolił im opaść.

- Wiem, co pan myśli, ale to nie było tak. Kiedy zaszła w ciążę, spotykaliśmy się jedynie jako przyjaciele. Chciała być lojalna wobec Anglesseya i dlatego uważała, że inne stosunki nie wchodzą w grę.

Spędziliśmy tę sobotę, przechadzając się po parku, a potem zamówiliśmy herbatę w prywatnym saloniku miejscowej gospody. Poprzedniej nocy do późna bawiłem poza domem, dlatego świeże powietrze i ruch sprawiły, że przysnąłem w fotelu. Płaszcz po prostu rzuciłem na krzesło. - Kąciki ust młodzieńca uniosły się, lecz prawie natychmiast opadły. - Gini zawsze lubiła porządek. Podniosła mój płaszcz, chcąc go powiesić jak należy. A wtedy list zwyczajnie wypadł z kieszeni.

- Przeczytała go?

- Tak, ale to było zupełnie do niej niepodobne. Myślę, że sprawy, którymi się ostatnio zajmowałem, musiały wzbudzić jej podejrzenia. Kiedy zobaczyła pieczęć Sabaudów, cóż, po prostu nie mogła się powstrzymać.

- Zapytała pana o ten list? Varden przytaknął.

- Kiedy się obudziłem.

Podszedł do stojącego w bibliotece długiego stołu i jedną ręką zaczął

bawić się rozrzuconymi na lśniącym blacie książkami.

- Myśl o tym, co planowaliśmy zrobić, przeraziła ją. Nadal tego nie pojmuję. Odkąd pamiętam, dynastię hanowerską darzyła jedynie pogardą.

Rodzinną legendą mówiła nawet, jakoby praprababka Ginewry była kiedyś kochanicą króla Jakuba II. Mimo to w kółko powtarzała tylko o nieszczęściu, jakie wojna sprowadzi na ludzi, no i jakie to niebezpieczeństwo dla mnie, rzecz jasna. Próbowałem ją przekonać, że jedynie pozbycie się regenta może ocalić Anglię, ustrzec ją przed krwawą rewolucją jak we Francji.

- Nie wierzyła w to?

- Nie. - Wypuścił powietrze z tak przeciągłym westchnieniem, jakby przez wieczność wstrzymywał oddech. - Nigdy nie zapomnę, jak na mnie wtedy spojrzała. Jak na obcego. Jakby widziała mnie pierwszy raz w życiu.

- Dlaczego wzięła ten list? - zapytał Sebastian łagodnym tonem.

- Nie sędzę, żeby miała taki zamiar. Podczas kłótni odrzuciła go od siebie, jakby to było coś plugawego, czego brzydziła się nawet dotknąć.

Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to że musiał wpaść w fałdy jej peleryny. Nie włożyła jej, gdy wychodziliśmy, po prostu chwyciła i wybiegła. Dopiero gdy zostałem sam, zdałem sobie sprawę, że list zniknął.

- Nie pomyślał pan chyba, że mogłaby pana zdradzić?

- Nie, ale kiedy próbowałem się z nią skontaktować, odmówiła spotkania. Musiałem zaczepić ją na ulicy pewnego poranka, gdy wybierała się na przejażdżkę do parku. Przysięgła, że zniszczyła list, jak tylko się zorientowała, że niechcący go wzięła. - Przerwał i głośno przełknął ślinę. -

A potem powiedziała, że nie chce mnie nigdy więcej widzieć.

Wicehrabia przyglądał się napiętym rysom twarzy młodzieńca.

- Lecz kiedy powiedział pan matce, że list został zniszczony, nie uwierzyła, prawda?

Ból wykrzywił mu twarz. - Nie.

- Wtedy napisała Ginewrze liścik pańskim charakterem pisma, prosząc, by przyniosła list do Smithfield. Tylko że Ginewra nie przyniosła listu. Nie mogła, bo naprawdę go zniszczyła. Ale pańska matka i tak ją zabiła.

- Tak - przyznał Varden urywanym szeptem. - Powiedziała, że nie mogła zostawić jej przy życiu. Nie po tym, czego Ginewra się dowiedziała.

- Kiedy odkrył pan prawdę?

- Dziś po południu, kiedy zobaczyłem liścik i powiedział mi lord o naszyjniku. Wróciłem do domu i zażądałem wyjaśnień. Nie próbowała nawet zaprzeczać. Powiedziała, że zrobiła to dla mnie. - Głos mu zadrżał. -

Mój Boże, zrobiła to dla mnie!

- Czy pański ojciec był spokrewniony z dynastią sabaudzką?

Varden odwrócił gwałtownie głowę i spojrzał na Sebastiana przez przymrużone oczy.

- Tak, ale nie ze Stuartami. Skąd lord to wie?

- Sam pan kiedyś napomknął o zubożałych krewnych królewskiego rodu. Co panu obiecali w zamian za pomoc? Bogatą żonę?

Wydatne kości policzkowe młodzieńca oblały się delikatnym rumieńcem.

- Owszem.

- Nic dziwnego, że Ginewra nie chciała pana znać.

- A co, u diabła, miałem począć?! - jęknął Varden. - Spędzić resztę życia w ubóstwie, czekając, aż Anglessey umrze? Ten człowiek może żyć jeszcze dwadzieścia, trzydzieści lat.

- Lub umrzeć przed końcem lata.

Młody człowiek odrzucił głowę do tyłu jak spoliczkowany.

- Nigdy mi o tym nie wspominała, dopiero pan... - Roześmiał się jak wariat. - Wie pan, co mi powiedziała, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni?

Że cieszy się, iż ojciec nie pozwolił jej na ślub ze mną. Powiedziała...

powiedziała, że kochała mnie przez całe życie, ale teraz zdała sobie sprawę, że chłopiec, którego darzyła uczuciem, wyrósł na mężczyznę, który nawet do pięt nie dorasta jej mężowi.

Zapadła gęsta i złowieszcza cisza.

- A pańska matka - zapytał po chwili Sebastian - gdzie jest teraz?

- Na górze.

Wicehrabia ruszył do drzwi, ale zatrzymał się i jeszcze raz rzucił

okiem na stojącego przy biurku mężczyznę zaciskającego dłonie na pasku torby.

- A co do spisku przeciw księciu, kto jeszcze oprócz Portlanda był w to zamieszany?

- Nie wiem. Tylko Portland miał w ręku wszystkie nitki. Reszta spiskowców znała najwyżej kilku najbliższych towarzyszy.

Sebastian skinął głową. To brzmiało przekonująco - ludzie na wysokich stanowiskach potrafili dać wiele, by ukryć mniejszy sekret, co dopiero zdradę.

- Jakie ma pan zamiary? Varden wzruszył ramionami.

- Pojadę na Kontynent.

- Do Sabaudii?

- Być może. A może do Francji. Pojednam się z Napoleonem. -

Spojrzał na wicehrabiego świdrującym wzrokiem spod ciemnych, grubych brwi. - Nie czuje się pan w obowiązku próbować mnie zatrzymać?

- Nie, ale inni z pewnością nie podzielą mego zdania. - Sebastian ruszył z powrotem w stronę drzwi.

- Radzę nie ociągać się z wyjazdem.

Damy nigdy nie kładły się do łóżka w ciągu dnia. Na wypadek zawrotów głowy i na czas popołudniowej sjesty kobiety z wyższych sfer miały niewielkie sofy w swoich garderobach.

Tam też Sebastian odnalazł lady Audley pólżącą na obitej zielonym aksamitem kanapie w stylu greckim. Miała na sobie czarną jedwabną suknię wieczorową, bogato haftowaną i wykończoną francuską koronką z Chantilly. Włosy rozrzucone na poduszce okalały jej twarz niczym jasny płomień. Oddech już zwolnił, policzki miała blade. Na dywanie obok sofy leżała, zawodząc cichutko, jej suka collie, Cloe...

- Co pani wzięła? - spytał wicehrabia, zatrzymując się w progu. -

Cyjanek?

Popatrzyła na niego, z trudem utrzymując powieki otwarte.

- Nie. Opiaty. Po prostu zasnę i już się nie obudzę.

- To o wiele łagodniejsza śmierć niż ta, którą zgotowała pani Ginewrze.

- Dla Ginewry potrzebowałam czegoś, co zadziałałoby szybko.

Wszedł do pokoju. Collie podniosła się i przydreptała do niego, węsząc. Przykucnął i pogładził jej miękką sierść.

- Skąd pan wiedział, że to ja? - zapytała lady Audley. - To przez ten naszyjnik, prawda?

- Przez naszyjnik i liścik.

I pewność, że gdyby to Claire była zabójczynią, Portland wzięłby odpowiedzialność na siebie - dodał w myślach Sebastian.

- Liścik. - Isolde poruszyła niespokojnie głową na poduszce. - Tego nie przewidziałam. Jaka kobieta trzyma listy od kochanka?

- Mimo to po jej śmierci posłała pani kogoś do jej pokojów, aby odnalazł ten liścik.

- Nie, ten ktoś szukał listu od Sabaudów.

- Który akurat zniszczyła.

Skomląc, collie powróciła do swej pani. Lady Audley wyciągnęła rękę i położyła ją na psim karku.

- Varden zapytał mnie wprost. Po rozmowie z panem. Liściku mogłam się wyprzeć, ale nie naszyjnika. - Jej cichy śmiech zabrzmiał

łagodnym smutkiem. - Cóż za ironia, miał przynosić właścicielce długie życie, zamiast tego przyniósł śmierć.

Wicehrabia wstał z dywanu.

- Ale przecież on nie był przeznaczony dla pani, prawda? Należał

kiedyś do prababki Ginewry. Kobieta, którą spotkała pani na południu Francji, poprosiła, by przekazała go pani Ginewrze, czyż nie? Pani jednak zachowała go dla siebie.

- Ten naszyjnik ma moc - podchwyciła Isolde z napięciem w głosie. -

Czułam ją, gdy trzymałam go w rękach. Prawdziwą moc. Rzadko go zakładałam. Wystarczało, że był mój. - Język szybkim ruchem zwilżył

wyschłe usta. - Teraz go nie ma, a ja umieram.

- Tak jak Ginewra. Na chwile jej pogodną twarz wykrzywił grymas wściekłości i nienawiści - a tak żarliwych uczuć Sebastian się po niej nie spodziewał.

- Ona by wszystko zaprzepaściła. Wszystko, na co tak ciężko pracowałam.

- Kochała Vardena. - Pokręcił głową wicehrabia. - Nigdy by go nie zniszczyła.

- A jednak tak właśnie się stało.

- Nie. - Sebastian ruszył ku drzwiom. - To pani. To pani zniszczyła i Vardena, i Claire.

- Claire o niczym nie wiedziała.

- A Portland?

- Portland jest głupcem.

Usłyszał, że lady Audley z trudem łapie powietrze, i odwrócił się, by spojrzeć na nią po raz ostatni.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego pan się w to zaangażował -

wychrypiała.

- Ta kobieta od naszyjnika... - Wicehrabia urwał. Isolde lekko rozchyliła usta, jej łukowate brwi podniosły się prawie niezauważalnie.

- Nie rozumiem.

- To moja matka.

We wspaniałym szkarłatnym mundurze, z szablą u boku księżę regent bawił się pysznie. Wspaniały był z niego gospodarz - twierdzili wszyscy zgodnym chórem. Ludzie zawsze wychwalali go za szczodrość i przyjemne usposobienie.

Na sali balowej panował taki ścisk, że nie sposób było tańczyć.

Nikomu to jednak nie przeszkadzało. Orkiestra dzielnie grała kolejne utwory, podczas gdy goście podziwiali najnowsze ulepszenia architektoniczne Carlton House. Jerzy słyszał okrzyki zachwytu na widok sali tronowej z wykuszowymi oknami, połączanymi kolumnami i obitymi szkarłatnym brokatem, bogato zdobionymi krzesłami. Również okrągła jadalnia o lustrzanych ścianach odbijających długi na ponad sześćdziesiąt jardów stół kończący się aż w oranżerii pozostanie zapewne na ustach socjety przez dobrych parę tygodni.

Kiedy kolacja zostanie podana, wszyscy zachwycają się także wodnym strumieniem spływającym ze środka stołu, wijącym się między ogromnymi srebrnymi wazami i półmiskami. Koryto przyozdobiono mchem, kamieniami i miniaturowymi mostkami. W wodzie nie zabrakło żywych złotych i srebrnych rybek. Całość robiła niewiarygodne wrażenie. Księżę modlił się tylko, żeby ryby nie zaczęły zdychać.

Spoglądając na ogród za oknem pełen pochodni i chińskich lampionów, Jerzy pękał z dumy. Dla gości, którym nie dane było zasiadać przy książęcym stole, rozstawiono ogromny namiot przystrojony połączanymi linami i kwiatami. Nagle wzrok regenta padł na przedzierającego się przez tłumy wysokiego, czarnowłosego mężczyznę i mina mu zrzędła.

Wicehrabia Dewlinu ubrany był w stosowny, wręcz nienaganny strój wieczorowy, obcisłe spodnie do kolan i trzewiki ze srebrnymi sprzączkami. Mimo to głowy odwracały się, a rozmowy milkły, gdy przechodził obok.

- Musimy porozmawiać - powiedział Sebastian, podchodząc do książęcego kuzyna Jarvisa zajętego rozmową z Comte de Lille.

- Na Jowisza! - Jarvis roześmiał się. - Nie teraz.

Z ust wicehrabiego nie schodził uśmiech, ale jego przerażająco żółte oczy zwięzły się tak, że Jerzemu ciarki przeszły po plecach i zaczął

gorączkowo szukać soli trzeźwiących.

- Teraz - odparł St. Cyr.

- Byłoby znacznie wygodniej - mówił Jarvis, wyciągając z kieszeni połączaną tabakierę i gwałtownie ją otwierając - gdyby odkrył lord, że lady Anglessey została zamordowana przez zazdrosnego kochanka. Pańskiej historii raczej nie możemy upublicznić, nie sądzi pan?

Sebastian nie odpowiedział, tylko zmierzył Jarvisa wzrokiem. Stali w niewielkim salonie

oddzielonym od głównej, ceremonialnej części Carlton House. Mimo to dobrze słyszeli głosy i śmiech dwóch tysięcy książęcych gości, spieszne kroki służących czy brzęk delikatnej porcelany i kryształu.

Kuzyn regenta uniósł do nosa szczyptę tabaki.

- Będziemy musieli zrzucić winę na Vardena. Wicehrabia parsknął

śmiechem.

- Dlaczego nie? Przy Pierreponcie zadziałało. Co byśmy poczęli bez Francuzów?

Jarvis prychnął.

- Nie odkrył pan przypadkiem nazwisk innych spiskowców?

- Nie, ale są inni. Tego może być lord pewien.

- No tak. - Jarvis otrzepał palce. - Śmiem jednak twierdzić, że długo o nich nie usłyszymy. Nie po tym, co się stało. Szczególnie jeśli przegrupujemy regimenty i zatrzymamy księcia w Londynie.

Sebastian wiedział, że Jerzego ta zmiana planów nie ucieszy. Jego wysokość już przebierał nogami, nie mogąc się doczekać powrotu do Brighton. Tamtejsi mieszkańcy nie zwykli gwizdać, gdy przejeżdżał ulicą, jak to miało miejsce w Londynie.

- A naszyjnik? - spytał Jarvis. - Dowiedział się pan, jak trafił na szyję lady Anglessey?

Było coś w uśmiechu tego potężnego mężczyzny, co podpowiedziało Sebastianowi, że on dobrze wiedział, iż matka Sebastiana nadal żyła, nawet jeśli nie do końca pojmował, jakim sposobem naszyjnik znalazł się na szyi zamordowanej w Brighton kobiety.

Wicehrabia wyjął triskelion z kieszeni. Sam jego widok wzbudził w Sebastianie gniew i ból, które niespodziewanie go obezwładniły.

Przyglądał mu się przez chwilę, czując na dłoni chłodny dotyk gładko wypolerowanych kamieni. Zastanawiał się, co sprawiło, że jego matka zmieniła zdanie i postanowiła oddać klejnot Ginewrze.

- Nie - odparł, odwzajemniając obłudny uśmiech Jarvisa równie nieszczerym grymasem. - Czy mógłby lord dopilnować, by do niej wrócił?

Zamaszystym ruchem nadgarstka rzucił naszyjnik na stół, trafiając lorda w łokieć. Potem odwrócił się i wyszedł.

Na cmentarzu przy St. Annes Church panował spokój i cisza.

Drzewa kołysały się delikatnie na wietrze, cienie drżały nad nagrobkami spowitymi bladą poświatą księżyca. Jednak nieopodal miejsca spoczynku Ginewry Anglessey, Sebastian dostrzegł jasne światło.

Nakazawszy stangretowi zatrzymać powóz, ruszył między drzewami.

Światło było zbyt silne jak na złodziei trupów. Natomiast rodziny zmarłych często wynajmowały stróżów, by czuwali nad świeżymi grobami. Podczas mroźnej zimy takie czuwanie było konieczne nawet przez kilka miesięcy, w letnie upalne dni wystarczał tydzień, potem ciało stawało się bezużyteczne dla anatomów.

Jednak Sebastian nie dostrzegł wynajętego strażnika. To sam markiz Anglessey czuwał nad grobem swej przepięknej młodej żony. Siedział na składanym krzeselku okryty kocem mimo ciepłej nocy. Na kolanach trzymał garłacz, zapewne nabity.

- To ja, St. Cyr! - zawołał wicehrabia dźwięcznym, donośnym głosem. - Proszę nie strzelać.

- Sebastian St. Cyr? - Staruszek poprawił się na krześle i zmrużył

oczy, wypatrując Sebastiana w ciemności. - Co pan tu robi?

Młody arystokrata wszedł w krąg światła rzucanego przez mosiężną latarnię i przykucnął przy krześle Anglesseya.

- Muszę panu coś powiedzieć.

I tam właśnie, przy grobie markizy, pośród spokojnej nocy, Sebastian opowiedział mężowi Ginewry, jak i dlaczego zginęła.

Kiedy skończył, starzec przez jakiś czas siedział ze spuszczoną głową i ciężko oddychał w milczeniu. Potem wbił wściekły wzrok w wicehrabiego.

- Ta kobieta... lady Audley... jest pan pewien, że nie żyje?

- Tak.

Skinął głową. Silniejszy podmuch wiatru zaszeleścił dębowym listowiem nad ich głowami i przyniósł cmentarne zapachy - woń wysokiej trawy, rozkładu i śmierci.

- Czy wierzy pan w Boga? - spytał niespodziewanie Anglessey, przerywając ciszę.

Sebastian spojrzał w zdjęte rozpaczą oczy starca i odpowiedział

szczerze:

- Już nie.

Markiz westchnął.

- Gdybym ja też mógł przestać... Gdybym nie wierzył, wziąłbym ten garłacz i wypalił Bevanowi w głowę. Już dawno powinienem był to zrobić.

- Całkiem możliwe, że ktoś pana wyręczy. Może będzie markiz miał szczęście dożyć tego dnia.

Anglessey chrząknął.

- Śmierć rzadko spotyka tych, którzy na nią zasługują. - Potoczył

oczami po grobach i zatrzymał wzrok na zalanych księżycową łuną łukowatych oknach starego kościoła. - Siedziałem tu dzisiejszego wieczoru, zastanawiając się, jakby to było, gdybym urodził się trzydzieści lat później albo Ginewra trzydzieści lat wcześniej. Myśli pan, że pokochałaby mnie?

- Ona pana kochała. Myślę, że na samym końcu zrozumiała, iż podarował jej markiz coś, czego nikt inny nie dał jej przez całe życie.

Staruszek pokręcił głową, nie pojmując.

- Co takiego?

- Bezinteresowną miłość.

Markiz przymknął oczy, jakby krzywił się z bólu.

- Byłem samolubny. Gdybym tak obsesyjnie nie pragnął potomka, gdybym nie popchnął jej ponownie w ramiona tego młodego człowieka, ona by żyła.

- Tego lord nie może być pewien. Może nie wierzę już w Boga, ale nabrałem przekonania, że nic nie dzieje się bez powodu. Wszystko ma swoją przyczynę, choć czasem nie sposób tego pojąć.

- Brzmi to jak definicja działania boskiej Opatrzności.

- Możliwe - odparł Sebastian. Nagle poczuł silne zmęczenie i ogromną potrzebę, by wziąć Kat w ramiona. Zamknął ją w nich bezpieczną już na zawsze. - Całkiem możliwe.

Przyszedł do niej późną nocą, kiedy uliczkami dawno już przetoczył

się ostatni powóz, a księżyc był jedynie bladym wspomnieniem na horyzoncie. Obudzona nieznośnym upałem Kat zobaczyła, że wicehrabia leży obok niej.

- Wyjdź za mnie - powiedział. Ręka mu drżała, gdy odgarniał

kosmyk jej włosów ze spoconego czoła.

Przyglądała się twarzy Sebastiana w słabnącym blasku księżyca, przyglądała się, aż jej nadzieja zaczęła gasnąć, a w serce wkradł się ból. I kiedy nie mogła już tego znieść, pochyliła się, przyciskając czoło do

ramienia ukochanego, by nie widzieć jego twarzy i by on nie patrzył na nią.

- Nie mogę. Jest coś, czego o mnie nie wiesz. Coś zrobiłam...

- Nie obchodzi mnie, co zrobiłaś. - Wsunął palce w jej włosy, a kciuki powędrowały pod podbródek, zmuszając Kat, by podniosła oczy. -

Nic, co zrobiłaś, nie mogłoby sprawić...

Koniuszkami palców zamknęła mu usta, powstrzymując słowa.

- Nie. Nie możesz tego powiedzieć, nie wiedząc, o co chodzi. A ja nie mam odwagi ci tego wyznać.

- Wiem, że cię kocham - powiedział, pocierając ustami jej palce.

- Niech więc to wystarczy. Proszę, Sebastianie, niech to wystarczy.

Rzuciwszy swój bikorn i rękawiczki na stół w ciemnym holu, Jarvis wszedł do biblioteki, zapalił kilka świec na niewielkim kandelabrze i nalał

sobie kieliszek brandy.

Z uśmiechem zadowolenia na twarzy usadowił się w fotelu przy kominku. Po chwili jednak odstawił kieliszek nietknięty i wyjął z kieszeni szafirowy naszyjnik lady Sophie.

Uniósł go do światła, przesunął między palcami, aż niebieskie kamienie zamknięte w srebrnych otoczkach triskelionu, kołysząc się w powietrzu, utworzyły delikatny łuk światła. Ta legenda, którą obrósł

naszyjnik, co za bzdury!... Miał tego świadomość, a jednak wydawało mu się, że czuje moc klejnotu. Że czuje, choć nie pojmuje.

- Tatku?

Obejrzał się. W drzwiach stała jego córka Hero. Pięść zamknęła się na naszyjniku.

- Dlaczego jeszcze nie śpisz? - spytała, wchodząc do pokoju. W

białej atłasowej sukni wieczorowej, którą wybrała na książęcy bal, przy łagodnym świetle świec rzucającym złote refleksy na jej skórę i okalające twarz włosy, wyglądała nawet niebrzydko.

Upuścił naszyjnik na stół i sięgnął po kieliszek.

- Postanowiłem przed snem napić się brandy. Jej wzrok powędrował na naszyjnik.

- Jaki piękny! - zawołała, biorąc go do ręki, zanim zdołał ją powstrzymać.

Ułożyła klejnot na dłoni. Jarvis obserwował, jak wyraz twarzy Hero stopniowo się zmienia, jak dziewczyna rozchyła usta i ściąga brwi.

- Co jest? - rzucił bardziej oschle, niż zamierzał. - O co chodzi?

- O nic, tylko... - Zaśmiała się słabo. - To niedorzeczne, ale czuję, jakby naszyjnik robił się ciepły. - Podniosła na niego oczy. - Do kogo należy?

Jarvis jednym haustem opróżnił kieliszek i odstawił go.

- Do ciebie.

Od autorki

Na przełomie XVIII i XIX wieku w Anglii dynastii hanowerskiej zagrażali jakobici. W 1778 roku uchwalono ustawę o równouprawnieniu katolików (*The Catholic Relief Act*), która dawała szkockiej dynastii Stuartów szansę na odzyskanie tronu. Na początku XIX stulecia jednakże zmarł Henryk Stuart, brat Karola Edwarda Stuarta (zwanego Ślicznym Księciem Karolkiem) i tak dynastia wygasła. Roszczenia do korony przeszły na króla z dynastii sabaudzkiej, potomka córki króla Karola I Stuarta, podczas gdy dynastia hanowerska wywodziła swoje prawo do tronu od potomków jego starszej siostry Elżbiety Stuart.

To są fakty. Księżę Walii rzeczywiście urządził w czerwcu 1811

roku wielką fetę z okazji objęcia regencji. Wszystko odbyło się mniej więcej tak, jak to opisałam, chociaż dociekliwi zauważą zapewne, że ze względu na fabułę cofnęłam datę balu o jeden dzień. Obsesja księcia regenta na punkcie Stuartów, jak i jego olbrzymia niepopularność również nie są wymysłem. Piosenka, którą Sebastian słyszy w tłumie w wieczór balu, to część wiersza napisanego przez Charlesa Lamba w 1812 roku.

Jednak spisek z 1811 roku zmierzający do zastąpienia dynastii hanowerskiej sabaudzką to moja inwencja, podobnie jak fikcyjne są postaci córki Anny i jej duńskiego męża.

Opowieść o walijskiej kochance Jakuba II i jej naszyjniku jest po części oparta na prawdziwej historii Godithy Price. Urodziła ona księciu Jakubowi dwójkę dzieci, z których jedno - Maria Stuart - wyszło za szkockiego właściciela ziemskiego McBeana. W prezencie ślubnym otrzymała od ojca naszyjnik swojej matki. Jak głosi legenda, stary srebrny wisior zdobiony szafirami robi się gorący w dłoniach osoby, której jest przeznaczony. Zapewnia jej także długie życie.

Maria Stuart przekazała naszyjnik swojemu synowi Edwardowi McBean, po tym jak za udział w powstaniu przeciw dynastii hanowerskiej został skazany na wygnanie. McBean pożegłował do Ameryki, gdzie dożył

sędziwego wieku 102 lat i założył liczną rodzinę, z której wywodzi się autorka niniejszej książki. Naszyjnik, niestety, nie był dziedziczony przez moją linię rodziny. Ostatnia jego właścicielka, dziarska staruszka, którą odnalazłam przez Internet, zmarła w wieku 103 lat.

Table of Contents

[Rozpoczni](#)